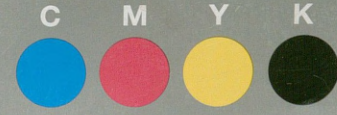
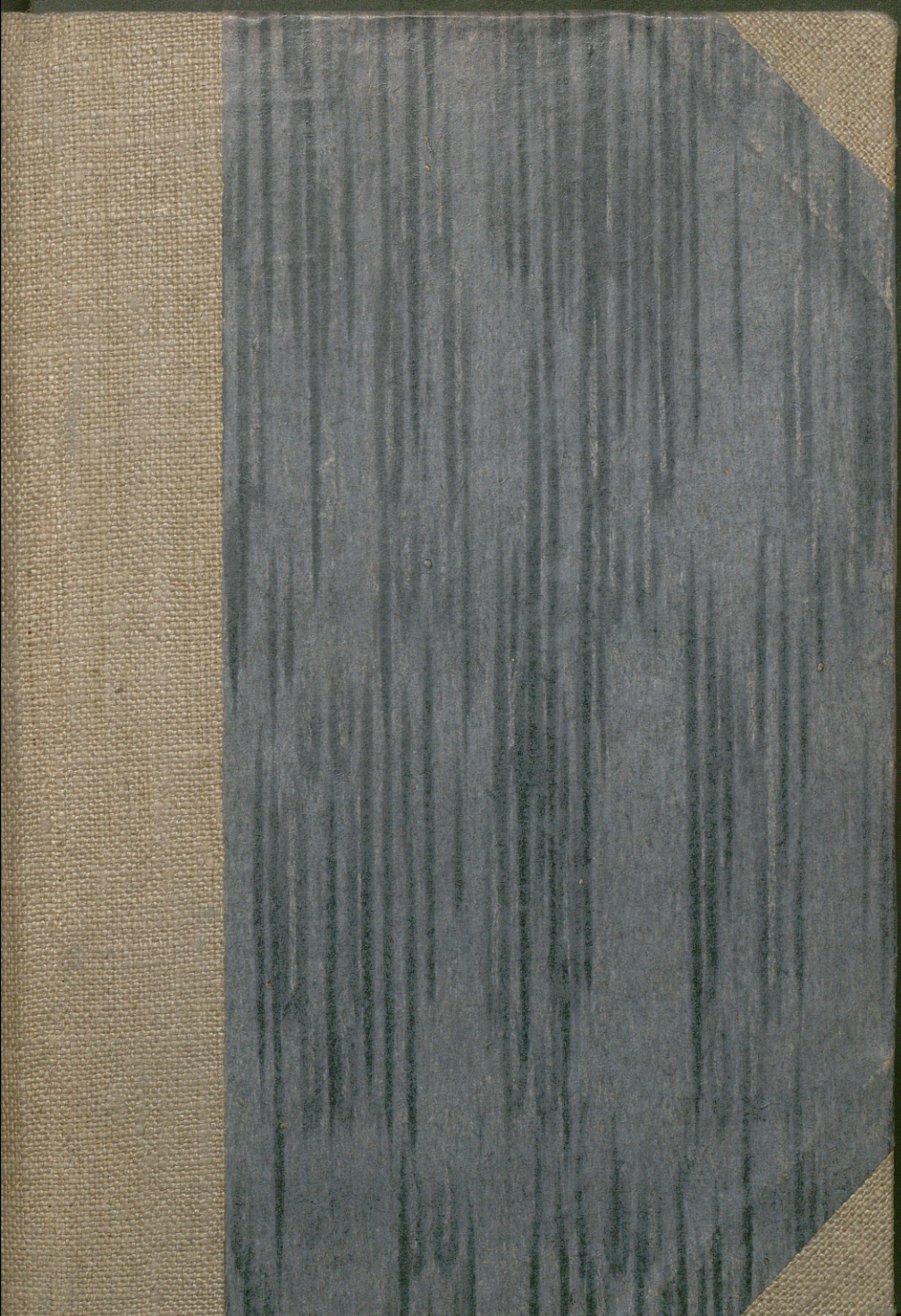




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 **M** 8 9 10 11 12 13 14 15 **B** 17 18 19



Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black
------	------	-------	--------	-----	---------	-------	---------	-------

DANES-PICTA.COM



Z wydanych dotąd 20 roczników Nowej Biblioteki Uniwersalnej posiadamy jeszcze niewielką ilość w zapasie i wysyłamy po następujących zniżonych cenach:

SERYA I. (złożona z roczników I. do X., t. j. 1887—1896).

1. *Balucki*. Mój pierwszy występ literacki. — 2. *Chołoniewski*. Sen w Podhorcach. — 3. *Konarski*. O religii poezji i ludzi. — 4. Rys kampanii polskiej w roku 1809. — 5 i 6. *Szajnocha*. Pisma historyczne. 2 tomy. — 7. *Wodzicki*. Pamiętniki. — 8. *Wysocki*. Pamiętnik z kampanii roku 1848. — 9. *Echegaray*. Galeotto (dramat). — 10 do 13. *Kalinka*. Dzieła t. I. II. III. IV. (Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. 2 tomy, i Pisma pomniejszych. 2 tomy). — 14. *Lichocki*. Pamiętniki prezydenta m. Krakowa z czasów Kościuszki. — 15 i 16. *Macaulay*. Szkice historyczne 2 tomy. — 17. *Szumski*. Wspomnienia o 3 pułku ułanów z roku 1831. — 18. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya I. — 19. *Zagórski*. Nowele. Ser. III. — 20 do 22. *Koźmian*. Rzecz o roku 1863. 3 tomy. — 23 do 27. *Kalinka*. Sejm czteroletni. 5 tomów. — 28. *Łoziński*. Tłum. — 29 do 31. *Kontrymowicz-Ogiński*. Książę Hołuba. 3 tomy. — 32. *Murawiew*. Pamiętniki z roku 1863. — 33. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya II. — 34. *Wężyk*. Dzieje powstania r. 1831. — 35. *Włast*. Opowiadania historycz. z dziejów Wołynia. — 36. *Wodzicka*. Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna. — 37. Ze wspomnień szlacheckich.

Razem 37 tomów broszurowanych koron 37—
lub 37 „ „ oprawnych w płótno „ 73—

SERYA II. (roczniki XI. do XIII., 1897—1899).

1. *Jirasek*. Raj świata. — 2. *Kalinka*. Galicya i Kraków w r. 1850. — 3 do 5. *Kołaczkowski* generał. Pamiętniki. Tom I. II. III. — 6. *Łubieński*. Kwestya polska w Rosyi. — 7. *Manteuffel*. Cywilizacya nad Bałtykiem. — 8. *Sarnecki*. Historia literatury francuskiej. — 9. *Schnür-Peplowski*. Dzieje legionów polskich. — 10. *Sewer*. W kleszczach. — Magdusia. — 11. *Tarnowski St.* Studya z literatury polskiej. Serya IV. — 12. *Bakowski*. Posażna Panna. — 13. *Chotkowski*. Dzieje zniweczenia Unii. — 14. *Gloger*. Geografia historyczna Polski. — 15. *Korolenko*. Nowele Sybirskie. — 16. *Kostomarov*. Kudejar. — 17. *Kowerska*. Powieści. — 18. *Krzyżanowski*. Przełom i inne nowele. — 19. *Neumanowa*. Legendy Wschodu. — 20. *Sokołowski*. Szkice z dziedziny sztuki. — 21 do 23. *Tołstoj*. Anna Karcnina. 3 tomy. — 24. *Wybranowski*. Ongi w dworakach szlacheckich.

Razem 24 tomów broszurowanych koron 25—
lub 24 „ „ oprawnych „ 45—

SERYA III. (roczniki XIV. i XV., 1900—1901).

1. *Czermak*. Studya histor. z XVII. wieku. — 2. *Kalinka*. Dzieła, tom XI. — 3. *Kołaczkowski*. Henryk Dąbrowski. — 4 i 5. *Kołaczkowski*. Wspomnienia z r. 1831, tom IV. V. — 6. *Korolenko*. Niewidomy muzyk. — 7. *Korolenko*. Szkice powieściowe. — 8. *Kowerska*. Z pamiętnika ornitologa. — 9. *Lejkin*. Pod hiszpańskim niebem. — 10. *Rostworowski*. Wspomnienia z r. 1863. — 11. *Sizeranne*. Malarstwo angielskie. — 12. *Tretiak*. Studya literackie. — 13. *Abgar Soltan*. Nea. — 14. *Brodziński*. Wspomnienia mej młodości. — 15. *Dostojewski*. Wspomnienia z katoggi. — 16 do 18. *Gadon*. Emigracya

Proszę odwrócić!

polska. 3 tomy. — 19. *Klaczko*. Unia Litwy z Polską. — 20 do 21. *Lejkin*. Nasi za granicą. 2 tomy. — 22. *Morawski*. Wiersze i proza. — 23 do 24. *Zacharyasiewicz*. Tajemnica Stefanii. 2 tomy.

Razem 24 tomów broszurowanych koron 24—
lub 24 „ oprawnych „ 40—

SERYA IV. (roczniki XVI. i XVII., 1902—1903).

1. *Benedyktowicz*. Witkiewicz. — 2. *Bystrzycki*. O poezjach i mo wach Ks. Kajsiewicza. — 3. *Hamsun*. Pan, powieść. — 4. *Kalinka*. Dzieła tom XII. — 5 i 6. *Klaczko*. Studya dyplomatyczne. 2 tomy. — 7. *Kowerska*. Podlotek. — 8. *Kostworowska*. Czy są nowe dla kobie zadania (tylko broszurowane). — 9. Rosya w przededniu XX. stule cia. — 10 do 11. *Tomek*. Dzieje Czech. 2 tomy. — 12. *Zacharyasi wicz*. Po ślubie. — 13. *Abgar-Soltan*. Widziane i odczute. — 14. *Dę bicki*. Z dawnych wspomnień. — 15. *Lamy*. Kobieta i wiedza (tylko broszurowane). — 16. *Rydel*. Awanturnik XVIII. wieku. — 17. *Sta siak*. Brandenburg. — 18. *Szartowski*. Z dziejów Państwa Kościelnego (tylko broszurowane). — 19 do 20. *Tarnowski*. Literatura polska, tomy I. i II. — 21. Wybór nowel zagranicznych autorów.

Razem 21 tomów broszurowanych koron 22—
lub 18 „ oprawnych i 3 broszur. „ 38—

SERYA V. (roczniki XVIII. i XIX., 1904—1905).

1. *Abgar-Soltan*. Rywale. — 2. do 3. *Czartoryski*. Pamiętniki, 2 tomy. — 4. *Kopera*. Dzieje skarbcza koronnego. — 5. *Krzywoszewski*. Rusałka a 6. *Machczyński*. Humoreski i nowele. — 7. *Manteuffel*. Tum Ryski. — 8. *Mysłowska*. Żona paralytyka. — 9. *Siemiradzki*. Pod obcem nie bem. — 10 do 12. *Tarnowski*. Literatura, tomy III., IV. i V. — 13. *Bladgen*. Ta, którą kochałem i ta, którą mnie kochała. — 14. *Cze chow*. Nowele. — 15. *Dębicki*. Sylwetki i portrety z XIX. stulecia, se rya I. — 16. *Klaczko*. Dwaj kanclerze. — 17. *Mrozowicka*. Złote mosty. — 18. *Mysłowska*. Obrazki z życia. — 19. *Pułaski*. Szkice i poszukiwa nia historyczne, serya III. — 20. *Rapacki*. Około teatru. — 21. *Si wiński*. Katorżnik. — 22. *Straszewski*. Filozofia św. Augustyna.

Razem 22 tomów broszurowanych koron 24—
lub 22 „ oprawnych „ 40—

SERYA VI. (rocznik XX., 1906).

1. *Coppée*. Dobre cierpienie. — 2 do 3. *Dębicki*. Sylwetki i portrety z XIX stulecia, serya II., tom I. i II. — 4. *Dobrzycki*. Z dziejów li teratury polskiej. — 5. *Glatman*. Szkice historyczne. — 6. *Jastrzę biec*. Nim wszędzie dzień. — 7. *Krzyżanowski*. Pasierby. — 8. *Molière*. Sawantki. — 9. *Odrowąż*. Nie zginie. — Nad siły. — 10. *Rapacki*. Histryoni. — 11. *Zielonka*. Wspomnienia z Syberyi.

Razem 11 tomów broszurowanych koron 12—
lub 11 „ oprawnych „ 20—

Kto nie chce nabywać „Nowej Biblioteki Uniwersalnej“ seryami, lecz pragnąłby mieć specjalne działy, n. p. tylko dział powieściowy, lub dział historyczny, i t. p., płaci następujące ceny za objęte wszystkimi rocznikami:

Zobacz koniec książki!

1421

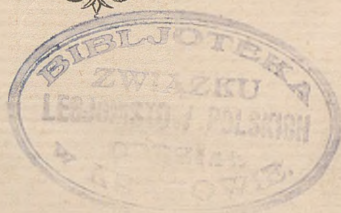
W ROSYI

S. M. KRAWCZYŃSKI

W ROSYI
W ÓSMEM DZIESIĘCIOLECIU
XIX WIEKU

(ANDRZEJ KOŻUCHOW)

Z rosyjskiego przełożył K. S.



SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA W KRAKOWIE

1907.



Z drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.

CZEŚĆ PIERWSZA

ZAPALEŃCY

CRIST. TERKWA

YAPALFICY

ROZDZIAŁ I.

N a r e s z c i e !

Spiesznie kończyła Helena swój późny, skromny obiad w maleńkiej genewskiej restauracyi, będącej wybranem miejscem zbornem rosyjskich emigrantów, i kawy już pić nie chciała. Spieszyła się dnia tego, bo ciężył jej w kieszeni dawno oczekiwany list z Rosyi, który przed chwilą odebrała od starego, siwego zegarmistrza, otrzymującego pod swoim adresem całą zagraniczną korespondencyę, a gorąco pragnęła co rychlej pokazać list ten swemu przyjacielowi Andrzejowi. Pismo nie odnosiło się wprawdzie wprost do niego, ale obejmowało wieści ogólnego znaczenia.

Zamieniwszy słów kilka z jednym z towarzyszków wygnania, dziewczę przeszło między rzędami stolików, przy których posilali się sami robotnicy w bluzach, i wyszła na ulicę. Nie wybiła jeszcze godzina ósma, pewną więc była, że Andrzeja zastanie w domu; mieszkał niedaleko, więc w pięć minut stanęła pod jego drzwiami. Ładna jej twarz, o chłodnym wyrazie, okryła się rumieńcem z szybkiego biegu.

Andrzej był sam, zagłębiany w dziełach statystycznych, z których wypisywał notatki do swoich tygodniowych artykułów, jakie do rosyjskich czasopism przysyłał. Powstał, podając rękę gościowi.

— Oto list dla Was — rzekła Helena, po przywitaniu się.

— A! — odpowiedział. — Nareszcie!

Był to młody człowiek, lat dwudziestu sześciu lub siedmiu, o poważnych, regularnych rysach twarzy, znamionujących przedwczesne troski, i o oczach z wyrazem zadumy, co nie psuło dobrego wrażenia odwagi i spokoju, jakie sprawiała cała jego postać.

Zaczerwienił się nieco, gdy palce muskularnej ręki skwapliwie rozdzierały kopertę. Rozwinął dużą ćwiartkę papieru, pokrytą odległymi od siebie wierszami drobnego nierównego pisma. Helena nie mniej od niego okazywała zaciekawienia; stanąwszy więc obok młodzieńca, oparła się na jego ramieniu, by razem z nim czytać.

— Usiądźcie Heleno — rzekł Andrzej — będzie tak lepiej, bo stojąc, zasłaniacie papier lokami.

Ubogó umeblowany pokój, słabo oświetała nie duża lampa z zieloną zasłoną, a tylko nogi krzeseł i dół komody jaśniały od niej. Na żółto wylepionych ścianach wisiały tanie oleodruki, przedstawiające szwajcarskiego generała Dufoura i stereotypowe pejzaże, a zdobić je nadto chciały fotografia zmarłego męża gospodyni domu i jego dyplom szkolny w złożonych ramkach. Zmrok panujący nie był pomocny wspólnemu czytaniu. Andrzej przysunął stolik do większego założonego księgami oraz gazetami stołu i postawił na nim lampę. Helena siadła tak blisko niego, że ich włosy się stykały, lecz za nadto byli oboje zajęci, żeby na to zwrócić uwagę. Z istic niewieścią zwinnością Helena odczytała pierwszą stronę arkusza i zawołała:

— Ten list nic nie zawiera ciekawego. To same głupstwa i szkoda czasu na ich czytanie.

Andrzej nie podzielał tego jednostronnego zdania.

— Poczekajcie chwilkę — odrzekł. — Ja znam Jerzego, on zawsze przesyła coś interesującego, a przeczy-

tanie długo nie potrwa. — »Drogi Andrzej Atanazowiczu, pospieszam wam donieść«... hm, hm... »że bardzo silne mrozy«... hm, hm... »owce i cieleta«... hm, hm... — mrucał Andrzej, szybko przesuwając oczami po wierszach.

— A oto coś o sprawach domowych; czytajmy.

»Co się dotyczy domowych wiadomości« — czytał dalej tonem urzędnika biurokraty zdającego raport — »donoszę wam, że siostra Katia wyszła za mąż za N..., którego poznała zeszłej jesieni w K... Okazał się on człowiekiem bez czci i zasad..., biedna rozpacza..., ojciec rozgoryczony... Poczujemy się nadzieją, że wszystko gójący czas, pocieszyciel strapionych...«

Zwierzzenia te przerwał głośny śmiech Heleny, Leny, jak ją zwał przyjaciel.

— Widać — zawołała — że to pisał poeta.

Bynajmniej nie zrażony tą niewłaściwą wesołością, czytał Andrzej dalej, szybko pomrukując między zębami zakończenie listu.

— Tak, mieliście słuszność, nie warto było czytać — rzekł on wreszcie, nie okazując jednak wcale gniewu. Poczem odwrócił się, jakby czegoś szukał.

— Oto jest — mówiła ona, biorąc z kominka małą, czarną flaszkę, stojącą obok spirytusowej maszynki, która mu służyła do rannej herbaty.

Rozłożył starannie list na stole, a zamaczawszy pędzelek w podanej mu flaszcze przez Lenę, przeciągnął nim kilkakrotnie całą stronę ćwiartki. Zwykłym atramentem wypisane wiersze, szybko nikły, jakby się rozpuszczały w gorącym płynie. Po chwili okazał się papier zupełnie białym. Ale później, coś jakby na nim ożyło i poruszało się; z ukrytego jego wnętrza występowały jedna za drugą litery, słowa i zdania, jakby wyrzucane z głębin, spiesząc i gromadząc się. Była to nieuporządkowana ciżba, przypominająca zbudzonych rannym sygnałem żołnierzy, w pośpiechu stających w rzędy. Na-

reszcie ruch ten ustał; litery zatrzymały się na swoich miejscach; jeszcze tu i ówdzie któraś zapóźniona starała się przerwać cienką osłonę i występowała w pozostającej luce, obok czekających na nią towarzyszek; powierzchnia arkusza zapełniła się. Zamiast pierwotnych fikcyjnych zdań, stanęły gęste wiersze drobnego pisma, mającego nareszcie odsłonić Andrzejowi i Lenie ukryte dotychczas tajemnice. Oboje, podnieceni oczekiwaniem, pochylili się nad stołem.

— Ja będę czytała! — zawołała Lena. I zanimby Andrzej zdołał jakkolwiek zaznaczyć i obronić swoją własność, wyrwała mu z rąk ćwiartkę i rozpoczęła:

»Drogi bracie! Przyjaciele nasi polecili mi odpisać na list twój i powiedzieć, że wszyscy uznajemy potrzebę twego powrotu do Rosyi. Odczuwamy konieczność twojej obecności między nami o wiele więcej, niż sam możesz przypuszczać, lecz nie spieszyliśmy dotąd z wezwaniem, dobrze wiedząc, z jakimi to niebezpieczeństwami dla ciebie jest połączone. Postanowiliśmy wezwać cię tylko na wypadek ostatecznej potrzeby, a teraz nadeszła już ta chwila. Wiesz niewątpliwie z gazet, jakie odnieśliśmy niedawno zwycięstwa, ale wiedzieć nie możesz, jak drogo one opłacić nam przyszło. Organizacya nasza poniosła ciężkie straty, bo kilku najlepszych naszych towarzyszy zginęło. Żandarmi myślą, że nas całkiem pognębili, ale my się wywikłamy. Dziś, wielu bardzo, więcej niż kiedykolwiek, pragnie do nas się przyłączyć, ale to naród nieobliczalny. Nie możemy dłużej obchodzić się bez ciebie. Przybywaj, wszyscy cię oczekujemy, starzy przyjaciele, którzy nigdy o tobie nie zapomnieli i nowi, nie mniej od nas pragnący cię powitać. Przyjeżdżaj, jak tylko możesz najrychlej!«

Lena przerwała czytanie. Ucieszyła się dla Andrzeja, z którym w wielkiej była przyjaźni. Spojrzała na niego oczami pełnymi sympatyi, lecz zobaczyła tylko krótko

ostrzyżoną czarną czuprynę, bo on oparł głowę w dłoniach i oczy miał wlepione w wierzch stołu. Lena nie chciała pytać, czy on unika jej wzroku, czy też zasłania się od światła lampy, więc czytała dalej.

List obejmował obszernie opisy różnych spraw odroczonych i praktycznych zmian wprowadzonych do partii. »Wszystko to — pisał autor — może cię zadziwi i oburzy w pierwszej chwili, ale nie wątpię, że jako praktyk, rychło potem zgodzisz się z nami...«

Wtem miejscu wypadło Lenie odwrócić ćwiartkę i zastanowiła ją zrazu bezmyślna paplanina fikcyjnych zdań listu; zapomniała, że i tę stronę zmyć trzeba, by otrzymać tekst właściwy. Słowa, jakie była odczytała, uczyniły na nią wrażenie farsy wyrywającej się z poważnego dramatu. Przeciągnęła więc zmaczany pędzelek po następnych stronicach i te w kilka sekund przedstawiały się podobnie do pierwszej, z tą jednak różnicą, że wygląd ich był tu i ówdzie inny. Jednostajne pismo przerywane było długimi szyfrowanymi wierszami, zawierającymi niewątpliwie wyłącznie ważne doniesienia. Szyfrowanie to zabezpieczało na wypadek, gdyby policja podejrzewając osobę adresata, użyła tych samych środków chemicznych. Z początku nie wiele było szyfrowanych ustępów; poniżej jednak gęstniały kupki cyfr, uprzytomniając rozsiane krzaczki na gładkiem polu, a na ostatniej stronie nie było już liter, tylko same cyfry, jak na tablicach logarytmowych.

— Oto, Andrzej, przyjemne dla was zabicie czasu! — rzekła Lena, wskazując na mnogość cyfr. — Pewna jestem, że Jerzy umyślnie dla was postarał się o to!

— Doskonała przysługa, niema co mówić — odparł młody człowiek.

Nie cierpiał zajmować się dochodzeniem szyfrowanych pism i zawsze mawiał, że dla niego jest to w swoim rodzaju kara cielesna.

— Wiecie — dodał — zdaje mi się, że nam przyjdzie popracować nad tem jakich sześć godzin.

— Nie tak wiele, panie próżniaku; we dwoje znacznie prędzej temu podołamy.

— Odzwyczałem się od tej roboty; zechciejcie więc wypisać mi klucz, żebym go sobie w głowie odświeżył.

Spełniła bezzwłocznie jego życzenie, poczem zaostrzywszy się w kartki papieru, cierpliwie oboje zasiadli do roboty. Nie lekkie było to zadanie. Jerzy posługiwał się podwójnem szyfrowaniem, używanem w ich organizacyi. Należało, przy pomocy klucza, przekładać główne cyfry w nowe rzędy cyfr, a te, drugim kluczem, zamieniały się w litery i słowa. Umożliwiało to wprowadzenie różnych licznych znaków, oznaczających litery abecadła, a czyniło odczytanie utrudnionem dla najprzenikliwszych policyjnych ekspertów. Jeżeli jednak piszący popełnił jakąkolwiek pomyłkę w zastosowaniu klucza, to pismo pozostawało zagadką i dla adresata także.

Jerzy, jako poeta, dalekim był od dokładności i nieraz do rozpaczki doprowadzał swoich przyjaciół; zdarzało mu się zestawiać cyfry bez jakiegokolwiek znaczenia i to, jakby umyślnie w takich miejscach, które były najważniejsze w przesyłce. Jeżeli Jerzy, zajęty w kraju rodzinnym, nie dostawał w takich chwilach odczytywania czkawki, to już pewnie nie z winy wymyślających mu przyjaciół. Andrzej byłby nieraz w rozpaczki bez pomocy Leny. Ale dziewczę miało wprawę w czytaniu pism szyfrowanych i miała dar odgadywania znaczenia niejasnych ustępów. Gdy Andrzej tracił cierpliwość i odmawiał dalszego czytania, ona brała obie kartki, i jakby wyjątkowo natchniona, wykazywała, na czem polegała pomyłka Jerzego. Po upływie dwóch godzin zapoznali się z częścią listu, zawierającą szczegóły odnośne do podróży Andrzeja, oraz nazwy i adresy osób, do których miał się zgłaszać na granicy i potem w Petersburgu.

Andrzej starannie wynotował sobie na osobnej kartce wszystkie adresy, żeby ich się potem na pamięć wyuczyć przed wyjazdem. Pozostawał im jeszcze rozbiór cząstki listu, odznaczającej się zbitem pismem i zawierającej niewątpliwie rzecz ważną, niebezpiecznie kompromitującą, tak, że nie lenił się Jerzy w użyciu i zastosowaniu cyfr.

Jakąż to fatalną tajemnicę miał odkryć ten nieprzejrzysty las znaków? Wpatrywał się w nie Andrzej, chcąc odgadnąć znaczenie, lecz rozdrażnił się tylko widokiem tych gęstych wierszy z kapryśną cyfr różnorodnością.

Po chwili odpoczynku powrócili do roboty ze zdwojoną energią. Andrzej wypisywał literę za literą, a zebrawszy dość słów dla złożenia zdania, odczytywał je Lenie. Pierwsze jednak tak go wzburzyło, że nie był w stanie zdania dokończyć.

— Coś się stało z Borysem! — zawołał. — Popatrzcie!

Lena bystro spojrzała na pismo; nie należało wątpić: Sprawa dotyczyła Borysa, jednego z najzdolniejszych i najwpływowszych członków partii, i początek zdania nic dobrego nie wróżył, a było w istocie gorzej, niż Andrzej przypuszczał. Lena domyślała się znaczenia następujących liter, lecz nie wysłowiła swego przypuszczenia i nie przestała dalej dyktować: pięć, trzy...

— Siedem, dziesięć — wtórował Andrzej, szukając w kluczu odpowiedniej litery.

— Prędej! — niecierpliwie zawołała Lena — czyż nie widzicie, że to litera *a*?

Andrzej zanotował złowieszcze *a*.

Ale co gorzej, następną literą było *r*.

Potem trzecia, czwarta i resztujące, rozwiwały wątpliwości. Nie zamieniając z sobą ani słowa, odszyfrowali resztę liter i słów, aż czarno na białym wystąpiło zdanie: »Borys aresztowany w Dubrowniku!« Przygnębieni, spojrzeli na siebie...

— W Dubrowniku! Co za lichy kazało mu tam jechać!

— Patrzmy, co będzie dalej — odrzekła Lena — odczytamy zapewne szczegóły o tem aresztowaniu.

I znów zabrali się do dręcząco-powolnej roboty i dowiedzieli się, że aresztowano Borysa i dwóch jego towarzyszy, po rozpaczliwym z ich strony oporze. Wystarczyło im to, by sobie zdać sprawę o beznadziejnem jego położeniu, by sobie powiedzieć, że on już skazany, jakkolwiek-by była jego rola w tej utarczce. Prawo dyktowało karę śmierci w podobnych przestępstwach, a Borys nie należał do ludzi mogących założyć spokojnie ręce, gdy się inni narażają.

— Biedna Zina! — westchnęli oboje.

Było to imię żony Borysa.

Po krótkiej pauzie, Lena ponownie zajęła się wypisywaniem cyfr i zestawiała wzmiankę z wymienionem imieniem, które wywołało ich westchnienie.

— Zina, Zina! — zawołał Andrzej — to okropne! Nie wątpił, że i ją aresztowano.

W kilka minut potem miał dowód, iż się nie mylił.

»Zina — pisał dalej Jerzy — pojechała do Dubrownika dla zbadania gruntu i przekonania się, czy nie jest możebną ucieczka Borysa«.

— Dobrze pomyślane — rzekł Andrzej. — A widzę, że co rychlej jechać mi tam trzeba.

Doniesienie o współudziale Borysa, uzupełnione było w liście spisem innych ofiar, które wpadły w ręce policyi; była tam też mowa o blizkich procesach i o przewidywanych surowych wyrokach, sądząc po cichych wieściach, otrzymany od osób urzędowych.

Tragizm walki przebytej sączył się kropla po kropli; trudno przychodziło wychylić gorzką czarę; każda odczytana żalosna wieść wywoływała okrzyki i westchnienia, lecz pospieszali dalej, hamując uczucia. Po tem za-

łosnem wyliczeniu strat i ofiar, przeszedł Jerzy swem cyfrowaniem pismem do przyjemniejszego tematu. W krótkich słowach, z właściwym mu zapałem, opowiadał o pospiechu, z jakim ożywiają się i wzburzają umysły, stanowczo i powszechnie. Słowa te działały jak dźwięk trąbki, wzywającej do nowej walki na pokrytem trupami pobojowisku, albo jak światło jasnego słońca, przy wyjściu z katakomb. Prędzej niż przypuszczali, dokończyli czytanie.

— Tak — zawołała Lena — wierzę, iż nawarzymy kaszy! — I zaczęła chodzić wzdłuż i wszerz pokoju, żeby rozruszać zdrętwiałe członki. Potem wzięła list do ręki, ostrożnie wysuszyła go nad lampą i zapaliła zapalkę z widocznym zamiarem zapalenia papieru.

— Poczekajcie — wstrzymał ją Andrzej bystrym ruchem.

— Dlaczego? Przecie adresy już wynotowane.

— Istotnie, ale pragnę zachować jeszcze to pismo przez czas jakiś.

— Czy na to, żeby wpadło w obce ręce? — ostro zapytała.

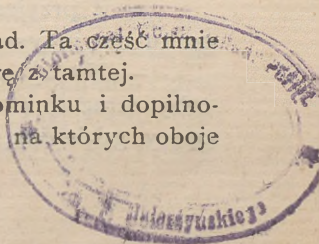
Andrzej odrzekł, że tego rodzaju ostrożności są tu w Szwajcaryi zbyt liczne, lecz nie łatwo było przekonać Lenę. Tak jak większa część spiskujących niewiast, ona ściśle przestrzegła przepisów.

— No, to może się zgodzicie na kompromis — zaproponowała łagodnym głosem. Oddała połowę ćwiartki odnoszącą się do Andrzeja, a starannie skreśliwszy na niej niektóre zdania, podała ją towarzyszowi.

— Wszak na tej części listu wam zależy? — zapytała go.

— Dobrze, godzę się na taki układ. Ta część mnie wyłącznie interesuje; czynię więc ofiarę z tamtej.

Lena pospiesznie klękała przy kominku i dopilnowała zniszczenia ćwiartki listu i kartek, na których oboje



spisywali znaczenie cyfr. Zaspokoiwszy tem sumienie swoje, siadła na dawnem miejscu.

— Więc jedziecie, Andrzeju? — zapytała z zadumą.

On odczuł niezwykle ciepło w jej głosie i w wyrazie poczciwych a śmiałych oczu zwróconych na niego. Ci, co żegnają odjeżdżających, nie mogą na nich patrzeć bez wzruszenia, zwłaszcza, gdy kto opuszcza bezpieczne schronienie, by ponownie na śmierć się narażać.

— Czy rychło jedziecie? — dodała.

— Tak — odparł Andrzej — mam nadzieję, że za dni trzy do czterech odbiorę paszport i pieniądze, a przez ten czas łatwo się zbiorę. Ale radbym wiedzieć — zawołał nagle — azali odkryli jego nazwisko!

— Czyje? — zapytała Lena, wzrok podnosząc.

— Jakto czyje? Borysa.

Ciężka troska nie przestawała dręczyć Andrzeja, bez względu na jego zewnętrzny spokój i męstwo.

— Nie sędzę, by je tak prędko odkryli — rzekła Lena. — Borys nie bywał w Dubrowniku. A zresztą Jerzy nie byłby pominął wzmianki o tej okoliczności.

— Daj Boże, by tak było; ułatwiłoby to znacznie ucieczkę. Wkrótce dowiem się o wszystkim.

Zaczęli mówić o podróży. Lena obznajomioną była z przeprawami przez granicę, więc nie szczędziła przyjacielowi rad i wskazówek, chociaż młodszą była od niego o lat kilka.

— Tylko nie zapomnijcie o nas, wpadłszy w wir cały. Piszcie do mnie, albo do Wasyla. Ja tam także radabym powrócić; przygotujcie mi to i ułatwcie, o ile możności.

— Z przyjemnością. Ale co do Wasyla; dlaczego on tu nie przyszedł teraz?

— Nie był w restauracyi, więc posłałam mu kartkę, żeby zaraz tu pospieszył. Zapewne wyszedł z domu do opery, gdzie dają »Roberta«. Inaczej byłby dawno z nami.

Lena sięgnęła do kieszeni, by wyjąć z niej zegarek. Złoty, ciężki, stary, był jej drogą pamiątką po ojcu, generale z czasów Mikołaja I. Miała go ze sobą na Syberyi i przywozła za granicę. Nie często on jej tu służył, bo przebywał po większej części w zastawie, gdy sama, lub który z towarzyszy potrzebował pieniędzy. Wszyscy oni żyli ze sobą tak blisko, że nie istniało pojęcie osobistej własności między nimi. Zegarek w kieszeni Leny był dowodem, że grupka emigracyjna znajdowała się wówczas w pomyślnem finansowem położeniu.

— Jednak już tak późno — rzekła Lena — już pierwsza godzina. Trzeba spieszyć do domu, żeby wstać na lekcję.

— Ja także zasypiać nie mogę — odparł Andrzej — muszę wcześniej zasiać do mojej pisaniny.

— Którą — zauważyła Lena — będziecie musieli komuś przed wyjazdem odstąpić.

— Niewątpliwie. Ona lepiej niż komukolwiek przyda się Wasylowi, który ze skromnemi swemi potrzebami, zadowolni się osiemdziesięciu frankami na miesiąc; wystarczą mu na życie i na to jeszcze, by was prowadzić na operę i na koncerta.

Lena się zarumieniła, chociaż dawno była otrzaskaną z podobnymi żartami; Andrzej często ją drażnił tym wielbicielem, a ona łatwo się rumieniła, jako blondynka.

— Wasyl — odcięła się z uśmiechem — jest w każdym razie człowiekiem o twardych zasadach, nie taki sybaryta jak wy. Ale bądźcie zdrowi; niemam czasu kłócić się z wami.

Andrzej wziął lampę do ręki, by poświecić jej na schodach, i pozostał przy drzwiach przez chwilę; poczem powolnie powrócił do swego pokoju. Pozostawiona ćwiartka listu kusząco leżała na stole. Lena słusznie odgadła: prosząc ją o list, pragnął on nasycić się przyjaznemi zdaniem oddalonych towarzyszy, ale domysł jej osłabił

jego zadowolenie. Schował ćwiartkę do kieszeni, odkładając odczytanie do następnego dnia i zabierał się do spoczynku. Otworzył drzwi do alkowy, która przypomnieć mogła swymi rozmiarami, jeśli nie trumienkę, to spore pudło.

Położywszy się, odczuł, iż zanadto był wzburzony i rozdrażniony, by mózdz rychło usnąć.

Długie trzy lata przeszły od chwili, w której Andrzej Kożuchow zmuszony był pod naciskiem przyjaciół »przewietrzyć się«, a to po czynach i usiłowaniach pierwszej chłopskiej propagandy, w jaką był wmieszany. Tułał się w różnych stronach, daremnie szukając zajęcia dla swego niespokojnego umysłu. Już w końcu pierwszego roku tego dobrowolnego wygnania, opanowała go taka tęsknota za krajem rodzinnym, że najusilniej prosił towarzyszy skoncentrowanych w Petersburgu, żeby mu pozwolili powrócić i zasiąść w ich gronie. Odmówili mu stanowczo. Czasy były przejściowo spokojne; policya nie miała kim się zatrudniać; pamiętała jednak doskonale nazwisko Kożuchowa, więc jego zjawienie się obudziłoby jej czujność; on zaś sam, skrępowany w swoich krokach i czynach, byłby towarzyszom ciężarem, bo musieliby czuwać nad jego bezpieczeństwem i narażać się. Powinien to rozumieć i poddawać się, dopóki nie będą mogli i potrzebowali sami go wezwać. Niech więc siedzi spokojnie i stara się o znalezienie zajęcia w piśmiennictwie i we wzięciu udziału w ruchu zagranicznym.

Próbował Andrzej jednego i drugiego, ale skutek nie odpowiedział staraniom. Dopytywał się o pisanie artykułów do rosyjskich wydawnictw, drukowanych za granicą, ale natura jego nie odpowiadała literackim wymogom.

Żywił w sobie duszę płomienną i nieobojętną mu była poezya; nie umiał jednak wylać na papier tych

uczuć i blado tylko mógł opisać wzburzenia własnego umysłu i serca. Przydawały się artykuły, jakie od czasu do czasu drukował, ale nie były poszukiwane. Nie łatwym mu też przychodziło znalezienie stałego zajęcia, bo znał języki obce o tyle tylko, że mógł się z cudzoziemcami porozumieć. Rosyjskie troski, wspomnienia i nadzieje absorbowały całe jego jestestwo. Czuł się być przypadkowym gościem w Szwajcaryi i tęsknota za krajem rodzinnym coraz bardziej go opanowywała. Zbierał się z wysłaniem ponownej odezwy do swoich przyjaciół, gdy dostał żywą od nich wiadomość w osobie Heleny Zubow, która mu dopomagała w odszyfrowaniu ostatniej korespondencji.

Udało jej się zbiedz z Syberyi; w Petersburgu oddała się pod rozporządzenia organizacyi i kazano jej wyjechać na czas jakiś za granicę. Razem z licznymi popozdrowieniami, przywiozła ona Andrzejowi także upomnienie dalszego spokoju i rozsądku. Obecność ich teraz w Rosyi wcale nie była pożądaną, a dowodem tego, wyjazd Leny.

Pozostawało Andrzejowi tylko poddanie się. Czas nieco przygłuszył tęsknotę wygnania i zwolna przywykł do drobnych trosk i goryczy emigracyjnego życia, a zaczął oceniać swobodny przystęp do wszelkich skarbnic europejskiej myśli. Tak przebył trzy lata spokojnego życia, przerywanego jedynie gorączkowym oczekiwaniem wiadomości z Rosyi.

Oczekiwania nie były próżne. Po krótkiej przerwie, słabo tłący ruch rozgorzał ze zdwojoną siłą. Ucieszył się Andrzej nowym powodem powrotu i napisał do przyjaciół z energią i krasomówstwem, na jakie niestety nie zdobywał się do swoich artykułów, wysyłanych do gazet. Teraz nie było już żadnych powodów do zwłoki i po kilku tygodniach otrzymał on odpowiedź w liście Jerzego.

— Nareszcie! — powtarzał sobie, szybko przebiegając wzdłuż i wszerz swoją izdebkę i myśląc o szczygółach blizkiej podróży. Nie objawiał radości, lecz względny spokój z odcieniem melancholii. Aresztowanie Borysa? Tak, ale to nie wszystko. Dziwił się własnym spokojem i rozgoryczał się tem; sądząc po namiętnej tęsknocie za swoim krajem, zawczasie się przesycił zapalem, jakim go napełniło wezwanie przyjaciół.

Teraz, gdy nareszcie spełniło się jego oczekiwanie, tak mu się wszystko wydało prostą rzeczywistością, iż zapomniał o tysiącach wiorst do przebycia i o licznych niebezpieczeństwach, dzielących go jeszcze od celu. Znikły jednostronne wrażenia emigracyjnego życia, a myślami był w Petersburgu, w znajomem otoczeniu, tak jak gdyby był wczoraj się z niem rozstał. Zaczął chłodno rozbierać pamięcią ważne ustępy z listu Jerzego i gniewał się na przyjaciela za przypuszczenie łatwego przekonania go. Nie, daleko jeszcze do tego! W całej pełni uznawał poprzednie fakta terroryzmu, lecz nie godził się z ich wyjaśnieniem. Nie podobało mu się dążenie organizacyi do ześrodkowania całej władzy w rękach komitetu wykonawczego. Postanowił wytłomaczyć przedewszystkiem Jerzemu, jak niebezpiecznym jest taki system. To ożywiło jego myśli; rozgoryczał się stopniowo pod wpływem ułożonego przez siebie sporu, i coraz energiczniejsze stawiał kroki w swojej pokojowej przechadzce.

Nagle głośnie stukanie przerwało jego monolog i zwróciło myśl ku rozpoznaniu obecnej rzeczywistości. Zniecierpliwiony szalonym chodzeniem nad sobą, dawał lokator niższego piętra głośnie znaki swego niezadowolenia.

— Aha — rzekł sobie Andrzej — pan Kornizon się gniewa; spać mu się chce, a nie obchodzą go z pewnością losy Rosyi.

Celem usprawiedliwienia się, Andrzej stanął i nie zrobił ani kroku, jak długo trwało stukanie. Wiedział jednak, że nie zdoła spokojnie usiedzieć na miejscu, więc postanowił korzystać z prześlicznej wiosennej nocy i pójść na spacer. Zgasił lampę, zamknął drzwi za sobą i wedle zwyczaju, położył klucz w przedpokoju pod dywanikiem.

ROZDZIAŁ II.

W s a m o t n o ś c i .

Dobrze dom znając, zeszedł Andrzej po ciemnych schodach i wyszedł na świeże powietrze. Noc była jasna i cicha; księżyc świecił w pełni z niebieskiego sklepienia. Andrzej przeszedł wązką swoją uliczkę i podążył w lewo do małego skweru, ozdobionego olbrzymimi wiązami, o których niosło podanie, iż J. J. Rousseau lubił pod nimi siadywać. Nie pragnąc w tej chwili iść dalej, zatrzymał się Andrzej przez kilka minut na placu obok botanicznego ogrodu, którego złożone sztachety odznaczały się na ciemnym tle egzotycznych roślin. Lekki wiaterek powiewał chłodem. Chciwie pochłaniając ten zdrowy nocny aromat, czuł się jakby odrodzonym. Opanowały go wesołe myśli, cieszył się otaczającą go przyrodą, spokojem swego umysłu, swoją fizyczną siłą i zdrowiem, nadającym elastyczność wszystkim członkom. Zapragnął ruchu, chciał iść daleko, ale dokąd? Spiące miasto ze swoimi pięknymi pałacami i wesołymi hotelami, ciągnęło się wzdłuż rzeki na lewo od Andrzeja, który lubił jej prąd silny, z zielonemi lub czarnemi jak krucze skrzydło falami, szybko pędzącemi między kamienistymi brzegami. Stawał on tam nieraz w skwarne dnie słoneczne, obserwując czarowne igraszki światła, przebijających się na ruchliwej mozaice dna rzeki, przez ciemne pęki i szeregi wodnych roślin.

By się jednak tam dostać, należało przejść obok tych pałaców i tych przytułków prozaicznej łakomej płytkości, śpiącej teraz po zakończonej dobie. Byłoby mu to nieznośnem wśród tak pięknej nocy, więc zwrócił się w przeciwną stronę, ku jezioru. Ulubione to miejsce przechadzek mieszkańców Genewy, było teraz zupełnie puste. Żadne ludzkie kroki, żaden szmer nie naruszał poważnej ciszy. Jezioro było spokojne, a równy rytmiczny plusk fal, usypiał Andrzeja, nie rozpędzając wcale jasnych urojeń, cisnących się do wzburzonego jego mózgu.

Odsłaniała się nowa karta jego życia. Za dni kilka będzie on tysiące wiorst od tych miejsc, będzie w kraju rodzinnym, w zupełnie innym świecie, na całkiem odmiennej scenie. Ileż to zmian od czasu, jak on Petersburg opuścił! Zaledwie pół tuzina jego dawnych towarzyszy pozostało w organizacyi. Dwóch z nich tylko znajdowało się teraz w stolicy. Wszyscy inni byli nowymi ludźmi, zwerbowanymi podczas jego nieobecności. Pójdzie on zgodnie z nimi i czy wogóle zdolni będą pracować bez częstych starć między sobą? Nietrudno! On silnie wierzył w swoją zdolność praktycznego stosowania się do okoliczności. Dawniej lubił szczególnie znajdować się w całkiem nieznanym miejscowościach, gdzie wszystko bywało nowem dla niego. Odczuwał on odrodzenie dawnej męki w walce niebezpiecznej i odwagi z zachowaniem zimnej krwi, właściwych takim, których porażka czyni bardziej wytrzymałymi i niezłomnymi. Pogardliwy uśmiech wywołało mu na usta wspomnienie o chełpliwości policyi, opisanej w liście Jerzego. Głupcy! myślą, że się wszystko już ma ku końcowi, gdy tymczasem rozpoczyna się dopiero istotne dzieło! Znał z reputacyi wybitniejszych nowych członków; spotykał się z niektórymi jeszcze podczas tajnych studenckich zebrań; od tego czasu wyrobili się niezawodnie na tęgich ludzi. Za szczęście sobie poczytywał, że go los

z nimi połączy. Męczył się Andrzej myślą, że dłuższy pobyt za granicą może zerwać silne węzły, wiążące go z wieloma bliższymi w kraju rodzinnym. Czuł więc teraz, że te bratnie więzy są tak mocne jak dawniej. Głęboka sympatya, przebijająca z pisma towarzyszków, znalazła głośne echo w jego sercu. Nie należało przewidywać starć albo nieporozumień z ludźmi, którzy się tak troszczą o człowieka zupełnie dla większości z nich obcego, podczas gdy sami są w ogniu!

Ani przez chwilę nie sądził, by zasługiwał na taką troskę. Chociaż był zaledwie dojrzałym, to jednak wczesne rozpoczęcie życia pełnego intensywnej wrażeń, czyniło go doświadczeńszym i starszym o jakich lat dziesięć.

W dwudziestym siódmym roku życia był on gruntownie stanowczym człowiekiem, oddawna pozbawionym wszelkich iluzyj. Troskliwość okazana przez towarzyszy, nie obudziła w nim próżności. Oni w swojej prostoduszności, nie oceniali sami tego, czem go obdarzali. On przyjął dar jako dobrą wróżbę z wdzięcznością i z czystą jasną radością. Oto skała, na której budowali i spodziewali się swojej świątyni, a wrota piekielne jej nie przemogą!

Zwolnił był kroku i późno się spostrzegł, jak daleko był wyszedł za miasto. Księżyc zaświecił mu prosto w oczy; droga prowadziła na prawo, stopniowo wznosząc się w górę. Zauważył wązkie przejście między dwoma ścianami winnej plantacyi. Zapewne nie doprowadzało ono nigdzie, bo kamienie wyścielające je, porośłe były trawą. Andrzej wszedł w to przejście i zdążył pod górę, która im dalej, stawała się mniej stromą, a w końcu dach jakiejś budowli, rzucił cień na drogę. Spojrzał w górę; a nierówna linia dachówek przecięła mu widok błękitu nieba. Ściany starego budynku upstrzone były krzyżowemi szparami; widocznie stał on przed małą oborą. Krowa zajęta żuciem, zaryczała, posłyszawszy kroki,

a uspokoiła się, gdy on odszedł dalej, i powróciła do swego zajęcia. Cokolwiek dalej ciągnął się ogród winny ze swojemi grubemi latoroślami, a za nim ze sto kroków wiała się szeroka ścieżka między dwoma ścianami, mogącemi stanowić prosty wodociąg. Wązkie kamienne schody, prowadzące na pagórek, zarysowały się w cieniu swoim zygzakiem. Dostawszy się po nich na wzgórze, wszedł Andrzej na obszerną odkrytą przestrzeń, zarosniętą leszczyną. Ścieżka, łącząca się zapewne z inną drożyną poniżej, odznaczała się jak struga wody na oświeconej księżycem szmaragdowej łące.

Poszedł nią Andrzej, pociągany łożynowym gajkiem na szczycie pagórka. Ale drożyna znikła w miękkiej trawie. Rozpatrzywszy się dokładnie, ujął w niewielkiej odległości inną drogę, skierowaną na prawo ku niedużemu pagórkowi. Wszedłszy nań, został mocno zdziwionym, znalazłszy się obok zwykłej ogrodowej ławki z ładnymi poręczami; niemile pomyślał sobie o przebywaniu człowieka w tym pięknym pustym zakątku. Ławka nie była zdaleka spostrzegalną; długie smugi płaczącej łożyny, pod którą stała, otaczały ją ze wszystkich stron swoim cieniem.

Andrzej odgarnął wiotkie gałązki, przeszedł pod wabiące zielone sklepienie i usiadł; podniósł głowę, a rzuciwszy okiem przed siebie, zerwał się z okrzykiem podziwienia i zachwytu: Przed nim rozścielało się ogromne jezioro; z tego jednak miejsca i w tej chwili przedstawiało ono tak fantastyczny widok, że nie mógł go rozpoznać. Stał na terrasie o parę kroków od brzegu urwistego; zacierającego przestrzeń, dzielącą go od wody. Białe, szeroko rozpostarte jezioro, miał prawie pod nogami i zdawało się, że czarowna siła podnosiła grunt pod jego stopami i trzymała go w powietrzu nad olbrzymią przestrzenią błyszczącej wody. Całe morze roztopionego srebra rozciągało się na prawo i lewo, jak

okiem sięgnął i cała przestrzeń pełną była jaskrawego światła odradzanego gładkiem lustrem powierzchni. Andrzej podszedł bliżej brzegu terrasy, żeby się lepiej wokoło rozglądnać, aż naraz utracić musiał całe złudzenie: Dachy domów i wierzchołki drzew, wystąpiły w ciemności pod jego stopy, posępnie zacinając blaski wody. Daleki brzeg, z maleńkimi ławkami obok symetrycznie strzyżonych krzewów, białe przystanie wznające się w jezioro, jakby łapy morskiego potwora, most i miasto gazem oświecone, a po za tem nocne ognie w dali na górach; wszystko to przedstawiało pyszną panoramę, ale się nie zbliżało do pierwszego czarującego widoku. Andrzej był nader czułym na piękności przyrody, a dziś po raz ostatni niemi się cieszył i żegnał, udając się do spełnienia obowiązków. Przepiętny był uczuciem głębokiego spokoju, jakiego dawno już nie doznał, a wzniosła cisza chwili i miejsca głośno odzywała się w jego sercu; zdawało mu się, iż nigdy dotąd nie doznawał jeszcze takiej rozkoszy. A tymczasem myśli nie przestały wlec się w jego głowie, niezależnie od rozwagi, nie harmonizując z tem, co go otaczało.

Myśli lubują się jakoś szczególnie cierpieniem, jeśli ono nie sprawia doraźnie bólu, a pochodzą od wspomnienia minionych.

Andrzej myślał o swoim emigracyjnym życiu, a wspomnienia dziwnie mu uprzytomniały tylko złe jego strony. Nie dzielił z towarzyszami i przyjaciółmi gorzkiej czary przypadłej im w udziale, a tymczasem czuł on teraz, że jednak jemu dostały się same gorzkie jej krople. Zdała od czynnego życia, zmuszony był patrzeć... na co? Nie na walki przyjaciół, ale na zagładę najlepszych z ich grona. Pierwsza iskra ruchu rewolucyjnego, zgaszoną została gromadnemi stratami. Głęboki upadek ducha ogarnął te warstwy społeczeństwa, z których rekrutował się główny kontygent rewolucjonistów.

Rozproszone resztki armii, zdolnej do czynu, wierne swemu hasłu, walczyły do końca. Nieliczni tylko opuszczali rodziny, by uchodzić za granicę; pozostali, dziesiątkami i setkami, mężczyźni i kobiety, lepsi od niego, ginęli na stanowiskach.

Dlaczegoż on pozostawał między żyjącymi? Ileż to razy, tracąc siły z cierpienia, zadawał on sobie to pytanie!

Okrutne zjawisko powstało w jego myślach. Noc. Ponuro oświetlona izba w jednym z więzień południowej Rosyi. Mieszkaniec tejże, młody student, leży na słomie. Ręce jego i nogi ciasno związane postronkami, a na głowie i ciele znać ślady ciężkich ciosów. Za nieuległość, tylko co obity został przez dozorcę. Pod palącym cierpieniem zwierzęcego postępowania, zamyśla spełnić jedyną możliwą zemstę, to jest samobójstwo. Ogień będzie jego narzędziem. Wśród głuchoj nocy, podnosi się on z wysiłkiem, chwytając zębami gorące szkło lampki, parzy się, lecz dalej zębami otwiera flaszkę ze spirytusem i oblewa nim swój siennik; potem przewraca nań palącą się lampę i kładzie się ponownie. Płomienie liżą jego bieliznę i ciało, lecz on leży spokojnie. Nadbiega straż zbudzona dymem; wpadają do więzienia, lecz nie mogą już uratować leżącego jakby we śnie, umierającego.

Nie było to wcale przywidzenie; to fakt rzeczywisty. Wspomnienie o niem prześladowało Andrzeja przez długie miesiące, a i teraz stanęło mu świeżo i jasno w pamięci.

A podczas tego, gdy tam zachodziły takie okrucieństwa, cóż on porabiał? Pozostawał w spokoju, czytał mądre książki, napawał się pięknosciami przyrody i podziwiał utwory sztuki. I własne sumienie, srogi nie-miłosierny inkwizytor, szeptało mu uporczywie do ucha: »czy istotnie tylko wola przyjaciół trzyma cię tutaj? Czy ci się chce naprawdę leżeć w sidła i zamieniać genewski

pokoik na kazamatę?« Cóż, prócz słów pustych, mogio być odpowiedzią na te dręczące pytania? Nie zawsze udawało mu się uspokoić niemi swego straszego sędziego: znał bowiem wyrzuty sumienia i mękę własnego oskarżania się. Bywały chwile, w których cały jego zapal wydawał mu się tylko młodzieńczym porywem i upodobaniem w silnych wrażeniach, gdy poczytywał życie swoje jako zmarnowane, a siebie samego glinianą bryłą, chcącą być marmurową płytą w świątyni, karłem w pancerzu olbrzyma. Czuł się w owych chwilach rozbitym, zniweczonym, głęboko nieszczęśliwym.

Ostatecznie, Andrzej utracił władzę nad swemi myślami. Przyzywał te wspomnienia, jak Faust podwładne mu duchy, dla przepędzenia czasu, jakby w swoim rodzaju intelektualną zabawę. Ale one górowały nad nim i trzymały teraz w strasznych kleszczach, pokonywując go bezustannie. W spuszczonej jego głowie nie było ani śladu zadowolenia, ani też w nerwowym ruchu ręki, którą tarł czoło, jakby odpędzał gromadzące się wspomnienia.

Ale teraz pograży się wszystko w nicości i zapomnienie zniknie, jak nocne widziadła przed blaskiem poranku. W obecnej uroczystej chwili, w wilię przechodu przez próg fatalny, jakiego zaiste raz drugi nie przestąpi, mógł on w całej pełni ocenić swoje siły. Odczuwał, że lata bezczynności nie pozostawiły śladów w jego duszy; pozostawała bezwładną, ale jak miecz w pochwie. Teraz miecz wyjęty i Andrzej bada go ostro pytającym wzrokiem: Niema na nim rdzy; jest czysty, ostry i jak zawsze, gotów do boju.

Dotąd poskramiany, wzrok Andrzeja zabłysł płomieniem czynu. Powstał z ławki; nie mógł usiedzieć; już go tu nic nie zatrzymywało; piękności przyrody utraciły dla niego pociągającą siłę. Machinalnie poszedł powrotnie tą samą drogą, przy siwym świetle budzącego się poranku. Oczy szeroko otwierał; wpatrywał się

w mrok, nic nie widział i nic nie czuł. Opanowany wzruszeniem, nie rozeznał rzeczywistości.

Takie uczucie nie było mu całkiem nowem. On już doznawał go, lecz nigdy z taką pochłaniającą siłą. Doświadczał zachwytu, lecz jednocześnie niepojęte zmartwienie, jakby dusza pełną była łkania, a serce łzami zachodziło; ale łkanie to było melodyą, a łzy radością. Poruszony tą burzą, jak krzyk orła bujającego w wiecznie spokojnych wyżynach po nad sferą obłoków i chmur, rozbudzał w swej duszy zwycięskie upajające rozpoznanie tytanicznej siły człowieka, którego nic nie może zatrzymać na podjętej drodze; ani trudy, ani niebezpieczeństwa, ani nic w świecie! Wiedział teraz, że będzie dobrym bojownikiem w legione walczących dla dobra ojczyzny, albowiem ta siła daje władzę, czyni jego porwy zaraźliwymi; ona, prostem drganiem ducha, wlewa w słowa taką moc, jaka zdolna jest poruszyć i przerobić duszę człowieka.

Gaik, który miał przed sobą, dawno pozostał za nim, i długo już szedł pod gołem niebem; nigdy poprzednio nie był w tych miejscach. Żytnie pole zwróciło na siebie jego uwagę; niewielkie, o kilkunastu sążniach kwadratowych, wyglądało wśród dużych zielonych pastwisk, jak damska chusteczka, rzucona na dywan w bawialni. Oko cudzoziemca, przyzwyczajone widzieć w Szwajcaryi tylko góry i winnice, niewolniczo przykuwane było do nieoczekiwanego widoku tej polanki.

Andrzej łatwo poznał, że ta droga nie zaprowadzi go do domu, lecz też i nie chciało mu się jeszcze tam wracać. Potrzebował się otrzeźwić, zanim ludzi napotka, więc zmierzył kroki ku małemu laskowi nad brzegiem Arwy, skąd widoczną była południowa część miasta. Szedł szybko, pragnąc się zmęczyć; młode jednak i silne jego muszkuły, jędrne i sprężyste, mogły wytrzymać jakieniebądź utrudzenie. Nocy tej ponadto, rozbudzenie

ducha zdwoiło i zahartowało przeciw znużeniom fizyczne jego siły. Nocna natomiast przechadzka odświeżyła mu umysł; przyszedł do spokoju wewnętrznego, jak rzeka powraca do poziomu swego koryta po powodzi.

Księżyc zaszedł tymczasem. Brakowało jeszcze ze dwie godzin do wschodu słońca, lecz czuć było we wszystkim bliskość poranku. Powietrze stawało się żywsze, pomrok nocy się rozpraszał i z gór powiewał świeży wietrzyk. Na zachodniej części horyzontu zbierały się gromadnie ciężkie ołowiane obłoki i stawały, jak robotnik czekający na dzienną robotę. Gwiazdy gasły na zamglonem niebie. Znikająca na jednym końcu droga mleczna, wyglądała jak złamany łuk olbrzymiego mostu. Cały wschód pokrył się delikatnym przezroczym kolorem, przebijającym się w cieniu blado-żółte, zielonawe i perłowo-białe. Gwiazdy nieśmiało ustępowały miejsca nowemu jaskrawemu zjawisku. Jedna tylko pozostawała na swoim miejscu, w swojej piękności, błyszcząc jeszcze na czerwonym tle nieba. To była Wenera, gwiazda poetów. Ale w owym czasie nie była ona jego gwiazdą, ani gwiazdą jego Rosyi, leżącej tam w kierunku wschodzącego słońca, Rosyi, gotującej się do wyjścia z wiekowej nocy, w jasny radosny poranek.

Andrzej zwrócił się ku domowi. Dawno już powinien był zakończyć przechadzkę i nie tracić już czasu, po dostatecznym ożywieniu się. Wcześniej rano miał wstać, bo Lena przyjdzie zaraz po lekcji i sam miał dużo jeszcze zatrudnień, w przygotowaniu się do blizkiej podróży.

Nasunął czapkę na głowę i zaczął schodzić z pagórka wężowatą drogą pomiędzy krzakami, pokrywającymi spadek góry. Wyszedł z nich wkrótce i spostrzegł przed sobą całkiem nagą pochyłość z gładką gliniastą drogą. Jakby to dobrze było spuścić się na dół i jak kamień potoczyć się do samego dołu! Dyabeł-kusiciel szeptał mu próbę i doprowadził go do brzegu drogi,

gotowego do pierwszego kroku. Ale szybka myśl roz-wagi powstrzymała go. A gdyby nogę złamał? A cóż z oczekującą go podróżą? Nie wolno mu się teraz narażać. Cofnął się i ostrożnie doszedł do pierwszych zabudowań.

Minął przedmieście i zatrzymał się na obszernym placu, miejscu ćwiczeń rekrutów i zabaw ludowych. Tu i ówdzie słychać już było głosy rozbudzonych. Środkiem placu szedł koń w chomonicie bez wózka i bez pana, jak to często bywa w Szwajcaryi. Bydlę poruszało się z tak zabawnie sumienną pewnością siebie, że Andrzej doń się zbliżył, poklepał po szyi i zapytał, którędy najprędzej dojdzie do domu.

Szkapą obojętnie poszła dalej, ani na krok nie zbaczając, z pozorem swobodnego obywatela, kroczącego do spraw swoich. »Tak, pomyślał sobie Andrzej, przecie francuski koń nie może rozumieć po rosyjsku; powin-nem był przemawiać w jego języku«.

Czuł się tak rześkim i wesołym, jak po chłodnej kąpieli i zbierało mu się na żarty.

W pół godziny doszedł do mety, to jest: do swoich schodów. Zdziwiło go i zastanowiło światło przedzie-rające się przez szczeliny drzwi od jego pokoju. Pamię-tał, że lampę zgasił i pokój na klucz zamknął. W chwili wejścia, rozwiązał zagadkę, bo ujrzał śpiącego człowieka na swoim łożu i tłącą przy nim lampę, z pomocą któ-rej rozpoznał gościa. Rozpoznał go najprzód po osobli-wszych w swoim rodzaju spodniach i po starym paltocie; potem dopiero spostrzegł dobrotliwą, ogorzałą twarz Wasyla Wierzbickiego i gęste ciemne jego włosy.

Wasył odebrał późnym wieczorem kartkę Leny, podążył natychmiast na wezwanie, a nie zastawszy An-drzeja, położył się i usnął nad książką, której jeszcze z rąk nie wypuścił.

Nie chcąc budzić przyjaciela, Andrzej rozglądał się za miejscem dla własnego spoczynku. Pozostawało mu tylko

małe polowe łóżko. Rozścielił na niem starą gazetę, palto i nieodłączny od studenta pled zamiast kołdry. Ale skąd wziąć poduszkę? Wasyl leżał na dwóch niewielkich wałkach, w jakie gospodyni zaopatrzyła mieszkanko zamiast poduszek. Bez ceremonii, wysunął Andrzej jeden z nich dla siebie. Przeszkadzony we śnie, Wasyl zamruczał niewyraźnem zdaniem, ale nie otworzył oczu i głowy nie oderwał od pozostawionej mu poduszki, czyli słomianego wałka.

Andrzej się rozebrał i położył zegarek koło siebie, żeby rano nie zasnąć, a ledwie głowę złożył na poduszce, natychmiast zasnął snem sprawiedliwego.



ROZDZIAŁ III.

N a g r a n i c y .

W Iszkach, wsi położonej na litewskiej granicy, szynkarzem i naczelnym kontrabandzistą, był Samuel Zinzer, »Rudym Szmulem« przewany, a słynął ze zwinności w swoich usługach. Bystry wzrok jego nigdy nie pominął wchodzącego na napitek, a doświadczona ręka nie nalała do szklanki ani kropli więcej, jak należało, żeby szklanka była pełną, a przecie, by taką nie była. Ale w tej chwili daleko był myślami; oczekiwał bowiem nadejścia kuryerskiego pociągu z Petersburga, przebywającego właśnie ostatnie mile od granicy.

Rankiem dnia tego otrzymał był depeszę od Dawida Sterna, żyda-studenta, który przyłączył się do »gojów« (chrześcijan), buntujących się przeciw władzy i dla nich żądał teraz »trzymania granicy«. Zawczasu umówionemi słowami donosił Dawid, że przyjeżdża wieczornym pociągiem razem z trzema towarzyszami, których trzeba będzie przeprowadzić przez rosyjskie granice.

Troje ludzi, po dziesięć rubli od głowy, to nie głupi zarobek, ale Rudy Szmul zamyślał dostać więcej za swoje trudy. Był to czas poboru rekruta, i wyjątkowe środki ostrożności zaprowadzono na granicy, żeby przeszkodzić młodemu synom Izraela w ucieczkach przed służbą wojskową. Uczciwy kontrabandzista miał prawo

liczyć na dodatek w podobnych czasach. Ale należało być ostrożnym z takim sknerą, jakim był Dawid. Dobry to człowiek, bardzo rozumny, z prawdziwą żydowską głową, mógł być zaszczytem swojej narodowości. On niewątpliwie był generałem lub czemś podobnym pomiędzy »gojami«. Dojdzie on wysoko i uczciwy kontrabandzista może na nim polegać. Umie trzymać język za zębami, a nigdy nie oszuka; targuje się natomiast o grosz każdy, jak cygan na jarmarku.

Rudy Szmul miał dość sposobności poznania swego klienta. Co kilka miesięcy młody człowiek zjawiał się z partią »gojów«, którym trzeba było uciekać z Rosji lub tu powracać. Oprócz tego wypadało mu importować zakazane książki i pisma, co dawało doskonałe zatrudnienie, bo książki lepiej opłacano niż tytoń albo jedwabie. Dawid miał liczne stosunki z pogranicznymi ludźmi, ale Rudy Szmul cieszył się największem jego zaufaniem.

Co to wszystko znaczyło, kto byli ci niezwykli przyjaciele Dawida, czego się dobijali, tego Rudy Szmul nie umiał rozstrzygnąć. Podniecony żydowską ciekawością, próbował przeczytać kilka z tych broszur, które przechodziły przez jego ręce; niewiele jednak rozumiejąc, zaniechał tych badań. Skoro taki rozumny człowiek jak Dawid, bierze w tem udział, to już sprawa musi być korzystną; bo inaczej, jakżeby mógł tak dobrze i punktualnie płacić? Gdy zabroniony był przewóz takich książek, musiała to być kontrabanda w wyższym gatunku, panom potrzebna; dlaczego zaś w rzeczywistości, tego Szmul nie rozumiał. Nie pragnął też się pouczać, byleby mu płacono. Dosyć miał swoich spraw i zatrudnień.

Świst lokomotywy zwiastował nadejście pociągu z Petersburga.

»Otóż i oni«, pomyślał Szmul, podając z podchlebnyim uśmiechem kieliszek koniaku policyjnemu urzędnikowi.

Szynk Szmula znajdował się w pewnem oddaleniu od dworca kolei. Większość podróżnych zachodziła na zagrzanie się i przekąskę do bliższych i porządniejszych zakładów, ale ten i ów wpadał też do niego. Gotów był do przyjęcia gości. Wytarł dwa dębowe stoły, stojące po dwóch stronach izby, oglądął przygotowaną baterię butelek, napełnił kilka kieliszków stojących na półce i sam usadowił się za ladą szynkową.

Ludzie zaczęli się schodzić. Kilku dzierżawców z wsi okolicznych głośno rozprawiało o nowinkach, zasłyszanych na jarmarku. Dwaj żandarmi, świeżo z warty zlu-zowani, weszli do izby, by wypić po kieliszku wódki i zasiedli na pierwszych miejscach. Kilku porządnym gości było już wyszło, a Dawid się jeszcze nie pokazał, pomimo iż mijała już godzina od nadejścia pociągu. Szmul niewiele wiedział o niebezpieczeństwach grożą-cych rewolucjonistom, więc się też nie trwożył. Sądził, że zatrzymano gdzieś Dawida i że przyjedzie niewątpli-wie nazajutrz, w piątek przed zaczęciem szabasu. Ponie-waż zaś wcześniej na dziś kończył zajęcia, więc przed-siębiorczy szynkarz zaczął już myśleć o tem, jakby wyzy-skać nieakuratność Dawida; ale obejrzawszy się w prawo, spostrzegł go wchodzącego.

Dawid usiadł spokojnie za stołem obok żandarmów, nie zwracających na niego żadnej uwagi; nie mógł bo-wiem wydać się podejrzanym młody, biedno odziany ży-dek, bezmyślnie się rozglądający, jako skromny konsu-ment, zadowolniony z wygodnej, cieplej izby.

Był to człowiek krępy, niskiego wzrostu, mogący mieć wieku lat dwadzieścia pięć, z miłym wyrazem twa-rzy typu izraelskiego i dużemi, czarnemi, tęskno a uprze-jmie patrzącemi oczami.

Szmul podał mu szklankę piwa gdy przyszła nań kolej, nie zwracając baczniejszej uwagi na tego gościa. Tenże zapłacił i wypiwszy, nie spiesząc się, wyszedł tak

spokojnie, jak wszedł. Znalazłszy się na ulicy, Dawid okrążył dom i boczną sienią wszedł do kuchni. Przy mrocznem świetle łojowej świeczki nie spostrzegł się, jak spłoszył młodą, białą kozę, która płacząc mu się między nogami, wywoływała tumany kurzu z podłogi, tak jak przelatująca z żerdzi zbudzona kura, ze ścian i sufitu.

Prędko przeszedł młody człowiek przez kuchnię, w której pojawienie się jego spowodowało takie zamieszanie i dotarł do ciemnego korytarza. Tam zapalił woskową świecę i po drewnianej drabinie dostał się do maleńkiej, brudnej izdebki, w której zwykł był Rudy Szmul załatwiać najważniejsze swoje i cudze sprawy.

Gospodarz już go tam oczekiwał, gdyż posadziwszy żonę na swoje miejsce w szynku, wyszedł zaraz za swoim gościem.

— Jak się macie panie Szmulu? — zapytał Dawid żydowskim żargonem. — Nie oczekiwałeś mnie tak rychło?

— Ja się was panie Dawid nie spodziewałem dzisiaj, a sądziłem, że przyjedziecie jutro.

— Miałem i mam dużo rozmaitych zajęć — rzekł młody człowiek, siadając na krześle, pokrytem materyą o nieokreślonych kolorach.

Chudy, wysoki Szmul przytulił się do stołu o trzech nogach.

— Wasi towarzysze są z wami? — zapytał.

— Tak.

— Wszyscy troje?

— Wszyscy; dama i dwóch mężczyzn; zostawiłem ich u Tomasza. Jutro rano musimy być po drugiej stronie. Mam nadzieję, że wszystko gotowe.

— Tak jest, gotowe; mogą przejść już o ósmej rano. Tylko... — Szmul umilkł i skrobiąc się po nosie, rzucał pytające spojrzenia na Dawida.

— Tylko co?... — zapytał tenże.

— Ciężkie nastały czasy, to i żołnierze są chciwi. Bardzo i bardzo ciężko przyszło mi ich namówić — mówił Szmul, patrząc w sufit — więc musiałem ich lepiej przepłacać...

— Szmulu — odezwał się Dawid szorstko — jeżeli to prawda, toście daremnie to zrobili.

— Dlaczego? Czyż nie miałem wam dogodzić?

— Niewątpliwie; lecz trzymać się należy cen ustanowionych; jest to podstawą interesów. Im więcej dawać, tym więcej żądają. Pamiętaj o tem przyjacielu i nie odstępuj od postanowień.

— Dobrze wam mówić panie Dawid! — opryskliwie odparł przemysłnik, odgrywając rolę uciśnionej niewinności. — Jakżeż ja jednak nie miałem ustąpić? oni dysponują, nie ja.

— Rozumny człowiek — spokojnie odpowiedział Dawid — powinien umieć ich ubiedz. Gdybyście, czego nie przypuszczam, zażądali odemnie dodatku do umówionych warunków, musiałbym odpowiedzieć, że jak ryba poszukuje głębin, tak kupiec taniości. W czynach trzeba przestrzegać korzyści. Pas graniczny jest długi, a żołnierzy wielu.

Dawid dobrodusznie się uśmiechnął i zaczął nakładać tytoniem krótką fajeczkę.

Domyślił się odrazu, do czego Szmul zmierza i postanowił nie ustępować. Oszczędności w wydawaniu rewolucyjnych funduszków poczytywał za święty obowiązek członka partii. Zwykł był jednak obchodzić się z każdym najłagodniej, o ile to tylko było możliwem.

— A jak się ma wasza rodzina? Zapomniałem dołączyć zapytać o to. Mam nadzieję, że wszyscy zdrowi?

— Zdrowi są; dziękuję wam — odrzekł Szmul posępnie, myśląc o dalszym ataku na Dawida; nie miał zamiaru zaniedbywać sposobności i nie wyzyskać jej korzystnie dla siebie.

— We wsi nic nowego? — pytał Dawid dalej, pociągając niedbale dym z fajeczki.

— Owszem — odpowiedział kwaśno kontrabandzista i zaczął opowiadać o nowych surowych rozporządzeniach, zaprowadzonych na granicy.

— Czy wiecie, że Icko powrócił? — zapytał Dawid.

Szumul się wzdrygnął. Icko, czyli Izaak Perglanz, był to nadzwyczaj zręczny kontrabandzista, używający doskonałej reputacji. Dawid miał z nim nieraz do czynienia i Szmul mógł się obawiać, że zostanie wyrugowanym. Pytając więc spoglądał na Dawida, który rzekł:

— Tomasz mi to mówi; więcej nic nie wiem.

»Wszystko przepadło«, pomyślał Szmul. »On się na tem rozumie i podejść go trudno«. Zapytał spokojnie:

— Czy dużo mają pakunków wasi towarzysze?

— Kilka węzełków; wasz malec je łatwo przeniesie.

— Poślę go więc zaraz rano do Tomasza. A pieniądze tutaj?

— Tak; pamiętajcie także, iż nie wolno wam nic żądać od nich, prócz kartek, świadczących o pomyślej przeprawie.

Szumul smutno głową kiwnął; miał on stale za złe młodemu człowiekowi srogość w jego postępowaniu.

Obrażony kontrabandzista odgarnął w tył głowy zwieszające mu się wzdłuż uszów pejsy i troskliwie zaczął się wypytywać o pogodę w Petersburgu, by w inną stronę skierować myśli.

Głupie jego położenie zmieniło się przyjemnie, gdy Dawid zapytał, czy on będzie w domu za miesiąc.

— Ja udaję się za granicę i przyjdzie mi dużo rzeczy tędy przeprować.

Szumul cmoknął ustami; odbierał nagrodę za doznaną porażkę, ale nie stawiał pytań. Dawid ich nie znosił i każdemu wypowiadał tylko to, co uznał za konieczne.

— Mam nadzieję — rzekł Szmul — że o mnie nie zapomniecie.

— Nie; tylko bądźcie na miejscu, gdy was zawczasu wezwę do przyjazdu.

Rozeszli się przyjaźnie i Szmul znów w myślach swoich rozważał nad działalnością Dawida i przykrością z rozbicia swoich planów.

»Zdolny młodzian; niema co mówić! Jeden praojciec Jakób zdołałby go podejść«, mruzczał sobie pod nosem, zamykając okiennice. »Należałoby mu jednak być miększym dla swego współplemiennika, obarczonego dziećmi, i dać mu lepiej zarabiać«.

Ze smutkiem przypominał sobie złote czasy z przed laty sześciu i siedmiu, gdy za przeprawę przez granicę zarabiano po dwadzieścia pięć i pięćdziesiąt rubli od głowy, a bywali »gamonie«, którzy i po sto rubli bez żadnego targu płacili. Prawda, że od owego czasu jak Dawid zaczął działać, o wiele więcej »gojów« przyjeżdża do Rosyi i ucieka; to mogło pocieszać. Szmul jednak myślał, jakby to było dobrze, gdyby ruch ten pozostawał tak ożywionym jak obecnie, a dawna taksa powróciła. Oczom jego przedstawił się tak błyszczący rząd cyfr, że serce odrazu zabiło mu z radości, ale potem zabolowało ze smutku.

Dawid tymczasem przeszedł do domu Tomasza, w którym towarzysze jego mieli noc spędzić. Gospodarz sam drzwi mu otworzył i powiadomił o swych gościach, oraz o należytem spełnieniu zarządzeń. Spożyli wieczerzę i udali się na spoczynek; mężczyźni w przedniej izbie, a córka Tomasza, Maryna, zabrała kobietę ze sobą na górę. Dawid mu podziękował i udał się do towarzyszy. On wolał zawsze w podobnych wypadkach obierać *locum* u Tomasza, pomimo iż ono nie zawierało nic prócz tapczanów do snu, bo tenże był miejscowym setnikiem i dom jego był całkiem bezpiecznym.

Znalazłszy się w izbie, Dawid opatrzył ją w koło najtroskliwiej, ze zrećznością policyjnego urzędnika. Okiennice były zamknięte, żeby przechodzący koło okien nie mogli przez nie zaglądać. Wszystkie rzeczy podróżne, tak jak i własna jego płócienna torba, ułożone były w kącie, a zmęczeni drogą towarzysze spali na tapczanach, wzdłuż ścian ustawionych. Każdy miał słomianą poduszkę i improwizowaną kołdrę. Dawida oczekiwało takie same poślanie, ale on pomimo znużenia odczuwał głód i zabrał się do podobieństwa kolacy: chleb zastał na stole, a z torby wydobył kawałek sera, i jak żołnierz w pochodzie, zadowolnił się takim posiłkiem.

Zerwał się pierwszy o porannym blasku słońca i otworzył okiennice, by rozbudzić towarzyszy.

Najstarszy z nich, Ostrogorski, był człowiekiem lat średnich, mały, nieco zgarbiony, wyglądał jak zwiędły bolejący mędrzec. Wysłany przed wielu laty za małe przestępstwo do odległej mieściny, uciekał teraz z wygnania, by zamieszkać za granicą.

Zacepin, młodzieniec dwudziestotrzechletni, służył jako porucznik w piechocie, a mocno skompromitowany, wysłany został przez organizację na »przewietrzenie się«.

— Spieszcie się panicze — upominał Dawid. — Wszakże czeka was dziś wielkie dzieło i czasu tracić nie możecie; ja pójdę postarać się o śniadanie.

Wyszedłszy, spotkał trzeciego towarzysza w osobie Anny Wulicz, dziesiętnastoletniej panienci, współczynnej w zająciach i nieporządkach uniwersyteckich, którą podjął się Dawid przeprowadzić za granicę, chętnie każdemu służąc w tem swoją pomocą.

Anna zajęła się samowarem, a Dawid uzupełnieniem śniadania, które wypadło o tyle obfitem, ile na to sklep Tomasza zezwolił. Do tego Dawid zawsze starań dokładał. Obojętny na osobisty swój komfort, do śmieszności

nieraz posuwał zapobiegliwość dla powierzonych mu osób, a to nietylko co do ich bezpieczeństwa, ale także co do pożywienia, możliwych wygód i zadowolenia we wszystkim.

A gorące promienie słońca świeciły już przez małeńkie szyby izby i ogrzewały podróżnych.

Herbatę miał zawsze Dawid przy sobie, nie chcąc złej drogo opłacać po małych sklepikach; sam ją zaparzył i śniadanie przeszło wesoło. Byli ożywieni i ciekawi nowości, nie obawiając się przeprawy przez granicę, bo nie widzieli w tem niebezpieczeństwa. Setki ludzi już przeszło, chroniąc się przed karami.

— A jednak wielu zaaresztowano — odezwała się Anna Wulicz, która mało się dotąd w życiu narażała.

— Aresztowano — odparł Dawid gniewnie. — Ale z czyjej winy, jeżeli nie z ich własnej? Można się utopić i w wiadrze wody, zanurzywszy w nie głowę.

Dawid, jak każdy sangwinik, często przesadzał. On i teraz chciał dowodzić, że granica jest stosownem miejscem dla chcących spacerować tam i z powrotem. Seryo gniewał się na psujących reputację granicy i siejących głupie wieści o jej niebezpieczeństwach.

Ostrogorski przerwał tę rozmowę uwagą, że kontrabandzista się spaźnia; dziesiąta już wybiła, a on nie nadchodził. Dawid zeszedł do szynku, lecz Szmula nie zastał. Musiało zajść coś nieprzewidzianego. Drażliwy z natury Ostrogorski, zaczął się gniewać.

— Czy nam przyjdzie drugi raz nocować tutaj? — Zapytał z gorzkim uśmiechem.

Dawid spokojnie objaśnił, że tego obawiać się nie należy, bo jeśli Szmul nie przyjdzie, to on inaczej zarządzi.

Zacepin nie mruzczał i pytań żadnych nie stawiał. On wierzył Dawidowi, jak żołnierz pułkownikowi, i czekał cierpliwie.

Wchodzącego Szmula powitał Dawid całym potokiem zaklęć, a ten się tłumaczył nieprzewidzianym wypadkiem, że inną wyznaczono wartość, i umówiony żołnierz miał wieczór dopiero ją zająć.

Położenie się wikłało, bo dzień ten był piątkiem i najponętniejsza nagroda nie pokusiłaby kontrabandyisty do naruszenia szabasu.

Dawid był rozjątrzony.

— Nie gniewajcie się panie Dawid — rzekł Szmul pokornie — nie przebędziecie tutaj soboty. Posiadam dwa paszporty, a moja córka poda nam po drodze trzeci; możemy wyruszyć natychmiast.

Nie były to formalne paszporty, lecz przepustki, czyli świadectwa, wydawane pogranicznym mieszkańcom, mającym interesa po obu stronach.

Odczytanie dokumentów dziwnie uderzyło Zacepina.

— Popatrzcie, co on mi przynosi; przecież to paszport dla kobiety.

— Tak, nie przeczę — rzekł Szmul — ale to nic nie szkodzi.

Towarzysze Zacepina wzięli papier do ręki dla obejrzenia go i stwierdzili, że przepustka opiewała wyraźnie na: Sarę Halpern lat 40, wdowę po kupcu Salomonie Halpern.

— To trzeba odmienić — wołał Zacepin — nie mogę uchodzić za wdowę.

— Czemu nie? — Szmul odparł. — Możecie przy pomocy Bożej.

Zacepin, nie chcący liczyć tylko na pomoc Bożą, obstawał przy swoim, aż wmieszał się Dawid.

— Przekonacie się, że wszystko dobrze pójdzie.

Zacepin wrzucił ramionami, nie pojmując, jak może ujść za czterdziestoletnią wdowę, lecz skoro Dawid znał tę tajemnicę, więc już wszystko dlań było w zupełnym porządku.

Zaczęli zbierać się do drogi. Musieli wyruszyć z pustymi rękami, bo przepis nakazywał, by przeprawiano osobno podróżnych, a osobno ich rzeczy. Temi zajął się Dawid, obiecując je odstawić inną drogą i połączyć się wkrótce z towarzyszami na tamtej stronie.

Podali sobie wzajemnie ręce i rozeszli się.

Zacepin poszedł pierwszy za kontrabandzistą, druga para postępowwała za nimi w pewnym oddaleniu, żeby nie zwracać zbyt dużej uwagi. W dwadzieścia minut znaleźli się nad małym strumieniem, który w czasach pogody i kura przejdzie. Nad jego brzegami ciągnęła się płaska, naga równina z gliniastą glebą, przezierającą przez rzadką trawę. Po obydwóch stronach stały gromadki kobiet i mężczyzn. Płytki prom pływał po żółtej wodzie, a na jego przodzie stał sędziwy policyant, o ostrej czerwonej twarzy, z obnażonym pałaszem w ręku.

Skoro tylko prom dobił do brzegu i wysadził przywiezionych, zaraz weszli nań nasi podróżni, popychani tuzinem innych, pragnących się przewieźć i cisnącymi się tak, że policyant musiał natłok przerwać, a zwróciwszy się do pomieszczonych na promie, krzyknął:

— Dawać paszporty!

Taką była granica. Po lewej stronie strumyka pozostawała Rosya, po prawej rozpoczynały się Niemcy.

Ustawieni w rzędy, podali paszporty policyantowi, który palcem policzył obecnych i znalazłszy tyle dokumentów, ile głów, oddał paszporty najbliższemu z podróżnych i zawołał: »Gotów!«

Przewoźnik, nie posiadający ani wiosła, ani rudla, odepchnął swój statek od Rosyi i po upływie minuty uderzył o Germanię. Pasażerowie Dawida wysiedli na brzeg; wszystko było skończone. Byli już w Europie.

— Jakie to proste — zawołała wesoło Anna Wulicz.

Wszyscy odczuli wielką ulgę i głośno rozprawiając, udali się do wsi, by tam oczekiwać Dawida.

Gdyby nie byli tak bardzo sobą zajęci, byłiby uważali starannie ubranego młodzieńca, o czarnych oczach a bladej cerze, który przechadzając się, przyjemnie został zdziwiony, słysząc czystą mowę rosyjską.

Był to Andrzej, bawiący już od pięciu dni w tej wioszczynie, wskazanej mu przez Jerzego. Umierał z nudów, oczekując na zjawienie się Dawida, z którym miał się tu spotkać.

Domyślał się, że tych troje należą do kompanii Dawida i chciał ich zaczepić, lecz się powstrzymał uwagą, że ostrożność nigdy nie zaszkodzi i może domysł być mylny; jeżeli zaś znają Dawida, to on musi wkrótce nadjechać lub nadejść.



ROZDZIAŁ IV.

Nowe wrażenia.

Powróciwszy do hotelu, przyzwał Andrzej służącego i zapowiedział mu łamaną niemczyzną, że się nie ruszy z domu, bo kogoś oczekuje.

Z okna swego pokoju miał widok na duży, zielony skwer, do którego zbiegało się kilka ulic. Przyglądał się bacznie przechodniom i wkrótce ujrzał niezgrabną figurkę Dawida, prędko idącego w ciężkim płaszczu, który nosił jak rok długi.

Andrzej zbiegł ze schodów; przyjaciele spotkali się we drzwiach wchodowych i serdecznie się powitali.

— Przyznaj się, żeś mi dobrze złorzeczył, żeś ci tak długo dał czekać — zapytał Dawid, przyjaźnie klepiąc Andrzeja po ramieniu.

— Tak, ale nie bardzo. Obawiałem się, czy ci nie zaszło co złego.

— Głupstwa! Co mi się stać może. Poprostu zatrudniłem się dłużej, zabierając ze sobą małą partycję dla przeprowadzenia jej przez granicę. Dwie pieczenie na jednym rożniu; to i o wiele taniej i pospieszniej.

— Zdaje mi się, że przed godziną widziałem ich przeprawę.

— Prawdopodobnie. Jest między nimi Zacepin, z którym powinieneś się zapoznać.

Powrócili do pokoju Andrzeja. Dawid zdjął palt i rzucił je na krzesło i usiadł na drugim.

— A teraz opowiadaj mi o naszych — rzekł Andrzej, stając naprzeciw Dawida. — Jak się ma Jerzy i inni? Co słyhać o Borysie? Czy są listy od Ziny?

— Tak; raz niedawno pisała, a sądząc po jej d... niesieniu, na teraz bardzo mało mamy nadziei. Ale o... będzie wkrótce sama w Petersburgu, to ci opowie.

— Czyż ty nie wracasz zemną?

— Nie — odpowiedział Dawid. — Jadę na jak... czas do Szwajcaryi. Słyszałeś może, że ekwilibryści ch... wydawać własną tajną gazetę w Petersburgu?

— Ekwilibryści? Czyż to być może?

Tak przezwano tajne stowarzyszenie, dla odróżni... nia od innych kółek i napiętnowania go za umiark... wanie i brak stanowczości. Między nimi a partją »Zier... i woli«, do której należeli Dawid i Andrzej, mało by... stosunków i styczności.

— Tym razem — wyjaśniał Dawid — stanowc... oni to zamierzają. Gdy się dowiedzieli, że jadę do S... caryi, dali mi pieniędzy na zakupno czcionek.

— To nie głupio — rzekł Andrzej. — Gotów j... w... zmienić moje o nich mniemania.

— Ja jednak zostaję przy moich. Zobaczym... ta... oni zdziałają ze swoim pismem. Nie mam w... wiary. — Rozglądnął się, szukając zapalek, by... fajkę zakurzyć; Andrzej podał mu cygaro.

— Nie wierzysz w nich, dlaczegóż więc spełniaj... ich polecenie?

— Albowiem muszę. Moja służba polega na ten... by oczyszczać drogi z wszelkich przeszkód i trzymać... otworem dla chcących korzystać. Nie moją rzeczą, cz... zamiary ekwilibrystów powiodą się, lub nie. Zreszta... zadanie to niewielkie, a da mi sposobność przebyć niec... dni wolnych z przyjaciółmi w Szwajcaryi.

— W każdym razie cieszę się tem dla nich. Czy wiosłeś im o swoim przyjeździe?

— Nie, bo ja tego nigdy nie robię; daleko przyjemniejszą jest niespodzianka. Jak się wszyscy miewają? A mi o nich nie mówisz.

— Bo nie ma o czem; życie wciąż jednako nudne.

Dawid uderzył się ręką po kolanie i zawołał:

— Co za nedorzeczny naród ci nasi Rosyanie! Są swobodnie wśród wyższego ruchu socyalnego i czują jak ryby na piasku. Czyż świat cały zaczyna się kończyć na Rosyi?

Żydowski kosmopolityzm kładł mu w usta takie ania.

— Masz słuszność gromić nas — odrzekł Andrzej, aby z przekonaniem, pod którem często jednak chwalba kryje; jesteśmy najmniej kosmopolitycznym narodem, chociaż wielu temu przeczy. Ty jeden między nami zagubiesz na miano światowego obywatela.

— Zaszczycnie to, lecz niezbyt przyjemnie — odrzekł Dawid.

Nie przedłużał Andrzej sporu i zaczął wypytywać co w Petersburgu myślą o Borysie, bo sprawa ta o mu leżała na sercu; był on blizkim jego przyjacielem, najbliższym po Jerzym.

— Nic sądzić teraz nie można — wyjaśniał Dawid — aż do powrotu Ziny. Boję się jednak, czy się da raz cokolwiek zrobić, bo nie mamy sił do tego. Do pewnego stopnia siedzimy obecnie na mieliźnie, jak się tem sam przekonasz.

I wyliczał wszystkie poniesione straty, oraz finansowe trudności.

Andrzej słuchał, chodząc po pokoju ze spuszczoną głową. Sprawy stały gorzej, niż sądził, ale buntowałby się myślą beznadziejności i tej do głowy nie dopuszczał. Pokojnie sądził, że sam może być aresztowany, bo taki

jest los wojujących, ale poczytałby za hańbę nie ratować towarzysza. Zawołał więc:

— Niedorzecznością jest mówić o braku sił w partyi. Jeżeli nie znajdujemy pomocy, powiedzmy, żeśmy sami nie wiele warci!

— Głową muru nie przebijesz — odrzekł Dawid — nie brak nam ludzi zdolnych do przygotowania wolności, ale jak działać bez pieniędzy?

— Z tem nie bieda. Należy tylko rozbudzić energię, a to da podniecie do każdego żywego czynu.

Dawid wstał i zaczął się żegnać, mówiąc:

— Mnie już czas iść do moich podróżników. Ale jakże mam urządzić twoje spotkanie się z Zacepinem? Czy pójdziesz do niego, czy też mam go tu przyprowadzić?

Andrzej wypytał się o tamtych i oświadczył gotowość pójścia do nich, by zapoznać się z wszystkimi.

Dawida, gdy weszli do restauracyi, spotkała miła owacya ze strony oczekujących go. Przedstawił Andrzeja pod zmyślonem nazwiskiem, ponieważ nie chciał Ostrogorskiego i Wuliczównę wtajemniczać w jego kroki, jako nie należących do partyi. Zacepin zaś nie trudno się domyślił z kim się zapoznaje.

Towarzystwo rozdzieliło się na dwie grupy. Andrzej z Zacepinem pozostali przy stole; Dawid zabrał tamtych dwoje w głąb okna na drugim końcu pokoju. Ostrogorski i Wuliczówna wyrażali ciągle zdziwienia nad łatwością ich ucieczki.

— Szkoda jednak — rzekła Anna — że nie przyszło nam doświadczyć żadnych wrażeń.

Ostrogorski był gadatliwego usposobienia, opowiadał więc o wypadkach, o których wiedział ze źródeł wiarygodnych, jak przenoszono ludzi nocami w workach na plecach i że przychodziło po dni kilka przesiadywać w magazynach, zanim kontrabandiści upatrzyli stosowną chwilę do przeprawy. Zaśmiał się Dawid i wyszy-

dził bajkę o workach, nie przecząc możliwości tamtym szczegółom, bo kontrabandziści do niedawna jeszcze tworzyli takie opowiadania, żeby, drogo biorąc za przeprawy, usprawiedliwiać zdzierstwo nazwą uczciwego zarobku.

Andrzej tymczasem spokojnie rozmawiał z Zacepinem, wypytyując go o różnych ludzi, z którymi się spotykał, i o miejscach, w których przebywał. Nie przeszkadzano im aż do chwili, w której Zacepin, mówiąc o pewnej grupie radykałów, uniósł się i głośno zawołał:

— Puste gaduły! Wykręcają się tylko i chcą siedzieć na dwóch stołkach, co w tych czasach wcale nie uchodzi.

Usłyszał to Ostrogorski, a będąc namiętym kłótnikiem, zbliżył się do dysputujących i założywszy ręce za plecy, stanął przy nich ze spuszczoną głową. Z Zacepinem miał już kilka sporów, lecz pragnął dalej jeszcze walczyć. Z sarkastycznym uśmiechem na zaciśniętych ustach, zapytał Zacepina: Co właściwie nie uchodzi w obecnych czasach, czy siedzieć na dwóch stołkach, czy zostać socjalistą.

Ostro odparł mu Zacepin, że wypowiedział już to, co chciał i że wszyscy nazywający się przodownikami a usuwający się w tych czasach od czynów, są tylko gadułami, jeśli nie gorzej!

Godził się z tem Ostrogorski, lecz miał swoje zdanie o obowiązkach obecnej chwili. Dysputa zainteresowała Wuliczównę, więc się zbliżyła do dysputujących, przysłuchując przed wmiśzaniem się do sporów, które stały się ogólne i głośne. Dawid tylko nie ruszył się ze swego miejsca i milczał.

Rozmowa przeszła w spór gorący i rosnący, czemu się dziwić nie należało, bo każdy miał swoje poglądy i zdania, nikt ustępować nie chciał. Zacepin był otwartym terrorystą, odznaczającym się prostotą w swoich poglądach. Anna Wulicz nie szła tak jak on daleko,

a nadto różniła się z nim w kwestyi socjalistycznej propagandy pomiędzy robotnikami. Ostrogorski, podobnie jak Dawid, skłaniał się do ewolucyjnego socjalizmu, lecz daleko byli od siebie na punkcie socjalistycznych rządów w przyszłości i obecnej politycznej działalności. Andrzej nie mógł się zgodzić z żadnym ze spór wiodących, bo przebywszy dłuższy czas zdala od ruchu rewolucyjnego, nie wyrobił sobie jeszcze zdania i wahał się z niem, co gniewało Zacepina, i tem silniej bronił swoich poglądów, im więcej słyszał zdań swojemu przeciwnych.

— Oświadczam wam — zawołał podniesionym głosem — że nie jestem socjalistą!

Z naciskiem i siłą wymawiał każde słowo.

— Właśnie! — krzyknął uroczyście Ostrogorski — jesteście zatem »burżoa«, stronnikiem ucisku klasy robotniczej przez kapitalistów. *Quod erat demonstrandum*. Odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju, nucąc przez zęby jakąś aryę, dla okazania, że bezużyteczną byłaby dalsza dyskusya.

— Nie występuję przeciw robotnikom — wcale nie wzruszony odrzekł Zacepin. — Twierdzę jednak, że socjalizm nie dla nas. Obowiązkiem jest naszym walka z biurokracyą i zwycięstwo politycznych swobód dla Rosyi. W tem zawieram wszystko, a dbam o socjalizm, jak o skorupę z jajka.

— Wybaczcie Zacepin — wmieszał się Andrzej — ale to niedorzeczność. Cała nasza siła moralna tkwi w tem, żeśmy socjalistami. Odrzucić socjalizm, a znika siła, jaką posiadamy.

— A jakim prawem będziecie przyzywać do siebie klasę robotników, jeśli nie jesteście socjalistą? — Zapytała Wuliczówna, zrywając się z miejsca.

— Darujcie! — ciągnął Zacepin, machnąwszy ręką — ale to wszystko metafizyka!

Takiem mianem określał wszystko, co podług niego nie zasługiwało na uwagę ani dyskusję.

— Najbliższem naszym zadaniem — mówił on dalej głosem pokrywającym wszystkie inne — jest zgębienie politycznego despotyzmu; to obowiązek każdego z nas, kto Rosyę miłuje, powinien się łączyć z nami, a kto tego nie czyni, jest zdrajcą narodowej sprawy.

Przy tem wprost wzrok utkwiał w Ostrogorskiego, żeby nie pozostawić wątpliwości w tem, do kogo słowa swoje odnosił.

— Co naród wygra z burżuazyjnej konstytucyi, za którą walczyacie? — Wołał mały człowieczek, rzucając się na grubego przeciwnika, jak jędor na zaczepiającego go psiuka. — Zapominacie o narodzie!

— Patrzcie panowie — wezwał Dawid, pokazując przez okno -- oto pożarna sikawka. Nie rozpalajcie się, bo gospodarz gotów was oblać zimną wodą.

Nie zwrócono na niego uwagi i dowcip nie wpłynął na dysputujących; usiadł więc Dawid i zamilkł.

Spory przedłużały się w tym tonie, ale stawały się spokojniejsze w miarę zmęczenia wiodących je. Zacepin stał obok Ostrogorskiego, który odezwał się słodszy, podchlebnym głosem:

— Dajcie mi Zacepin powiedzieć dwa słowa dla przekonania was. Historia Europy dowodzi nam, że wszystkie wielkie rewolucye... — i bardzo obszernie rozwodził się nad swoją tezą.

Zacepin słuchał, wyprostowawszy się, z pochyloną w bok głową i zachmurzonym czołem. Sądząc po wyrazie twarzy, można było twierdzić stanowczo, że ziarna mądrości, zasiewane przez Ostrogorskiego, padają na grunt kamienisty.

— Panowie — przerwał Dawid, pokazując zegarek — pozostaje zaledwie godzin dwie do chwili odjazdu, trzeba pomyśleć o chlebie powszednim. Mam nadzieję,

że każdy głosować będzie za tem, byśmy już poszli na obiad.

Andrzej cieszył się możliwością przedłożenia swoich poglądów, o których sądził, że będą ogólnie przyjęte, bo w starannie przed wyjazdem wyrobionym przezeń programie, było miejsce dla wszystkich.

Wysłuchawszy uważnie, rzekł Zacepin energicznie i bez żadnej ogródki:

— To się nigdy nie stanie!

— Dlaczego? — zapytał Andrzej.

Nie odrazu zdobył się Zacepin na odpowiedź. Zbierał myśli i szukał słów, któremiby takowe jasno określił. Ostygł w polemicznym zapale. Andrzej był towarzyszem i powracał działać, więc należało z nim mówić o istocie czynów, ale nie spierać się. Poczzerwieniał, a tonem oburzenia, posępnie patrząc na Andrzeja, odezwał się:

— Żądacie, byśmy szli ręką w rękę z liberałami! A co będzie, jeśli oni zażądata byśmy przycichli? Czy zgodzimy się na to? Przysięgnę, że nie! My będziemy rąbać, strzelać i kopać, a wszyscy tchórze niech się wynoszą do dyabła!

Trzasnął pięścią w stół, wstrząsając całym.

— Nie Andrzeju — dodał spokojniej — to niegodny eklektyzm.

— A wy co powiecie? — zapytał Andrzej panienkę.

— Sądzę, żeśmy tylko na siebie samych liczyć powinni — odrzekła. — Ci pójda z nami, którym drogie cele nasze.

Odpowiedź ta była taką, jaką już słyszał sto razy. W poważnym jednak tonie tych słów, widział Andrzej więcej niż prostą szczerłość i to uraziło doświadczone jego poczucia. W owej chwili atoli oddawał się on bezpośrednio zadowoleniu z pierwszego spotkania się z rodakami i mniej zważał na nieśmiałą panienkę, biorącą udział w dyskusji. Instynktem łowca ludzi, uważniej

zaczął się jej przypatrywać. Swieża, młodziutka twarz wyglądała poważnie, a czarne, błyszczące oczy przeważnie w dół patrzyły. Mała figurka odziana była w skromną, czarną suknię, powszechny strój jej towarzyszek.

Przy obiedzie, z rozmowy o jej zajęciach i zamiarach dowiedział się, że była członkiem tajnego studenckiego kółka »samokształcenia się« i przewodniczyła mu dotąd. Jechała do Szwajcaryi dla słuchania jeszcze wykładów naukowych. Doradził jej Andrzej Genewę, gdzie przystępnie będzie mogła uzupełnić swe wykształcenie i dał list do Leny.

Pociąg miał odejść o czwartej. Dawid dał odjeżdżającym wszelkie potrzebne wskazówki i pożyteczne rady, chociaż znikła już macierzyńska jego troska o tych, którzy wychodzili z pod jego opieki. Całą uwagę swoją zwrócił w tej chwili na Andrzeja. Zaprowadził go do hotelu, w którym mieli spędzić dzień sobotni, a Szmul miał być gotowym do usług w niedzielę rano.

— Czy nie można rychlej? — zapytał Andrzej.

— Nie, jeżeli mamy użyć izraelitę; mogę jednak próbować tutaj z kim innym.

Na prośbę Andrzeja porozumiał się wkrótce Dawid z niejakim Szmidem, Niemcem kontrabandzistą, podejmującym się przeprawy przez granicę tej jeszcze nocy, co obydwóch towarzyszy mocno ucieszyło, bo Andrzejowi pilno było do Petersburga, a Dawidowi różne sprawy głowę obciążały.

Nadszedł Szmid, okrągłutki, tłusty człowieczek, z dobrodusznym, pocziwym wyrazem twarzy i zaprosił do drogi. Andrzej miał dużo rzeczy ze sobą, bo przybywający do ojczyzny nie wraca zazwyczaj z pustymi rękami, tak jak wyrusza z niej uciekający. Dawida straszło opóźnienie i żywo konferował z Niemcem w jego języku, by uzyskać pośpiech. Ułożyli się i ruszyli do domu Szmida, który obładował się tłumoczkami.

Z niedużego, piętrowego domku, otoczonego ładnym płotem, wyszła na spotkanie pani Szmidowa, poważna jejmość, średniego wieku, w białym czepku na głowie, i zaprosiła na posiłek.

— Gdzie Hans? — zawołał gospodarz, będący tu w miejscu średnim dzierżawcą rolnym.

Przebierający się po powrocie ze szkoły, pojawił się wkrótce ładniutki, rumiany, dwunastoletni chłopczyk, w szerokich spodniach i ciasnej kurtce, rozsadzanej na szwach rozwojem młodych muszkułów.

— Weź czapkę i przeprowadź tych panów do szarego kamienia, za brzozą, na górze! Rozumiesz?

— Tak, papo.

— Prędziutko — dodał Szmid.

— Dobrze, papo.

Przeprowadził Szmid gości przez furtkę ogródka, złożył życzenia szczęśliwej drogi i jeszcze raz upomniał syna z dodaniem kilku uwag.

Hans ich nie potrzebował; nad wiek swój był roztropny i sprytny; pojmował zadanie i już obiecywał nie zawstydić profesyi kontrabandzisty, przechodzącej w tym domu z ojca na syna. Bez zbytecznej gawędy przeprowadził podróżników.

Obydwaj przyjaciele szli za nim w małej odległości, brzegiem strumyka, przez który przeprawiali się niedawno Dawida towarzysze. Potem, nie oglądając się wcale, chłopczyk wiódł ich błotami bez jakiegokolwiek utorowanej drogi.

Słońce tylko co zaszło, a purpurowy odbłask nieba upiększał smętny pejzaż Prus Wschodnich. Niezmierzona równina rozścielała się we wszystkich kierunkach, lecz Andrzej zauważył zdala słomiane strzechy rosyjskiej wioski, przedstawiających rażąco kontrast z czerwonymi dachówkami domów po stronie niemieckiej. Nie podlegało wątpliwości: Za krzakami była Rosya, żałobna ojczyzna,

tak silnie wabiąca Andrzeja do siebie. Za chwilę już stanie na tej łzami przesyconej ziemi, dla której gotów życie poświęcić.

— Jak mi też żal, kochany Dawidzie — odezwał się do towarzysza — że tak krótko możemy być z sobą; o wielu sprawach chętniebym mówił z tobą.

— Za miesiąc mniej więcej, powrócę do Petersburga, a przecie ty nigdzie w tak krótkim czasie nie zamysłasz wyjeżdżać.

— Z pewnością nie; ja zaledwie przez ten czas zdolałam się rozpatrzyć w zaszłych zmianach. Ale powiedz mi, proszę, czy wielu z naszych dzieli zdania Zacepina?

— Tego się nie obawiaj; takich jest mało. Inni za to, inaczej fantazyują, a Jerzy jest ich prorokiem. Czy czytałeś jego utwory?

— Tak jest.

— A podobały ci się?

— Bardzo. Lecz dlaczego o to pytasz?

— Byłem tego pewien. Co się zaś mnie dotyczy, gdybym miał wybierać, to dałbym Zacepinowi pierwszeństwo.

— Niedaleko byś z nim zaszedł — rzekł Andrzej.

— On nie patrzy dalej — odparł Dawid — jak na złe dzisiejsze i on jest człowiekiem doby z takimi widokami jak nasze; jasnym jest czego po nim oczekiwać. Ale wasz brat Rosyanin nie lubi mieć do czynienia ze stanowczymi, namacalnymi przedmiotami; wam ciągle potrzeba fantastycznej bezmyślności, żeby siebie samych nią dużyć.

— Nie bądź tak srogim dla nas — prosił Andrzej, uśmiechając się z uniesień przyjaciela. — Jeżeli wiara Jerzego w Rosyę i dobrodziejstwa naszych chłopów odwleka się, to cóż w tem złego. Wszak takie same są twoje poglądy, odnośnie do ulubionych przez ciebie robotników niemieckich, a głównie berlińskich?

— To całkiem rzecz inna — tłumaczył Dawid. — To nie jest wiara, ale przewidzenie przyszłości, oparte na stałych faktycznych danych.

— Trudno nie idealizować tego — mówił Andrzej — do czego się jest mocno przywiązany. Z całą twoją filozofią nie jesteś rozumniejszym od nas. W tem różnica, że myśmy przywiązani do narodu, a ty nie.

Przytłumionym, bolesnym tonem odrzekł Dawid:

— Tak jest; jam nie przywiązany do waszego narodu i być nim nie mogę. My, Żydzi, kochamy nasz naród i ja go gorąco miłuję. A za cóż ja mam lubić waszych chłopów, kiedy oni nas nienawidzą i barbarzyńsko z moim narodem postępują? Może jutro zburzą oni dom mego ojca, uczciwego robotnika, jak już zgromili tysiące innych, spokojnie pracujących w pocie czoła. Mogę żałować chłopów za doznane cierpienia, ale na równi z abisyńskimi albo malajskimi niewolnikami, albo z każdym dręczonem stworzeniem. Co się zaś tyczy społeczeństwa klas wyższych, cóż ono może wzbudzić innego jak pogardę? Nie, w Rosyi waszej nic niema cennego. Ale znam twoich towarzyszy i kocham ich więcej, niż mój naród. Przyłączyłem się do nich i pokochałem jak braci, co też stanowi jedyny związek trzymający mnie tutaj. Skoro tylko zakończymy z biurokrycją, natychmiast wyjadę na zawsze i osiadę gdziekolwiek w Niemczech.

— I sądzisz — odparł Andrzej — że tam będzie lepiej? Zapominasz o grubiaństwie niemieckich gromad.

— Tak — odrzekł Dawid ze smutnym wyrazem swoich dużych, pięknych oczu — my, Żydzi, jesteśmy obcymi pomiędzy wszystkimi narodami. Ale bądź, jak bądź, niemiecki robotnik jest bardziej cywilizowanym i czyni także postępy w znaczeniu moralnem, a Niemcy są jedynym krajem, w którym my, Żydzi, możemy się czuć nie całkiem obcymi.

Pochylił głowę i zamilkł.

Głęboko poruszyło Andrzeja rozgoryczenie przyjaciela; zbliżył się do niego i położył rękę na ramieniu. Zaprzagnął dodać mu otuchy. Chciał mu wypowiedzieć, że barbarzyństwo rosyjskich chłopów pochodzi z ich ciemnoty jedynie, że stokroć więcej w nich tolerancyi i ludzkości, niż w jakimkolwiek narodzie świata, że gdy choć w części zostaną tak oświeceni, jak już są Niemcy, to wszystkie średniowieczne ich przesady znikną bez śladu.

Ale przeszkodził Andrzejowi w wypowiedzeniu tych myśli rumiany przedstawiciel konkurującej rasy, który w tej chwili podszedł do nich i zawołał:

— Dobranoc panom!

— Jakto, Hans — zapytał Dawid — już wracasz do domu?

— Tak, muszę się spieszyć; matka oczekuje.

Dawid wyjął z kieszeni kilka srebrnych monet i dał je chłopcu, gładząc go po rumianej twarzy.

— A jakże będzie z granicą — zawołał Andrzej. — Czy mamy się sami przeprawiać?

— Granica? My ją już dawno przeszli.

— Kiedy?

— Przed pół godziną.

— Zdziwiająco! Ja nic nie spostrzegłem; żadnego nawet szyldwacha.

— Przeszedł on niewątpliwie za ten pagórek, albo gdziekolwiek indziej, skądby nas nie mógł widzieć, ani my jego.

— Jak to uprzejmie z jego strony — rzekł Andrzej.

— To ogólnie przyjęte — wyjaśniał Dawid — nikt mu nie może brać za złe, jeśli w danej chwili nie znajdzie się on w danym miejscu. Za mały zaś napiwek, gdy pewnym jest, że go nie wydadzą, znajdzie się szyldwach tam, gdzie go o to poproszą.

— A gdybyśmy się byli spóźnili, a on spostrzegł nas ze swego ukrycia?

— Poprostu powróciłby na poprzednie miejsce. Ale nie traćmy czasu; chodźmy wprost do wsi, żeby nas nie spotkali żandarmi; wszak my już w Rosyi.

W oznaczonym miejscu odebrał Andrzej z radością swoje tłumoczki, sumiennie odstawione przez Szmida. Przybyli na stację kolejową na pięć minut przed nadejściem sapiącego i huczącego pociągu z zagranicy; był to pociąg pospieszny, co także było na rękę, bo w takich obchodzą się z podróżnymi z większem uszanowaniem, niż w osobowych.

Andrzej wybrał przedział, w którym był jeden gość tylko i ten spał w kącie, otuliwszy swoją blond głowę w szal wełniany. Żandarm, spacerujący obok wagonów, pomógł Andrzejowi ułożyć tłumoczki, podczas gdy ten żegnał się z Dawidem, ciesząc się, że ostatecznie jest już w Rosyi.

ROZDZIAŁ V.

D w a j p r z y j a c i e l e.

Szybko naprzód pędzi czarna żmija z rozpalonemi oczami, to rozwijając i rozpuszczając długi swój świecący ogon, to wpadając jak strzała w ciemny tunel, sapiąc i wyjąc w swojej walce z przestrzenią. Ale bystrzej, niż jasnookiej żmii, pędzą myśli podróżnika, spieszącego ku swemu przeznaczeniu.

Po całodziennem wzburzeniu znalazł się Andrzej samotnie i zamyślił się o czekających go sprawach, znanych mu dobrze przed laty, lecz obecnie całkiem dlań nowych. Dzisiejsze spotkanie z Rosyanami i nieskładne a głośne dysputy nie pozostały bez śladu. Ci ludzie przynieśli ze sobą falę rosyjskiego powietrza, w którym odczuł Andrzej coś nowego, a zasmucającego. Odczuł, że do znanego mu ruchu domieszał się jakiś uboczny prąd, ciasny i wyjątkowy a silny i nieuchwytny. Zdoła li ona działać przymierzem w tym prądzie z bardziej umiarkowanymi żywiołami społeczeństwa? Czy też przyjdzie popłynąć z biegiem, żeby się pozbawiać możliwości energicznego i bezzwłocznego działania? O tem dopiero na miejscu dowiedzieć się może.

Wśląd za tem dumaniem, zabiło mu serce na myśl o Borysie. On ślepo wierzył w rozum i roztropność tego człowieka, i zawsze z głębi przekonania postępował po-

dług jego zasad i wskazówek. Na samo przypuszczenie, że może przyjdzie nigdy już z nim nie rozmawiać, nigdy go nie zobaczyć, cała podróż do Petersburga traciła swój urok dla Andrzeja. »A jeśli jeszcze i Jerzy aresztowany w międzyczasie«, przemknęło mu przez głowę.

Możebne to było. Andrzej sobie uprzytomnił, że nieszczęście nigdy nie przychodzi samo. Przestraszył się myślą, że źle zrobił, donosząc mu, umówionym słownikiem, o swoim przyjeździe. Uczynił zaś to na pierwszej stacyi, z uczuciem ulgi, że tem usuwa niebezpieczeństwo, a właśnie mogło się stać przeciwnie.

Liczył na to, że Jerzy wyjdzie po niego na dworzec i chętnie zawiązał rozmowę z towarzyszem w wagonie, z tym samym, którego na wstępie poczytał za młodzieńca o jasnych, kędzierzawych włosach. Nad ramię dopiero rozpoznał, że był już stary, około lat sześćdziesięciu, z zupełnie łysą głową. Obawiając się przeciągów, miał głowę owiązaną wełnianą, kudłatą chustką, którą Andrzej wziął za czuprynę.

Nudy długiej podróży usposabiają do rozmowy, a stary pan okazał się gadatliwym. Nie umiał długo wysiedzieć z kimkolwiek, nie wypytawszy, czy towarzysz jego żonaty, czy kawaler, obywatel, kupiec czy urzędnik, albo może zajmuje niezależne stanowisko. W zamian zaś chętnie rozповідаł o sobie i tak rozgadali się. Andrzej wydał się za przemysłowca, a jego towarzysz przedstawił się jako naczelnik biura w ministerstwie skarbowych dóbr, a powracał do domu po spędzonej zimie za granicą. Od wrażeń doznanych na obczyźnie, przeszli rozmową do spraw krajowych i pokazało się, że pan naczelnik należał do malkontentów ze stanu rzeczy w Rosyi. On nie uznawał władzy i widział tylko głupotę w sposobach postępowania i w czynach rządu, począwszy od usamowolnienia chłopów. Nie wierzył w trwałość obecnych urzędzeń i nie uważał jej też za potrzebną, albo-

wiem wszędzie było źle i wszystko wymagało poprawy. Służba rządowa nie opłaca się, obywatele zniszczeni, a chłopci głód cierpią i pogrążają się w długach; wszystko obraca się w perzynę.

Okoliczność, że obcym mu był zupełnie człowiek, przed którym wynurzał się ze swych uczuć i poglądów, okoliczność, że sobie nazwisk swych nie wymienili, wcale nie krępowała zwierzeń starego pana. Zamilkł dopiero na stacyi przed stolicą, gdy do wagonu weszli dwaj obcy panowie, a gdy pociąg wjeżdżał pod dach szklanny dworca, naczelnik przyjął surowy urzędowy wyraz, jakby wchodził do biura swego departamentu.

Andrzej wychylił głowę za okno, szukając Jerzego. Peron był przepełniony publicznością płci obojga. Posługacze przebijali się przez tłumy, krzycząc i gestykulując. Nie widząc Jerzego, pomyślał Andrzej, że go spotka na ulicy.

Wychodził już z tłumoczką w rękę, gdy raptem uczuł uderzenie dłonią po plecach i dobrze znajomy głos kazał mu się odwrócić. Był to Jerzy. Z młodzianiszka, wyrósł on przez lat trzy na dojrzałego mężczyznę z blond brodą, osłaniającą mu szczękę i podbródek. Ubrany był elegancko, w zupełnem przeciwieństwie do dawnego nihilistycznego stroju, jakiego używał.

— Jaki z ciebie elegant — rzekł Andrzej, ściskając przyjaciele — trudno cię poznać przychodzi.

— Bośmy teraz ludźmi seryo i należy nam przestrzegać przyzwoitości. Czy masz kufry?

— Nic, prócz tego — odparł Andrzej, wskazując na swój dość ciężki tłumoczek.

Wyszli milcząc z dworca i najęli dorożkę do mieszkania Jerzego i zaraz po drodze zaczął Andrzej niecierpliwie stawiać pytania:

— Co u was słyhać? Czy wszyscy zdrowi?

— Wszyscy nasi dobrze się mają — odrzekł Jerzy.

Znaczyło to, że żaden z nich w tych czasach nie był aresztowany; same zdrowia nie stanowiły przedmiotu dość ważnego dla rewolucjonisty.

— To znaczy — mówił Andrzej — zem ja w dobrą porę przyjechał.

— Niezupełnie — dwuznacznie odparł Jerzy — ale o tem potem pomówimy.

Dorożkarze w Petersburgu nie byli ci, przed którymi można było bezpiecznie mówić o polityce.

Andrzej z uniesieniem wpatrywał się w znane ulice.

— Jak to miło — rzekł — trząść się znów na tych piekielnych dorożkach. Za granicą takich niema.

Czuł się całkiem szczęśliwym z widoku pięknego miasta, związanego z nim drogiemi wspomnieniami, i cieszył się ze swego powrotu. Myśli, jakie go opanowywały w drodze, rozpięchły się zupełnie. Wspomnił sobie, że jest jednostką tej tajnej organizacyi, która się kryje bodaj czy także nie w fałdach żandarmskich i policyjnych szyneli.

Jerzy mieszkał przy ulicy Gagarina w małych dwóch pokojach z przedpokojem, gdzie było dość miejsca dla dwóch, więc przyjaciele postanowili zamieszkać razem przez tydzień lub dłużej, dopóki sobie Andrzej nie znajdzie mieszkania.

Gdy podróżnik nasz wypoczął, zaprowadził go Jerzy do »lokalu konspiracyi«, gdzie zawsze można było zastać dwóch lub trzech członków organizacyi. Zaszli potem do kilku swych przyjaciół i wczesnie powrócili do domu.

Pragnęli być sami i wzajemnie się wysądować pod wielu względami. Andrzej pragnął wiedzieć, a Jerzy gotów był wyjaśnić położenie, opowiedzieć o ludziach, wśród których przyjdzie działać świeżo przybyłemu. Rozmowa trwała z pięć godzin, a Andrzej, wysłuchawszy uważnie pouczeń przyjaciela, rzekł do niego:

— Dość polityki na dzisiaj; mów mi teraz o sobie.

— Od czego mam zacząć? Wszak to długa historia.

— Zacznij od początku; ja nic o tobie nie wiem, chyba tyle, co z druków.

— Więc wiesz prawie wszystko — rzekł Jerzy.

— Ale czy prócz tego, co drukowano, czy nie napisałeś nic w drugim rodzaju?

Miał na myśli wiersze, które Jerzy pisywał w przerwach od trudnych i prozaicznych obowiązków rewolucyjnego publicysty.

— Bardzo mało — odpowiedział Jerzy — prawie nic po tym maleńkim zbioru, który znasz. W ostatnich czasach dużo pracowałem w kółkach młodzieży.

— A jakie wyniosłeś wrażenie? Mówiono mi za granicą, że młodzież stawia się bardzo praktycznie.

— Wieczne narzekania krótkowidzów i małodusznych! Oni nie widzą w wielkiej księdze życia nic innego, jak tylko zabrudzone pole!

Opowiadał szerzej o własnych spostrzeżeniach, które go doprowadziły do nadzwyczaj tęczywnych wniosków i dla przykładu nazwał kilku ze swoich młodych przyjaciół.

— Powinieneś ich poznać — dodał — przekonany jestem, że zgodzisz się ze mną.

W krótkich słowach scharakteryzował każdego, a czynił to prędko, żeby przejść do innego tematu.

— Jest tu jedna panienka, z którą koniecznie pragnę cię zapoznać — rzekł Andrzejowi, siadając przy nim na kanapie. — Nazywa się Tatiana Grzegorzówna Repin, córka znanego adwokata i całkiem wyjątkowa istota.

— Stanowczo posiadasz dar — odparł Andrzej — wyszukiwania niezwykłych i wyjątkowych natur, a osobliwie między płcią piękną.

— Bywa i tak, że niepodobna się omylić. Co zaś dotyczy panny Repin, to jest ona niezaprzeczenie niepospolitą osobistością.

— Ile ma lat? — zapytał Andrzej.

To było słabym punktem w panegiryku Jerzego i on dobrze o tem wiedział.

Dziewiętnaście — odpowiedział niedbale. — Ale cóż z tego?

— Przypuszczam, że ładna?

Jerzy nic na to nie odpowiedział. Charakterystyczny, poprzeczny zmarszczek wystąpił mu na czoło, nadając twarzy wyraz przykrości, graniczącej z bólem.

— Nie gniewaj się — pospieszył rzec Andrzej, podając mu rękę. — Nie chciałem powiedzieć nic złego. Mówią przecie, że wyraz twarzy jest zwierciadłem duszy — dodał, tłumiąc w sobie chęć żartów.

Jerzy nie umiał się gniewać i pierwsze przyjazne słowo uspokoiło go. Odwrócił się szybko i usiadł na kanapie, zbliżając się twarz w twarz z Andrzejem i zaczął szeroko rozwódzić się nad moralnymi i umysłowymi przymiotami Tani.

Po nad wszystko uderzała go w panience zdolność silnego entuzjazmu, połączonego z zimną krwią i dojrzałością praktycznego człowieka czynu. Był w niej zakrój na wodza, a nie osłabiała go jej kobieca ruchliwość i gracya.

Dowodził to Jerzy z wielką gorliwością, rzewnie i z przekonania.

Andrzej słuchał go sceptycznie, lecz z sympatycznym uśmiechem. Sądził, że w pewnej mierze, dziewięć dziesiątych z tego, co mówił przyjaciel, było płodem jego bogatej wyobraźni. Jerzy miał czułe serce, lecz nie umiał zachować miary w gammie sympatyi. W stosunkach z ludźmi szybko dochodził on do wysokiego stopnia uniesień albo do zupełnej obojętności. Twierdził, iż zna się na ludziach, ale bardzo często mylił się w swych sądach o nich; znał ich w samej rzeczy, ale po swojemu, więc nie należało zawsze polegać na jego zdaniu. Andrzej

był normalnym w sympatyach, a lubił swego przyjaciela po nad wszystko za to niehamowanie uczuć. Z radością konstatował, że się Jerzy mało zmienił.

— Tak — powiedział — zapoznaj mnie co rychlej z młodą twoją przyjaciółką. Jeśli jest dziesiąta część prawdy w tem, co o niej mówisz, to jest ona kwiatem swego pokolenia. Gdzie ją widzisz? W zebraniach studenckich, czy w domu jej ojca?

— Spotykamy się na zebraniach, ale ja i Zina bywamy czasami u jej ojca, który nie boi się przyjmować u siebie nielegalnych. Myślę, że tobie najlepiej wypada widzieć się z Tatianą w jej domu.

Andrzej zgadzał się z Jerzym, a pragnął także poznać Repina i wyraził zadowolenie z tego, że on po ich stronie.

— O tem nie jestem przekonany — rzekł Jerzy. — Żadną miarą nie mogę jasno określić jego poglądów. Zina, znając go lepiej, ma wysokie o nim wyobrażenie. Niewątpliwem jest, że Repin bywał nam bardzo pożytecznym i to w trudnych wypadkach.

I przytoczył kilka nader znaczących przykładów o pieniężnych ofiarach Repina.

— Musi być bogatym — zauważył Andrzej.

— Tak jest, to człowiek zamożny — odrzekł Jerzy. — Ale nie on sam daje pieniądze; Tania ma swój majątek. Będzie bardzo bogatą, gdy dojdzie do pełnoletności; czeka ją jakiś spadek po matce, o czem wiem niewiele. W każdym razie — dodał przytłumionym głosem — jest ona sama o wiele cenniejszym dla partyi nabytkiem, niż jej majątek.

Andrzej zwrócił się do Jerzego, chcąc mu spojrzeć prosto w oczy, lecz te spoglądały w przestrzeń daleką, nieokreśloną.

Andrzej wybąknął znaczące »hm« i myślał o postanowieniu poznania tej niezwykłej dziewczeczki.

»Zapewne — mówił do siebie — Jerzy i Tatiana mogą być najlepszymi przyjaciółmi i nic więcej. U takiego entuzyasty jak Jerzy, granice przyjaźni mogą być bardzo szerokie. Bądź co bądź, w tonie głosu i w wyrazie twarzy przebijało, gdy o niej mówił, więcej niż zwykła przyjaźń«. Pragnął Andrzej ujrzeć ich razem, by powziąć mniemanie, ale także i przestrozę. Nie podzielał on w pełni zdania niektórych ze swych towarzyszy, twierdzących, że człowiek czynu nie może myśleć o miłości; ale zawsze sądził, iż lepiej być zdala od tych »głupstw«. Jeżeli Jerzy teraz temu podpadł, to nie czas mu wieszować, zwłaszcza, że jego wybranka, panienska światowa, obraca się w zupełnie innym towarzystwie.





ROZDZIAŁ VI.

Mieszane towarzystwo.

Repin, zapytany przez córkę, odpowiedział, że bardzo rad będzie przyjąć i poznać Andrzeja. Minęło jednak pełnych trzy tygodni, zanim udało się skorzystać z zaproszenia.

Zina powróciła w międzyczasie z Dubrownika z tak niepomyślnymi wiadomościami, że wszyscy, nie wyłączając jej samej i Andrzeja, musieli się pogodzić z myślą, że na teraz w pewnej mierze, należy zaniechać wszelkich usiłowań dla uwolnienia Borysa. Że zaś Zina chciała się rozmówić z Repinami, interesującymi się tą sprawą, więc zaprosiła Andrzeja, by poszli razem. Tym sposobem zebrać się musiało wieczór w mieszkaniu adwokata całe towarzystwo »nielegalnych«.

Andrzej mieszkał już wtenczas sam, na Piaskach, niedaleko od Ziny, łatwo im przeto było pójść razem. Jerzy nie potrzebował więc wprowadzać swego przyjaciela i skorzystał z tego, by ich wyprzedzić. Punktualnie o szóstej, wiedząc, że wówczas cała rodzina kończy popołudniową kawę, naciskał on guzik elektrycznego dzwonka u drzwi eleganckiego mieszkania przy ulicy Koniusznej. Zaledwie zdążył zapytać, czy państwo w domu, gdy usłyszał szybkie kroki w sąsiednim pokoju i sama Tatiana, uśmiechając się, powitała go przyjaznem podaniem ręki.

Była to bardzo miła brunetka, o dużych, czarnych oczach, pod ostro zarysowanymi brwiami, i ślicznych, choć nieco dużych, ustach. Żywa jej oryginalna twarzyczka nie była piękną, ale czarującą.

— Wy sami! — zawołała z żartobliwym rozczarowaniem.

— Tak jest, Tatiano — odrzekł Jerzy — nie rozpaczajcie jednak, bo tamci wkrótce nadejdą.

Przeprowadziła go do jadalnego pokoju, gdzie zastali jej ojca, wysokiego mężczyznę, lat pięćdziesięciu pięciu, o siwej brodzie, i młodego człowieka, lat trzydziestu, o długich, ciemnych włosach, ubranego w aksamitną kurtkę, wyglądającego na artystę. Był nim Mikołaj Piotrowicz Krzywołucki, profesor jednego z wyższych zakładów naukowych w Petersburgu i przyjaciel Repina.

Po zwykłych przywitaniach wznowił Krzywołucki przerwana rozmowę o blizkiem starciu w reakcyjno-liberalnej partii cesarskiego pszczelniczego Towarzystwa, którego on był sekretarzem.

Tak on, jak Repin zdawali się być mocno zainteresowani tą sprawą i serdecznie się śmiał adwokat, słysząc o fortelach reakcyonistów dla zabezpieczenia większości przy nastąpić mających wyborach prezesa.

Tania i Jerzy z grzeczności okazywali, że ich ta rozmowa także zajmuje, lecz rychło zaczęli między sobą szeptać o bliższym im przedmiocie. Tania zapytała o przebieg ostatniego studenckiego zebrania, na którym być nie mogła, a Jerzy ze swej strony pragnął wiedzieć, czy ona już wypracowała swój referat na następne posiedzenie.

— Napisałam coś, ale tak lichy, że nie odważę się tego czytać i żałuję, że nie wybrała łatwiejszego jakiego przedmiotu.

— Każdy początek trudny — odrzekł Jerzy. — Być jednak może, iż rozprawka jest lepszą, niż sądzicie; po-każcie mi ją.

— Z przyjemnością, choć pewną jestem, że i wam się ona nie spodoba.

Przeprowadziła go do swego pokoju, w którym na wytworknem biurku leżał starannie złożony zeszyt z czysto skreślonym rękopisem. Podała go młodemu towarzyszowi.

Jerzy wyjął ołówek z kieszeni i usiadł do czytania, jak człowiek przyzwyczajony do takich zajęć.

Wyciągnąwszy się na fotelu, milcząc jak ryba, z zabawnem wpatrywaniem się w Jerzego, Tania oczekiwała końca czytania. Nie radaby zostać poczytaną za głupią, lecz tak lichą była pierwsza jej próba, że nic dobrego oczekiwać nie mogła.

Znali się od kilku miesięcy, ale bardzo się już zaprzyjaźnili. Dzieweczka nigdy nie prowadziła tak zapełnionego i wielostronnego życia, jak od zapoznania się z Jerzym. Zina, powróciwszy przed paru laty z więzienia, wprowadzona do domu Repina, wzburzyła młodzieńcki umysł Tani, odsłaniając jej świat nowy. Wtenczas jednak była jeszcze młodziutką i tajemniczy świat Ziny mógł ją tylko zainteresować. Teraz poznała go gruntownie i podobali się jej towarzysze Ziny. Na jednym ze zgromadzeń poznała Jerzego i ten zajął odtąd główne miejsce w jej życiu umysłowem.

Słuchając go, panienska czuła napływ sił nowych. Jerzy jej nie schlebiał i rozmyślnie nie powiedział jej nigdy żadnego komplementu. Nikt z tego pokolenia, tak gorąco broniącego praw kobiety, nie pozwalał sobie tego, a każda poczytałaby komplement za oklepany frazes. Jerzy nie męczył ją rozmowami o niej. Zachowywał takie rozmowy dla swoich przyjaciół, którym przepełniał uszy szczegółowym rozbiorem wszystkich niezwykłych przymiotów, jakie w paniencie odkrywał. Opowiadając Tani o Andrzeju i o radości ich połączenia się, nie ukrywał, że mówił z nim o niej i o jej należeniu do

kółka, przyczem nie mógł przemilczeć jej zalet i talentów rewolucyjnych.

Ona widziała go w aureoli dzielnego rycerza, walczącego o dobrą sprawę, z narażeniem własnej swobody... może i życia. Stosunki wzajemne poczytywała jako czysto przyjacielskie. Przy swej urodzie i w dodatku bogactwie, miała Tania wielu wielbicieli, lecz nic z ich postępowania nie widziała w Jerzym, który był z nią jak z towarzyszem, bez cieniu zalecania się. Nie szczędził jej uwag i mówił prawdę prosto w oczy.

Odetchnęła swobodnie, gdy Jerzy, skończywszy czytanie, oświadczył, że referat wcale nie głupi, a zaznaczył ołówkiem niektóre skrócenia i poprawki.

Podczas ich rozmowy weszli Zina i Andrzej.

Ujrzawszy Zinę, panienska natychmiast zapomniała referat, Jerzego i o niczem nie myślała, tylko namiętnie współczuła w jej nieszczęściu. Znała przywiązanie Ziny do Borysa, a teraz widziała ją pierwszy raz po nieudanej i daremnej podróży do Dubrownika.

Pytającym i przełkniętym wyrazem dużych, wyrazistych swych ocz rzuciła się Tania w objęcia przyjaciółki z dziewczęcą czułością. Spokojne zaś lico młodej niewiasty nie okazało żadnego wzruszenia. Patrząc w tej chwili na obiedwie, można było sądzić, że Tania ma troskę i zmartwienie, a Zina przyszła ją pocieszyć. Głębokie, siwe oczy Ziny twardo spoglądały w pełny politowania wzrok Tani; pięknego jej czoła, zasłoniętego bujnym włosom, nic nie zachmurzało, a radosny uśmiech mówił, jak jej miło widzieć Tanię.

Ta ze swej strony uspokoiła się, czego bardzo pragnęła. Smutek i zgryzoty nie licują z optymizmem młodego wieku.

— Żywię nadzieję — rzekła Zina, witając się serdecznie z Tanią — że Grzegorz Aleksandrowicz jest w domu?

— Tak, rozmawia z Krzywołuckim. Uciekliśmy tutaj, żeby nie przeszkadzać ich dyskusji. Teraz możemy w liczniejszym gronie ich zaskoczyć.

Jerzy przedstawił Andrzeja.

— Tatiano Grzegorzówna, oto mój towarzysz; proszę dla niego o waszą życzliwość.

— Już ją posiada — odrzekła dziewczeczka, podając Andrzejowi rękę z uderzającą gracją.

Pokazało się, że Repin z Krzywołuckim odosobnili się w gabinecie, gdzie siedzieli w obłokach dymu.

Andrzeja przedstawiono jako Petrowa, chociaż właściwe jego nazwisko znane było i Repinowi i Krzywołuckiemu, który umyślnie teraz był przyszedł, dla poznania się z nim.

Adwokat radośnie powitał Andrzeja. Między starszymi emigrantami miał Repin towarzyszków młodości i pragnął wiedzieć, jak się miewają na obczyźnie. Andrzej znał niektórych osobiście, a słyszał od przyjaciół o innych. Wogóle emigrantów Rosyan niewiele było wtenczas za granicą, a najwięcej rówieśników Repina i ci byli przeważnie znani. Pracowali wiele, każdy w swoim kierunku, rozdzieleni po większej części politycznymi niesnaskami, a życie im upływało dość jednostronnie.

— Obawiam się — rzekł gospodarz — że tutaj nie okaże się wam życie bardzo jednostronnem.

Rozmowa stała się powszechną. Repin przebywał w Szwajcaryi za czasów Herzena i wspomniał o miłych wrażeniach, jakie dotąd zachował.

— Jaki to ciężki będzie dla was kontrast — mówił do Andrzeja. — Po dłuższem przyzwyczajeniu się do zupełnej swobody, znaleźć się naraz tu, gdzie trudno słowo wymówić bez obawy przed łapą żandarma.

— Tak — rzekł Andrzej — ale ja cierpieć na tem nie będę. Bądź co bądź zawsze przyjemniej mi tutaj, niżli tam.

Repin niedowierzająco pokręcił głową. Wzruszony był, poniekąd zawstydzony, widząc tego młodego człowieka pełnego sił i energii, przybywającego z drugiego końca Europy do tego nieszczęsnego grodu, pełnego szpiegów i policyi, by opłacić swem życiem piękne marzenia. Popatrzył na niego i jego przyjaciół, ponownie głową potrząsając.

— Nie mówcie tego -- zawołał. — Żyć pod ciągłą grozą, nie mieć ani minuty spokoju i pewności bezpieczeństwa przez dzień cały; budzić się w nocy za lada szmerem z myślą, że oto może ostatnia wasza godzina; to przecie jest straszne!

Repin wypowiedział to zdanie tonem takiego przekonania, a przedstawiony przezeń obraz był tak dalekim od rzeczywistości, że ci, których to miało dotyczyć, wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Wybaczcie — odezwał się Andrzej — ale użyłście do tego obrazu zanadto jaskrawych farb.

Repin wcale się nie obraził, a raczej zainteresował jako badacz ludzkiej natury. Wybuch serdecznego śmiechu był wymowniejszym, niż wszelkie dowody.

— Czy nie zechcecie mi wierzyć — rzekł — iż niebezpieczeństwa, otaczające nas na każdym kroku, wcale wam nie powinny być obojętne? Pytanie to zwrócił wzrokiem do wszystkich, lecz najwyraźniej do Ziny, siedzącej na końcu otaczającego go półkola.

— Zanadto często — odrzekła z cieniem boleści w wyrazie twarzy — zanadto często powtarzają się te niebezpieczeństwa Grzegorzowi Aleksandrowiczowi, a człowiek w nieszczęściu przyzwyczaja się.

Nie do darowania roztargnienie było przyczyną główną tragedii w Dubrowniku, za którą Borys pokutował.

Ale ten cień bolesny znikł tak naturalnie, jak był się pojawił, i siwe oczy Ziny spoglądały znów jasno i śmiało, jak zwykle.

Wspomnienie niedawnej a ciężkiej straty, jaką poniosła, nie opuszczało jej ani na chwilę, ale nie można było przypuszczać, żeby jej zewnętrzny spokój był maską. Każdy jej głos, każdy rys twarzy wyrażały taką szczerłość, że i jej stoicyzm nie był sztucznym, ale całkiem naturalnym. Pochodziło to także z dawno nabytego przyzwyczajenia. W świecie, w którym przebywała, zawsze troje u jednego, dzieliło się serce w takich nieszczęściach. Gdyby nie panowali nad nerwami, to życie ich stałoby się nieznośnem, a wszelka praca za trudną.

Tego dnia Zina nie była w rozmownem usposobieniu, lecz brała udział w dyskusjach z tą samą prostotą i przytomnością, z jaką spełniała wszystkie codzienne swe obowiązki. Podtrzymywała Jerzego w usiłowaniach wyjaśnienia gospodarzowi domu, jakim jest życie »nielegalnych« i jak oni używają obrony praw.

— Weźcie naprzykład siebie — mówił do Repina. — Czy macie przekonanie, że dziś w nocy nie wtargnie policya do waszego domu? Wydaliliście urzędnika złodzieja, a czy on nie może zemścić się, oskarżając was o ukrywanie terrorystów? Powiedzieć mogliście coś przeciw rządowi i wie o tem Trzeci Oddział, albo też przed laty jeszcze napisaliście coś w tym rodzaju przyjacielowi i teraz list ten znaleziono podczas rewizyi u niego... Czyż wam się coś z tego nie mogło wydarzyć?

Repin przyznawał się do takich czynów.

— Nie powinniście zatem spać spokojnie, gdyż mogą was i tej nocy aresztować, a jutro znajdziecie się w drodze do Archangielska, albo do bardziej oddalonego, a nie zbyt miłego miejsca.

Z uśmiechem odparł adwokat, iż ma nadzieję, że nic mu się podobnego nie wydarzy, lecz oczywiście za nic ręczyć nie można.

— A my możemy! — zawołał Jerzy, tryumfując żartobliwie. — Zmywamy wszystkie nasze winy, gdy

spaliwszy stare paszporty, zjawiamy się z nowymi. Z dobrym w kieszeni i głową do góry możemy żyć spokojnie. Ja będę niedługo święcił czwartą rocznicę mojego nielegalnego jestestwa.

— Toś, zdaje się — wtrącił Andrzej — przeżył drugą dozę lat na czyjś rachunek, obliczono bowiem, że każdy nielegalny żyje przeciętnie w tym stanie lat dwa.

— Można pociągnąć dłużej, nie leniąc się zmian paszportu — zauważył Jerzy.

Zawezwano do herbaty i wszyscy przeszli do jadalni.

— Pozostańcie zemną chwilkę, Zenejdo Piotrówno — rzekł Repin — muszę was o coś zapytać. Tania, każ nam tutaj podać herbatę.

Pragnął wypytać się o szczegóły dotyczące jej męża i dowiedzieć się, czy nie może mu być przydatnym.

Zina nic mu nowego powiedzieć nie mogła; sprawa nie ruszała się z miejsca, ale bardzo radą była pomówić na osobności z adwokatem. Potrzeba było zająć się losem siostr Poliwanowych, które można było wydostać z więzienia za poręczeniem dwóch osób, które należało o to uprosić, tem skorzej, ile że obiedwie, po dwóch latach zamknięcia, rozchorowały się, a nie posiadano żadnych dowodów ich winy. Zina wyraziła nadzieję, że Repin poręczy za jedną i postara się o sobie podobnego dla drugiej. Ponadto prosiła o wywiedzenie się u prokuratora o procesie ostatnio aresztowanych, których los jest całkiem nieznanym i nie wiadomo, gdzie są wysłani.

Z jadalni dochodziły wesołe głosy i śmiech młodzieży. Jerzy wiódł spór z Krzywołućkim o ulubionym przedmiocie profesora, twierdzącego, że niema nadziei na podniesienie stanu robotniczego w Rosyi, jak długo cała masa chłopów nie zamieni się w proletaryat pod jarzmo kapitalistów.

Jerzy mówił, a tamci słuchali. Tania, jako nowicyuszka, starała się z natężoną uwagą wnikać w głębo-

kie rozprawy profesora, Andrzej zaś z ciekawością obserwował ten nowy typ uczonego doktrynerstwa. Od chwili do chwili stawiał Krzywołuckiemu pytania, ale pozostawiał przyjacielowi główną rolę w dyskusji. Jerzy był świetnym polemikiem, a rozważna pamięć pozwalała mu zapominać wszystkie drobnostki przytaczane przez oponenta. Zainteresowanie się przedmiotem rychło opuściło Andrzeja; nie miał tej namiętności w sporach, jaka cechuje Rosyan i ich energię, nie znajdującą swobodnego dla siebie ujścia.

Ucieszył się, gdy Zina, zakończywszy poufną rozmowę z adwokatem, oczywiście zadowolona z jej rezultatów, pojawiła się we drzwiach i Repin za nią.

— No cóż — zapytał tenże — jak sprawy stoją? Rozstrzygnęliście już losy całej Rosyi, czyli też pozostają jeszcze jakie wątpliwości?

Jerzy zmarszczył czoło na znak niezadowolenia z tego żartobliwego tonu; natomiast Andrzej odpowiedział Repinowi, wyjaśniając, w jak ciemną przepaść wprowadza Rosyę jego uczonego przyjaciel.

Przybyli nowi goście: Orest Padowikow, literat, z żoną, i dali inny kierunek rozmowie, w której Andrzej nie wziął udziału, a zbliżył się do Ziny i Tani.

— Pomóżcie nam — rzekła Tania — zatrzymać ją jeszcze.

— Czy macie wyjść Zino? — spytał Andrzej. — Jeszcze wczesna godzina.

— Muszę pójść na Baskowy zaułek.

— Zostańcie jeszcze — prosiła Tania, objąwszy Zinę uściskami i łaszcząc się do niej jak kotka.

Zina uśmiechnęła się uroczo, tłumacząc, że musi o oznaczonej godzinie spotkać się z dozorcą więziennym, mającym przynieść jej listy od zamkniętych.

— Nie, gołąbko moja — mówiła, całując liczko Tani — nie mogę tego odkładać do jutra, inaczej chę-

tnie zostałam tu z wami. Przyjdę w sobotę wśród dnia, a teraz odejść już muszę.

Wyszła, uśmiechnąwszy się raz jeszcze na pożegnanie. Pokazało się, że jej obecność wznosiła na wyższy poziom całe otoczenie. Tania i Andrzej poczuli się bardziej do siebie zbliżonymi wspólną sympatyą dla Ziny.

— Czy dawno się znacie z Zenejdą Piotrówną? — Zapytał Andrzej.

— Pierwszy raz spotkałam się z nią, gdy uszła z więzienia; od jej jednak dopiero zamieszkania w Petersburgu bliżej ją poznałam i pojęłam, co to za kobieta — z uniesieniem odparła Tania.

— Nie często przyjdzie mi z wami się widywać, a jeśli nie weźmiecie za złe mej prośby, to pomówny teraz ze sobą — przemówił Andrzej po chwili.

— I owszem, siądźmy na uboczu — odpowiedziała.

— Wy już dla mnie nie obcą — ciągnął Andrzej — mogę powiedzieć, że mnie znał przed przedstawieniem się; Jerzy dużo mi o was mówił i bardzo pochlebnie.

Zarumieniła się Tania, przykro dotknięta i odrazu zmieniło się jej usposobienie dla gościa.

— Odpląć wam za wasz komplement — rzekła — bom naprawdę więcej o was słyszała niż wy o mnie i to od wielu osób, tak że moje wiadomości są o wiele obszerniejsze niż wasze.

— Tem lepiej — żywo zawołał Andrzej — da mi to bowiem prawo żądania nagrody.

Taka zimna krew nie mogła zmiękczyć panienki; zmarszczyła jasne swoje czoło, na którym żadna troska ni gorycz nie poczyniła jeszcze śladów. Przyzwyczajona była spotykać pokorny szacunek ze strony młodych ludzi i nie myślała o wyjątku dla człowieka istotnie całkiem obcego. Zaczęła żałować, iż od pierwszej chwili nie stanęła z nim na bardziej oficjalnej stopie.

Czytając jej myśli z twarzy, odezwał się Andrzej:

— Gniewacie się na siebie, Tatiano Grzegorzówna, za waszą dobroć dla mnie i sądzicie, iż ja jej nadużyję. Może macie słusność, ale należy być pobłażliwą dla nas. Życie rewolucjonisty jest krótkie i możliwość towarzyskiej rozmowy rzadko przypada mu w udziale. Trzeba nam wybaczać, jeżeli usiłujemy korzystać jak najwięcej z takich chwil, odsuwając nieraz nabok używane formalności. Czy więc pozwolicie mi mówić otwarcie, tak, jakbym rozmawiał z towarzyszem?

Lody pękły. Spokojny ton słów szczególnego gościa poruszył czułe serce dziewczeczki i roztopił jej świątowość. Zawstydziała się swojej powściągliwości i odczuła, że nieodpowiednio z nim postępuje.

— Tak — zawołała z pewnym zapałem, patrząc mu w oczy. — Mówcie, ile chcecie.

Zdziwił się Andrzej sam swoją radością z jej zgody. Odkrywał w młodej panience strony, o których Jerzy mu nie wspominał, a które szczególnie go ujmowały, niezależnie od roli, jaką mogła odegrać w życiu jego przyjaciela.

Zaczął więc wypytywać o jej obecne zajęcia, o polityczne poglądy, zdania i plany na przyszłość. Mieszały i trwożyły ją te pytania, lecz jednocześnie były jej miłe i nie sprzeciwiała się szczególnemu wpływowi tego człowieka. Po pierwszym kwadransie było jej dobrze z nim i rozmawiali jak dawni bliscy znajomi.

Zbliżył się Jerzy do nich, ulegając magnetycznej sile, pociągającej go do Tani, lecz po chwili zostawił ich znów samych. Pragnął, żeby się zaprzyjaźnili, więc ofiarnie się usuwał, by nie przerywać ich rozmowy. Zadawałniał się spoglądaniem na nią zdaleka, a szybko przymykał oczy, gdy się spotkały z uśmiechniętym nieco wzrokiem Andrzeja.

Przed dwunastą pożegnali się Andrzej i Jerzy, a za nimi całe towarzystwo.

Tania weszła do swego pokoju, przejęta miłemi wrażeniami wieczoru. Zdjęła elegancką swoją suknię, zanadto piękną i kosztowną dla panienki z jej poglądami, za które to parady upominał ją Jerzy. Siadła przed dużem lustrem i powoli rozczesywała swe długie, krucze włosy. Zadowolona była z nowej znajomości; życzenie takiego człowieka, jak Kożuchow, by zostać jej przyjacielem, schlebiało bardzo jej młodziutkiej miłości własnej.

— Jak on zabawnie patrzył na mnie, prosząc o pozwolenie postępowania zemną jak z towarzyszem! — zawołała sama do siebie, śmiejąc się serdecznie i pokazując w lustrze dwa rzędy bielutkich, drobnych zębów i parę błyszczących, czarnych oczu.

Inny jednak kierunek przybrały jej myśli, gdy sobie przypomniała szczegóły niezwykłej rozmowy. Kożuchow był pierwszym otwartym rewolucjonistą, z jakim się spotykała. Jerzy był w gruncie rzeczy tęższym, lecz był wyjątkową osobistością, do której nie należało przykładać zwykłej miary. Dlaczegoż ją Kożuchow tak zajął? Osobiście niczem ona nie była dla niego, lecz jako konspirator chciał się przekonać, czy można ją do partyi pociągnąć. Przedstawiała w jego oczach możliwy pożytek, więc przyszedł ją oceniać; ot i wszystko! Myśl ta rozgoryczyła Tanię i wzbudziła gniew na siebie samą. Nie mogła sobie wybaczyć, że dopomagała mu nawet do tych badań. Ale zaskoczył ją niespodziewanie; na drugi raz ona go nauczy. Obraz Jerzego obudził w niej żal i skruchę; zaczynała cenić jego przywiązanie i delikatną troskliwość, w porównaniu z tym Kożuchowem.

Zaledwie wyszli z domu Repina, Jerzy uchwycił ramię Andrzeja i wzruszonym głosem zapytał:

— Powiedz mi, jak ci się podoba Tatiana Grzegorzówna?

— Podobała się — było spokojną odpowiedzią.

Jerzy wysunął rękę z pod ramienia przyjaciela i odwrócił głowę w milczącym gniewie. Taką to była nagroda za ofiarowanie się przez cały wieczór! Czuł się urażonym i rozgoryczonym, ale przez krótką chwilę, po której znajdował usprawiedliwienia dla przyjaciela: Nie należy żądać rozpoznania charakteru po kilku rozmowach. Gdy jednak Andrzej nie wszczynał rozmowy o panience, więc Jerzy wziął to zadanie na siebie, a temat przedstawiał się wdzięcznie i różnorodnie.

Andrzej był doskonałym słuchaczem; pojmował pół-słówka i mało kiedy zaprzeczał. Ta okoliczność była jedną z pierwszych podstaw ich przyjaźni. Słuchał go też i teraz ze zwykłą uwagą, jednakże nie we wszystkim z nim się godził.

— Siła charakteru! — przerwał on Jerzemu. — Jeśli ją posiada, to pewnie w znaczeniu, jak ty ją rozumiesz.

Jerzy się uśmiechnął do tego określenia i rzekł:

— Widzę, że jej całkiem nie znasz.

— Być może — odpowiedział Andrzej — mnie się jednak zdaje, że ją już poznał.

— Mami ciebie niewątpliwie delikatność jej obejścia, a to jest właściwe światowej panience.

— Ty ją zaliczasz do światowych? Mnie się zaś ona przedstawia przeciwnie, jako prosta i naturalna, prawdziwa rosyjska dziewczeczka, to i nic więcej!

— Więc nic więcej? To znaczy, że ci się ona wcale nie podobała, a mówiłeś, że tak?

Andrzej się roześmiał i mówił wesoło:

— Mylisz się, przyjacielu. I żeby ci dowieść, że mi się ona istotnie podoba, oświadczam teraz, że jeśli pokocha ciebie tak, jak ty ją, to ja bez wahania daję wam moje ojcowskie błogosławieństwo.

Pierwszy to raz dotykał Andrzej tak prosto spraw sercowych Jerzego, bo dotąd potrzebował go widzieć razem z Tanią, żeby się przekonać i upewnić. Wiedział,

że bardzo często »owe głupoty«, jak on określał miłość, mogą się poważnie rozwinąć przy dobroczynnem wmieszaniu się i zachęcie z boku. Zobaczywszy ich razem, nie żywił żadnej wątpliwości, więc nie uznawał potrzeby usuwania się od otwartej i szczerzej z nim rozmowy.

Nie domyślał się młody filozof, że »owe głupoty« zapuszczają korzenie w jego własnem sercu i że jedynym środkiem uchronienia się od zgubnego jadu byłoby, nigdy więcej nie widzieć tych czarnych, ognistych ócz, pięknej główki i czarownego uśmiechu.

Nikt mu jednak tego nie poradził, a w sercu panował dziwny spokój, przeto Andrzej wcale się nie oddalał od pokus. Przestał nadto w tej chwili myśleć o Tani, zajęty innym przedmiotem.

Przez jakiś czas już słyszał za sobą jednostajne a podejrzane kroki i nie wątpił, że w ślad za nimi szpieg postępuje. Nie wspomniał o tem Jerzemu, bo wiedział, że ten zaraz głowę odwróci i sprawę tem jednym pogorszy. Wziął go pod rękę i przyspieszył kroku, jakby w zapale żywej rozmowy. Idący za nimi szedł również szybciej, a Andrzej na próbę zwolnił, co i tamten uczynił. Nie ulegało wątpliwości, iż mieli za sobą szpiega, ale głupiego. Andrzej przypuszczał, iż to był jeden z wąłesających się bez celu, który mógł podchwycić jakieś zdanie z ich rozmowy. Nie zatrwożył się wcale, lecz uznał, że pozbyć się trzeba natręta, tem prędzej, ile że zbliżali się do mieszkania Jerzego.

— Za nami idzie szpieg — szepnął towarzyszowi — lecz nie zwracaj na to uwagi. Rozejdziemy się na końcu ulicy i ja go biorę na siebie; mam dalej do domu, aniżeli ty.

— Dobrze — odparł Jerzy, kiwnąwszy głową.

Od rogu ulicy Jerzy poszedł do siebie, Andrzej zaś zatrzymał się, by zapalić papierosa. Domysły wszelkie ustały, gdy obejrzał swego przewodnika: Draęal, z wiel-

kiemi, czerwonymi łapami, rudymi włosami i takąż brodą, nosił na twarzy piętno swej profesyi, z charakterystycznym, wystraszonem wyrazem, który daremnie usiłował czynić naturalnym.

Szpiegowi wypadło wybierać za kim pójść i przez parę sekund się zastanawiał. Andrzej był starszym od Jerzego i pretendował do poważniejszego wyglądu; był też przekonany, że wybór padnie na niego. Takby się stało, gdyby nie to, że Andrzej za długo zapalał zapałki jedną po drugiej i szpieg zakłopotany oczekiwaniem, skierował się za Jerzym. Widząc to Andrzej, poszedł w ślady za nim.

Nie miłe to było położenie mieć jednego wroga przed, a drugiego za sobą; nieprzyjemne nawet dla śmiałego policyanta, na odludnej zwłaszcza ulicy. Zatrzymał się więc nieszczęsny i udawał, że czyta afisz, a Andrzej spokojnie przeszedł koło niego, paląc papierosa. Po jakich dziesięciu krokach usłyszał go znów za sobą, czego też się spodziewał. Szedł dalej o wiele powolniej niż Jerzy, który już mu znikł z oczu, a szedł, oglądając się za dorożką.

Postanowił dać się śledzić po pustych ulicach i wsiąść do dorożki tam, gdzie napotka jedną jedyną, a dać się zawieść daleko od szpiega. Ale ujrzał się zwolnionym od tego trudu i wydatku, bo ucichły kroki jego prześladowcy, który poznavszy, że jest poznanym, zaniechał dalszego szpiegowania. Andrzej się przekonał, że całe to zdarzenie nie miało żadnej poważnej podstawy; ale czy się nie mylił?

Wszedłszy do domu, prędko drzwi z wewnątrz zamknął, żeby go nikt z nienacka nie podszedł i opatrzył nabity rewolwer oraz kindżał, które zawsze nosił na pasku pod surdudem.

ROZDZIAŁ VII.

Pierwsze odznaczenie się Tatiany.

W krótkiej chwili po usunięciu się z domu adwokata niebezpiecznych gości, wkroczyła policya.

Repin nie był tchórzem, lecz dreszcz go przeszedł na widok znieawidzonych mundurów w mieszkaniu swoim. Pierwszą jego myślą było to, że obu młodych ludzi zaaresztowano na ulicy i że rewizya u niego ma być skutkiem tego schwycenia. Odezwanie się jednak żandarmów uspokoiło go. Nieproszone odwiedziny wywołane zostały smutnemi podejrzeniami, których źródła nie mógł się domyślać. Zbieg tych okoliczności z przybyciem dwóch rewolucjonistów był oczywiście przypadkowym. Repin swobodnie odetchnął; sam nie miał żadnego powodu do obaw.

Żandarmi przerzucili dom cały, lecz nie znaleźli nic kompromitującego i odeszli o trzeciej z rana. Dla wysokiego swego społecznego stanowiska nie był Repin aresztowanym, a musiał tylko w cyrkule odpowiadać na głupie i natarczywe pytania. Zostawiono go w spokoju, nic się nie dowiedziawszy, ale policya nie przestawała baczenie domu jego pilnować. Wyśledzenie przez szpiegów odwiedzin Jerzego lub Ziny mogłoby pociągnąć za sobą złe skutki dla wszystkich. Nieodzowne było natychmiastowe zawiadomienie ich o tem, więc Tania musiała

nazajutrz dotrzeć do siedziby rewolucjonistów, by uprzedzić ich o niebezpieczeństwie.

Wyruszyła z wrażeniami młodej istoty, której po raz pierwszy poruczono spełnienie ważnego zadania. Prawdopodobnem się jej zdawało, że będą obserwować każdego wychodzącego z ich domu i przelekła się, by zamiast przestrogi, szpiega towarzyszom nie sprowadzić. Jak ubiedz bystre oczy policyi? Przepelniona fantastyczno-przesadnemi pojęciami o nadnaturalnej wszechobecności i zwinności policyi, nie wiedziała, jak się przekonać, czy śledzą za nią lub nie. Ubrawszy się inaczej, niż zwykle, wyszła na ulicę w chwili, w której stojący tam ktoś podejrzany, przeszedł w zaułek. Ale kto wie? Może być, że po za drogą stoi pod oknem drugi szpieg i spostrzegłszy ją, da znać tamtemu. Szybko przeszła ulicę, by ująć od spostrzeżeń tkwiących w jej fantazyi, ale ta nie opuszczała jej. Czy mogła być pewną, że ta poważna starsza pani, idąca w tym samym co ona kierunku, nie jest także szpiegiem? Pani zwróciła się za róg ku ulicy Newskiej i ani razu nie spojrzała na dziewczkę. Dobrze, ale to może tylko podstęp i przypuszczalny damski szpieg dał znak ukryty i nie przestają śledzić za Tanią. Albo jeżeli się tu myli, to może istotny szpieg pilnuje jej z daleka, a ona o tem nie wie.

Mieszało się w głowie biednej panience, gdy naraz przypomniała sobie, że jedna z jej krewnych mieszka w przechodnim domu, mało a zwłaszcza w porannych godzinach uczęszczanym. Jeśli uda jej się przejść tamtędy bez przewodnika, to niewątpliwie uchroni się przed strasznymi stróżami Trzeciego Oddziału. Było to tak proste, iż zdziwiła się, że jej ta myśl prędzej nie przyszła do głowy. Wsiadła do dorożki, a widząc po chwili, że nikt za nią nie jedzie, zaczęła się otrząsać z obaw i przypuszczeń niebezpieczeństwa, a myśleć o dalszych swych krokach. Uda się do Jerzego. Rewolucyoniści

ukrywają zazwyczaj adresa swych mieszkań i udzielają ich tylko najbliższym. Tania należała do ich liczby, była już u niego i trafi też teraz; ale czy zastanie go w domu? Zachęciła dorożkarza do szybszej jazdy i wkrótce wysiadła przed przechodnim domem, w którym spotkała tylko dwie praczki z pełnym koszem bielizny. Tych nie posądzała o należenie do policji i spokojnie doszła do kresu wycieczki.

Jerzy był w domu, na odgłos dzwonka drzwi otworzył i radośnie wykrzyknął, widząc niespodziewanego gościa.

— Jakież szczęśliwe wiatry — mówił — przygnały was, Tatiano Grzegorzówno, do mojej przystani? Najlepsi moi przyjaciele zebrani są pod moim dachem, a was jednej nam brakowało.

Wesoły potok słów jego nie pozwolił Tani przemówić, aż ją przeprowadził do pokoju, służącego jednocześnie za salon, jadalnię i pracownię.

Siedział tam Andrzej i wysoka, nieznana Tani panna.

Była to Lena Zubow, tylko co przybyła ze Szwajcaryi. Zapoznali je ze sobą i Tania, tłumacząc się, że im przeszkadza w ważnych zapewne sprawach, opowiedziała zaraz, co ją sprowadza.

Wiadomość o rewizji u Repina przeraziła ich, lecz uspokoił dodatek, że go nie aresztowano.

— Was powitać możemy — odezwał się Andrzej do Tani — przy pierwszej politycznej czynności.

— Mogła nam się stać ostatnią — dodał Jerzy. Zwracając się do Leny mówił:

— Gdybyśmy parę minut dłużej zabawili u Repinów, bylibyśmy zamknięci.

— To samo byłoby się stało, gdyby policya cokolwiek rychlej nadeszła — objaśniał Andrzej pół poważnym, pół ironicznym tonem. — Przyszłość nasza zapisaną jest w księdze przeznaczeń, którym nikt ująć nie zdoła.

Jerzy odparł na to, że nigdy nikomu nie zaszkodzi, gdy sam przeznaczeniu dopomagać będzie i obydwaj złożyli Tani dzięki, że przysłała ich uprzedzić.

Pierwszej Lenie przyszło na myśl zapytać, jak Tania mogła wyjść z domu, niewątpliwie strzeżonego.

— Czy myślicie, że nie szli aż tu za wami? — zapytała.

— Za to ręczyć nie mogę; zdaje mi się jednak, że nie.

I opowiedziała o wszystkich swoich obawach i o chytrości, jakiej użyła, by być niepostrzeżoną.

Lena uderzyła w dłonie z poklaskiem i rzekła:

— Prześlicznie spełniłyście zadanie, Tatiano Grzegorzówno; nikt z nas lepiejby się zeń nie wywiązał.

— Czyż tak? — zapytała panienska, rumieniąc się — wcale tak nie sądziłam.

— Tem lepiej — odpowiedział jej Jerzy. — Znamionuje to w was wrodzony dar konspiracyjny.

Unosił się nad tem, że Tania dała dowód przytomności umysłu i zapobiegliwości, a radość mu sprawiało, że jego przyjaciele dzielili z nim ocenę jej czynu.

Tania wstała i zaczęła się żegnać; uznała, iż taktownie postąpi, nie pozostając dłużej.

Jerzy spojrział na nią z wyrazem głębokiego rozczarowania. Wychodziła nie zamieniwszy z nim słowa! To było zbyt srogo z jej strony. Opowiedziała o zajściach minionej nocy, ale on pragnął poznać osobiste jej wrażenia z pierwszego zetknięcia się z policją.

Tania jednak wzbraniała się siedzieć, mówiąc:

— Nie chcę przeszkadzać; wy macie wasze sprawy.

— Zostańcie, prosimy — nastawał Jerzy — my nad niczem teraz nie radzimy, więc nie troskajcie się.

Andrzej powtórzył zaproszenie Jerzego i dołączył swoje prośby. Domowi jej ojca nic teraz nie grozi, a tak nie pewne następne ich spotkanie.

Andrzej prawie nie rozmawiał z Tanią, pozostawiając ją opiece Jerzego i pozornie mało zwracając na nią

uwagi. Obecność jednak Tani przepełniała go uczuciem radości, podobnie do światła słonecznego lub do pięknego krajobrazu, podczas gdy myśli czem innym są zajęte.

Gdy wreszcie wyszła, tłumacząc się, że ojciec będzie niespokojny, Andrzejowi wydało się mieszkanie jak zaciemnione.

— Jaka miła twarzyczka — zauważyła Lena.

Andrzej z uśmiechem odrzekł:

— Ja nie wiem. Spytajcie Jerzego o jego zdanie. — I zamilkł, sam sobie potwierdzając słowa Leny.

Wkrótce potem, podczas dalszej ich rozmowy nadeszła Zina z Wasylem Wierzbickim, tylko co przybyłym ze Szwajcaryi za staraniem Andrzeja. Oboje byli mocno wzburzeni.

— Co się stało? — zawołał Jerzy.

Zina pokazała im list z Dubrownika, pełen żalonych szczegółów o postępowaniu z politycznymi więźniami. Doszło ono do szczytu w niesłychanym fakcie obnażenia młodej panienki, z rozkazu prokuratora, w obecności innych więźniów i żandarmów, pod tym jedynie pozorem, że przepisy nakazują dokładny rysopis każdego.

Odczytanie tego listu wywołało długie milczenie, a utajona myśl zemsty opanowała każdego z obecnych.

— Tego nie można zostawić bezkarnie! Należy wywołać przykłądną rozprawę! — Zawołali jednocześnie Lena i Jerzy.

— Tego też pragną nasi w Dubrowniku — dodała Zina. — Proszą nadto, żeby im przysłać doświadczoną kobietę i mężczyznę z zimną krwią a twardą ręką.

— Jestem do ich usług — odezwał się Andrzej.

— Nie — sprzeciwił się Wasyl, dodając swym miękkim i powolnym głosem — idąc tu, oświadczyłem Zinie, że ja jadę.

Zina to potwierdziła i tłumaczyła dalej, iż nie rozchodzi się tu o pierwszeństwo jednego przed drugim,

lecz Andrzej miał już tu rozpoczęte czynności i zadania, a Wasyl dopiero co przybył i jak raz wskazany jest do czekających spraw w Dubrowniku. Jej zdanie było decydującem.

— Niech tak będzie — odpowiedział Andrzej — lecz przy potrzebie dalszej pomocy zawezwijcie mnie.

Wybór kobiety nie podlegał kwestyi. Zina już tam była i wszystkie prawa oraz potrzebne zalety ona głównie posiadała. Zatwierdzić należało jeszcze wyjazd obojga na posiedzeniu komitetu, co poczytano za formalność jedynie, bo nikt się temu nie sprzeciwił.

— A przez czas mojej nieobecności — zapytała Lenę Zina — wszak zajmiecie moje tutaj miejsce?

Po otrzymaniu odpowiedzi Leny, że najchętniej zaraz podejmie przerwane jej zajęcie, wyjaśniała Zina jego rozmiary, polegające na propagandzie między młodzieżą i robotnikami, oraz na korespondencji z zamkniętymi więźniami w fortecy.

— Nie wiem — zauważyła Lena wahająco — czy dam temu radę, zwłaszcza korespondencji tej, o której nie mam żadnego pojęcia.

Jerzy podjął się tego ostatniego zadania i obiecał dopomagać w tamtych, mówiąc:

— Wy rychło zapuścicie wszędzie korzenie. Jutro pójdziemy do zaprzyjaźnionego ze mną studenta, członka jednego z kółek i przez niego poznacie innych. W drugim kółku macie już znajomą.

— Kogo?

— Tatianę Repin, która niedawno wyszła od nas.

— To bardzo przyjemnie — rzekła Lena.

— Tania była tutaj? Cóż się stało? — zapytała Zina.

Wiadomości z Dubrownika kazały na chwilę zapomnieć o mniej ważnym wypadku, o rewizyi u Repina, ale Zinę on żywo przejął.

— Czy Repin zna powód rewizyi? — Zapytała.

— Nie — odrzekł Jerzy — nie podali mu go i my też nie możemy pojąć, skąd to na niego spadło.

— A mnie się zdaje, że coś wiem o tem — zauważyła Zina. — Jest to w związku z aresztowaniami w Dubrowniku. W liście stamtąd nadeszłym jest pewna wzmianka, dotąd dla mnie niejasna. Mowa jest o uwięzieniu adwokata Nowakowskiego, blizkiego, jak się zdaje, znajomego Repina i polecają mi, bym uprzedziła »Pandeakta numer pierwszy«. Nie mogłam się żadną miarą domyśleć, kogo oni tem mianem rozumieją. Teraz widzę, że się to odnosi do Repina. Tak to się wychodzi zawsze przy nadmiarze gorliwości w konspiracyach.

— Bylibyście — wtrącił Andrzej — nie zdążyli go uprzedzić, nawet przy jasnym zrozumieniu odrazu. Nakaz rewizyi u Repina musiał być nadany telegraficznie. A zresztą nic mu się złego nie stało i nie mamy się czem rozgoryczać.

— Ale ja się obawiać muszę, że na tem nie koniec. Nowakowskiego sprawa jest zagmatwana i mogą odkryć lada chwila złe rzeczy. Wówczas ponownie zabiorą się do Repina, bodaj czy nie z poważniejszym rezultatem. Trzeba go uprzedzić, żeby nie zasypiał złudną nieprzeornością.

Nierozsądnie byłoby komukolwiek z zebranych pójść teraz do Repina, więc postanowiono napisać do niego za pośrednictwem Krzywołuckiego.

ROZDZIAŁ VIII.

Rozpamiętywania Repina.

Zina wyjechała w oznaczonym terminie z Wierzbickim do Dubrownika i w dni kilka później nadeszła wiadomość o szczęśliwym ich przybyciu. Następnie po upływie dni dziesięciu doniosła Zina, że sprawy idą pomyślnie i że »rachunki będą wkrótce załatwione«. Tak się jednak nie powiodło, ani na razie, ani później. Zdarzyło się, że prokurator, który wydał bezecne rozporządzenie, otrzymał wyrok śmierci. Opanowany panicznym strachem, opuścił miasto pod pozorem raptownej choroby, a w miesiąc potem rozeszła się wieść o jego dobrowolnej dymisji. Prawidłętem było u terrorystów, by schodzącego ze sceny zostawiać w spokoju i nie spełniać wyroków na nieszkodliwym, dla samej jedynie zemsty. Niejednemu tchórzowi udało się tym sposobem ocalić sobie życie.

Grupa jednak zorganizowana dla dzieła zemsty, nie została rozwiązana. Pozostając na miejscu, mieli konspiratorskie centrum, szyldwachów i całe pogotowie, więc otrzymali polecenie przedsięwzięcia bardzo trudnego dzieła, mianowicie oswobodzenia trzech rewolucjonistów: Borysa, Lewszyna i Kleina, siedzących w więzieniu Dubrownika, w oczekiwaniu rozprawy sądowej. Zina doniosła o tem petersburczanom, którzy gorąco pochwalili-

szy ten nowy plan, obiecali towarzyszom pomoc w zasiłkach pieniężnych i ludziach.

Andrzej codziennie oczekiwał wezwania z Dubrownika, lecz nie dziwił się, gdy takowe nie nadchodziło, bo umówiono, że Zina kierująca przygotowaniem, nie wezwie go przed ostateczną potrzebą, a wiedział z doświadczenia, jak trudne są w spełnieniu takie zamiary.

W Petersburgu było pusto i nudno, jak zwykle w letnich miesiącach. Dokuczliwy upał krótkich dni, wypędza z przesyconego miazmatami miasta każdego, kto może gdzieindziej odetchnąć świeżym powietrzem. Tak klasy robocze jak inteligentne spieszą na wieś, dla zarobku jedni a odpoczynku drudzy, a ruch w stolicy słabnie we wszystkich gałęziach życia. Rewolucya jak wszystko inne, spoczywa w tej gorącej porze roku i ich żarliwe elementa rozsiewają się na wsze strony.

W tym roku jednak lato było bardziej ożywione niż zwykle, dzięki głównie propagandzie między robotnikami fabrycznymi, których nie brak w stolicy zimą i latem. Andrzej poświęcił temu dziełu całą swoją energię, dopokąd nie zostanie przeznaczonym do innej roboty. Dawniej zajmował się on już gorliwie klasą robotników, miał tam wielu znajomych i tych zastał po powrocie do Petersburga, przyjęty jak stary przyjaciel tak, że w dwa tygodnie zżył się ponownie z nimi. Lubił być za prostotę w stosunkach z ludźmi i za poważne przejęcie się sprawą; słuchano go z zajęciem. W tem przedstawiał Andrzej zupełne przeciwieństwo z Jerzym, bo ten poczytywał jako odpowiedniejszą dla siebie sferę studentów i ludzi inteligentnych, w których błyszczące zalety, większy wywoływały efekt.

Była to jasna, gorąca niedziela w pierwszej połowie sierpnia. Andrzej powracał z zebrania robotników na Wyborgu, znajdującym się w jego jurysdykcji. Doszedł do rzeki i spojrzął na nikielowy swój zegarek. Była

godzina szósta, więc się zamyślił czy ma pójść do siebie, czy siąść do konnej kolei, któraby go dowiozła pod same drzwi willi Repina na Czarnej Wyspie. Dzień i godzina odpowiadały możliwości tej wizyty. Nie zdecydował się jednak w pierwszej chwili, bo niedawno ich odwiedzał i roztropniej mu się wydało, nie powtarzać tego zbyt często. Ale burza zbierająca się przed dwoma miesiącami nad głową Repina, rozeszła się; wypuszczono Nowakowskiego na wolność, gdyż na szczęście, policya w Dubrowniku nie wpadła na ślady kompromitacji; Repina i dom jego pozostawiono w spokoju bez dalszych niebezpieczeństw, o ile można było w Rosyi liczyć na to.

Andrzej skierował kroki ku domowi, rozważając, co on robić będzie w pustem i ciemnem mieszkaniu. Namysły te jednak były obłudne, bo wiedział, że nie dojdzie do domu. Po chwili też spostrzegł zbliżający się omnibus konnej kolei i wolne jedno miejsce obok konduktora, które zaraz pospiesznie zajął.

»Nie trzeba być zanadto ostrożnym, bo to psuje charakter, mówił sam do siebie. Policya na przedmieściach jest powolniejszą, opuszcza ręce i nie boi się niczego, zwłaszcza w niedzielę«.

Zgromadzenie, z którego powracał Andrzej, było bardzo udane: Rozprawiano o utworzeniu nowego rozgałęzienia w jednej z wielkich fabryk w sąsiedztwie; perspektywa przedstawiała się świetnie i chętnie też na wszystko spoglądał wzrokiem optymisty.

Przez okno wagonu patrzył na przejezdnych, nabitych jak śledzie w beczce, a niektórzy z dziećmi na kolanach. Większość w świątecznych ubraniach i z wesołymi wyrazami twarzy: urzędnicy, drobni kupcy i tacy, którzy nie mieli za co przebywać na letnich mieszkaniach, korzystali z pogody do dalszych przechadzek. Andrzej wiedział, że w parku będzie muzyka, pomyślał, że Tania skorzysta z towarzysza, gdy ojciec jej pracą

zajęty, więc obiecywał sobie spędzić miły wieczór. Od początku poznania się ich, t. j. od dwóch miesięcy, widywał on Tanię co tydzień; z początku przypadkowo, a potem dzięki korzystnym dlań kombinacyom. Z przejazdem Repinów na Czarną Wyspę spotykali się jeszcze częściej, bo swoboda letników z pod oczu policyi zmniejszała potrzeby ostrożności, więc większość wolnych wieczorów spędzał Andrzej albo u Repinów, albo u w pobliżu zamieszkałej także na lato Leny Zubow, gdzie Tania częstym była gościem.

Starszeństwo Andrzeja i nabyte doświadczenie życiowe sprawiały, iż Tania dzieckiem mu się wydawała; ale mieli wspólne gusta, pokrewne umysły i jakieś intuicyjne wzajemne pojęcia tak, że obcowanie z nią miało dla niego wiele powabu. Nie obawiał się, by to zbliżenie z uroczą dziweczką zakłócić mogło spokój jego wewnętrzny, a on sam nie mógł Tani sobą zająć. Wiele panien »lubiło go bardzo«, lecz zawsze wychodziły za mąż, bo taki był los jego i on chętnie z nim się godził. Poczytywał miłość za szczęście — ale niebezpieczne; rewolucyoniści lepiej się bez niej obchodzić.

A zresztą, znał uczucia Jerzego i zdawało mu się od początku, że Tania jest mu wzajemną, a Jerzy był dla niego więcej niż bratem, co wykluczało wszelkie inne niż braterskie zbliżenie się. Taki się też zawiązał stosunek i taki się wzmacniał z dnia na dzień. Z wielkiem zainteresowaniem śledził postępy rozwoju tej młodej duszyczki, oraz patrzył na jej porywy, lękliwe chwiejności, trwogi i nadzieje.

Takiemu uczuciu przypisywał on swój pociąg do częstego widywania jej i smutek, gdy przeszkody pozbawiały go tej pociechy. Dziwił się takiemu ustrojowi własnej duszy, ale się niem nie przestraszał. I rzecz szczególna, myśl o uczuciu kogoś drugiego, oślepiała w nim jego własne. Trzeźwy jego stosunek do dzie-

weczki przedstawiał taki kontrast z egzaltacją przyjaciela, że niemożliwem się wydawało, by obydwaj jednakże żywili uczucia.

Jerzy rzadziej bywał na Czarnej wyspie niż Andrzej; zajęty był bardzo, w nieobecności innych towarzyszków, wydawnictwem gazety. Andrzej liczył jednak na to, że go tam dziś zastanie.

Wszedłszy w ładnie w rosyjskim stylu wybudowany domek, Andrzej zastał adwokata samego, a Tani nie było w domu. Repin wyjaśnił, że Lena po nią przyszła, a Jerzy oczekiwał ich w parku, skąd zapewne późno dopiero wieczór powrócą. Mocno rozczarowany, chciał Andrzej zaraz odejść, lecz zatrzymał go gospodarz, mówiąc:

— Odpocznijcie cokolwiek i zapalcie cygaro; ja jestem teraz wolny.

Przed nim na stoliku leżała nowa książka i nożyk z kości słoniowej do przecinania kartek.

— Skąd przychodzicie i co z wami słyhać? — Zapytał Repin. — Czy nas już wysadzacie w powietrze? Czy lonty już gotowe?

— Nic tak straszego nie przewidujemy — odparł Andrzej. — Powracam z naszego zgromadzenia robotników.

— Czy tak? To wy się zajmujecie propagandą? — Ze zdziwieniem zapytał adwokat.

— Tak jest; szczególnie w tym roku.

Repin okazał się mocno zaintrygowany.

— A czy wasze usiłowania przynoszą rezultaty?

— Niewątpliwie. Inaczej po co by pracować.

— Ludzie często daremnie a uparczywie pracują!

Szlachcic z urodzenia, wychowany w miejskiem zreformowanym otoczeniu, uznawał Repin, tak jak wielu z jego pokolenia, że przepaść między inteligencją a ludem nie jest do przebycia. Jako obrońca w wielu procesach, znał niektórych robotników i chłopów, stoją-

cych w bliskich stosunkach z ludźmi z inteligencji i to go zadziwiło jako rzecz nowa; ale jedna jaskółka, ani ich pół tuzina, nie stanowi jeszcze wiosny. Nie wierzył dotąd w możliwość łączności i rad był usłyszeć coś o tem od człowieka, oczywiście bliżej obeznanego z tą sprawą. Słuchał więc Andrzeja z wielką uwagą i dawał siwą głową znaki potwierdzającego zadowolenia.

— To już dobry początek — rzekł po chwili zadumy — a stanowi ważną część waszej roboty, jedynej jaką bez zastrzeżeń uznać mogę. Bardzo dziękuję za te wyjaśnienia.

Często odtąd rozbierali we dwójkę różne rewolucyjne i polityczne kwestye, bo z wszystkich przyjaciół córki, bywających u nich, stary adwokat najbardziej polubił Andrzeja i najchętniej z nim rozmawiał. Nie zawsze bywali oni zgodni w poglądach, lecz o wiele mniej zachodziło różnic w ich zdaniach, niż z tamtymi, tak dalece stanowczość Andrzeja zbliżała do siebie lata ich wieku.

— Czas mi już odejść — odezwał się Andrzej, wstając — przejdę się po parku, może ich spotkam, a w każdym razie, proszę złożyć moje ukłony Tatianie Grzegorzównie.

Wyszedł z pośpiechem.

Sam pozostawszy, Repin otworzył książkę, lecz już tego wieczoru nie mógł więcej czytać; własne myśli jego dalekimi były od treści książki. Zadumał się o swojej córce i o tragicznym dylemacie, w jaki go stawiają widoczne jej sympatyje do czynów rewolucyi.

Nie był on zwolennikiem takiego ruchu, jaki mu się przedstawiał. Człowiek wcześniejszej epoki, goręcej lgnął do liberalnych kroków stawianych około roku sześćdziesiątego, a związanych z nazwiskiem Hercena; chciał być wiernym tej tradycyi. Gdy jednak rewolucyoniści śmiało zaczęli występować przeciw politycznemu

despotyzmowi w Rosyi, musiał w nich widzieć zapaśników w jego własnej sprawie. Będąc zbyt starym, żeby dzielić ich nadzieje lub potwierdzać skrajne ich czyny, nie widział możliwości uchylania się od wszelkiej odpowiedzialności i obowiązków w rozpoczynającej się walce. Znadto blisko patrzył na okrucieństwa despotyzmu, żeby nie uznawać nawet dzikiego powstawania, istotnie godnego przebaczenia i moralnie usprawiedliwionego. On nie żywił ni złości ni odrazy do tych, którzy nie umieli tłumić namiętności; odczuwał dla nich pewien stopień szacunku.

Ważne jedno zdarzenie nadało było stanowczą formę nieokreślonym jego sympatyom: Wezwano Repina jako obrońcę w politycznym procesie, wówczas kiedy obwinieni mieli jeszcze prawo wzywać adwokatów. Poznał się wtenczas ze swoją klientką Ziną Łomow, śliczną dwudziestoletnią panną i z kilkoma jej towarzyszami. Teoretyczne jego przekonania wzmocniły sympatyę, jakie w nim obudziła ta odważna i szlachetna młodzież. Gdy potem, w kilka miesięcy po drakońskim, stanowczo zdaniem jego niesprawiedliwym wyroku, udała się Zinie ucieczka i zjawiła się u niego z wizytą w Petersburgu, przyjął ją otwartemi rękami i zapewnił pomoc w czem tylko zapotrzebuje. Zina spędziła dni kilka w jego domu i przy pomocy Repina, wznowiła stosunki z tymi z pomiędzy dawnych towarzyszków, którzy przebywali w stolicy w charakterze nielegalnych.

Wkrótce poznał także Repin między nimi Borysa Majewskiego, który ożenił się z Ziną. Dom adwokata był punktem zbornym petersburskiej intelligencji, a rewolucyoniści nie mogli znaleźć lepszego miejsca dla śledzenia, w braku swobodnej pracy, ustroju i poglądów szerokich warstw w Petersburgu.

Niektórzy z rewolucyonistów zaprzyjaźnili się z jego córką, widząc w niej oczywiście członka partyi.

Dobrze pojmował stary adwokat, że ich widoki nie są bezpodstawne i że nadejść może dzień, w którym ukochana jego córka pociągniętą zostanie na dno przepaści, pochłaniającej tak liczne ofiary. Nie żałowałyby własnego życia, byle ją ocalić; ale jak? Czy zabronić jej widywania rewolucjonistów i zerwać z nimi wszelkie stosunki? Ale zmuszać ją do zaniechania tego towarzystwa było także dla niego niemożliwością, tak jak sam nie mógł odmawiać im pomocy dlatego, że to dla niego niebezpiecznie. Bo i co pomogą przeczenia i sztuczne środki, gdy zaraza powietrze przepełnia? Wielu już ojców próbowało tą drogą ochronić swoje dzieci, a czegoż się doczekali? Dzieci zrywały z nimi wszelkie związki i uciekały z domu rozdrażnione i gniewne. Bądź co bądź, nie stanie on się nigdy wrogiem swej córki. On nigdy nie odmawiał jej swobody, a usiłował jedynie moralnym swoim wpływem wstrzymywać ją od nierozsądnego lub szalonego kroku. Przez jakiś czas żywił nadzieję, że mu się uda ograniczyć wpływ wypadków na nią, lecz w ostatnich dniach rozpoznał w niej zmianę, silnie go zatrwajającą. Czuł, że moment nieszczęsny, jakiego się obawiał, jest już bliski, i siedząc teraz nad otwartą książką, mocno cierpiał, uznając swoją bezsilność.

ROZDZIAŁ IX.

Przeobrażona.

Namyślił się Andrzej i postanowił iść prosto do mieszkania Leny, zamiast ich wszystkich szukać w parku. Przypuszczał niewątpliwie, że przyjdą do domu na kolację, a może ich już tam zastanie; przyspieszył więc kroku, żeby nie tracić ani minuty ze spodziewanej przyjemności.

W dniu tym jednak spotykać go miały same przeciwności. Pokazało się, że nie wrócili, i nikt nie mógł go objaśnić, kiedy powrócą. Ale popróbował jeszcze szczęścia i został w mieszkaniu, żeby się ich doczekać.

Lena zajmowała duży pokój, na średnim piętrze, skromnie umeblowany, lecz z pięknym z okna widokiem. Duża akacya zasłaniała je swoim cieniem, a cieniutkie jej listki zaledwie się poruszały w spokojnem powietrzu.

Andrzej otworzył okno, a pokój zapełnił się wkrótce zapachem ogrodu i sąsiednich pól, bo domek stał na kraju wioski. Za nim rozpościerała się daleka równina, pokryta krzakami i przecięta wąską drogą, prowadzącą do grupy niewielkich domków letnich, malowniczo odbijających na jasno-zielonym tle brzoźowego gaiku. Mięły już były jasne noce, lecz zmroki wieczorne nie były ciemne ale długotrwałe.

Nie czekał dłużej kwadransa, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwiami na dole, śmiech Jerzego na schodach i po nim głosik, silnie wstrzymujący w nim bicie serca.

Z zarumienioną twarzą i z wiankiem bławatków na głowie, była Tania piękniejszą niż kiedykolwiek. Lekka sukienka uwydatniała zgrabną jej figurkę; na lewym ramieniu zawiesiła szeroki słomiany kapelusz, który była zdjęła z głowy z powodu upału na spacerze. Andrzej pospieszył jej naprzeciw z uśmiechem.

— Ładny, jak widzę zrobiliście spacer — rzekł, patrząc na rumiane policzki.

— Tak — odpowiedziała, rzucając się w krzesło — przespacerowaliśmy się doskonale, a Jerzy rozśmieszał nas ciągle swoim opowiadaniem. Jaka szkoda żeście wcześniej nie przyszli!

— Czy szkoda dla jego opowiadań? Być może, żem je już słyszał, a jest to prawdopodobne, skoro jako stary towarzysz, chodzę z nim często w gościny.

A zwracając się do Jerzego.

— Jak się masz przyjacielu! Dawnośmy się już nie widzieli. Czy jesteś w paroksyzmie twórczości?

— Ślęczałem ciągle nad papierami — rzekł Jerzy.

— A teraz święcisz uwiecznienie dzieła?

— Tak jest; ukończyłem prace tego miesiąca i czasowo oddecham. Zadowolonia takiego doznać może ten tylko, kto doświadczył, czem jest literacka katorgia.

Tania przysłuchiwała się rozmawiającym, leniwie wsparta łokciami na poręczy krzesła.

— Jerzy — zawołała teraz — czy wam nie wstyd tak zrzedzić? Mniej niż ktokolwiek możecie na los narzekać!

— Czy rzeczywiście? — zapytał Jerzy. — Wcalem się tego nie domyślał. Powiedźcie proszę, w czem ja taki szczęśliwy? Obiecuję wszelką dobrą wolę, by zgodzić się z wami; będzie mi to wielką pociechą.

Wtem otworzyła drzwi Lena, wnosząc tacę ze szklankami, a za nią pokojówka podała samowar. Przy pomocy gości opróżniono stół z przeróżnych książek i papierów, nakryto go czystą serwetą i przygotowano wszystko do herbaty.

— Taniu, gołąbeczko — prosiła Lena — rozdaj proszę herbatę. Ja, w charakterze gospodyni, winnam zabawiać gości rozmową, a to nie łatwo.

Zasiadła w krześle zajmowanem dotąd przez Tanię i zapatrzyła się w okno, nie zwracając uwagi na gości, którzy wedle jej mniemania, daleko swobodniej sami z sobą się rozerwą.

— Tatiano Grzegorzówna — odezwał się Jerzy — jestem wciąż jeszcze w miłym oczekiwaniu; nie odpowiedzieliście na moje pytanie, postawione wam z początkiem herbacianego wrzasku.

— Jakie pytanie? — zapytała Lena.

— Dlaczego ja mam być najszczęśliwszym z ludzi?

— Czy to tak? Nie wiedziałam o tem, zauważyła Lena.

— Przemieniacie, Jerzy, moje słowa — wtrąciła Tatiana — ja wprost rzekłam, że się wam nie godzi na losy narzekać.

— Ale dlaczego? raczcie mi to wyjaśnić; czyż ja mianowicie mam być pozbawiony tej, bliżnim moim przysługującej pociechy?

— Dlaczego? — Tania powtórzyła pytanie tonem znaczącym, że on dobrze sam wie dla czego... — Dlatego — dodała śmiało — żeście mi sami powiedzieli, że skoro tylko was smutek ogarnie, to możecie go wylać w wierszowe kształty i zaraz robi się wam w duszy lekko i radośnie.

Roześmiała się Tania. Pomyślała sobie, że Jerzy udając niepojętnego, doprasza się u niej o komplement i zachciało się jej podrażnić go.

— Nie posądzałem was, Tatiano Grzegorzówno, o tyle chytryści — rzekł Jerzy. — Na drugi raz będę ostrożniejszym i jednostronnie tylko mówić z wami będę o mojem rzemiośle.

Doskonale pamiętał rozmowę, o której Tania teraz myślała. Było to po wydaniu niedużego tomiku jego wierszy, który wiele narobił hałasu w ich gronie. Poetyze te bardzo się Tani podobały i wszczęli rozmowę o artystycznych usposobieniach i wrażeniach. Słowa jego były niewątpliwie niejasno, z zamiarem urażenia go, przedstawione przez nią. Nie zamyślał jednak poprawiać Tani, a cofał się przed rozmową o tem.

Lena odłożyła na bok papierosa, a zainteresowała się moralną stroną kwestyi.

— Zdaje mi się — rzekła — że ludzie szczerze oddani wielkiemu dziełu, powinni zimno oddawać się swojej w niem roli, czy ona wielka czy mała, świetna czy skromna. Dążność do widowni, to próżność i egoizm.

Tania wyjaśniła, że nie chciała twierdzić, iżby koniecznem było dobijanie się o wybitną rolę, lecz cieszyć powinno każdego i zadawałniam, komu się ona dostanie w udziale.

— A czy się wam nie zdaje — odezwał się Andrzej, podejmując myśl Leny — że można złać się ze sprawą której służycie tak, że nie pozostanie ani miejsca ani ochoty, ani czasu dla względów przeróżnych swojego »ja«, albo dla tej części spraw obcych, należnych temu lub drugiemu z towarzyszków.

— Nie — odpowiedziała Tania po krótkim namyśle — ja nie dosięgłam tej granicy i boję się, że jej nigdy nie będę mogła dosięgnąć. Dręczyłoby mnie rozpoznanie mojej nicości i zazdrościłabym więcej obdarzonym odemnie. Jakaż dumę i zapał odczuwać musi ten, kto pozna, iż wniósł swój grosz wdowi z korzyścią dla sprawy powszechnej!

I zwróciła wzrok na Jerzego. Było to zaś spojrzenie proszące o poparcie, bo on jeden z obecnych nie wystąpił przeciw niej. Podchwyciwszy ten wzrok, Andrzej go inaczej pojął. Chciał obstawać przy wyrażonem zdaniu, lecz nie mógł wymówić ani słowa, czując, że powiedziałby nieprawdę. Czuł nadto w owej chwili, że w głębi duszy zazdrości tym, którzy nie wiedzieć dla jakich zasług, władają sercami ludzkiemi. Poznanie własnej mierności napełniło mu serce goryczą, niedoświadczaną dotychczas. Zamilkł, nie będąc w stanie walczyć przeciw temu uczuciu.

Nastała krótka przerwa w rozmowie, na co nikt nie zwrócił uwagi, a jemu wydała się ona nieskończenie męczącą i długą.

— Przypatrzcie się Andrzej — odezwała się Lena od okna — jak piękną jest ta grupa domów na jasnoczerwonym oświetleniu zachodu. Przypomina mi to widok Alpenglüh gór w Szwajcaryi.

Ucieszył się Andrzej zmianą rozmowy, a spoglądając przez okno, potwierdził zdanie Leny.

Widok był prześliczny: na lazurowym sklepieniu nieba ledwie widoczne okazywały się linie półksiężyca; jakby namalowane lekką akwarelą, białe domki oblane czerwonym blaskiem, występowały na zielonem tle gąiku; zachodzące słońce złociło brzegi obłoków, zgęszczających się w jasno purpurowej linii horyzontu.

Andrzej zwrócił się do siedzących przy stole.

Tania upuściła swój wianek i Jerzy go podniósł, prosząc by go ponownie na głowę ubrała, bo jej z nim bardzo do twarzy. Uśmiechnęła się dziewczeczka i zarumieniona spełniła prośbę, co w Andrzejku pobudziło gniew na nich oboje za takie dzieciństwo.

— Posłuchajcie Andrzejku — przerwała Lena jego smętną zadumę — mam do was prośbę.

Wskazała mu krzesło, by na niem usiadł.

— Czy możecie mi poświęcić jeden albo dwa wieczory w tygodniu?

— W jakim celu? — zapytał.

— Dla propagandy w kółkach młodzieży, gdzie bylibyście bardzo pożyteczni.

— Jaki może być ze mnie pożytek? Wiecie, że ja nie zdatny do takiej roboty i grałbym na waszych zebraniach politowania godną rolę. Zawezwijcie tam Jerzego.

— Tak chciałam — odrzekła Lena — tylko, że on ma wszystkie wieczory zajęte.

W żądaniu i słowach Leny nie było nic mogącego niepodość się Andrzejowi, lecz on był w złym humorze, więc odpowiedział opryskliwie:

— Upatrzony zostałem na zatykadło.

Lena zachnęła się niecierpliwie.

— Nie gadajcie głupstw, Andrzej, a dajcie mi jasną odpowiedź, macie czas czy nie?

— Jestem bardzo zajęty moimi robotnikami. Ale powiedźcie — dodał głosem pojednawczym — dlaczego nie macie, tak jak dotąd, prowadzić i nadal waszego dzieła bezemnie?

— Radabym tak — odrzekła — ale ubyło mi kilku członków z kółka w skutek aresztowań; ubył między innymi Mirtow.

— Rozumiem — mówił Andrzej — a nie wiedziałem, że on był jednym z waszej grupy. Nigdy się z nim nie spotkałem, lecz słyszałem o nim, a sądząc po aresztowaniu go, widzę, że był porządnym człowiekiem. Czy wiecie może co go czeka?

— Dotąd nic orzekać nie można, a wszystko zależy od kaprysu żandarmów. Sprawa jednak jego jest bardzo wyjątkowa.

I podniesionym głosem zapytała Jerzego, rozmawiającego z Tanią, czy nie ma świeżych wiadomości z forticy o Mirtowie.

— Otrzymaliśmy kilka wierszy — odrzekł Jerzy. — Położenie jego o wiele jest gorsze, niż można się było spodziewać. Znalaziono u niego rękopis artykułu do tajnej drukarni i mnóstwo naszych pamfletów oraz broszur. Obawiać się należy, że będzie skazany.

— Kto to jest Mirtow? — szeptem zapytała Tania.

— Bardzo skromny młody człowiek, student — objaśniał Jerzy. — Zaaresztowany został przed kilku dniami przez pomyłkę, zamiast Tarasa.

Taras Kostrow był najpopularniejszym i najczynniejszym z przewodzców rewolucyi.

— Otóż — mówił Jerzy dalej — Taras zamieszkał pod nazwiskiem Zacharego Wołkow, w tym samym domu co i Mirtow, a paszport swój podał do meldunku. Policya powzięła pewne podejrzywania co do autentyczności jego osoby, więc zarządzono rewizyę. Zjawiono się w nocy, a przez pomyłkę, zadzwonił policyant do Mirtowa, o piętro niżej. Młodzieniec nie spał jeszcze, bo właśnie pisał ów tajny artykuł. Sam im drzwi otworzył, a zapytany czy jest Zacharym Wołkowem, odrazu domyślił się wszystkiego i postanowił poświęcić się dla wyratowania Tarasa. Odpowiedział potwierdzająco; dokonano szybko rewizyę, zabrano wszystkie papiery i jego wywieziono do fortecy.

— A Taras ocalony? — zapytała wzburzona Tania.

— Tak. Wszyscy mieszkańcy dowiedzieli się o nocnym popłochu i o pomyłce u domniemanego Wołkowa.

— A Mirtow? — zapytała Tania. — Czy policya doszła i rozpoznała kto on jest?

— Tak i to dość rychło. Listów nie miał żadnych, ale na jednej z zabranych książek, odczytali żandarmi wyraźny napis: Włodzimierz Mirtow. Uznali, że to towarzysz aresztowanego i postanowili rewizyę u Mirtowa. Samo się przez się rozumie, że wtenczas opatrzyli się żandarmi, iż poszukiwany przez nich, przed dwoma dniami

już zaaresztowany został, zamiast tego, który tymczasem z rąk im się wymknął.

— Cóż potem zrobili? — pyta Tania.

— Cóż im pozostało czynić? Mścić się jak mogą na tym, którego trzymają. Nie udało im się odkryć kto się podszył pod Zacharego Wołkowa, a domyślają się tylko, że im uciekł gruby ptaszek. Tak, tak; Mirtow wiedział, co go czeka i nie dawałby siebie w ofierze, za pierwszego lepszego.

— Czy Taras i Mirtow — pytała ciągle rozciekawiona Tania — żyli w bliższej przyjaźni?

— Nie osobiwie; znali się tylko. Mirtow nawet nie bardzo znosił dyktatorskie zwyczaje Tarasa. Dlatego tem większą jest jego ofiara — zakończył Jerzy, a w głosie jego przebijał podziw i uniesienie.

Uroczyste milczenie wszystkich, świadczyło wymownie o nastroju duszy każdego, bo pozostawali pod urokiem bohaterskiego czynu, wyjątkowego nawet w rocznikach rewolucyjnej partii. Wszyscy w tej chwili byli przejęci rozlicznymi uczuciami: żalem o przedwczesnej utracie takiego człowieka, uznaniem jego bohaterstwa, dumą członków partii, zaliczającej w swem gronie ludzi gotowych do największych ofiar dla sprawy.

Ale dla Tani było to coś więcej. Dla niej było to jedno z tych zdarzeń, które trafiając na chwilę przełomową w życiu, raz na zawsze formują moralne rysy człowieka. Od chwili poznania Ziny a potem Jerzego, szczerze i gorąco oddała się ich dziełom. Ale jej dusza nie doznała była jeszcze tych głęboko wstrząsających wrażeń, po jakich już nie ma powrotu do bojaźliwego, małodusznie bezpłodnego środka.

Zdarzenie albo księga żywego słowa, lub zaraźliwy przykład, żałośna powieść z terażniejszości, lub jasny blask przyszłości, wszystko może być powodem zguźbionego przełomu. U jednych objawia się on silnem ducho-

wem wstrząśnieniem; u drugich odkrywają się jakby we śnie, głębsze źródła serca, przez czułe dotknięcie przyjazną dłonią. Tak lub inaczej, muszą wszyscy oddający się na życie i śmierć wielkiej sprawie, muszą przeżyć taką wzruszającą chwilę, bo całe morze najsilniejszych wrażeń nie może zmienić żywotnej jej siły.

Taki przełom nastąpił teraz dla Tani. Gdy Jerzy umilkł: ona wszystko pojęła, przepełniło się jej serce, przygluszącącem uczuciem żalu. Ona, jakby wzrosła w owych chwilach, i z młodej dziewczynki przeobrażoną została w dojrzałą niewiastę, z macierzyńskimi instynktami w sercu, a ten młodzieniec, którego nigdy nie widziała, stał się dla niej jakby własnym dzieckiem, oderwanem przez wrogów od jej piersi. Żywy rumieniec zalał jej lica; coś raptownego jak błyskawica wzrok jej oświeciło, a nie było w niej ani nienawiści ani chęci zemsty, lecz wszystko zostało skończone. Spełniło się wielkie dzieło. Tu, w tym przedmiejskim zakątku, w tej biednej komnacie, opowieść o szlachetnym postępku znalazła odgłos w młodej duszyczce i zaciągnęła ją na zawsze do wielkiego dzieła.

Gdy przemówiła teraz, nie wysławiała ani uroczystych klątw, ani nic wzruszającego; nie była zdolną do czegoś podobnego. Ni wtenczas, ni później w biegu lat heroicznym trudów i cierpień, nie mogła powiedzieć kiedy się dokonało jej przeobrażenie. Sama nie pojmowała co zaszło w jej sercu przez ową minutę, ale uczucie jakie ją ogarnęło, wyrażało się w nieco szczególniejszej formie. Cichym, drżącym głosem, nieco zawstydzona, rzekła:

— Ja nie widzę nic tak osobliwie wielkiego w tem, co zrobił Mirtow.

Jerzy ze zdziwieniem spojrzął na nią.

— Między dzielnym działaczem — mówiła dalej Tania — a człowiekiem grającym drugorzędną rolę

w sprawie, wybór jest jasny. Mirtow spłacił jedynie dług swój.

Lena potakiwała ruchem głowy, w zupełności podzielając zdanie Tani.

Jerzy patrzył na nią z ciągłym zdziwieniem; nie liczył na usłyszenie z ust tych czegoś podobnego. Czyżby jej nie znał?

— A wybyście tak samo postąpili w jego położeniu? — zapytał.

— Gdybym się okazała jednakowo domyślną, tak! — odrzekła stanowczo, patrząc mu w oczy.

Przed chwilą dała sobie samej też odpowiedź na postawione w myśli pytanie, a teraz powtórzyła ją głośno i oparłszy śliczną główkę na dłoni, pogrążyła się w zadumę.

Andrzej, nie mogący oczu od niej oderwać, uznał, że dyabelnie dobrą była w tej minucie i przejął go strach, jakby przewidywał blizkie nieszczęście. Dlaczego mu twarz kurczowo drgnęła, jakby z nagłego bólu? Powodem był ten nieznośny Jerzy, który nie powstrzymał się od komplementowania, nawet w takich chwilach.

— Jeżeli — mówił Jerzy — siła moralna ma jakąkolwiek wartość, to najlepszy i największy z naszych działaczy okazałby się zarozumiałym głupcem, godząc się na taką zamianę.

Wzruszonym był i słowa płynęły mu z duszy, a niesprawiedliwym był Andrzej dla swego przyjaciela, nadając mu miano lekkomyślności. W chwili tej Jerzy nie myślał o dziewczęce inaczej, jak o drogim towarzyszu. Witał obudzenie się pięknej duszy i to co mówił, było słuszne i prawdziwe, tylko wysłowił się po swojemu, w przesadnych wyrazach.

Słowa zaś jego wywarły na Tanię wpływ orzeźwiający. Przesady jego wydały się jej zabawne i pragnęła w żart je obrócić. Spojrzawszy jednak na niego, uczyniła

sobie w myśli zarzut o to i serdecznie podała mu rękę, mówiąc:

— Jacy wy dobrzy, Jerzy! Ale dość już o tem.

— Co z wami? — Wykrzyknęła Lena do swego sąsiada. — Czegoście tak pobledli?

— Czy tak? — Przedził Andrzej przez zęby. — To zapewne tylko odbicie zieloności z za okien.

Nie było to odbiciem zieloności, bo ono pokrywało raczej martwą błądź jego twarzy, gdyż w chwili tej ostre uczucie zazdrości zrywało zasłonę z jego oczów. Przewidział błyskawicznie, czego doświadcza od dnia pierwszego spotkania z Tanią. On ją pokochał; jej lico, suknie, a nawet i ziemię po której stapała! A teraz, to męczące rozpoznanie raniło serce jego jak sztyletem: Jeżeli ona kogo pokocha, to tylko tego słodziutkiego gadułę, dziś tak Andrzejowi nienawistnego. Opanowała nim szalona, nieprzewyciężona zazdrość; z trudnością usiadł na krześle, bał się zdradzić, tracąc przytomność.

— Czas mi już odejść — rzekł wreszcie stłumionym głosem.

— Czy już jest późno? — spytała Tania.

Spojrzawszy na małeńki swój zegarek, dodała:

— Mam nadzieję, że mnie odprowadzicie obydwaj.

Andrzej uklonił się milcząco. Naturalnie, że ją odprowadzi; pragnie być przy niej i słyszeć rozmowę z Jerzym. Kipiał żądzą torturowania siebie i sprawiało mu słodycz szczególną coraz głębsze sztyletowanie swego serca. Nie pragnął pozbywać się tego cierpienia, bo gdyby chciał, nie potrafiłby, tak dalece utracił wszelką władzę nad sobą. Ciągnęły go czarne oczy Tani, nie umiał się od niej oderwać.

Jerzy całą drogę mówił, Andrzej ust nie otworzył. Po uwadze Tani, nie prawil już komplementów, lecz dawały się one odczuwać w jego głosie i w spojrzeniach, co wszystko w najwyższym stopniu rozdrażniało Andrzeja.

Pożegnali się z Tanią przy jej drzwiach, a przy pięknej nocy zaproponował Jerzy iść pieszo.

Andrzej się zgodził; było mu to obojętnem.

— No jakże — zaczął Jerzy rozmowę — czy nie miałem słuszności gdym twierdził...

— Zmiłuj się, nic nie mów — przerwał mu Andrzej — mnie to strasznie męczy.

Był zły, rozdrażniony, nieszczęśliwy, a przezto posępny. Nieszczęsne dzisiejsze odkrycie, stawiało go w innym stosunku do Jerzego i sprawiało mu ból ostry.

Postępowanie Jerzego wydawało mu się niegodziwym; nie wierzył w prawdziwe przywiązanie jego do Tani; jakże bowiem mógł ją pokochać, nie zadawszy sobie trudu poznania jej? Widział tylko fantazyę i pusty fajerwerk, zrodzony w bogatej poezyą wyobraźni. Lepiejby zrobił, żeby wlewał swoje uczucia w wiersze, aniżeli w główkę młodej niedoświadczonej panienki.

Wczoraj jeszcze byłby to wypowiedział przyjacielowi, ale teraz, przekonawszy się, jak on sam okrutnie się uwikłał, było mu to niemożliwym. Pozostawało mu teraz jedynie udawać t. j. przyjąć pozory obłudy. Stosunki ich dotąd tak szczere i jasne, odrazu przyjęły odmienne cechy, a to było dla niego gorszem niż zerwanie.

Nareszcie przyszło im się rozejść.

— Przyjdę jutro rano do ciebie — rzekł Jerzy — nie wychodź z domu, bo pragnę ci odczytać niektóre z moich nowych wierszy.

»Założyłbym się, pomyślał Andrzej, że hymny na cześć Tani«. Opanował się jednak i odrzekł:

— Czy nie możesz ich wprost do druku odesłać?

Tego już było za wiele! Jerzy uczuł się żywo dotkniętym i zmarszczył silnie zakryte czoło.

— Nie mogę — odparł — a raczej nie chcę; nie dowierzam nigdy własnemu sądom o mojej pracy.

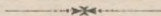
— Zgoda; a więc do jutra — rzekł mu Andrzej.

»Co się jemu dziś stało? zapytał Jerzy sam siebie, powracając do domu; nigdy dotąd jeszcze nie widziałem go w takim stanie«.

Byłby mógł się domyśleć i dać sobie odpowiedź, gdyby przy swojej rozwadze związał w jedną całość niektóre przymówienia i niedomówienia; ale on dziś przepełniony był wrażeniami, które nie dopuszczały zimnej analizy. Słowa Tani brzmiały jeszcze w jego uszach, a postać jej nie schodziła mu z przed oczu. Wstyd mu było własnej zarozumiałości. Zdawało mu się, że dziś dopiero poznał co to miłość i oddał się cały temu nowemu uczuciu, pogrążał się w świat upajających snów, pięknych jak młodość, a jak rzeczywistość czarujących. A nad marzeniami temi królowała czarnooka dziewczeczka, opierająca w zadumie głowę na dłoni.

Uśmiechał mu się czarujący obraz i nadzieją serce przepełnił. A ten uścisk ręki!... Kto wie, czy bodaj kiedyś nie odezwie się w jej sercu głębsze uczucie, w odwecie za jego gorące przywiązanie? Poczóż ma się dłużej wstrzymywać i milczeć ze swoją miłością? Mógłże on wątpić w siebie teraz, gdy cała jego dusza przemieniła się w jeden poryw miłości i uchylenia się przed nią?

Postanowił wyznać jej wszystko przy pierwszym następnem spotkaniu.



ROZDZIAŁ X.

Wiersze Jerzego.

Nazajutrz rano przyszedł Jerzy do swego przyjaciela z paczką rękopisów w kieszeni. Gniew i rozgoryczenie Andrzeja osłabły wśród nocy bezsennie spędzonej i nie bacząc na znużenie, wydawał się być rześkim. Przywitał gościa uprzejmie a nawet z nieco przesadną serdecznością. Niepodejrzliwy Jerzy przypisał to chęci zagładzenia dnia wczorajszego.

Rozważając w nocy położenie, w jakim się znalazł nierozsądkiem, Andrzej postawił sobie pytanie co do stosunków swoich z Jerzym. Nie mógł pozostawać z nim w ściślejszej jak dotąd przyjaźni, z tajemnicą w duszy; byłoby to nikczemnością; z drugiej zaś strony wolałby postradać język, niż upokorzyć się przed Jerzym. Nie mogąc mu wyznać prawdy, mógł tylko rozluźnić zażyłość z przyjacielem i utrzymać z nim odtąd jedynie towarzyski stosunek. Ciężkiem było Andrzejowi takie rozwiązanie, lecz inaczej zachować się nie mógł i należało się na tem ograniczyć. Jerzy był mu jedynym przyjacielem, w znaczeniu tego słowa jak je pojmowano w świecie, w którym się obracali. Więc takiego mieć nie będzie.

Andrzej nie często odstępował od powziętych postanowień, lecz ciężkiem nad wszelki wyraz było speł-

nienie ostatniego. Uczucia jego nie mogły odrazu przywyknąć do stosunku, jaki mu powaga rozumu nakazywała. Lekko przeto odetchnął, gdy przyjaciel wyjął rękopis z kieszeni i rozpoczął czytać.

Wiersze, które Jerzy przyniósł, nie były to jego polityczne pamflety, które pisał »w pocie czoła«, jak się sam o nich wyrażał, lecz płody chwil wolnych, częścią liryczne, częścią niedługie poemata, każdy o osobnym przedmiocie, lecz tak związane jedną myślą, że się wydawały jak osobne strofy jednego utworu. Wyśpiewywał on zorzę rosyjskiej rewolucyi, tę epokę, w której pełna entuzjazmu i wiary młodzież rzuciła się w naród z ewangelią socjalizmu, z przepowiedniami braterstwa i powszechnego uszczęśliwienia.

Pisane w różnych czasach i przy rozmaitem usposobieniu, wiersze Jerzego nie były jednolite. Humor mieszał się z patosem, krótkie strofy następowały po dłuższych poematach. Nieprawidłowość ta jednak i widomy brak jedności dawały autorowi możność pełniejszego prawdy przedstawienia męstwa epoki, dającej tak obfity materiał dla pióra poety. Naprzód szła grupa króciutkich rymów pod ogólnym tytułem »Pod rodzicielskim dachem«, przedstawiających wewnętrzne życie młodej duszy, namiętnie żądającej prawdy i sprawiedliwości, oraz trwożliwie szukającej wyjścia z uniżonych kompromisów spokojnego bogatego życia, wśród głodnych milionów. Następny rozdział zatytułowany »Wśród pól szerokich«, najdłuższy i najbardziej obrazowy, przedstawiał ciężkie trudy i wiele radości pierwszej propagandy. Lekko traktował autor i wesoło opis życia robotników, a historia przygód propagandzistów, przeplatana była bądź rzewnie, bądź komicznie, opisami życia wiejskiego i przyrody.

Ostatni poemat był najsmutniejszy, a w mistrzowskim znaczeniu, najlepszy ze wszystkich utworów. Był

to śpiew łabędzi młodzieńca, przechodzącego z »czasowej mogiły«, jaką była więzienna ciemnica, do wieczystej. Pieśń, utrzymana w minorowym tonie, miękka i tkliwa, była obrazem czasów, jakie w sobie odbijała. Artystyczne poczucie Jerzego nie pozwoliło na to, by bohater dawał wyraz poglądom i uczuciom autora. On był człowiekiem rzeczywistości, nie rozdrażnionym jeszcze długimi latami prześladowania. Zapominając o złem doznaniem, nie żalił się i nie skarżył na życie, choć podcięte zostało tak wcześnie w chwilach swego rozkwitu. Cieszył się myślą, że jeśli mu nie dano pracować dla narodu, to choć śmiercią własną oddaje mu usługi. Szczerść i miłość prawdy, cechujące Jerzego, wystąpiły całą siłą w tym pięknym poemacie. Rzewny obraz bohatera, walczącego z taką bezgraniczną wytrzymałością, silniej działał duchowo, niż samo gorące wezwanie do rokoshu i zemsty.

Andrzej słuchał oczarowany, bojąc się wymówić słowo; był pod urokiem strof Jerzego, które uśmierzyły budzącego się w nim ducha złego.

Pieśni te o niedawnej przeszłości, były dla niego więcej niż artystyczną produkcją; one uprzytomniały mu własne jego życie. On i Jerzy, byli w swoim czasie propagandzistami i doznali takich samych wrażeń, zanim zostali terrorystami. Młody człowiek ginący w więzieniu, był wcieleniem wielu z ich towarzyszy, drogich im i niezapomnianych, którzy ponieśli życie w ofierze dla tej samej sprawy. Czyste i dobroczynne uczucie, stworzone czarem poezji, uspokoiło rozgoryczenie Andrzeja i lepiej usposobiło dla Jerzego.

Czytanie trwało prawie godzinę; poczem gorąco i szczerze wyraził Andrzej Jerzemu swe pochwały, twierdząc, że dotąd nic tak świetnego jeszcze nie był napisał, a dodawszy kilka zdań i uwag nieco krytycznych, prowadził spokojnie niewymuszoną rozmowę. Jerzy nie

potrzebował myśleć o przesadzie przyjaciela, gdyż ten był naturalnym jak zwykle.

Andrzej odmówił przechadzki z Jerzym, tłumacząc się pilną koniecznością napisania szyfrowanego listu, a po jego wyjściu długo i nieruchomie stał w oknie, ciągle pod urokiem usłyszanych wierszy. Bo w rzeczy samej były one doskonałe; talent Jerzego szybko się rozwijał i posiadał on już zakrój istotnego poety. Szczęśliwy! Należał już do wybrańców. A jednocześnie był to człowiek z sercem i utwory jego nie miały za podkład jedynie wyobraźnię. Trzeba było głęboko czuć, by się wyrażać w tak serdecznych słowach.

Autor ustąpił na drugi plan, bo Andrzej myślał o człowieku, a rana jego sercowa boleśnie na nowo się odezwała. Ale teraz, powodzenie Jerzego w innym przedstawiało mu się świetle: tak prawdziwie szczerzy człowiek nie mógł być trzpiotem; więc był dlań niesprawiedliwym. Jak jednak tłumaczyć jego dziwną nieznaną panienki? Jego nedorzeczne przesady? No to i co; taka natura i z nią nic nie poradzi. On szczerze nie kocha, ale każdy może kochać tylko po swojemu. A ona odpowiada mu wzajemnością! Czemużby nie? Każda młoda dziewczeczka będzie zawsze przedkładać miłość poetyczną, nad uczucie prozaiczne, jakie on żywić może.

»Trwałość, stateczność, stanowczość!« Dopowiedział sobie Andrzej z goryczą.

Gdyby miłość mogła być materią zdatną na ubranie i na obuwie, to on miałby szanse powodzenia; ale panienki nie z tej strony miłość oceniają i mają zupełną słuszność. A dlaczegożby serce Jerzego miało pozostać lekkomyślnem? Nie ma wprawdzie pojęcia o rzeczywistej Tani, widząc w niej bóstwo odziane w szychowe szaty własnego wyrobu, a jeśli się one z czasem zedrą, to sobie wykroi inne, a zajęcie takie będzie dla obojga rozrywką.

Andrzej usiadł przy stole, a oparłszy się łokciem, smutno patrzył na ścianę wyklejoną tanim tapetem, mechanicznie upatrując linie rozdzielające symetrycznie zielone kwadraty rysunku. Zmęczony wzrok zwrócił ku papierom na stole leżącym.

Dwa miesiące! Tak, wszystkiego upłynęło dwa miesiące od dnia pierwszego ich spotkania, a zdołał ją poznać już tak, jak gdyby był spędził z nią ze dwa lata: umiał od początku czytać w jej duszy. Znał ją lepiej niż ona sama siebie: widział przymioty, do których nie przyznałaby się ze skromności, oraz wady, przeciw którym protestowałaby z oburzeniem.

A trudno by mi przyszło orzekać, co mu w niej najmilszym było. Pokochał ją taką, jaka była, i nie przedstawiał sobie istoty lepszej od Tani.

Przypominał sobie szczegóły krótkiej ich znajomości i nic nie uszło jego pamięci: każde słowo wypowiedziane przez nią powtarzał sobie i widział każdy wyraz twarzy. Żadnej nadziei. Przyjaźń! Młode panienki darzą chętnie tem uczuciem przyjaciół ukochanego. Ona kochała Jerzego zanim się z nią Andrzej spotkał. Rozmyślnie oszukiwał siebie, chcąc wątpić o tem choć przez chwil kilka. A gdyby wówczas jeszcze nie, to jakżeby się dziś wahać mogła w wyborze?...

Tak, wszystko co w życiu lepszego, przypaść musi ulubieńcom losu, bo im już wiele jest dane.

»Więc niech tak będzie, mówił sobie dalej. Kwiaty rosną i po drogach, niech je inni zrywają, a spokojnie cieszą się niemi; my skromni pracownicy zadawalniajmy się cierniami i płakać nie będziemy«.

Westchnął i zabrał się do roboty. Zagłębił się w świecie cyfr, które porównywał z kluczem, a pracował pilnie, głowy nie podnosząc. List miał rychło zanieść do konspiratorskiego lokalu, gdyż dziś jeszcze odjeżdżał do Dubrownika upatrzony wysłannik.

Poszedł tam wkrótce i zastał Lenę, która zawołała:

— Dostaliśmy z Dubrownika wieści was dotyczące.

I wyjęła z szuflady list wilgotny jeszcze z pod chemicznego płynu.

— Oto macie — rzekła i wskazując na odnośny ustęp dodała — a tutaj jest o was mowa.

Odczytał co następuje: Wikłają się moje sprawy i Andrzej dobrze zrobi, jeśli przyjedzie.

Z radością postanowił pospieszyć na wezwanie.

— Cóż na to powiecie — zapytała — czy pojedziecie?

— Naturalnie — odpowiedział.

— Ja też tak myślałam — chmurno zauważyła.

Andrzej wiedział, że Lena nie potwierdzi jego postanowienia i wiedział też dlaczego.

— Jechać muszę — mówił, jakby tłumacząc się. — Chociaż Zina nie nastaje, to wiem że nie zapraszałyby mnie bez rzeczywistej konieczności.

— I porzucicie propagandę między robotnikami? — gniewnie zapytała. — A to pomimo iż tak dobrze postępuje. Tak się zawsze dzieje z naszymi uprzywilejowanymi rewolucjonistami; czekają na lada pozór, żeby się rzucić w terroryzm.

Ona wysoko ceniła Andrzeja, jako jednego z najlepszych pracowników dla sprawy i gniewała się, że porzuca swoje dzieło, może na zawsze. Nic zaś łatwiejszego jak skrócić kark w takich czynach, jakie knuto w Dubrowniku, więc ostro na niego natarła, zarzucając mu nielogiczność.

Andrzej dobrodusznie protestował.

— Chętnie pozostałbym przy tutejszej robocie, ale byłoby haniebnie z naszej strony, nie spieszyć z oswobodzeniem towarzyszków.

— Nic niema haniebnego dla stronnictwa, jeśli ono zużywa swoje siły jaknajbardziej twórczo dla dzieła — odpowiedziała Lena.

— Podług was zatem — uszczypliwie bronił się Andrzej — Borys i jego towarzysze, tak są mało sprawie pożyteczni, że nie warto ich uwalniać?

— Nie są gorsi od innych członków naszej partyi; tylko nie mamy czasu tyle, ileby potrzeba dla zajmowania się każdym pozostającym w więzieniu.

— Więc najlepiej, zostawić ich, niech gniją w fortecach — ironicznie zapytał Andrzej. — Czy tak?

— Pozostający do czynu przy życiu, nie mają prawa narażać się dla martwych, bo mają ważniejsze sprawy dla siebie — niezmięszanie odparła Lena.

— Radzi bylibyście więc np. górnikom, nie spieszącym na ratunek zasypyanym towarzyszym?

— Zostawcie na miłość Boską górników w spokoju — zawołała Lena — bo tem niczego nie dowodzicie. Porównanie, nie stanowi argumentu. My nie wierzymy naszej sprawie, w tem istota rzeczy.

Andrzej gniewał się na Lenę za jej, jak to nazwał, ciasne doktrynerstwo. Ona ze swej strony złościła się na myśl, że Andrzej porzuci swoje prace. Ledwie że się na dobre nie pokłócili, ale do tego nie przyszło.

— Poco nam daremnie czas tracić na spory — zapytał Andrzej. — Wiecie dobrze, że pojedę do Dubrownika pomimo uwag waszych; gdybym was już widzieć nie mógł, to pożegnajmy się teraz.

Uściskali się, choć Lena jeszcze się dąsała. On ją uspakajał nadzieją rychłego powrotu. Zjawi się u niej za miesiąc, z trzema uwolnionymi towarzyszami.

Przed opuszczeniem Petersburga, uporządkował Andrzej wszystkie swoje sprawy i kółko swoje powierzył doświadczonemu towarzyszowi. Przez dwa dni zdołał wszystko załatwić i zaraz odjechał do Dubrownika, czując się tak żywym i rażnym, jak nigdy dotychczas.

CZEŚĆ DRUGA

W O G N I U

CHESEBROUGH

W. O. C. FIELD

ROZDZIAŁ I.

Ponownie Dawid.

Nikt w Petersburgu nie znał adresu lokalu konspiratorów w Dubrowniku, więc Andrzeja wyprawiono do dwóch sióstr, Maryi i Katarzyny Dudorow, gdzie mógł się o Zinie dowiedzieć.

Nie bez trudu dostał się do zakątka, w którym one mieszkały i poznał opisany mu dom ciemny, nietynkowany, z czerwonej cegły.

Na samym szczycie nie kończących się wytartych kamiennych schodów, zatrzymał się przed żółto malowanymi drzwiami, domyślając się, że jest u celu, bo wyżej był strych już tylko.

Zadzwoił, drzwi otworzyła słuszną, skromnie ubrana panienka, o bladych cierpiących rysach twarzy, a której z wejrzenia możnaby tak samo dać lat dwadzieścia, jak trzydzieści wieku.

— Czem mogę służyć? — zapytała obojętnie, nie patrząc na przybyłego.

— Czy siostry Dudorow tutaj? — Zapytał Andrzej.

— Tak jest; proszę wejść.

Andrzej wszedł do pokoju, który biednem urządzeniem zraził nawet jego nihilistyczne poczucie. Za całe umeblowanie trudnoby dać kilka rubli.

Izba przedzieloną była perkalikową franką na dwie części: gościnną i sypialną.

— Czem mogę służyć? — powtórnie zapytała panienka.

— Widzieć się muszę z panną Dudorow.

— Ze mną, czy z Marynią? — zapytała.

— Więc wy jesteście Katarzyna Dudorow? Mam list do obydwóch pań od Leny Zubow. Jestem Kożuchow.

Cierpiący wyraz twarzy panienki, rozjaśnił się.

— Jak ja się cieszę — zawołała. — Siadajcie proszę, zaraz siostrę zawezwę.

Wyszła pospiesznie, a Andrzej zasiadł przy prostym białym stole, zapełnionym rękopisami różnego kształtu, oraz paczkami listów. Wiedział on od Leny, będącej ich krewną, że siostry Dudorow posiadały, po śmierci ojca, mały kapitał, lecz oddały wszystko do ostatniej kopiejki na cele sprawy. Widocznem było, że teraz zarabiały na utrzymanie się pisaniem i haftem, sądząc po papierach na stole i pięknej kosztownej robocie, leżącej na krześle, nie mogącej być ich własnością.

Za chwilę weszła Masza (Marya) zawiadomiona przez siostrę o przybyciu interesującego gościa z Petersburga. Była starszą od siostry, lecz wyglądała młodziej, dzięki rumianemu licu, zadartemu noskowi i błyszczącym czarnym oczom.

— Nie oczekiwaliśmy was jeszcze — rzekła witając się — Zina myślała, że przybędziecie nie prędzej jak za dni trzy lub cztery. Zechcecie pewnie zaraz iść do niej?

— Tak, jeśli wam to nie przeszkodzi.

— I owszem, będę gotowa za chwilę; to blisko od nas.

Przeszła za franke, a Andrzej słyszał jej krzątanie się. Radeby były siostry zatrzymać gościa dłużej, by otrzymać wiadomości o Petersburgu, ale nie śmiały.

— Jak się ma Lena? — zapytała młodsza z sióstr, pozostała z Andrzejem.

Tenże opowiedział krótko wszystko, co o niej mógł wiedzieć.

— Słuchajcie, Kożuchow — odezwała się Masza z za franki; — my mamy także adres Dawida i mogę was tam zaprowadzić.

— Dawid tutaj — zawołał Andrzej; — to dla mnie niespodzianka! Wyjdźcie więc już z waszego schowku, żebyśmy po ludzku rozmawiać mogli.

Nadeszła zaraz w innej sukni, trzymając w ustach kilka szpilek i kończąc wpinać je we włosy.

— Dawid był na rumuńskiej granicy, by z pomocą swoich żydków przewieźć przesyłkę książek — mówiła Masza. — Zatrzymał się tu po drodze... nie wiem dokąd. Teraz już jestem gotową — dodała, wkładając kapelusz. — Do kogo was prowadzić, do Ziny czy do Dawida?

— Chodźmy tam gdzie bliżej.

Oboje mieszkali niedaleko, lecz bliżej było do Dawida.

— Wy na długo przyjechali do Dubrownika? — zapytała Masza.

— Nie wiem jeszcze. To zależy od okoliczności.

Był ostrożnym, nie wiedząc do której partyi należy panienska, oraz czy wie poco on przybył. Dla zmiany przedmiotu rozmowy, zapytał:

— A wy stale tu mieszkacie?

— Nie; my zwykle przebywamy na wsi i tam wkrótce powrócimy. Czasowo tu jesteśmy, by przygotować się do egzaminów na nauczycielki; mamy obiecane miejsca w wiejskiej szkole.

— Nie łatwo wam zapewne przygotować się do egzaminów, przy zajęciu pisaniem i haftem.

Śmiejąc się, odparła Masza.

— Zapewniam was, że trudniej nam było bez tych robót. Teraz mamy życie łatwiejsze i za kilka miesięcy osiadziemy zapewne na wsi.

— Jak sądzę, należycie do koła »narodowców« tak jak Lena? — zapytał Andrzej.

— Naturalnie. A podług zdania Leny, wy także.

— O nie! Nie doszedłem do tej skrajności.

Zaczął przekonywać towarzyszkę, chcąc ją zwrócić na drogę rzeczywistości. Zawiązał się więc między nimi ożywiony spór, ale bez rozdrażnień. Główna różnica ich zdań zachodziła co do »terrorystów« i »narodowców«, między którymi nie było wówczas jeszcze starć ostrzejszych. Staczano sprzeczki w obydwóch partyach, lecz pracowano spokojnie ręką w rękę, a nieraz w jednych kółkach.

Dawid był w domu i goście zastali go zabawiającego niechlujnego chłopczyka, z wielkimi błękitnymi oczami i całym lasem blond kędziorów, który ujrawszy obcych przybyszów, pędem wybiegł z pokoju.

Dawid, jak każdy żyd, lubił bardzo dzieci, chociaż nie sprzyjał rodzinnemu życiu. Mieszkał w żydowskim hotelu, gdzie był jak w domu u siebie, bo żył w najlepszych stosunkach z gospodarzami. Paszportu tam nie potrzebował i znany był pod nazwiskiem Dawida.

Nie mało ucieszył się przybyciem Andrzeja, a witając go serdecznie, mówił:

— W sam czas bracie przyjeżdżasz. O dzień później, byłbyś mnie już tutaj nie zastał, bo jutro rano odjechać muszę.

Masza chciała już odejść.

— Bądźcie zdrowi — rzekła do Andrzeja. — Mam nadzieję, że poznaliście drogę do naszego mieszkania.

Spełniwszy swoją misję, nie chciała przeszkadzać »konspiracyi«, lecz zatrzymał ją Dawid.

— Chwilkę zostańcie jeszcze i powiedźcie mi, kto z waszych odeskich przyjaciół ocalał podczas ostatnich aresztowań; kogo ja tam zastanę?

— Czy jedziesz do Odessy? — spytał Andrzej zdziwiony. — Wszakże tam byłeś przed trzema tygodniami. Ale też trudno o kogoś drugiego z taką namiętnością podróży nieustających.

— Namiętność podróżowania! — zawołał Dawid z oburzeniem. — Mnie już oszaleć przychodzi, gdy pomyślę jaką przepaść pieniędzy uroniłem w tych ostatnich tygodniach, nie mówiąc już o stracie czasu. A to wszystko dla miłości tych nedorzecznych narodowców, dla których panienka tak bardzo jest czułą.

— Biedni narodowcy — odparła Masza. — Za cóż mają oni odpowiadać?

— Posłuchaj — zwrócił się Dawid do Andrzeja. — Niejednokrotnie mówiłem im, że przeprowadzę przez granicę ile tylko zechcą ich literatury; oni ze swej strony mieli pokrywać koszta i trzymać człowieka do odbioru transportów. Tego obowiązku nigdy nie spełnili i ja sam musiałem odstawić książki do miasta. Niemniej jednak nie przestawałem dla nich pracować i wszystko szło pomyślnie. Lecz naraz, kilka tygodni temu, udało się im na nieszczęście zwerbować na członka partii niejakiego Abramka Bluma, o którym, choć on żyd, powiedzieć muszę, że jest wielki dureń. Czy nie doświadczyłeś tego sam na sobie?

Andrzej się uśmiechnął i potakująco głową kiwnął.

— Nie wiem, czy go potem narodowcy uznali za dość mądrego dla siebie, czyli z jakich innych powodów, lecz mając raz swego żyda, zachcieli mieć i swoją granicę.

— Dawid, Dawid! — protestowała Masza.

— Pozwólcie mi mówić, a potem głos zabrać możecie. Wyprawiają Abramka do Kiszeniewa, zaopatrzywszy pieniędzmi, a on zarządza przeprowadzenie książek, umówiwszy cenę... — tu Dawid ustroił się do dramatycznego efektu — cenę po ośmnaście rubli za pud!

Milcząc spoglądał naprzemiany na każdego ze swych słuchaczy. Masza była rozdrażniona, a Andrzej spokojny, nie mając pojęcia o tych cenach.

— Ośmnaście rubli za pud! — wołał wzburzony Dawid. — Wszak to rzecz niesłychana! Ja nigdy nie zapłaciłem wyżej sześciu. To hańba; to psuje granice. Nikt już potem do kontrabandzistów przystąpić nie zdoła.

Po chwili rozgoryczenia, mówił dalej spokojnie.

— Samo się przez się rozumie, że narobił krzyku, gdy się tylko o tem dowiedział, przejąłem znów przeprawę na siebie i musiałem być na granicy.

— Gdzie uporządkowałeś sprawę — rzekł Andrzej.

— Tak, lecz nie wiem na jak długo. Być może że powtórzą zemną tę sztukę, gdy odnajdą sobie drugiego żyda, powiedzmy, mądrzejszego niż Abramko.

— Jak wam nie wstyd, Dawidzie! — wmięszala się Masza. — Wszak znam tę rzecz od Odeszczan.

— No więc co? Czy inaczej było?

— Waszą granicą — tłumaczyła panienska — są Niemcy; do niej jest daleko i tam nie mają nikogo ze swoich, podczas gdy rumuńska tu bliższa, a w Kamieńcu jest odgałęzienie kółka. Dlatego więc wysłali Bluma, by go wypróbować, a nie było braku zaufania do was, ani najmniejszej chęci chwalenia własnej granicy.

Dawid pogardliwie machnął ręką.

— Ładnie, ładnie! Starego wróbla nie złapie na plewy, a ja znam się na rzeczy. Nauczcie mnie lepiej, gdzie mogę odnaleźć waszego Abramka; muszę go zapoznać z rezultatem mojej podróży. A teraz czas mi się zbierać; mam widzieć Zinę.

Wyciągnął swój niezmienny płócienny podróżny worek i zaczął w nim czegoś szukać, a nie znajdując, wysypał wszystko na dywan i pojawiały się jedno za drugim: koszula, gąbka, szczotka do włosów, podu-

szeczka, tom niemieckiego romansu, para skarpetek i kilka pudełek; wszystko przedmioty niezbędne dla ciągle podróżującego.

— Moja torba — mówił Dawid — posiada zadziwiającą właściwość: każda rzecz w danej chwili potrzebna, zawsze dopiero na spodzie się znajdzie.

I sięgnął po pudełko zawierające białe i czarne nici, cały dobór guzików, igielnik, naparstek i nożyczki. Wziął w ręce paltot i usiadł do szycia.

— Dajcie — rzekła Masza — ja prędeż to naprawię.

— Nie, ja sam lepiej to zrobię. Roboty kobiece są zawsze nietrwałe.

Nie chcąc daremnie siedzieć, zabrał się Andrzej do układania w torbie wyrzuconych z niej przedmiotów. Był tam mały zielony woreczek, z którego wyjął rzecz dziwną. Myślał z początku, że to jakaś zabawka dla dzieci. Do maleńkiej drewnianej podstawki przyklejony był drewniany sześcian, z przyczepionymi z dwóch stron grubymi sznurkami; na dnie woreczka złożony był pas wełnianej materyi, białej z czarnymi smugami, po której poznał zaraz Andrzej przedmiot służący do żydowskich modlitw. Był raz w synagodze i teraz był pewien, że się nie myli. Sześcian drewniany przedstawiał wyobrażenie ołtarza, który żydzi przytwierdzali sobie do czoła na czas odczytywania modlitw; pas wełniany, to uświęcony »tales«, którym nakrywano sobie głowę i plecy.

— Popatrzcie się — rzekł Andrzej, zwracając się do Maszy, pokazując jej tales i pas wełniany — co on z sobą wozi takiego.

Roześmiali się oboje, tak im było dziwnie i zabawnie widzieć takie przedmioty kultu u Dawida, będącego ateistą, jak oni wszyscy.

— To jest mój paszport podróży — spokojnie tłumańczył im Dawid — i ja nigdy się z nim nie rozłączam. Śro-

dek to magiczny dla odpędzania policyantów i szpiegów, gdyby im przyszło do głowy, posądzać mnie, że nihilista.

I sam się roześmiał, kończąc swoją krawiecczynę i białymi zębami przegryzając nitkę.

— A teraz — dodał — chodźmy do Ziny. Gotów jestem do przedstawienia się naczelnictwu.

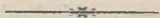
Masza poprosiła o pozdrowienie Ziny oraz Aniuty.

— Co to za Aniuta? — Zapytał Andrzej ciekawie, gdy pozostali we dwojkę.

— Twoja dawna znajoma, Anna Wulicz; spotkałeś się z nią na granicy, o ile to pamiętasz. Ona jak o znajomym, o tobie wspomina. Nie zaaklimatyzowała się w Szwajcaryi i teraz pełni tu obowiązek pokojowej w konspiracyjnym lokalu.

— Tak, tak — odrzekł Andrzej — teraz doskonale ją sobie przypominam. Ale czy to rozsądnie, powierzać tak ważne usługi i zadania młodej, całkiem niedoświadczonej dziewczynie?

— Sądziłem tak z początku, lecz widzę, że ona doskonale spełnia swoje obowiązki. A zresztą wybór ten uczyniła Zina, która, jak wiesz, jest majstrem w poznawaniu ludzi i przyciąganiu pożytecznych do siebie.



ROZDZIAŁ II.

Kwaterna konspiratorów.

Tego samego dnia, lecz w kilka godzin później, odbyło się coś w rodzaju wojennej narady w małym mieszkaniu Ziny na przedmieściu Dubrownika, a tylko cztery osoby brały w niej udział; to jest Zina, Wuliczówna, Dawid i Andrzej.

Wuliczówna nie odzywała się prawie w dyskusji; zagłębiona w fotelu, uważnie słuchała, spoglądając na każdego z mówiących.

Zina objaśniała Andrzejowi plan ucieczki i zasięgała jego zdania.

— Przybyliście ze świeżym umysłem; rada wasza, po rozpatrzeniu się, będzie dla nas zdrową.

Andrzej długo i milcząco rozpatrywał szkice więzienia narysowane dlań przez Zinę.

— Powiedzcież coś na miłość Boską — zawołała Zina — siedzicie jak gromem porażeni.

— Mówiąc prawdę — wybąknął Andrzej — plan wasz wcale mi się nie podoba; za dużo w nim miesznaniny, a takie projekta zwykle się nie udają. Znadto komplikacyi i połączeń osób wtajemniczonych; najmniejsza pomyłka może zgubić całą sprawę.

Całe przedsięwzięcie polegać miało na pomocy więźniów kryminalnych, z którymi udało się politycznym

wejść w tajne porozumienie. Jeden był rozbójnik, nazwiskiem Berkut, a drugi złodziej Kunicyn, podjęli się współdziałać w ucieczce Borysa i jego przyjaciół. Rozpoczęli przeto urządzenie podkopu, przez który mogliby się ludzie wysunąć, a robotę tę dokonywaną szybko, mieli teraz na ukończeniu. Kaźnia tych dwóch zbrodniarzy była na dole, a politycznych, daleko ostrzej strzeżonych, na górze.

Nocą, o umówionej godzinie, mieli polityczni więźniowie otworzyć wytrychami swoje cele, zejść na dół do kryminalistów i od nich uciec podkopem.

Nie upatrywano żadnego niebezpieczeństwa w ważnej roli powierzonej zbrodniarzom, bo to bywało częściej i polityczni wywierali w więzieniach tak dobry i zbawienny wpływ na tamtych, iż zdarzało się, że między nimi wybierali towarzyszków. Berkut i Kunicyn byli duszą i ciałem oddani Borysowi i dali już dowody, iż im zaufać można. We wspólnej jednak kaźni siedziało jeszcze piętnastu innych i ci nieodzownie byli wtajemniczeni w prace o podkop, tylko sądzili, że ci obaj sami chcą uciekać, a brać aresztancka umie zachować tajemnice. Niechby się jednak któryś napił przemyconej gorzałki, a nieszczęsne słowo mogłoby się wyrwać wobec strażnika. Wielkie wreszcie niebezpieczeństwo przedstawiało zejście z piętra na dół, po strzeżonych ostro dniem i nocą korytarzach.

— Wszystko to jest nader ryzykowne — rzekł Andrzej. — Schwycić ich muszą podczas tych wędrówek, jeśli nawet nie wcześniej.

— A jakąż ucieczką nie przedstawia niebezpieczeństwa? — zapytała Zina. — Pozwólcie jednak, bym wam pokazała, że wędrówki, jak je nazywacie, nie są tak ryzykowne.

Na arkuszu papieru, narysowała wewnętrznym plan więzienia, które znała do najdrobniejszych szczegółów.

Politycznych więźniów przesiadywało w niem wten czas, razem dziewięciu. Każnie ich znajdowały się w przyległych korytarzach prostopadłych do siebie, w północno-zachodniej części gmachu. Borys i dwaj jego towarzysze, byli na szczęście zamknięci w jednym i tym samym korytarzu. Po północnej zmianie warty, jeden z umieszczonych w sąsiednim korytarzu, nazwiskiem Zaleski, przyciągnie dozorcę do swoich drzwi i zajmie go dłuższą rozmową, co umyślnie już nieraz czynił, żeby uchylić podejrzania. Zina wyjaśniła na planie, że stojąc przy drzwiach Zaleskiego, nie będzie mógł dozorca widzieć co się dzieje w drugim korytarzu. Zawiasy i zamek będą starannie nasmarowane tłuszczem, a zbiegowie wyjdą bez obuwia.

Po opuszczeniu kaźni, wypadnie im otworzyć wytrychem drzwi do schodów i zejść na dół do kryminalistów, koło których chodzi ciągle w koło jeden tylko strażnik. Muszą więc schwycić ten moment, w którym on oddali się od kaźni Berkuty i Kunicyna, by tamtędy zejść do podkopu.

I na planie swoim wyjaśniała dalej Zina, którądy wyjść im ostatecznie przyjdzie.

— Otóż właśnie — zauważył Andrzej — wpaść mogą wprost na sztyldwacha.

Zina niecierpliwie odparła:

— Gdyby wam było danem rozmieszczanie dozorców, uszlibyśmy wszelakich niebezpieczeństw; skoro jednak tak nie jest, nieodzownie stosować się trzeba do okoliczności i godzić się z tem, czego odmienić nie możemy.

Zina umiała, równie jak Andrzej, być drobiazgową; różnili się jednak temperamentami.

Andrzej mógł być odważnym aż do zapamiętania się dla sprawy, którą weźmie do serca, potrzebował jednak czasu i namysłu, by przyjść w to położenie, a na pierwszym planie stawiał sobie zawsze przewidy-

wane przeszkody. Zina natomiast, przejmowała się odrazu i nie ostygała do końca. Gdy więc oboje zabierali się do jakiegoś czynu, musieli się wprzód wyklócić.

— A zatem, próbujmy szczęścia — zawyrokował Andrzej. — Musimy urządzić wszystko jak się da najlepiej, a co do szyldwacha, mam myśl pewną...; przedtem jednak muszę się zapoznać z miejscowością. Jakaż ma być moja rola?

Wyjaśniła mu Zina, że niedaleko od wyjścia z więziennego budynku, musi uciekających oczekiwać furmanka dla odstawienia ich w bezpieczne miejsce. Wasyl, umiejący doskonale powozić i znający miasto, przeznaczony jest na furmana. Ale ponadto, postanowiono mieć też w bliskości pewnego człowieka, któryby ich podprowadził do czekającej furmanki i pomógł w razie napadu.

Andrzej kiwnął głową potakująco. Nazajutrz rano miał on razem z Wasylem opatrzyć miejscowość i na tem zakończono naradę.

— Gdzież mógłbym ciebie jutro spotkać i o której godzinie? — Zapytał Dawid Andrzej.

— O tem nie mam pojęcia. Zapytaj Ziny, bo ona mną rozporządza.

— Przyjdźcie jutro z rana do Rogalskiego — rzekła Zina. — Zbierzemy się tam wszyscy i dowiemy o układach Andrzeja i Wasyla.

Wasyl zajmował nie duży pokój w oberży, w której pomieścił się ich koń. Uchodził za furmana i służącego nie bogatego kupca, zajętego jarmarkami, a mającego tu rychło nadjechać.

Andrzej miał być tym mniemanym kupcem, więc potrzebował się zaopatrzyć w ubranie odpowiadające posiadaniem przezeń paszportowi. Musiał nabyć długi surdut, wysokie buty, czapkę, kaftan specjalnego kroju i t. p.

Dawid miał bezzwłocznie zawiadomić Wasylą o przybyciu Andrzeja, a nazajutrz mieli się ostatecznie porozumieć co do dalszej działalności.

Wasyl nigdy nie przychodził do domu Ziny i nie zachodziła żadna łączność między ich mieszkaniem. Schronienie jego miało być tylko czasowe, ponieważ policji nie byłoby trudno go wytropić, skoro tylko ucieczka tamtych zostanie spostrzeżoną.

W ową noc oswobodzenia, wypadnie mu już nie wracać do tej oberży z koniem i kolaską, a razem z Andrzejem będzie musiał przenieść się gdzieindziej. Uciekinierzy skryć się mieli u Ziny i nie pokazywać się nikomu, dopóki policja nie przestanie błądzić po mieście za nimi. Ważnem przeto było, żeby dom Ziny nie miał żadnych styczności z oberżą i strzegł się wszelkich podejrzeń. Wszyscy uczestnicy zamierzonego przedsięwzięcia, spotykali się tylko na ulicach lub w parku, zamieniając krótkie rozmowy, a w razie koniecznej narady schodzili się u dalszych znajomych, jak u Rogalskiego, lub jemu podobnych.

— A gdzie ja przepędzę dzisiejszą noc? — Zapytał Andrzej.

— Wyjątkowo zostanieie tutaj — odpowiedziała Zina.

Byłby chętnie posłuchał, lecz rozsądek nie pozwalał na to, bo wyjście jego z samego rana na umówioną naradę, mogło zwrócić uwagę.

— A więc — mówiła Zina — przeprowadzę was zaraz do Rogalskiego, który was najchętniej przyjmie i zatrzyma już na naradę.

Rogalski był człowiekiem zamożnym, liberałem wesołego usposobienia i utrzymywał przyjazne stosunki z rewolucjonistami. Żył na szerszą stopę i nigdy nie miał starcia z policją, a dom jego w Dubrowniku zaliczany był do rzędu zupełnie bezpiecznych.

Wyszli, a Zina wskazała Andrzejowi w spokojnej ulicy dom z oświetlonym szeregiem okien na trzecim piętrze.

— Widocznie jest w domu — rzekła — i ma gości.

— Ależ to tutaj skąpy czy oszczędny naród — zauważył Andrzej — tak wcześnie wieczory zaczynają, a przed domem ani powozu ani doróżki.

Wtem spostrzegł w oknach przeciwległych dwie panie ciekawie wpatrzone w okna mieszkania Rogalskiego. Coś tam więc zachodziło, co obudzało podejrzenie.

— Zaczekajcie chwilkę — odezwał się Andrzej — zanim tam razem wejdziemy, pójdę naprzód sam na zwiady; coś mi się tam niedobrego wydaje.

— Dajcie spokój — odparła idąc dalej ku bramie — dom Rogalskiego jest całkiem bezpieczny.

Wejście było otwarte, a na białych kamiennych schodach widniały zanadto wyraźnie ślady brudnych, dużych a licznych stóp. Andrzej schwycił Zinę za rękaw i odciągnął na ulicę.

— Być może, iż nic u Rogalskiego nie zachodzi i że słuszność po waszej stronie, ale co wam szkodzi zaczekać tutaj ze dwie lub trzy minuty, zanim ja się przekonam.

Dziwny upór opanował Andrzeja. Nic nie znaczące pozory ukształtowały się w jego umyśle w określonej formie, jakaby ludzie przesądni nazwali tylko przecuciem. Ale Zina wcale go nie dzieliła i obstawała przy swoim, dodając, że jeszcze wczoraj tu była.

— Dzieciństwa — zawołała, machając rękami.

— Jeśli mnie naprzód nie puścicie, wcale nie pójdę — stanowczo odparł Andrzej.

Zina ruszyła ramionami i spojrzała mu w oczy, mocno zrażona jego uporem.

— Jeżeli — mówiła — obawy wasze mają podstawę, to i wam iść tam nie należy. Pochodźmy tu i napowrót po ulicy, a może się to wyjaśni.

Rozsądnem by to było, ale nie zawsze bywają ludzie takimi: pijak, odważnie minąwszy jeden szynk, tem bardziej ryzykuje na widok drugiego. Człowiek, który może sobie powinszować uniknięcia nieostrożnego kroku, kusi się tem więcej do postawienia go gdzieindziej.

— Nie podnośmy drobnostki do potęgi; możemy godzinami chodzić po ulicy i nie doczekać się niczego. Poczekajcie na mnie przy rogu ulicy.

I wszedł Andrzej w bramę. Nie widział nikogo, cisza panowała w całym domu. Gdy wszedł na pierwsze piętro, uchyliły się cichutko drzwi główne i ukazała się wygolona głowa z bacznie na niego zwróconem spojrzeniem i znikła szybko, zamknąwszy drzwi, które ze środka zamknięto i zaryglowano.

»Dziwnie!« Andrzej ostrożnie poszedł wyżej z zamiarem rozpoznania, kto zamieszkuje czwarte pięterko, by potem zejść do Rogalskiego i tam zadzwonić. Jeśliby mu otworzył policyant, to wymieni nazwisko tamtego lokatora, udając pomyłkę. Na wszelki wypadek przygotował swój rewolwer i kindżał.

Zatrzymał się na trzecim piętrze, przed miedzianą tabliczką na drzwiach Rogalskiego i zastanawiał się, czy spełniając swój plan i znalazłszy się jeszcze wyżej, nie utrudni sobie ucieczki. Żałował, iż nie wypytał Ziny o nazwiska mieszkańców. Wtem, usłyszał usunięcie rygli za drzwiami, a charakterystyczny brzęk ostróg i szabli usunął wszelkie wątpliwości: policya znajdowała się u Rogalskiego; czterech żandarmów czekało na każdego przybysza.

Andrzej szybko się odwrócił, i jak piłka stoczył się po schodach. Nie widział żandarmów, lecz słyszał, że gonią za nim, słyszał ich kroki i brzęk szabli. Nie równe były jednak szanse między dzielnym młodzieńcem, a niezgrabnymi żołnierzami z długimi pałaszami. Andrzejowi przydała się tutaj zwinność w górach Szwaj-

caryi nabyta; zeskakując przez cztery i pięć stopni, wyprzedził żandarmów o całe piętro, a ponadto strzeliła mu szczęśliwa myśl do głowy, bo pogasił szybko wszystkie światła i na jednej zmianie schodów przesunął w poprzek, stojącą na boku ławkę. Ciemności wstrzymały pośpiech żandarmów, co się poznać dało po ich krokach, a po chwili usłyszał Andrzej stuk przewracających się na wymyślonej przez niego barykadzie. W bramie także zagasił lampę, drzwi od ulicy zatrzasnął i tak pozostawił policję w czarnych sieniach.

Zina, oczekująca o jakich sto kroków dalej, nie słyszeć nie mogła; ujrawszy Andrzeja prędzej niż sądziła, szybko ku niemu podbiegła, a on zatrzymując ją, szepnął do ucha:

— Żandarmi w tym domu!

Spokojnie podał jej ramię i skierował w kierunku bramy z której wyjść miała policya. Rozważył, iż lepiej, jako obcym sprawie, spotkać się z nimi, niż mieć ich za plecami.

Zina domyśliła się taktyki i wcale nie oponowała.

Zaledwie uszli parę kroków, rozwarły się głośno drzwi kamienicy i wyskoczyło z nich czterech rozczuchranych żandarmów, z których jeden zakrywał chustką nos rozkrwawiony. Badawczo rozglądnęli się na wszystkie strony, a ujrawszy powoli idącą, przyzwoicie ubraną parę, zbliżyli się do niej.

— Czy wielmożni państwo — zapytał jeden z nich — nie spostrzegli uciekającego człowieka?

— Czy z tego domu? — zapytał Andrzej, wskazując na dom z mieszkaniem Rogalskiego. — Czy z rudą brodą i w siwej czapce?

— Tak... nie... wszystko jedno! Którędy uciekał?

— Tędy — odrzekł Andrzej, wskazując po za siebie — zapewne skręcił w drugą ulicę; pospieszając, możecie go jeszcze przychwycić.

Szybko ruszyli i zniknęli w ulicy.

Zina poszła spokojnie dalej, opierając się na ramieniu Andrzeja. Po chwili zatrzymała dorożkę i wsiadając z towarzyszem dała na pamięć pierwszy lepszy adres, byle tylko co rychlej oddalić się z niebezpiecznego miejsca.

Zdarzenie minęło; niebezpieczeństwa uniknęli.

— Nieoczekiwana przestroga — odezwał się Andrzej, dając znak nie rozwodzenia się w dorożce.

— To kara na was — rzekła Zina — zato żeście nie chcieli u nas zostać.

— Kara? Co wy mówicie Zina? — Zawołał Andrzej. — To raczej nagroda za mój dobry postępек. Pomyślcie, coby się stało jutro o dziesiątej rano, gdybym tam nie był teraz poszedł?

— Ach, istotnie — opamiętała się Zina. — Nie pomyślałam o tem. W ostatnich czasach, tak tracę pamięć.

Policya oczywiście urządziła zasadzkę w mieszkaniu Rogalskiego i całe kółko przyjaciół byłoby niezawodnie wpadło w pułapkę.

Zina podniosła się w siedzeniu i głośno podała dorożkarzowi nowy adres. Wkrótce wysiedli, a przeszedłszy w drugą ulicę, odezwała się :

— Teraz opowiedzcie mi szczegółowo co zaszło.

Streścił więc Andrzej w krótkich słowach swoje zdarzenie, najprzód domysły, potem potwierdzenie się tych podejrzeń i... ucieczkę.

— Jakie szczęście — odrzekła — żeśmy tam poszli! Pomyśleć, że od takich drobnostek zależą nieraz nasze losy! Musimy koniecznie zaraz posłać Dawida lub kogobądź z uprzedzeniem naszych towarzyszków o niebezpieczeństwie. Jesteśmy blisko hotelu Dawida; pójdźmy do niego.

Weszła w ciemną bramę. Tam zdjęła swój elegancki kapelusz i zawinęła go w białą chustkę; oddała

Andrzejowi parasolkę, zdjęła rękawiczki i okryła głowę szalem, tak jak dziewczę wiejskie.

Tak przeobrażona, z węzełkiem w ręku, mogła doskonale uchodzić za szwaczkę idącą na zarobek.

— Zaczekajcie tu na mnie — rzekła — a pokażcie mi zegarek; powrócę za kwadrans.

I znikła w sieni domu.

Andrzej obejrzał budynek i poszedł prosto, często na zegarek spoglądając; powrócił na czas.

Zdaleka ujrzał białe zawiniątko; nadeszła Zina, a z nią i Dawid, który rzekł z uśmiechem:

— Otóż to jak w tych prowincjonalnych miastach ciężko nam działać przychodzi. Dobrze żeś sobie palce sparzył w pierwszym ogniu.

Zina raz jeszcze powtórzyła Dawidowi swoje zlecenie, a on zaraz poszedł je spełnić.

— Zaczynam truchleć — odezwała się, gdy zostali we dwoje. — Dawid mi mówił o nowem, zupełnie nieoczekiwanem aresztowaniu, a to człowieka będącego na wybitnem stanowisku. Nie, nie mogę was byle komu powierzać. Zostaniecie u mnie czas jakiś; ale teraz przejdźmy się jeszcze, by przyjść później i nie być razem spostrzeżonymi.

Andrzej zaproponował spacer nad rzeką.

— Nie — rzekła Zina — użyjmy czasu z większym pożytkiem i chodźmy w okolicę więzienia. Należy wam rozpoznać miejscowości i to wśród nocy, skoro ucieczka w ciemnościach ma się odbyć.

Nadeszli na plac okalający budowlę; obeszli ją w około i zatrzymali się na rogu ulicy, w której miała oczekiwać furmanka, w punkcie z którego najlepiej było objąć wzrokiem całą pozycję.

— Zwróćcie uwagę na cały wygląd położenia — prosiła Zina. — Nie potrzebujecie mierzyć odległości, bo Wasyl to uczynił i powtórzy wszystko.

Dobrem, o ile to możebne, było miejsce wybrane na furmankę: blisko ujścia podkopu i punkt dość domami od więzienia osłonięty przed ewentualnymi strzałami. Andrzej to pochwalił.

— Jeden tu punkt jest słaby — tłumaczyła Zina. — Cisza tu panuje od wieczoru, lecz w tym tam oto szynku przesiadują ludzie i do drugiej nieraz, a w razie popłochu, mogą oni być niebezpieczni.

— Bądźcie o to spokojni — odpowiedział Andrzej — mogę ich w razie danym wziąć na siebie i rozprawię się z nimi. Ale radziłbym, żeby Wasyl stanął bliżej szynku; to będzie naturalniejsze. Jabym stróżował na rogu, by dać znak Wasylowi, skoro ich ujrzę wychodzących z podkopu.

Obeszli jeszcze budynek w około i stanęli przed jedną jego ścianą, a Zina rzekła:

— Oto kaźnie polityczne tam na piętrze, jak rząd okien ciemnych i oświetlonych.

— Czy możecie mi wskazać — zapytał Andrzej wzruszonym głosem — okno Borysa?

— Siódme od rogu, to gdzie światło. On zapewne czyta teraz. Lewszyn ma piąte, a Klein trzecie okno od rogu; tam ciemno, więc już śpią. Ale niebezpiecznie tak się tam wpatrywać; dozorca już nas zauważył.

Nie spodziewał się Andrzej, że się znajdzie tak blisko Borysa dziś jeszcze. Silnie go wzruszyła myśl o nim, że on tam za tem oknem, że mógłby głos jego usłyszeć i może ucisnąć dłoń przyjaciela. Przemknęła mu po głowie chęć zawołania go głośno po imieniu, ale Zina go odciągnęła i odeszli w milczeniu, po chwili którego on zapytał:

— Powiedzcie mi, czy mógłby on nas wśród dnia przez okno zobaczyć?

— W żaden sposób — odrzekła — okna wysoko w murach są osadzone, a szyby wapnem zabelone.

Doniosę mu jednak, żeśmy patrzyli na światło z jego kaźni; będzie mu to przyjemnem.

— Jeśli można, to i ja do niego napiszę.

— Piszcie, ile tylko chcecie, bo ja mogę mu wszystko przesyłać i jestem z nim teraz w ciągłej korespondencji. Nie łatwo było ugodzić dozorców, groził mi już nawet areszt, nie wiodło mi się zanim trafiłam z nimi do końca.

Przez całą drogę mówili o Borysie, a w domu pokazała Zina Andrzejowi fotografię swego małego synka, świeżo jej nadesłaną.

— Popatrzcie — mówiła z dumą macierzyńską, trzymając w ręku portrecik — jaki milutki.

— Śliczna dziecina — odrzekł Andrzej. — Czy nie znajdujecie, że on podobny do Borysa?

— Wykapany ojciec! — zawołała z radością, że i ktoś obcy jest tego zdania. — Mam też nadzieję, że będzie on w swoim czasie równie dobrym rewolucjonistą. Ma dopiero szesnaście miesięcy, a już pomagał sprawie, w miarę sił swoich.

I opowiedziała jak wzięła ze sobą dziewięciomiesięcznego chłopczyka do Charkowa, gdzie wypadło jej być gospodynią konspiratorskiej kwatery.

— Nic tak nie nadaje — mówiła dalej — pokojowego charakteru i nic tak nie usuwa podejrzeń, jak obecność dziecka, i mój Boria okazał się bardzo pożytecznym. Powiedzcie więc, czy kto z nas wystąpił już tak wcześnie w szranki rewolucyjne? Powtarzam nadzieję, że wyjdzie nam na dzielnego człowieka.

Andrzej dowodził, że gdy on dorośnie, to Rosya nie będzie potrzebowała rewolucjonistów i zapytał:

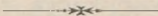
— A cóż się z nim teraz dzieje?

Twarz młodej kobiety zachmurzyła się.

— Nie mogę — odpowiedziała — trzymać go przy sobie, bo w razie mego aresztowania, musiałyby dzielić

życie więzienne, do czego on jeszcze za maleńki. Jest u matki Borysa na wsi, gdzie go bardzo kochają i często mi o nim piszą.

Wuliczówna już spała, a oni wciąż rozmawiali w gościnnym pokoju przygotowanym dla Andrzeja. Zina wypytywała o Jerzego, Repina i o Tanię. Zauważywszy coś obcego w odpowiedziach o panience, zapytała co to znaczy. Andrzej był z Ziną w takiej przyjaźni, że go to pytanie wcale nie zraziło, ale unikał o tem wszelkich wynurzań. Nie mógł lekko mówić o swoim uczuciu, a wstyd mu było, w jego położeniu, tłumaczyć się z niego.



ROZDZIAŁ III.

W o c z e k i w a n i u.

W przebiegu następnego tygodnia, poczynił Andrzej z Wasylem wszystkie niezbędne przygotowania i szczęśliwie spoczywali w swoim hotelu. Przebyli tam już miesiąc, a sprawa ucieczki ani na włos się nie posunęła.

Nieprzyjemna komplikacja zaszła w dni kilka po przybyciu Andrzeja do Dubrownika. Do kaźni, w której przebywali Berkut i Kunicyn, przybył aresztant, niejaki Pukata, fałszerz monet. Z ogólnej narady kryminalistów, przerwano roboty w podkopie, dopóki im się nie uda pozbyć się podejrzanego współlokatora. Przez trzy tygodnie starali się wspólnymi siłami uczynić pobyt niemożliwy gościowi. Udało się to, bo nieszczęsny Pukat zdołał uprosić komendę o przeniesienie w inne miejsce więzienia, a wówczas roboty podziemne mogły być dalej prowadzone.

Przerwy te były w wysokim stopniu nieprzyjemne; zużywały środki i zgubnie wpływały na ogólny ustrój.

Główni działacze zmuszeni byli przepędzać cały ten czas w zupełnej beczynności. Byłoby z ich strony nierozumnem, mieszać się do miejscowej agitacji, która i w Dubrowniku szła swoim trybem, jak w innych miastach. Musieli nieodzownie trzymać się zdala od wszystkiego, coby mogło ich skompromitować. Staranne zba-

danie pola ich działania w danej chwili trwało dni kilka, a odtąd nic im nie pozostawało, jak siedzieć z założonymi rękami i czekać.

Bez wzbudzenia podejrzeń nie mógł Andrzej, w charakterze kupca, siedzieć ciągle w domu; ponadto potrzebował utrzymywać kontakt z Ziną, u której skupiały się wszystkie wieści. Wychodził przeto co rano »za interesami«, a udawał się do miejskiego ogrodu lub w inne, dzień przedtem umówione miejsce, dla spotkania się z Ziną albo z Wuliczówną. Teżę podobało się jego towarzystwo i Zina chętnie przyzwalała na tę małą rozrywkę.

Większą część dnia spędzał Andrzej w domu, gdzie przybywał mu do towarzystwa Wasyl, po ukończeniu swoich zajęć furmana i lokaja; nie można jednak powiedzieć, by im było zbyt wesoło. Zanadto byli wzburzeni i rozdrażnieni oczekiwaniem wypadków, by móż się czemkolwiek zająć, nawet czytaniem. Gawędzili więc i politykowali, oceniając z różnych stron rezultaty ruchów rewolucyjnych, a zbaczali też na literaturę i sprawy zagraniczne, wydając sądy o Gambecie i Bismarcku. Obydwaj jednak nie należeli do bardzo rozmownych, więc większość czasu siedzieli milcząc, lub leżeli każdy w swym kącie, paląc papierosy.

Wasyl dziwnie lekko znosił ten rodzaj życia, a miał także zajęcie przy koniu i uprzęży i umiał całe godziny spędzać w niezamaconym spokoju, wyglądając przez okno. Andrzej starał się godzić z przymusową beczynnością: bojownik musi umieć wyczekiwać i być zarówno wytrzymałym w przygotowaniach dzieła, jak mężnym i zręcznym w jego spełnianiu. Dręczyła Andrzeja taka wegetacja z dnia na dzień, zwłaszcza po czynnem życiu w Petersburgu; oswajał się powoli z tym stanem rzeczy, niemniej niecierpliwie oczekując dnia, w którym towarzysze i on zazną swobody.

Słońce miało się ku zachodowi. Obydwaj towarzysze byli w domu jak zwykle; jeden leżał na szezłagu, z otwartą, lecz nie czytana książką, a drugi wyglądał przez okno, gdy zapukano do drzwi. Zerwał się Wasyl i wpadł do przedpokoju, bo jakżeby furman miał przesiadywać razem z panem; porwał więc szczotkę do prawej, a but do lewej ręki i spełniał obowiązek najgorliwszego sługi.

Trwoga była zbytęzną: weszła Anna Wulicz. Nie przydała się tym razem na nic komedia Wasyla; rzucił więc but i szczotkę a wszedł do pokoju.

Wuliczówna przychodząc tu w gościnę, pytała zawsze o furmana, a ubrana jak pokojówka, nie wzbudzała żadnego podejrzenia.

— Czy nie chcielibyście — mówiła, przywitawszy się — pójść na małą zabawę pod gołem niebem? Starsza Dudorow zdała egzamin i chcemy ją ufetować. Zbierzcie się garstka naszych przyjaciół i naprawdę będzie bardzo wesoło.

Obydwaj chętnie przyjęli zaproszenie.

— Czy będzie tam Zina? — zapytał Andrzej.

— Nie będzie, ale mnie pójść pozwoliła — odrzekła żartobliwie, grając rolę pokojówki.

Wyciągnęła się na szezlongu, z którego wstał Andrzej, a przezornie podniosła róg spódnicy, żeby nie dotykała brudnej posadzki.

Pokój zajmowany przez przyjaciół, wcale się nie odznaczał czystością. Stół wycierany był łokciami tam, gdzie przy nim siedziano; cztery kanty pozostawały pokryte kurzem i okruszkami chleba. Na pułkach spoczywały grube warstwy pyłu, pokrywające papiery, aż do nierozpoznania ich barwy; widocznie długo już tam leżały. Podłoga zasypaną była śmieciem, skorupami z jaj i kawałkami suchego chleba, trzeszczącemi pod nogami, z pod których się wydobywał pył, za każdym krokiem.

Pokój ten zajęty został przez Andrzeja bez obsługi; tę miał spełniać Wasyl. Czyścił on też buty, chodził do sklepów i nastawiał samowar, lecz poczytywał zamiatanie i sprzątanie pokoju jako zbyt dużą stratę czasu. Nie pojmował też dlaczego ludzie, chodząc w kurzu na ulicach, nie mają tego czynić na podłogach. Andrzej nie zwracał żadnej na porządek uwagi.

Festyn odbywał się w małym lasku o wiorstę za miastem. Drogę należało odbyć pieszo, a kolację miano zgotować późno wieczór, pod gołym niebem. Praktyczny Wasyl uznał, że nie zaszkodzi posilić się przedtem, a że miał wszystko pod ręką, więc oświadczył, że za parę minut poda w domu przekąskę.

Obaj przyjaciele rzadko chodzili do traktyerni, tak ze względu na koszt jak i dla bezpieczeństwa, wobec różnorodnych zbierających się osób w tych miejscach. Pozywiali się przeto w domu przeważnie, improwizując tanie obiady, bez wielkich zachodów. Kawałek wędliny, kilka jaj, śledzie i nieodzowny czaj, w pełni zadawały niegrymaśne ich gusta.

Wasyl otworzył małą szafkę, w której przechowywał herbaciane naczynia i swoje zapasy. Znalazł tam chleb, herbatę, cukier i nieco mleka. Na codzień byłoby to wystarczająco, lecz chciał się odznaczyć przed gościem. Zbiegł więc do sklepu i po chwili powrócił z dużym kawałem sera i z gorącymi kiełbaskami.

Przez ten czas samowar się rozgrzał i Wasyl zaparzył herbatę. Nie wiele posiadali naczynia, ale rozdzielili je jak mogli, najlepsze przeznaczając Wuliczównie.

— Darujcie, lecz nie potrafię jeść na takim stole, na którym choć rzepę siać! — zawołała Wuliczówna, kreśląc małym palcem kreski w kurzu.

— Jak o to tylko się rozchodzi, zetrę zaraz — odrzekł Wasyl i schwycił wiszące na gwoździu różowe spodnie. Był on bardzo oszczędny i ubrania ochraniał,

a tej jaskrawej części odzieży nie pozwoliła mu nosić Zina, jako zanadto w oczy bijącej, więc ją powiesił na ścianie, dla »ożywienia jej«, a teraz w zapale gościnności nie myślał oszczędzać, oddał kawał spodni i wycierał nim stół, zanim rozbawiona panienska, zdążyła mu w tem przeszkodzić.

— To z was prawdziwy dzikus — zawołała Anna.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony. — Wełniana szmata lepiej ściera niż papier.

— Być może; szkoda jednak, że ani jednej ani drugiego nie używacie, a widzę nadto po waszej podłodze, że miotły do ręki nie bierzecie. Czy wam nie wstyd za taki pokój gospodarza?

Wasył ruszył tylko ramionami.

— Pokój bagatela — wmięszął się Andrzej. — Osądźcie raczej, czy tu nie zachodzi barbarya.

I opowiedział jak Wasył, od chwili jak został furmanem, myje twarz tylko w niedzielę i nie używa ręcznika, lecz wyciera ją w poduszkę, a ręce suszy na wolnem powietrzu.

— Bo skóra tak lepiej twardnieje — objaśniał Wasył dobrodusznie i z niezamąconym spokojem popijał dalej herbatę, nie zwracając uwagi na dalsze żarty przyjaciela.

Po przekazce, wyszła Wuliczówna z Wasylem, a Andrzej został jeszcze w domu, bo ostrożniej było nie wychodzić we troje. Dogonił ich niedaleko na placu za hotelem.

Ciemniało już, gdy doszli do dębowego gaiku na wschodniej granicy miasta; pusto tam było, jako w dzień powszedni.

Świeży wieczorny zefirek doniósł do nich dźwięki miłego, chociaż niezbyt silnego barytonu.

— Wiem, czyj to głos — zawołała Wuliczówna. — To śpiewa poeta Watażko.

Porwała za rękę Andrzeja i przyspieszyła kroku. Namiętnie lubiła muzykę i sama śpiewała nie najgorzej.

Idąc w kierunku słyszanego śpiewu, wkrótce znaleźli się na zielonej polance przy brzegu lasu, otoczonej z trzech stron ścianami drzew. Z czwartej strony rozścielały się krzaki, zasłaniające polankę, lecz nie przeszkadzając widokom na miasto i na pola w prawo i lewo.

Śpiewak siedział pod drzewem. Był to kolega Wuliczówny z uniwersytetu w Genewie, młody całkiem jeszcze człowiek, lecz wydający się nad wiek starszym, z powodu obfitego zarostu.

Stojąc obok niego, przysłuchiwała się pieśni młoda, niskiego wzrostu, kobieta, w ciemno-popielatej sukni. Jasne pukle włosów, otaczające miłą twarzyczkę, blada cera i błękitne oczy, czyniły z niej jeśli nie cherubina, to obraz młodej owieczki.

Przedstawiła się jako Wojnowa.

— Czy Basia? Ach, przepraszam za poufałość! Barbara Aleksiejewna? — zapytał Andrzej.

— Tak jest, Barbara, czyli Basia, co mi się dużo więcej podoba — odrzekła uprzejmie zapytana.

Dobrze znaną była Barbara Wojnowa i słusznie ją wszyscy nazywali mateczką cierpiących. Małżonka lekarza o przekonaniach liberalnych, poświęcała siebie całą trosce o więźni politycznych, nie przestając osładzać los każdego, jakby członka swej rodziny.

— Dobrze, że ja was poznaję — rzekła do Wasyla i Andrzeja — gdy przyjdzie na was kolej, będę się tem więcej troszczyć o waszą dolę.

Podziękowali za obietnicę, lecz wyrazili nadzieję, że nie tak rychło zaliczą się do jej klientów.

Siostry Dudorow zbierały w lesie suche gałęzie dla ułożenia stosu, a pociągnięte dosłyszana rozmową, zbliżyły się w towarzystwie młodzieńca w siwej bluzie, o jasnych jak len włosach, oczach bez wyrazu i okrosz-

czonym nosie na brzydkiej twarzy. Niósł on wiązkę gałęzi, którą rzucił na murawę.

— Boczarow! — krzyknęła Wuliczówna. — Chodźcie do nas, zaznajomię was z przyjaciółmi.

Boczarow zaliczał się do »legalnych«, to znaczy, że żył pod swoim nazwiskiem i posiadał prawdziwy paszport. W ostatnich jednak czasach popadł w nieporozumienia z policją.

Wszyscy rozsiedli się na murawie, a rozpoczynając rozmowę, wyraził Andrzej zdziwienie, że Boczarow jest taki swobodny, podczas gdy, o ile mówią, policja śledzi za nim.

— To prawda — odrzekł tenże z powagą. — Ale ułożyłem się z przydzielonym do mnie szpiegiem i żyjemy w zgodzie. Przychodzi do mnie raz w tydzień, wysłuchuje mojej opowieści o miejscach, w jakich rzekomo przebywałem, a potem pozostawia mnie na cały następny tydzień w spokoju.

Wuliczówna zauważyła, że uzyskanie takich przywilejów, musiało być drogo opłacone.

— Wcale nie! — wykrzyknął Boczarow. — Mnie nie stać na zapłaty i ani kopiejki nie dałem, zmusiłem go do poddania się w zupełności. W pewien śliczny dzień przed dwoma tygodniami, gdy już zanadto byłem znudzony i zmęczony bezustannem szpiegowaniem mnie, pożywiłem się rano bułką i kiełbasą, postanowiwszy chodzić bez celu z miejsca na miejsce, do późnego wieczoru. Tak też zrobiłem, a choć czułem się bardzo zmęczonym, to jemu było o wiele gorzej, bo był głodny, a ja mu ciągle dogadywałem: »Poczekaj hultaju, ja cię tak umęcę, że język wywieszisz«. Ustał nareszcie ku wieczorowi i począł się spraszać: »Zmiłujcie się już panie, przecie ja mam żonę i dzieci, muszę dla nich zarabiać«. Ktoby mógł przypuszczać, że taki niegodziwiec może mieć żonę i dzieci. Zmiękłem więc i zapropono-

wałem mu kompromis, który on natychmiast przyjął. I tak żyje teraz swobodniej.

W tej chwili przybył nowy gość, tłumacząc się interesami ze swego opóźnienia. Nazywał się Mironow, a był do niedawna gminnym pisarzem wiejskim i jako stojący blisko ludu, w wielkiem pozostawał poważaniu u sióstr Dudorow. Zaproszony został dla zapoznania go z Andrzejem i Wasylem, z którymi zaraz zawiązał rozmowę, z obrotnością człowieka uważającego siebie za znakomitość i mocno przekonanego, że musi zainteresować każdego.

— Mironow — zawołała starsza Dudorow — oto Wojnowa gorąco pragnie was poznać.

— Wcale nie! — odparła Wojnowa.

Mironow uśmiechnął się do Andrzeja z chęcią usprawiedliwienia się i jakby pytająco »co ma robić?«

— Co to za szkaradny człowiek — szepnęła Andrzejowi Wuliczówna. — Byłabym wcale nie przyszła, gdybym przewidziała, że on tu będzie.

— Dlaczego? Co macie przeciw niemu? — zapytał Andrzej. — Podobno on bardzo popularny u chłopów.

— On sam tak opowiada, a my wierzyć musimy. Jakkolwiekby, ja go znieść nie mogę.

Tymczasem zapalono stertę gałęzi i czarny żelazny kociołek zawisł nad płomieniem. Wasyl zajął się gotowaniem kaszy hreczanej.

Ciemność opanowała okolicę, a przerywało ją światło płomieni. Niebo zawisło nad gajem, a gdzieś tam błysk gwiazdy przebijał się przez gałęzie. Światła okazywały się wśród miasta, które zdawało się wielkiem i oddalonym, przyjmując postać wyspy oddzielonej od lasku szerokim morzem mroku.

Wszyscy obsiedli ognisko, milcząco spoglądając na kipiący kociołek, w którym Wasyl mięszał kaszę długą łyżką, oraz poprawiał gałęzie w płomieniach. W miarę

tego, jak się pochylał i prostował, cień jego rozścielał się to po murawie, to po pniakach starych drzew, albo odbijał się na części i znikał na nierównej ścianie gałęzi, fantastycznie oświetlanych od dołu. Stada muszek brzęcząc przemykały w powietrzu, niknąc chwilami w przelotach przez świetlane smugi. Trzask ognia silniej się odbijał w panującej ciszy.

— Jak raz jest pora do opowiadania sobie strasznych historii i przywidzeń — odezwała się Anna.

— Dlaczego nic nie zaśpiewacie — zawołała Masza Dudorow. — Wuliczówno, Watażko, intonujcie chór!

Próbowali śpiewać narodowe pieśni, lecz im nie szło. W rzeczywistości, tylko tych dwoje zawezwanych przez Maszę coś umieli, a Boczarow fałszował, wywołując śmiechy.

Wuliczówna oszczędzała się w tym chórze; znała swoją wartość, a dziś wyjątkowo pragnęła się odznaczyć.

Żywioł ukraiński przeważał w tem kółku i wszyscy zwrócili się z prośbami do Wuliczówny, żeby zaśpiewała pieśń małoruską.

— A co mam zaśpiewać? — zapytała Andrzeja.

— To co wam jest najmilszym — odrzekł.

Zdjęła z siebie zarzutkę dla większej swobody i odeszła cokolwiek na bok. Pomyślała chwilę a wyraz twarzy stał się poważnym, ostrym niemal, poczem zaczęła śpiewać. Półotwartemi oczami patrzała w dal, a całą duszę swą w pieśń wlała. Czuła, że Andrzej na nią patrzy, że z niej i z pieśni zadowolony, więc ją to pobudzało i dodawało pieśni uroku dla niej samej. Słowa opiewały młodego kozaka, porzucającego dom i narzeczoną, by walczyć przeciw niewiernym dla zerwania łańcuchów, w których towarzysze jego jęczeli w jarzmie tureckiem.

Wuliczówna nie była śpiewaczką z zawodu, choć mogłaby wystąpić na scenie, miała bowiem głos silny,

wymagający nieco szkoły, chociaż żadna nie nauczyłaby już jej lepiej pieśni narodowych. Urodziła się wśród tych szerokich pól, będących kolebką potężnych i namiętnych motywów, które ona śpiewała tak, jak to umieją dzieci stepów. Głos jej dźwięczał miękko i rzewnie pod sklepieniem niebios i rozlewał się melodyjnie w nocnej ciszy, po śpiących w około równinach.

Nie dawano jej oklasków, ani żadnych oznak zadowolenia; jedynie Masza szepnęła w ucho Boczarowa, że jej nigdy dotąd nie widziała w takim usposobieniu. Wasyl zachmurzył się, patrząc w ogień i oparłszy głowę na dłoniach, kiwał nią od czasu do czasu. Andrzej stanął w pewnym oddaleniu, by lepiej i w spokoju słuchać.

Wuliczówna nie widziała go, lecz przeczuwała. Skończywszy pieśń, obróciła się ku niemu zarumieniona z artystycznego uznania i swego powodzenia. Przysunąwszy się nieco, szybko siadła na trawie, zanim on zdążył cokolwiek rozesać.

— Każdy — odezwał się do niej Andrzej — szedłby radośnie walczyć z Turkami, byleby być potem wyśpiewanym z takim uczuciem.

— Radam bardzo, że się wam pieśń podoba, śpiewałam ją dla was. Wierzę zaś w to, że się wam uda rozerwać łańcuchy naszych przyjaciół, tak jak to spełnił kozak w pieśni.

— A będzie to po połowie waszą zasługą, skoro bierzecie w dziele tem równy udział.

— Nie — odparła panienka — my kobiety nie możemy współdziałać w kozackich czynach i nie możemy dzielić ich sławy! My możemy tylko was do nich doprowadzać i podawać szablę z karabinem; ale też i nie narzekamy wcale, ciesząc się i tem co na nas wypadnie.

Pod wpływem wewnętrznego zapału, oczy jej zabłysły, a lica pałały życiem i radością. Zazwyczaj mil-

cząca, była tego wieczoru uosobieniem wesołości i ożywiała wszystkich swoją żywością i swawolą.

Wesoło przeszła kolacya, chociaż pożywienie było nieszczęgólne, bo Wasyl, zawsze zapobiegliwy, tym razem zapomniał wymięszyć kaszę w potrzebnej chwili i przypaliła się. Przeczekawszy nieco, zaproponowała Wuliczówna skoki przez ogień, tak jak się tem zabawiają wiejscy chłopcy i dziewczęta.

Skakała więc z Watażką i parę razy z Andrzejem, potem zaśpiewała ulubioną małoruską pieśń »Księżyc« z taką rzewną smętnością, że Wasyl o mało nie zapłakał. Gdy ją prosił o powtórzenie pieśni, to ona zaintonowała wesołą piosnkę, pełną ukraińskiego humoru, który z wielkoruskim zasługuje na porównanie bujającego pod obłokami skowronka z morską czajką, wykrzykującą przed burzą.

Lubowała się swoim wpływem na uczucia i na nastroj otaczających ją. Miło jej było widzieć jak się twarz Wasyla rozjaśniła, jak mimiką okazywał swoją wesołość.

Ale jej serce nie dzieliło radości, jaką w drugich budziła, lecz coraz większym przepełniało się smutkiem podczas wesołej śpiewki. Wkońcu siły ją zdradziły; wewnętrzne łkanie uciskało ją tak, że ostatnią strofkę piosenki przerwać musiała, wstrzymując cisnące się łzy.

Usiadła na boku i już nicby nie mogło jej skłonić do śpiewania; przez resztę wieczoru prawie ust nie otworzyła, a pragnęła tylko, by się wszyscy oddalili, by mogła samą pozostać.

Z wszystkich obecnych, jeden Andrzej tylko zrozumiał znaczenie przerwania piosenki; był już poprzednio przygotowany do tego odkrycia, bo młoda panienka nie usiłowała ukrywać tajemnicy swego serca.

Nie mogło być wątpliwości: ona go kochała. A cóż on mógł jej dać w zamian? Jedynie tylko wdzięczność i przyjaźń! Ale jej co po nich?

Pragnął przekonać się, że go martwi to odkrycie, ale wiedział, że tak nie jest. Są mężczyźni, wyjątkowo delikatni i nerwowi, w których miłość nieszczęśliwa wzbudza czułość i sympatyę dla kobiet w ogóle; Andrzej jednak do nich nie należał.

Nieudana miłość Tani, uczyniła go mściwym w stosunku do niewiast. I teraz, pierwszym jego uczuciem, była nieżyczliwość; uważał się być pomszczonym za tamto poniżenie. Później dopiero pomyślał, że go to ani na jotę nie czyni szczęśliwszym; teraz był tylko dumnym i zadowolonym.

Wypadało powracać im razem do miasta. Przy rogateczce rozłączono się, a Wasyl z Andrzejem chcieli odprowadzić Wuliczównę do domu, lecz ona odrazu odmówiła tych usług, bo nie potrzebuje przewodników i sama dojdzie do domu.

Andrzej i Wasyl powrócili do oberży, a tam zastali oczekujący ich list do Andrzeja. Od zaspanego służącego dowiedzieli się, że list ten przyniósł chłopczyk z »kantoru«, do którego Andrzej co rano uczęszczał. Na świstku papieru, nieprzezornie i nieortograficznie nabazgrano wezwanie Andrzeja nazajutrz rano do »kantoru«, nie na jedenastą, lecz na dziesiątą rano.

Kartka mogła być tylko od Ziny i oznaczała niewątpliwie, że coś zaszło. Bez ostatecznej konieczności, nie zmieniałyby Zina ustanowionego porządku spotkań i zebrań.

ROZDZIAŁ IV.

N o w y p l a n.

Zina i Andrzej mieli się spotkać w miejskim parku. On był już tamże na pół godziny przed terminem i siadł na ławce w końcu odosobnionej ulicy. Ujrawszy pomiędzy drzewami jej cynamonowo-jasną suknię, wyszedł na spotkanie.

— Co się stało? — zapytał.

Nie odpowiedziała odrazu, bo przechodził koło nich jakiś pan spacerowym krokiem. Surowym był wyraz twarzy Ziny i zafrasowany; niewątpliwie coś zaszło, ale co, tego się Andrzej nie domyślał.

— Więc cóż? — zapytał, gdy byli sami.

— Wszystko przepadło — odrzekła Zina, patrząc mu w oczy: — Odkryto podkop.

— Czy możebne? — zawołał.

— Tak, wczoraj w nocy. Ale chodźmy usiąść na ławce, tam wam przebieg opowiem.

Zasiedli na ulubionem przez nią miejscu, bo było zakryte przed ciekawymi, a przechodzących można było spostrzegać zdaleka.

W krótkich słowach przedłożyła mu co zaszło. Kunicyn spuścił się był pod podłogę, dla wykopania ostatnich kilku stóp ziemi, gdy w kaźni zaszła awantura między jego towarzyszami. Grali oni w karty i jeden

z nich oszukiwał, a drugi rzucił się na niego i zranił nożem w plecy. Na krzyk jego zbiegli się dozorczy. Kunicyn zdążył zaledwie wskoczyć na swoje posłanie, ale nie miał już czasu dla nakrycia podkopu. Jeden z dozorców potknął się o sterczącą deskę i tem wszystko wyszło na jaw.

Andrzej wpatrywał się pilnie w twarz Ziny podczas jej opowiadania, ale wskutek wzburzenia zaledwie mógł słyszeć jej słowa, a zrozumiał z nich tylko tyle, że plan ich przepadł.

— Oto macie skutki wszystkich tych zwłok i odkładań! — zawołał z wyrzutem.

Taka go opanowała zgryzota, że nie odczuł jak srogą i niesprawiedliwą była jego uwaga.

— Mogło być gorzej — odpowiedziała mu Zina spokojnie. — Gdyby dozorczy dowiedzieli się o podkopie wcześniej, byliby urządzili zasadzkę i wszyscy nasi zostaliby schwytani. Teraz, nie pozostaje nam nic innego, jak wszystko na nowo rozpocząć.

— Zdaje się, że po raz trzeci! — zagadnął Andrzej.

— Nie, ale po raz piąty. Układaliśmy już i porzucali trzy plany przed tym ostatnim.

— Cóż teraz pocniemy? — zapytał Andrzej, starając się być spokojnym. — Czy macie jakie widoki?

— Może się co nasunie. Trzeba pomyśleć... Borys coś doniesie. W tem bieda, że pieniądze płyną.

Oboje pograżyli się w zadumę. Przerwała ją Zina:

— Doniesiono mi, że prokurator otrzymał polecenie przyspieszenia procesu Borysa.

Dowiedziała się o tem od małżonki jednego z urzędników prokuratoryi i wieścią dzieliła się z Andrzejem.

— A cóż z tego wyniknie? — informował się Andrzej.

— Nic szczególniejszego, przyjdzie mu poddać się ponownym przesłuchaniom, to i wszystko.

— A gdzie mają miejsce badania? — żywo zapytał Andrzej. — Czy w więzieniu, czy też przewożą ich ku temu w inne miejsce?

— Zazwyczaj przewożą ich pod konwojem do budynku sądowego, w którym zasiada komisya.

— A gdyby się udało uwolnić ich w drodze? — pytał Andrzej, wpatrując się w Zinę.

Ona ze zdziwieniem na niego spojrzała i rzekła:

— Na ulicy, wśród miasta i ruchu? W biały dzień? Czy wy przy zdrowych zmysłach?

— Nie proponuję jeszcze tego stanowczo, w tej chwili przyszła mi ta myśl do głowy. W każdym razie nie zaszkodzi zastanowić się nad nią. Powiedzcie mi, ilu bywa konwojujących?

— Ostatnim razem było ich czterech.

— Tylu tylko? To już nie tak źle.

Zaczął obraniać swój plan na seryo, dowodząc, że napad wśród dnia na ulicy, nie jest tak niebezpiecznym, jak się na pozór wydaje. Gdyby próba została spełnioną, to wszystkoby się rozstrzygnęło w ciągu minuty; tłum nie miałby czasu się zebrać. Przy pierwszych wystrzałach, uciekaliby przechodnie; wybrać można spokojną ulicę, a o taką nietrudno w pobliżu więzienia, stojącego na krańcu miasta.

— Ale zapominacie — zauważyła Zina — o konwoju. Na czterech żandarmów trzeba mieć z naszej strony co najmniej tylu i liczyć na to, że jak mówicie, nagłość napadu okaże się dobrodziejstwem dla nas. A pomyślcie o tem zamieszaniu i tylu ludziach, przy niezbędnych dwóch furmankach do ucieczki.

— Bądź co bądź, postarawszy się, można dostać i ludzi i pieniędzy — odparł Andrzej.

— Ależ byłaby to istna bitwa, jaka nie może leżeć w naszych zamiarach. Jakież też sens w tem, by oswobadzać aresztowanych, poświęcając broniących?

Andrzej poruszył się niecierpliwie, bo uważał, iż plan jego musi być wykonanym. Patrząc w ziemię, myślał o uproszczeniach zadania: jedna furmanka i trzech ludzi mogło wystarczyć...

— Cobyście na to rzekli — odezwała się raptem Zina pod wpływem nowej myśli — żebyśmy aresztantów uzbroili?

— Wyśmienicie. Ale czy to możliwe?

— Myślę, że tak. Nasz dozorca podaje stanowczo wszystko, raz już doręczył pęczek piłek i kluczy, może być, że poda i rewolwery. W każdym razie, ja się poinformuję.

— Dobrze, ale jak można najrychlej, to nam nadzwyczajnie ułatwi zadanie.

Nazajutrz oświadczyła Zina ku wielkiej radości Andrzeja, iż dozorca uznaje życzenie jako całkiem wykonalne.

Tym sposobem plan się upraszczał i na następnej naradzie został jednomyślnie przyjęty. Postanowiono, że wobec uzbrojenia aresztowanych, można się obejść dwoma napastnikami i dwoma furmankami, a jedną i konia polecono Wasylowi zakupić. Zina miała wynaleźć dwóch ludzi zaufanych, jednego do napadu, drugiego za furmana.

Nowe przeszkody zmuszały ich do pośpiechu z przygotowaniami, by być na zawołanie do czynu.

Zina zauważyła, że mogą więźniów wezwać do śledztwa, przed upływem dwóch tygodni, co przedstawiało za mało czasu do przygotowań. A jednak nie należało pominąć sposobności, mogącej się więcej nie zdarzyć.

Zaproponował przeto Andrzej nie werbować nowych pomocników. Mając niezłego wierzchowca, podejmował się rozprószyć konwój napadem. Borys i dwaj jego towarzysze byli pewni i śmiali, a jeżeli im się uda sparaliżować ruchy jednego z konwojowych, co jest możliwe, przewaga byłaby po ich stronie.

Plan był bardzo ryzykowny. Andrzej sam mógł rozpocząć napad, ale też wierzył w pomyślny rezultat i wiarę wszczepił towarzyszom; przemawiały za nim jego prostota i lekceważenie siebie. Długotrwałe zwłoki wyczerpały już zasoby pieniężne otrzymane na ucieczkę. Wprawdzie Zinie, posiadającej dar znajdowania pieniędzy, udało się pożyczyć przez Boczarowa dwa tysiące rubli na trzy miesiące, które petersburskie kółko miało spłacić, ale prócz tej sumy nie przewidywano żadnego źródła więcej.

Musiano przestrzegać najściślejszą oszczędność. Teraz jednak mieli główny wydatek tylko na konia i siodło, a na to ich stać było.

— Tylko nie zamyście kupować mi rysaka — rzekł Andrzej do Ziny, która była kasyerem kółka i zajmowała się wypłatami. — Na średnim koniu można im nadażyć, choćby jechali w kibitkach; jeśliby byli konno, kozacy lub kawalerzyści, to czy rysak czy nie, wszystko jedno, bo wszystko byłoby daremne.

Gorączkowa działalność zajęła teraz męcząco ospałe wyczekiwanie. Andrzej i Wasyl obeszlą wszystkich handlarzy i wynaleźli dość dobrą stepową klaczkę. Po otrzymaniu zapewnienia, że jest wierzchową, stargowali ją, kupili i odprowadzili zaraz do oberży, poczem Wasyl zajął się zakupnem siodła.

Następnych dni kilka spędzał Andrzej przeważnie na koniu, który się okazał gorącym, ostrym i lęklwym. Ważną przeszkodą była ta ostatnia wada, bo przy spotkaniu, mającem nastąpić, strzały były nieuniknione; podjął więc trud przyuczenia swego, jak go nazwał, Rosynanta. Po pierwszym, daleko za miastem, wystrzale z rewolweru, klacz skakała jak szalona; po każdym następnym było już lepiej, a po tygodniu ćwiczeń, tak jeździec jak koń, gotowi byli do czynu; wystrzał nad uchem wywoływał już tylko lekkie wzdrygnięcie. Objężdżał

więc już tylko Andrzej miejsce przewidziane dla spotkania i możliwych odwodów.

Zina jednocześnie zajęta była pouczeniem sztydwarłów, stróżów i posłańców, których było ośmiu wybranych, a mieli obowiązek całym szeregiem zręcznych sygnałów, oznajmiać napadających w danym miejscu i chwili.

Czas, w który zawezwą aresztowanych do komisji, był znany tylko w przybliżeniu; wybór terminu zależał od prokuratora; należało przeto być w ciągłym pogotowiu.

Sygnał pierwszy miał wyjść z więzienia. Przed odaniem więźniów żandarmom do przejazdu, miano ich starannie rozebrać, zrewidować i ubrać, a w chwili wezwania ich, miał Klein umieścić siny papier w swoim oknie.

W dniu komisji sądowych, od 9 rano do 3 popołudniu, skierowaną była w to okno lornetka z jednego pobliskiego domu, w którym naprzemiany siedział zawsze jeden ze spiskowców.

Po spotrzeniu sygnału, miał czuwający zawiadomić Watażkę siedzącego w kawiarni z jednym towarzyszem, a ten ostatni znów miał się zaraz udać do dwóch innych, siedzących w następnej kawiarni. Watażko miał się do czekającej doróżki i pospieszyć do Wasyla, ciągle z koniem na zawołanie gotowego.

Andrzej i Wasyl mieli dość czasu, by zdążyć na miejsce, bo formalności wszystkie z aresztantami, przebieranie ich i rewizye długoby trwały.

Z więzienia do gmachu sądowego, trzeba było iść czterdzieści minut. W trzy lub cztery przejdzie konwój przez plac więzienny w ulicę długą ćwierć wiorsty, szeroką i wysadzoną lipami; przejście przez nią wymagało około 20 minut, poczem należało rozpocząć napad.

Najlepiej było to uczynić po drodze do sądu, lecz w razie jakiejś przeszkody, np. przechodu pogrzebu,

na nowe może plany, oparte na fantazyi, gdy idzie o życie trzech towarzyszków! To już zanadto! Stronictwo do niczego nie doprowadzi, trzymając się podobnej taktyki!

Zina się uniosła, jakby te słowa ją dotyczyły i zawołała głośniej:

— Nie mówcie głupstw Andrzej! Oni doskonale wiedzą, jak rzeczy stoją, i nie myślcie, żeby nie liczyli się ze skutkami takiego odroczenia; jeżeli zaś wysłali depezę, to znaczy, że ich poglądy ważniejsze są od naszych; sami nadto dobrze wiecie, że my ustąpić musimy.

Zamilkła, a wyraz jej dużych siwych oczu dopowiadał jeszcze: »Po co mnie męczyć daremnie? Przecież mnie ta sprawa żywo obchodzi i obmyślałam ją nieraz i teraz«.

Andrzej przygryzł wargi i spokojnie zapytał:

— Czy uprzedzono ich, że dziś nic nie zajdzie? — A miał na myśli aresztowanych.

— Nie miałam na to czasu — odpowiedziała Zina. — Depeszę otrzymałam w nocy, po widzeniu się z dozorcą. Oni sami się domyślą, że napad nie nastąpi, gdy nikogo na ulicy nie zobaczą.

— Tak się nie godzi. Oni pomyślą, żeśmy się spóźnili i będą oczekiwać napadu przy powrocie. Trzeba ich koniecznie uprzedzić, bo oni mogą się tak zachować w śledztwie, żeby ich wkrótce ponownie wezwano.

— Prawda, ale jakże ich teraz uprzedzić?

— Pójdźmy oboje naprzeciw nich; widząc nas pieczo i całkiem spokojnych, domyślą się odroczenia.

Podobał się Zinie ten zamiar, ale wyraziła obawę, że żandarmi zauważą postać Andrzeja i rozpoznają go przy następnem spotkaniu, choć przebranego.

— Zbyteczne ostrożności! Oni tak mnie nie zapamiętają, jak i setki innych napotykanych.

Wasył, jak zawsze, potakiwał Andrzejowi i Zina ustąpiła, zabierając się do wyjścia.

Uszedłszy paręset kroków od oberży, spostrzegli pędzącą ku nim dorożkę. Obrosła twarz Watażki widniała po za furmanem. Zatrzymał go i wyskoczył.

Spieszył z wiadomością, że w oknie Kleina wystawiony jest sygnał, że więźniów konwojują do sądu, a wszyscy rozstawieni są na swych miejscach.

— Wracajcie prędko i odeślijcie ich zaraz do domów; niech ich nie widzą na ulicy. Wszystko odroczone na dni trzy — wyrecytowała Zina.

Chociaż bardzo zafrasowany, pospieszył Watażko spełnić polecenie, a Zina z Andrzejem poszli dalej na spotkanie Borysa z towarzyszami.

Poranek był chłodny, jeden z tych, jakie przynosi raptowny północny wiatr w ten ciepły wilgotny zakątek; gęsty, ostry deszczyk siekł po twarzy i rękach. Zina otworzyła parasol.

— Jaka sprzyjająca pogoda! — zawołał Andrzej, wyciągając ręce przed siebie, a Zina z uśmiechem głową kiwnęła.

Mgła i deszczyk odpowiadały potrzebie przy zbliżającym się spotkaniu; ulice były prawie puste.

Idąc i bacznie patrząc przed siebie, wzdrygnęli się. — Otóż i oni! — Szepnęli sobie jednocześnie.

Przez gęstą deszczową zasłonę, ujrzeli swoich, idących naprzeciw. Dwóch żandarmów szło naprzód i tyłuż w tyle. Aresztowani szli pomiędzy nimi.

Wkrótce poznali się wzajemnie.

Z trojga więźniów, jeden Borys wyglądał zdrowo i czerstwo; siedł w środku, a wiatr rozwiewał bujną jego brodę; na twarzy zarysowała się radość ze spotkania, nie zamącona zrozumieniem co ono znaczy. Lewszyn i Klein byli bardzo bladzi; może z choroby, może ze wzruszenia.

Spotykający się byli coraz bliżej, dobrze udając zupełną obojętność i strzegąc się przed jakąkolwiek zewnętrzzną oznaką znajomości. Nie patrząc na siebie, odczuwali wzajemnie obecność.

Dla przedłużenia na minutkę tego niemego widzenia się, Zina podeszła pod ganek najbliższego domu, jakby się kryła przed deszczem. Tutaj powzięła nagle myśl szczęśliwą i zaraz ją spełniła.

Podniósłszy w górę trzonek parasola, spojrzała wymownie w oczy Borysa i zaczęła pukać w bramę domu, jakby chciała dzwonić.

Mocno się Andrzej tem zdziwił, lecz w momencie poznał znaczenie tego pukania. Oto, Zina telegrafowała do męża abecadłem więziennem, w którym każda litera miała swoją liczbę stuknięć. Borys i Zina dobrze się na tem znali.

Oto były słowa tajemniczej depeszy: »Spowodujcie wkrótce powtórne śledztwo«. Tak szybko wypukała to zdanie, że skończyła w chwili gdy konwój koło nich przechodził. Nieznacznym, zaledwie dostrzegalnym ruchem głową, odpowiedział Borys, że wszystko rozumiał.

W tej chwili otworzono bramę domu i stróż zapytał Zinę o powód pukania.

— Czy tutaj mieszka pułkownik Jan Piotrowicz Kru-
tikow? — zapytała Zina, nie zająknąwszy się przy tem naprędce zmyślonym nazwisku.

Otrzymała odpowiedź, że to jest dom popa Suda-
kowa i że prócz niego, nikt tu nie mieszka.

Przeprosiwszy, odeszła z Andrzejem w najlepszem usposobieniu i wiarą w to, że odroczenie nie spowoduje złych skutków.

ROZDZIAŁ V.

P o t y c z k a.

Zina i Borys zamienili między sobą listy tego wieczoru. Ona objaśniała więźniom powody odroczenia; on ze swej strony donosił przyjaciółom, że postąpił tak jak polecili, oraz, że jego i towarzyszków niewątpliwie zawezwą do śledztwa na następne zebranie komisji, co nastąpi zapewne w sobotę.

W piątek zaszły w Petersburgu sprawy powodujące odroczenie i Andrzej z Wasylem radzi byli, że poszli za zdaniem Ziny. Nie mniej jednak żegnając się z nią tego dnia, rzekł Andrzej:

— Jeśli dziś w nocy nadejdzie depeza podobna do tamtej, to z nią nie przychodźcie; my już nie będziemy odkładać i daremnie będziecie nas nowymi wiadomościami niepokoiłi.

— Nie bójcie się niczego — odpowiedziała Zina — takie rzeczy nie powtarzają się codziennie.

Usiedli jeszcze po raz ostatni na tej samej ławce, na której przed trzema tygodniami dowiedział się o odkryciu przekopu i gdzie postanowiono ułożenie nowego planu.

Zamyślili się, nic nie mówiąc o dniu jutrzejszym. Nie było też już o czym mówić: wszystko zostało ustanowione i zmianie podlegać nie mogło. Uczynili, co tylko mogli i przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności, a bieg

wypadków pozostawał po za ich wpływem. Wyjście zależało od okoliczności, którym należało stawić czoło na miejscu, zręcznie i śmiało, nic nie przewidując i nie przepowiadając. Zina spojrzała na zegarek.

— Już mi czas odejść — rzekła powstając.

— Do widzenia — odparł Andrzej, ściskając obie podane sobie dłonie.

Na drugi dzień, siedział Wasyl o dziewiątej rano w furmańskim stroju u wrót swojej oberży i bacznie spoglądał w róg ulicy.

O godzinie w pół do jedenastej, przejechał Watażko swoją furmanką, nie zatrzymując się. W rękę trzymał, jako znak umówiony, białą chustkę, którą z lekka przemachiwał w powietrzu.

Wasyl pobiegł na górę, by zawiadomić Andrzeja i spotkał się z nim na schodach. Ujrzał on sygnał przez okno i spokojnie schodził na dół, opatrując swoje uzbrojenie.

Koń osiodłany czekał w pogotowiu, dojadając swój obrok. Andrzej założył mu trenzlę i podciągnął popręgi, a Wasyl natychmiast zajął furmankę swoją i szybko wyruszył z oberży, a za nim pokłusował Andrzej.

Kiwnęli sobie głowami na pożegnanie, nie wiedząc, czy się jeszcze kiedy zobaczą; nie myśleli jednak długo o przyszłości, zanadto przejęci chwilą obecną. Rozjechali się w przeciwne strony, by w różnych punktach oczekiwać chwili spotkania się i czynu.

W kilka minut dojechał Andrzej do małego odosobnionego placu, obok wiodącej do miasta fatalistycznej ulicy. Watażko, jemu specjalnie przydzielony, oczekiwał już w miejscu, z którego mógł patrzeć na dwie strony, być widzianym i dawać Andrzejowi umówione sygnały.

Wjechawszy w zaułek, spostrzegł swego wartownika dającego mu znak, że pochód nie wyruszył jeszcze z wię-

zienia. Wasyl nie był widzialnym z tego punktu; pilnował swego miejsca, gdzie otrzymywał dla siebie sygnały od innych wartowników, rozstawionych w kierunku więzienia.

Zeszedł Andrzej z konia i spacerując prowadził go za trenzlę, by nie zwracać na siebie uwagi przechodniów, widzących go w siodle na miejscu. Ubrany był w obszerny kupiecki kaftan, pod którym snadno mu przyszło ukryć broń. Popatrzył na Watażkę i widział, że ma wciąż głowę nakrytą, co oznaczało wskazówkę dalszego jeszcze wyczekiwania. Po chwili jednak ujrzał czapkę w jego rękach i strzeptywanie z niej prochu. Serce mocno zaabiło Andrzejowi, bo przyjaciele jego wyruszyli już z więzienia.

Pomimo to nie wsiadł jeszcze na konia; czekał na najważniejszy sygnał.

Więźniowie mieli być zaopatrzeni w krótkie rewolwery, które im dozorca miał doręczyć. Ponieważ jednak każdy wychodzący z fortecy bywa rewidowany, przeto dozorca wsunął rewolwery w kieszenie płaszczy, które sam miał im na plecy zarzucić przy wyjściu.

Wszystko zawisło na tem, czy się udał ten podstęp, a aresztanci mieli dać znak, czy są uzbrojeni lub nie; od tego napad zależał.

Watażko, udający spokojnego przechodnia, oglądającego towary w oknie, tłumiąc w sobie oddech, śledził ruchy Wasyla; w danej chwili pospieszył z dobrą wieścią do Andrzeja.

Rola jego skończyła się i nie potrzebował wyglądać dalszych sygnałów, gdyż Wasyl podjechał bliżej, żeby konwojowani mogli go spostrzedz.

Natomiast Andrzej musiał jeszcze zwlekać, żeby w danej chwili znaleźć się z partją na umówionem miejscu; obchodził więc mały placyk, prowadząc konia, a Watażko szedł przy nim i słucał ostatnich instrukcyi:

— Trzymajcie się zakrętu ulicy i jeśli nic nie zajdzie, pospieszcie powiadomić Zinę, która będzie czekać na bulwarze, na trzeciej ławce z brzegu.

Odnosiło się to do wypadku, gdyby napad miał być odłożony do powrotu partyi ze sądu, ale żywił Andrzej nadzieję, że ta zwłoka nie nastąpi.

Żachnął się raptem, wskoczył na konia, wołając:

— Teraz już chwila nastaje!

— Żegnajcie! — rzekł młodzieniec. — Od waszego pośpiechu wiele zależy.

— I od mego Rosynanta — odparł, klepiąc swego wierzchowca po szyi.

Kiwnął przyjaźnie głową i pojechał w stronę, z której nadszedł Watażko. Ulica była pustą, ale wzrok Andrzeja pociągnięty został jakby magnetycznie w maleńki przybliżający się doń punkt, który się rozwinął w niewielką kolumnę.

»Otóż i oni« rzekł do siebie. »Cokolwiekby się zdarzy, dzień dzisiejszy nie przejdzie daremnie«.

Doskonałymi swemi oczami łatwo rozpoznał trzech aresztantów i zauważył, że Borys był w kurtce bez płaszcza, a zatem nie musiał być uzbrojonym. Inaczej rzecz się miała z Lewszynem i z Kleinem, a oczywiście sami uznać musieli, że tak jest dostatecznie, skoro dali sygnał o posiadaniu rewolwerów.

Po lewej stronie ulicy spostrzegł Andrzej furmankę z Wasylem na koźle, a widoczne były rzerokie jego plecy w furmańskim ubraniu i świecąca ceratowa czapka. Wyglądał zupełnie jak dorożkarz, leniwie oczekujący na przechodnia.

W około nie było widać ani jednej dorożki, bo obowiązek mieli rozstawieni pilnowacze, by zszedłszy ze swoich stanowisk zajmowali każdą i odjeżdżali, nie zostawiając żadnej dla żandarmów, do ich ewentualnych pościgów.

Andrzej zbliżał się powolnym krokiem do przyjaciół, a oni do niego. Na ulicy nie wiele było publiczności. Tłusta baba, przy fartuchu podwiązanym pod pachy, pchała przed sobą wózek z owocami i łakociami, głośno zachwalając swój towar, a dwóch brudnych malców z otwartymi ustami spoglądało na kusicielski wózek, nie pojmując jak starsi, mogący kupować, przechodzą tak obojętnie. Okna domów trzymano otwarte; wesołe twarze lubowały się piękną pogodą i słyszeć dawały się śpiewy, śmiechy i głośne rozmowy.

Dziwną się wydawała Andrzejowi ta wesołość w ulicy, która za chwilę miała się stać widownią okrutnego zamieszania, walki i krwi rozlewu.

Napad miał nastąpić w odległości około dziesięciu sążni od stanowiska dorożki, żeby Wasylowi pozostawała wolna droga. W chwili pierwszego wystrzału konwojowanych, miał Andrzej napaść z tyłu na żandarmów zajętych utarczką z aresztantami. Ku temu też kierował swoje objazdy i stanął między Wasylem a konwojem, a miał Lewszyna najbliżej siebie. Tenże, biorąc kiwnięcie głową przyjaciela za sygnał, odwrócił się z rewolwerem w rękę i strzelił do idącego za nim żandarma. Rozległ się huk strzału i głośne zakłęcie, a Andrzej nic wśród dymu nie widział.

Dzieło było rozpoczęte. Zwróciwszy konia, czekał Andrzej z rewolwerem gotowym na rozproszenie się dymu i ujrzał nietrafionego żandarma borykającego się z przeciwnikiem i duszącego mu gardło. Strzelił i powalił żandarma na ziemię. Nastąpiło nieopisane zamieszanie.

Krzyki żandarmów i przechodniów, żałośnie wołania kobiet, trzask szybko zamykanych okien, mieszały się z hukami strzałów rewolwerowych.

Wasyl posunął się wyżej, widząc się z dorożką za blisko miejsca spotkania, a trzymając cugle jedną ręką,

z drugiej nie wypuszczał rewolweru. Oswobodziwszy się ze szponów żandarma, rażno Lewszyn wskoczył do dorożki. Klein rwał się za nim, lecz widząc to podoficer, tęgi słuszny młodzieniec, schwycił go za rękę. Andrzej pospieszył z pomocą, uszedł kuli żandarma, który chybił, a natarłszy nań koniem, o mało go nie zmiądzzył pod sobą.

Podoficer musiał puścić Kleina, a widząc go pędzącego do dorożki, zapragnął zwalić Andrzeja z konia i pognać za uciekającym, lecz ten z szybkością błyskawicy skręcił koniem i stanął między nimi i mierząc z rewolweru zawołał:

— Daremnie się trudzisz gołąbeczku!

Padły dwa strzały jednocześnie. Andrzej trafił żandarma w rękę, a ten przestrzelił mu tylko kaftan, ale kula trafiła w konia Wasyla. Podskoczył i porwał dorożkę za sobą i w niej ocalonych Lewszyna i Kleina. Borys pozostawał w szponach wrogów; dwóch żandarmów ubyło z dalszego starcia, więc było dwóch przeciw dwom. Można by Borysowi ułatwić ucieczkę z Andrzejem na koniu.

»Jeszcze jeden wysiłek i zwycięstwo przy nas«, rzekł sobie zwycięski Andrzej, gotując się do napadu.

Borys borykał się o jakie pięć sążni od Andrzeja z obydwojma żandarmami, którzy usiłowali go skrepować sznurami swych akselbantów; wyrwał im się, począł uciekać, lecz go schwytali.

— Trzymaj się przyjacielu! — krzyknął Andrzej — za chwilę jestem przy tobie.

Skoczył ku nim, lecz tu popełnił błąd poważny. Był dzielnym strzelcem i powinien to być wyzyskać. Widząc zaś jak rudy żandarm wiąże Borysowi ręce, nie użył broni, lecz natarł koniem na niego.

Podoficer, choć ranny, pospieszył koledze z pomocą i Andrzej zwrócił się ku niemu pchnawszy koniem tak

silnie tamtego, że upadł ale i pociągnął na ziemię Borysa; spłoszony koń odskoczył z Andrzejem. Obróciły się szanse przeciw niemu; stracił za wiele drogich chwil czasu. Nawróciwszy konia, ujrzał Borysa unieruchomionego; stanął jak wryty; oniemiał i patrzył złowrogo.

— Policya; ratuj się! — krzyknął mu Borys.

Oglądnał się i głośno zaklął. Dwóch policyantów nadbiegało, wywołanych krzykiem i strzałami, trzeci za nimi podążał, wyszedłszy z restauracyi.

Borys był zgubiony!

Ale oni daleko jeszcze; można jeszcze próbować.

Z szalem rozpaczy, z zaciśniętymi zębami, rzucił się ku żandarmom; ale za nadto się spieszył, bo strzelał nie celując i po chwili dopiero opamiętał się, że mógłby trafić Borysa. A więc cóż? Czy nie lepiej mu zginąć z ręki przyjaciela, niż zostać uduszonym przez kata? Wszystkie jego strzały chybiały, lecz on otrzymał ranę w nogę od kuli żandarmskiej. Rzucił rewolwer bez ładunków, a wyjął drugi z za pasa.

— Uciekaj, bo cię chwycą! — zabrzmiał donośny natarczywy głos Borysa.

Policyanci zbliżyli się do Andrzeja i jeden z nich chwycił go za kaftan, usiłując ściągnąć z siodła. Obrócił się i silnem uderzeniem kolbą rewolweru w głowę, powalił przeciwnika na ziemię. Ale nie było już żadnej nadziei; uznał walkę za przegraną. Spiął konia, ściągnął cugle i szybko pomknął. Kilka kul świsnęło mu koło uszu i przez chwilę słyszał wściekłe krzyki żandarmów.

Biada jednak temu, ktoby go chciał teraz zatrzymać! Ale też nikt nie próbował. Koń dzielił uczucia jeźdźca, bo pędził z szybkością niezwykłą. W pół minuty był na końcu ulicy przed otwartem polem. Nie puścił się jednak tamtędy, lecz wrócił w labirynt uliczek z przeciwnej strony, żeby zbić z tropu prześladowców na wypadek pogoni. Najwęższą z ulic wyjechał ku

rogatce i puścił się wyciągniętym galopem po gładkim, wcale nie brukowanym placu.

Pokazał się strażnikowi przy roгатce i powrócił do miasta, by zeń drugą stroną wyjechać. Ujrzawszy krzyże starego cmentarza, zwolnił biegu i tu miał podróż zakończyć. Znalazł się na drugim krańcu miasta o trzy wiorsty od miejsca potyczki, dalej nie potrzebował jechać. Niebezpieczeństwu nie podpadał już, ale nie należało mu tracić czasu.

Rozglądając się w około, nie zobaczył nikogo, więc prowadząc konia spuścił się w głęboki wąwóz starego cmentarza.

Tutaj, pierwszy raz uprzytomnił sobie otrzymaną ranę; nie wielką ona była i nie przeszkadzała mu się poruszać. Należało mu jednak zatamować krew sączącą się, żeby nie zostawiać śladów za sobą. Jak mógł, tak ranę opatrzył, wy dobył z torby przy siodle kawałek płótna i obandażował niem nogę. Zmienił ubranie, więc stanął jakby całkiem inny człowiek. Konia musiał porzucić i zostawić tu na miejscu jako zdobycz policyi. Nieodpowiedzialne stworzenie, nie podlegało wyrokowi za polityczne przestępstwo. Zapragnął, razem z koniem zostawić o tem notatkę, ale nie był do żartów usposobionym.

Teraz, gdy przeszło wzburzenie, wywołane niebezpieczeństwem, przejął się myślami o opłakanym rezultacie usiłowań.

»Co za nieszczęście, jaki to straszny cios dla Ziny« — powtarzał sobie z goryczą.

Smutno i z ciężkim sercem powracał do miasta, a kroki swoje skierował ku nowej kwaterze, przygotowanej przez Wasyla.

ROZDZIAŁ VI.

Przygody Wasyla.

Schronisko, w którym przebywał Andrzej, znajdowało się w środku miasta, a był niem umeblowany pokój, najęty przez Wasyla przed dwoma tygodniami. Koniecznem było, żeby gospodyni mogła w razie potrzeby zaświadczyć, że lokator jej Orys Pawluk, jak się teraz nazywał Wasyl, mieszkał tam przed starciem z policją. Ale co prawda, w poszukiwaniu kwatery, powodował się także Wasyl bardziej osobistym względem, a mianowicie przenoszeniem tutaj, ile się da, rzeczy z oberży.

»Jeśli tego nie uczynię zawczasu — myślał sobie — to wszystko daremnie przepadnie«. Nie wspominał jednak o tem swoim towarzyszom, żeby się na ich kpiny nie narażać.

Mając wieczory wolne, nie lenił się odbywać codzienne wycieczki trzywiorstowe i chytrze trzymał dwa mieszkania. Co wieczór zjawiał się w nowej kwaterze z węzełkiem pod pachą, oznajmiając, że powraca z dziennej roboty. O północy zaś, gdy wszyscy spali, wychodził potargawszy pościel, żeby gospodyni myślała, że wstał do dnia.

Andrzeja namówił, by przed napadem był u niego i zapoznał go z gospodynią, jako współlokatora z wiktem. Przedstawił go jako pisarza, mającego terminowe prace,

żeby usprawiedliwić niewychodzenie z pokoju przez całe dnie.

Niebezpiecznym byłoby dla Andrzeja pokazywanie się na ulicy po potyczce, całe bowiem miasto było zaalarmowane. Żandarmi bardziej usiłowali jego schwycić, niż zbiegłych aresztantów, przeciw którym nie żywili osobistej złości. Najdrobniej i najdokładniej sporządzony jego rysopis został rozpowszechniony w całym mieście i setki gończych psiaków śledziło za nim. Żandarmom udało się odkryć istotne nazwisko Andrzeja, dzięki zapewne nieostrożności któregoś towarzysza, a to dołało oliwy do ognia: dużo starych rachunków z żandarmeryą go obciążało, i teraz sobie wszystko przypomnieli.

Wasyła położenie było o wiele wygodniejsze. Wprawdzie instrukcye wydane szpiegom, obejmowały także aresztowanie furmana, ale w danych okolicznościach nie wiedziano właściwie za kim gonić.

Uwagę konwujących żandarmów tak Andrzej opowiadał, że nie zauważyli wcale powierzchowności jego towarzyszków. Rysopis Wasyła przez nich przedstawiony, tak dalece nie zgadzał się z tym, jaki dała służba w oberży, że policya przyszła do przekonania, że furman i doglądający koni w stajni, byli dwaj różni ludzie.

Bądź co bądź, Wasyl uznawał pobyt swój w Dubrowniku jako całkiem bezpieczny. Swobodnie przetochodził po ulicach, spełniając różnorodne zlecenia; przynosił Andrzejowi pożywienie i gazety, oraz wiadomości o towarzyszach, otrzymywane od Anny Wulicz, z którą spotykał się codziennie w parku miejskim. Robił wszystko co mógł, by rozpraszać troskę, widocznie Andrzeja gryzącą, chociaż ten starał się w sobie ją tłumić.

W rzeczy samej, dnie jakie spędzał w nowem schronisku, przepełnione były zgryzotą. Myśl o oswobodzeniu Lewszyna i Klejna, nie pocieszała go wobec straty Borysa; dla tamtych nie byłby narażał życia.

Ponadto ubolewał nad tem, że nie pokierował pomyślnie napadem na konwój, cierpiał nad Ziną, która takiego doznała zawodu w swych nadziejach. Przypisywał niepowodzenie popełnionym pomyłkom, bez których byłby teraz Borys z Ziną, a on, po odbyciu kwarantanny, byłby mógł do nich się przyłączyć. Obraz, jaki mu się przedstawiał, był tak pociągający a do niedawna tak rzeczywisty i realny, że wstrzymywał się, by nie krzyknąć z szaleństwa na myśl, że to był sen niedorzeczny i okrutna gra fantazyi.

Nie chciał ani na chwilę przypuścić zaniechania myśli o ocaleniu przyjaciela; koniecznie próbować jeszcze trzeba. Borys zostanie ponownie obwiniony o chęć ucieczki z rąk straży i policya wystąpi z nowymi szczegółami. Będzie więc wołany i przeprowadzany do sądu śledczego, a zatem korzystać z tego trzeba do wznowienia napadu. Andrzej ułożył już w głowie kilka planów, ale były one niedość określone i podobniejsze do zamków na lodzie, niż do możliwego spełnienia. Tymczasem ostatnie wypadki męcząco mu mózg świdrowały. Dlaczego on tak głupio kiwnął głową Lewszynowi, że nie w porę wystrzelił i nie dał Klejnowi czasu do przygotowania się? Dlaczego stracił głowę, widząc Borysa borykającego się z dwoma żandarmami? Gdyby był wstrzymał konia i natarł z boku, zmiażdżyłby jednego z żandarmów, zamiast powalenia Borysa na ziemię. Taki był pewien pomyślnego skutku napadu, że opamiętać się nie mógł teraz z okropnego rozczarowania.

Martwił się tem Wasyl i próbował go rozweselić, lecz nadaremnie. Jako człowiek mało stanowczy i nieśmiały, nie wywierał wpływu na drugich. Obawiał się też, by zamiast ulżyć Andrzejowi, nie rozdrażniał bardziej jeszcze jego rany.

Postanowił więc zostawić go w spokoju, pewnym też będąc, że on odżyje, gdy powróci do przyjaciół i do

roboty. Policya, nikogo nie schwytawszy, musiała przyjść do przekonania, że winowajcy uszli z miasta, i nadchodził czas, w którym Andrzej będzie mógł zakończyć swoją kwarantannę i zacząć wychodzić z domu.

Wasył oznajmił to towarzyszowi, lecz ten nie przecząc jego poglądom, wcale się nie spieszył korzystać ze sprzyjających okoliczności.

— Dzisiaj illuminacya miasta i fajerwerki — dodał Wasył — Wuliczówna chce się im przypatrzeć i mówiła, że wstąpi po ciebie.

Andrzej wzruszył ramionami i odrzekł:

— Mnie to wcale nie zaciekawia, a lepiej zrobię pilnując wieczorem kwatery; wy zaś idźcie oboje i potem opowiesz mi, com stracił, siedząc w domu.

Nie podobało się to Wasyłowi, więc odparł kwaśno:

— Ja nie mogę towarzyszyć Wuliczównie, ponieważ muszę się dziś widzieć z Ziną.

Wziął czapkę i wyszedł, chociaż do oznaczonej chwili spotkania dużo miał jeszcze czasu. Myślał sobie jednak, że Wuliczówna wkrótce nadejdzie, a młoda dziewczeczka rozweseli Andrzeja.

Skromność i dobroć Wasyła były całkiem na swoim miejscu. Na takie usposobienie, w jakim znajdował się Andrzej, najlepszym lekarzem jest kobieta, bo przed każdą niemal, łacniej niż przed mężczyzną, użali się i wywnętrzy cierpiący.

Zaraz też, gdy przyszła Wuliczówna i kilka nowin opowiedziała, odezwał się Andrzej:

— Widzicie, Aniuta, jak dalece byliście w błędzie w ów wieczór w lesie na pikniku.

— Nie mogę przyznać — odrzekła — bym się bardzo omyliła. Ale jak wasza rana? Wasył twierdzi, że to głupstwo, lecz widzę, żeście niezdrówi.

Machnął Andrzej ręką i zapewniał, że o ranie jego nie ma co mówić; byłby szczęśliw i wesół jak ptak

w obłokach przy tuzinie takich ran, gdyby się było przedsięwzięcie powiodło.

I mówił o tem, co go dręczy tak i w takim tonie, w jakim się do Wasyla nigdy nie odezwał.

Nie utaił przed nią żadnego z wyrzutów, jakie sobie czynił z przebiegu napadu. Ona gorąco i energicznie protestowała, co mu przyjemnem było, choć go nie przekonała.

— A nasi zbiegowie zawsze jeszcze przebywają u was w ukryciu? — zapytał.

— Już ich nie ma — odpowiedziała — odjechali wczoraj wieczór do Odessy. W mieście spokój zupełny i na ulicach nic nie zachodzi nadzwyczajnego. Nie powinniście dłużej się zamykać, bo i to może wzbudzić podejrzenie.

Zaczęła go zachęcać, by wyszedł przypatrzeć się iluminacyi, na co się też zgodził, z wielką dla niej uciechą.

— Zapomniałam wam powiedzieć — odezwała się już na ulicy, biorąc go pod rękę — że towarzysze wasi z Petersburga piszą, iż Jerzy podał na członka kółka młodą panienkę, znajomą waszą, i zapytują, czy wy i Zina godzicie się na jej przyjęcie.

— Jak się ona nazywa? — zapytał rumieniać się. Dobrze wiedział, kto ona była. Jedną tylko panienkę znaną im, mógł Jerzy przedstawić.

— Tania Repin — odpowiedziała Wuliczówna, podejrzliwie spoglądając na towarzysza.

— Repina! Jerzy ją przedstawia! — powtórzył Andrzej, nie pozbywając się wzruszenia.

Ręka, którą się dziewczeczka na nim opierała, raptem zdrząła i potem jakby zdrętwiała.

— Kto ona jest, ta Tania Repin? — zapytała przytłumionym głosem.

— Przyjaciółka nasza, córka adwokata Repina — odpowiedział, patrząc przed siebie.

Mała rączka drgnęła nerwowo i Wuliczówna spojrziała mu w oczy.

— Przyjaciółka, mówicie?

— Tak jest — odrzekł Andrzej i spotkał jej spojrzenie.

Zachmurzyła się panienska; oczy jej zaszyły złością, prawie nienawiścią.

— To nieprawda! — głośno zawołała — wy ją kochacie! — I rękę z pod jego ramienia wysunęła.

Andrzej groźnie na nią popatrzył. »Jakiem prawem ona mięsza się do tajemnic nikomu dotąd nie wyjawionych?« Spojrzenia ich krzyżowały się jak miecze w pojedynku.

Szli dalej obok siebie, milcząc. Po kilku chwilach Andrzej łagodniej na nią spojrział i rzekł:

— No więc cóż... tak; kocham ją. Czyście teraz zadowoleni?

— A ona... czy was kocha? — wyszeptwała panienska, spuszcżając głowę.

— Nie; ona mnie nie kocha, skoro wiedzieć to chcecie.

Wuliczówna jeszcze niżej głowę opuściła, starając się końcem parasolki zeszkrobać coś ze swego bucika.

— Dlaczego? — zapytała — prostując się.

Twarz jej i głos wyrażały takie naiwne zdziwienie, że Andrzej się uśmiechnął.

— To już zaledwie was interesować może — odpowiedział łagodnie. — Ale wiedźcie, Aniuta, i zapamiętajcie, że żadnej żywej duszy o tem dotąd nie wspomniał, co wam teraz.

— A jej także nie?

— Ona jest ostatnią, którejbym to przyznał... Ale nie dotykajmy już tego przedmiotu; sądzę, żeście mnie nie dla tych zapytań z domu wyprowadzili; podobno dla rozrywki. Starajcie się więc spełnić waszą misję.

— Tak trzeba — zawołała żywo, biorąc go znów pod ramię. — Żebym tylko potrafiła!

— Oświadczyć Zinie, że ja jestem za przyjęciem — wyrzekł Andrzej tonem urzędowym.

Wasył powrócił do domu i ucieszył się bardzo, nie zastając Andrzeja. Pójście na iluminację było jego pomysłem i pewien był, że przechadzka okaże się bardzo pożyteczną: Wuliczówna najlepiej zdoła go rozerwać. Tak sobie rozumował z zadowoleniem, lecz nie pozbawionem zawiści; myślał sobie bowiem, jakby rad być na miejscu Andrzeja.

Pod grubą, niezgrabną powierzchownością, piastował Wasył czułe serce. Kochał się już nieraz, lecz wybierał sobie zawsze przedmiot beznadziejny, nie mogący obiecywać mu nawet wzajemności. Lena pociągnęła go swoim chłodnym usposobieniem i w głębi duszy pozostawał jej wiernym. W ostatnich czasach zdawało mu się, iż tak samo może polubić Anię. Jeszcze to nie nastąpiło, lecz miło mu było pomarzyć o niej, i okazywał jej to, oraz świadczył usługi, których ona nigdy nie zauważyła.

W tej chwili oddawał się przyjemnemu oczekiwaniu jej nadejścia. »Ona wstąpi niezawodnie, myślał sobie i nie odmówi herbaty po spacerze«. Oczekiwał, fantastycznie słuchając szumu samowaru, zagrzanego dla swoich przyjaciół. Posłyszał zbliżające się kroki i wstał spieszenie, by drzwi otworzyć. Zamiast jednak oczekiwanych, spotkał się twarzą w twarz z policją. »Ot tobie masz, pomyślał, niewątpliwie w sprawie mego przekłętego paszportu«.

Odgadywał istotnie.

Wasył posiadał osobliwszą głowę. Działając sporadycznie i nie namyślając się, zdradzał niezwykłą przytomność umysłu i zmyślność w najtrudniejszych okolicznościach. Gdy jednak zachciał być osobliwie zrę-

cznym i zastanawiał się, to zdarzało się, iż okazywał dowcip zamiast rozumu i popełniał grube a zabawne pomyłki.

Tak mu też poszło przy urządzaniu ostatniej kwatery. Fałszywy paszport dany mu przez towarzyszków w Dubrowniku, nie bardzo poświadczają jego osobistość. Opiewał on o prawie niejakiego Pawluka, ucznia średniej szkoły, do postąpienia na kurs wyższy, a Wasyl wolał rolę rzemieślnika i poprawił paszport podskrobanie i dość to zrzecznie spełnił.

Gdy pochwalił się swoim dziełem przed Andrzejem, został należycie wyśmianym. Paszport był taką poprawką radykalnie zepsuty.

Słuszność tej uwagi mocno obeszła Wasyla, ale paszport już był podany do urzędu. Pozostawała mu jeszcze nadzieja, że w policyi mało odczytują treści dokumentów, a patrzą na wygląd, podpis i pieczęć.

— A jeśli przypadkiem przeczytają — mówił Andrzej — to przyjmą poprawkę jako pomyłkę.

I tak się też stało. Rewirowy odczytał, widząc, że prócz miejsca do zakwestyonowania, nie znajduje nielegalności, odłożył dokument na bok, by go przy pierwszej sposobności osobiście doręczyć.

Pojawienie się policyjanta przeraziło na chwilę Wasyla, ale go nie zmieszkało. Śmiało odpowiadał na zapytania rewirowego, podając się za ślusarza z połtawskiej kolei.

— Przyjechałem tu — mówił — szukać roboty, ale myślę, iż wkrótce do domu powrócę.

Grube rysy jego twarzy, stwardniałe ręce i prosta odzież, dawały Wasylowi wygląd robotnika. Tak zaś dobrze odgrywał rolę prowincjonalnego głupca, był tak naiwnym i nieśmiałym wobec władzy, że rozproszył w rewirowym wszelkie podejrzenia.

Gospodyni jednak oznajmiła policyjantowi, że z Wasylem mieszka ktoś drugi, nie meldowany jeszcze, a to rozbudziło ciekawość rewirowego.

Z całą otwartością niewiniątka wyjaśnił Wasyl, jak przypadkowo poznał się z tym Iwanem Załupałów — tak opiewał paszport Andrzeja — i jak poddzierżawił połowę izby.

— A czy on posiada paszport? — zapytał urzędnik.

— Naturalnie Wielmożny Panie — śmiało odpowiedział Wasyl. — Odebrałem mu go, żeby mi przypadkiem nie uciekł bez zapłacenia za kwatere. Z obcymi trzeba, Panie, być ostrożnym.

Wasyl wyciągnął z cholewy cenny ten przedmiot owinięty w szmatkę i podał go rewirowemu.

— Czemużeś zaraz nie zameldował?

— Nie zdążyłem, Panie; raczcie mi wybaczyć.

Policyant nic nie odrzekł, tylko się zachmurzył. Wasyl poskrobał się po głowie, sięgnął ręką do kieszeni i wyjętego z niej rubla położył nieśmiało przed rewirowym, mówiąc:

— Nie gardźcie tem, Panie. Maleńko to, ale pochodzi ze szczerego serca.

— Weź to precz durniu! — zawołał urzędnik, odsuwając skromny zanadto datek.

Epizod ten nie zaszkodził jednak Wasylowi.

— Kiedy powróci twój lokator? — zapytał rewirowy.

— Tego nie mogę wiedzieć — odrzekł Wasyl do brodusznie. — On lubi się napić, więc przychodzi często dość późno; raz jeden przez całą noc tu nie był.

— A to pięknie. Ja w każdym razie zaczekam, a ty zejdź na dół i przyprowadź mi stójkowego.

Serce silnie Wasylowi zabiło; oczywiście daremną była cała jego komedia. Musiał ją przecież grać dalej; wyszedł i zaraz wrócił z przywołanym.

Andrzej w międzyczasie, nie domyślając się niebezpieczeństwa, jakie go w domu spotkać mogło, spacerował z Wuliczówną po mieście podczas illuminacji i za-

trzymali się w parku. Nic go tu nie cieszyło; wszystko wydało mu się głupiem, a nadewszystko tłumy dorosłych ludzi, mogących się tem zabawiać.

Wcześniej przeto powracali. Andrzej chciał odprowadzić towarzyszkę, lecz ona na to nie zezwoliła. Dom jej był »zepsuty« pobytem zbiegów i nie należało mu się doń zbliżyć. Natomiast Wuliczówna odprowadziła Andrzeja.

— Nie wstąpicie do nas? — zapytał — jeszcze nie późno.

— Nie mogę, bo przed dziesiątą muszę być u siebie.

Wchodząc na skąpo oświetlone brudne schody, spostrzegł Andrzej Wasyla, stojącego na górze bez obuwia, bez czapki i surduta, dającego energicznie różne znaki rękami. Zrozumiał, iż należy mu zachować zupełne milczenie. Zatrzymał się i zaraz miał przy sobie Wasyla, który mu szepnął do ucha:

— Uciekaj, bo u nas policya!

— A więc uciekajmy razem — odszeptał Andrzej.

Nie doczekał się ani odpowiedzi ani jakichkolwiek wyjaśnień. Przyjaciel znikł na górze w drzwiach, nie ich pokoju, lecz przeciwległej ich mieszkaniu komórki, co nie mało dziwnem wydało się Andrzejowi.

Nie czekał dłużej, zeszedł na palcach i znalazłszy się na ulicy, spostrzegł jeszcze Wuliczównę.

— Aniuta! — zawołał wyraźnie, choć półgłosem.

Paniuszka obejrzała się i wróciła ku niemu, sądząc, że sobie coś ważnego przypomniał.

— Widzicie, że wyraźnem jest przeznaczenie — odezwał się Andrzej — bym was dziś odprowadził. U mnie policya!

— Policya! Wasyl aresztowany? — zawołała.

— Niewątpliwie nie; inaczej nie puszczonoby go na schody i nie mógłby mnie uprzedzić.

I opowiedział o szczególnem spotkaniu.

— Co mnie najbardziej bałamuci — dodał — to, że on pozostał, gdy łatwo mógł ująć zemną.

Coś tak dziwnego mogło zachodzić jedynie z takimi ludźmi, jakim był Wasyl.

Spełniwszy polecenie rewirowego i przyprowadziwszy wroga do swojej izby, usiadł Wasyl spokojnie przy krańcu stołu, zachowując pozór niewinnej obojętności, chociaż wewnątrz strasznie w nim wrzało: Andrzej mógł nadejść lada chwila i zapewne wraz z Wuliczówną.

Policyanci szeptali coś między sobą i potem rewirowy, a za nim stójkowy, oglądali wszystkie kąty w pokoju i za drzwiami, w zamiarze zapewne ukrycia się za nadejściem Andrzeja.

Niegodziwcy, układali oczywiście plan ataku z tyłu i z przodu!

Ale jak im w tem przeszkodzić? Okna wychodziły na podwórze, więc tędy nie mógł sygnalizować Andrzejowi niebezpieczeństwa. Nie mógł pragnąć walki, bo rewolwer pozostał w kieszeni kaftana, którego nie miał na sobie i niepodobna mu było ubierać go teraz, bez wzbudzenia podejrzeń policyantów. Nie wiedział Wasyl co począć i co przedsięwziąć, gdy nagle zasłyszany z dala strzał rakiety, podsunął mu myśl szczęśliwą.

— Wielmożny panie — odezwał się pokornym głosem — czy mogę popatrzeć na iluminację przez okienko? Tam z tej komórki zobaczę dużo.

Rewirowy rad był pomówić sam na sam ze stójkowym.

— Idź, skoro chcesz. Pamiętaj tylko, że będziesz mi wkrótce potrzebny.

Tym sposobem udało się Wasylowi odejść do komórki i tam spędzał okropne chwile, stojąc przy drzwiach z bijącym sercem i przysłuchując się każdemu szmerowi z dołu pochodzącemu.

Gdy już uprzedził Andrzeja, spoczął w komórce, radując się w całej pełni z dobrze spełnionego czynu.

Wasył był z natury dobrodusznym, spokojnym i nieco leniwym człowiekiem. Unikał wszelkich zatar-
gów i znosił życie o tyle lekko, o ile to było dopusz-
czalnem w jego położeniu, a zawsze starał się usuwać
oraz wygładzać przeszkody z ostrożnością, aniżeli zwal-
czać na przełom.



ROZDZIAŁ VII.

Zina u siebie.

W mieszkaniu Ziny, w którym na czas jakiś schronił się Andrzej, trwożono się bardzo o Wasyla, gubiąc się w różnych domysłach. Prawdopodobnie musiał się zaplatać i policya wpadła na ślady miejsc, w których przebywa.

Z początku żywiono nadzieję, że on sprytem swoim wykręci się i przyjdzie do przyjaciół, ale spodziewany termin minął daremnie.

Wzrastał więc ich niepokój. Zina otrzymała przez znajomą sobie żonę dozorca nazwiska wszystkich zaaresztowanych w ostatnich czasach, lecz Wasyla nie było między niemi. Wuliczówna wychodziła do miasta, by zasięgać informacji u towarzyszków i wróciła raz z miłą wieścią, że Watażko spotkał na ulicy Wasyla całkiem swobodnego, bez żadnej eskorty. Wyglądał jednak spłoszony, bo dał znak Watażce, by się do niego nie zbliżała i nie wszczynała rozmowy.

Potwierdzały się ich pierwotne przypuszczenia: zaplatał się Wasyl i usiłował zdłżyć policję.

— Nie mamy się czem niepokoić — rzekł Andrzej — on ich wyprowadzi w pole i zjawi się między nami.

Zina podzielała to zdanie.

Po uspokojeniu nowej trwogi, zajęły ich umysły dawne troski i plany.

Po herbacie, gdy przeszli we troje do pokoju Ziny, przystąpił Andrzej do rzeczy i zapytał o dalsze widoki i zamiary co do Borysa.

— Oto list od niego — rzekła Zina — otrzymany nazajutrz po napadzie; zachowałam go dla was.

Z ukrytej szufladki wyjęła dwa kawałki papieru; jeden wązki a długi, jakby odcięty brzeg gazety, drugi kwadratowy wyrwany z początku jakiejś książki. Obydwa kawałki były drobniutko zapisane ołówkiem.

W nocy po napadzie pisał Borys, dziękując przyjaciołom, a w szczególności Andrzejowi, że narażali życie dla niego, a pisał w tak gorących serdecznych słowach, że Andrzejowi łzami oczy zaszczyły. Przedstawiał dalej, że w obecnem położeniu byłyby wszelkie dalsze próby oswobodzenia go zupełnie daremnymi, a jedynie dla nich zgubnymi. Prosił wreszcie Andrzeja, żeby bez zwłoki powracał do Petersburga i rozwiązał całą organizację.

— Żywię nadzieję — rzekł Andrzej chłodno i urzędowym tonem — że nie uznajecie tych zastrzeżeń jako nas obowiązujących?

— Ale wcale nie — odrzekła Zina.

— Ciesz się mnie ta odpowiedź, bo wytrwałość w podobnych sprawach jest niezbędną. Próby mogą zawodzić dużo razy, a w końcu się udają; może i nam się lepiej powiedzie.

— Tak — odparła Zina — ale w tem Borys ma słuszość, żeście wy już nie powinni należeć do następnej próby. Zrobiliście wszystko możliwe, a pozostawanie dłuższe tutaj, byłoby narażeniem się na niezawodną zgubę.

— A ja to samo odnieść do was muszę.

— To całkiem co innego; mnie policya wcale nie zna, a was złowrogo poszukuje. Prócz tego — dodała — są względy czysto osobiste, dla których ja powinnam sprawą się zajmować.

— Względy osobiste? — zapytał Andrzej, patrząc jej w oczy. — Ja was Zino nie rozumiem; albo jeżeli pojmuję co wy przez to myślicie, to muszę najenergiczniej protestować. Sprawy takiej nie należy przenosić na ciasny grunt osobistych przywiązań; przedsięwzięliśmy ocalenie Borysa, jako człowieka cennego w naszej partyi, ale nie jako komukolwiek z nas blizkiego.

— Nigdy nie pozwoliłabym żadnemu z przyjaciół narażać się dla Borysa — odrzekła Zina — gdybym sądziła, że to czynicie ze względu na mnie.

— Bardzo dobrze. W takim razie nie zaprzeczajcie sobie samej, bo to już wszystko jedno, kto z nas sprawą kierować będzie.

— Nie — odparła — ja miałam na myśli przeszłość, a teraz wszystko zmieniło się na gorsze i w tem zachodzi różnica. Gdyby Borys był mi obcym, zaniechałabym prób dalszych, ale nie mogę... Dlatego sama wziąć wszystko muszę na siebie.

Zachmurzyła się i sparła głowę na stole, przy którym siedziała, a po chwili milczenia, odezwała się spokojniej:

— Nie przeczcie mi więc, że nieraz trzeba się rachować z osobistymi względami.

Andrzej usiadł koło niej i milcząc podniósł jej rękę do ust swoich.

Wyznanie Ziny utwierdziło w nim to, co sobie nieraz już mówił, to jest, że ona paliła się na powolnym ogniu. Ciągłe wyczekiwania, wieczna myśl o czynie, od którego zależało życie Borysa, i szereg niepowodzeń, to były męczarnie przechodzące siły ludzkie; łatwiej by było znieść nagłe nieszczęście. Teraz już cierpienia jej doszły do tego kresu, w którym rozum nie panuje nad uczuciem i jeśli pozostanie w Dubrowniku, to rozpacz zgubi ją bez pożytku dla kogokolwiek. Należało ją bądź co bądź wywieźć.

— Posłuchajcie mnie, Zino, a wy Aniuta dopomóżcie mi przekonać ją — mówił Andrzej, trzymając Zinę za rękę. — Macie słuszność twierdząc, że ja mało mogę być pożytecznym, mając wciąż policyę za sobą, ale na to łatwo poradzić: jutro odjadę do Petersburga i zostanę tam przez dwa tygodnie, uczęszczając pilnie na studenckie zebrania, oraz chodząc po różnych salonach i zachowując się wogóle tak głośno, żeby policya nabrała przekonania, żem na dobre osiedlony w Petersburgu, a cichutko powrócę tutaj. Wy zaś musicie stąd wyjechać, bo się tu dobijecie, a my na to zezwolić nie możemy. Usłuchajcie mej rady, pochodzącej z osobistej przyjaźni, jeżeli nie z lepszych jeszcze źródeł, tylko na bok z uporem. Przyjmijcie myśl moją i zamieńmy miejsca nawzajem! Cóż milczycie?

Zamyśliła się Zina, pochyliwszy głowę na piersi. Boleśnie jej było urażać Andrzeja odmową takiego wniosku, ale inaczej postąpić nie mogła.

— Nie, to niemożliwe! — zawołała.

Andrzej powstał i zaczął chodzić po pokoju, a Wuliczówna przytulona w kącik, nie mieszała się, bo cóż od siebie dodać jeszcze miała?

Daremnie było przekonywać Zinę; postanowiła się zgubić i zginie.

— Nie żęń się młodzieńcze! — wyrwało się Andrzejowi, a w tych słowach wyraził uczucia, jakimi był w tej chwili przejęty.

Pouczający ten wykrzyknik nie dotyczył nikogo z obecnych, a już wcale Zinę. Odsunęła się od stołu i pieściła kotka Waškę, który jej skoczył na kolana.

Andrzej usiłował nastroić się do postanowień Ziny: widać, że tak być musi, skoro tyle doskonała kobieta tak zdecydowała. Nie liczył na widzenie jej przed odjazdem, nie chciał więc zachmurzać i tracić tych chwil ostatnich.

Usiadł koło niej i odezwał się przytłumionym głosem:

— Takim, którzy jak my, ostrą walkę prowadzą, należy hartować serca przeciw czułym uczuciom.

W rozstroju swoim nie pragnął żadnego sporu; ale Zina przeszła w chęci zaczepnej dyskusyi; nie chciała, żeby ją Andrzej pożegnał pod wrażeniem, jakoby ona pozostawała w sprzeczności z tem wszystkim, co dotąd wysoce ceniła.

Chciała przemówić, lecz zastanowił ich stuk jakiś, jakby piasku rzuconego w okna.

— Figle jakiegoś ulicznika — rzekła Zina.

Wuliczówna wyrzała przez okno i zawołała.

— Wasyl idzie!

Zbiegła po schodach i za chwilę ukazała się we drzwiach wysoka postać Wasyla z rozjaśnionem obliczem. Andrzej i Zina powstali na powitanie, jakby z dalekiej wracającego podróży.

— Mówiłem — odezwał się Andrzej — że on na sucho z pod wody wyjdzie! Opowiadaj o swoich przygodach za cały ten czas.

— Było dość kłopotów i wrzasku — westchnął Wasyl, rzucając się na krzesło — sam sobie nie dowierzam, że się już wszystko skończyło.

— Aresztowano was? — zapytała Wuliczówna.

— Gorzej! — odparł Wasyl, machnąwszy ręką.

— Co? Może was indagowali? — dodała Zina z uśmiechem.

— Gorzej jeszcze, zapewniam was — rzekł Wasyl.

— Więc ostatecznie, mów co z tobą było — zawołał Andrzej niecierpliwie — opowiadaj od początku.

Mówił więc, jak przyszli policyjanci i rozpytywali o Andrzeja; jak on udawał głupiego i otrzymał pozwolenie przejścia do komórki, dla przypatrzenia się stamtąd sztucznym ogniom.

— Dlaczegoś zemną nie umknął? — zapytał Andrzej.

— Byłbym lepiej tak zrobił, lecz nie przewidywałem tego, co zaszło.

— A cóż dalej się działo? Czy długo na mnie czekali?

— Do północy — odrzekł Wasyl z oburzeniem. — W pół godziny potem, gdym ciebie uprzedził, zawezwali mnie z komórki i musiałem ich rozmową zabawiać; a powiem wam, żem ich sam zatrzymywał nadzieją, że możesz nadejść. Po północy powstali. »Nareszcie pójdą już sobie« — pomyślałem. — Ale tak być jeszcze nie miało: cyrkulowy począł mnie pouczać, bym nic tobie nie mówił o ich poszukiwaniach i zapowiedział swój powrót na ósmą rano.

Nie szło mi to na rękę, lecz nie myślałem o ucieczce i nie ruszyłem się z domu aż nadszedł.

»Lokator powrócił?«

»Wcale się nie pokazał«.

»Posłuchaj mnie Pawluk — mówił uprzejmie — ja widzę, że z ciebie dobry chłopiec, a jeżeli się zachowasz jak należy, dostaniesz odemnie trzy ruble. Zostaw tu twoje rzeczy i obejdz w około wszystkie szynki i traktyernie, a być może, iż spotkasz swego lokatora«.

»Słucham was panie, odrzekłem, ale mnie dziś koniecznie jechać trzeba do Połtawy«.

»To nic nie znaczy; masz dosyć czasu. Pomnij, że zarobisz trzy ruble, jeśli go chwycisz!«

I pouczał mnie dalej: »Nie odstraszaaj go przy spotkaniu; powiedz, że paszport poświadczony, to go ucieszy i pociągnie za tobą. Potem, jak tylko ujrzysz policyanta, niech go bierze za kołnierz. Czy rozumiesz?«

»Rozumiem panie« odrzekłem.

»I zrobisz tak, jak ci polecam?«

»Zrobię«.

Całemu temu opowiadaniu towarzyszyła mimika Wasyla, która bawiła jego towarzyszy; opowiadał też dalej:

— Wyszliśmy razem, a ja zaraz rozpocząłem wędrówkę po szynkach i traktyerniach, bo nie miałem pewności, czy mnie szpieg nie śledzi. Wtenczas to spotkałem Watażkę, lecz uznałem, że lepiej z nim nie rozmawiać i po czterech godzinach powróciłem do domu. Pozostawało mi półtorej godziny do zapowiedzianego odjazdu i sądziłem, że już koniec tych doświadczeń. Obrachowałem się z gospodynią, spakowałem rzeczy i wyszedłem na ulicę, rozmyślając nad tem jakby bezpiecznie co prędzej do was się dostać. Lecz cóż spostrzegłem? Oto, mój cyrkułowy przebrany po cywilnemu, śledzi za mną z rogu ulicy. Przeklęty! Nie chciał jeszcze pozostawić mnie w spokoju. Nie pozostawało mi nic innego, jak skierować się ku dworcowi kolei i wsiadłem do dorożki. Za mną wsiadł cyrkułowy do drugiej. Przyjechaliśmy na długo przed odejściem pociągu; kasa była jeszcze zamknięta, a policyant stanął przy stoliku z gazetami. Udawałem, że go nie widzę, alem śledził za nim, rozglądając się w różne strony. Żywiłem nadzieję, że mnie opuści, przekonawszy się, że już jestem na dworcu; on jednak wcale o tem nie myślał. Nareszcie otworzono kasę i publiczność pociągnęła rzędem do niej, a ja za nią. Cyrkułowy zbliżył się do nas. Nie wiedziałem co począć: wziąć bilet do Połtawy, a wysiąść na pierwszej stacyi? Ale ja miałem wszystkiego dwa ruble w kieszeni! Żądać biletu na krótszą przestrzeń, znaczyło zdradzić się i zostać zaraz aresztowanym. Coraz bliżej byłem okienka kasy, a nie miałem jeszcze pojęcia o tem, jak się to skończy. Nareszcie stanąłem oko w oko z kasyerem, a policyant znalazł się tuż za mojami plecami. »Bilet trzeciej klasy do Połtawy!« zawołałem głośno i rezolutnie, rozpinając kaftan dla wydobycia pieniędzy. »Spieszcie się, nie zatrzymujcie drugich« odezwał się kasyer. »Zaraz, zaraz« odparłem, a wyciągając krzyżyk z pod ubrania, krzyknąłem raptem: »Bracia,

jestem okradziony« i odskoczyłem od kasy jak szalony. Tłum mnie otoczył, słuchając mego opowiadania, jakobym miał przywiązaną sznurkiem do krzyżyka dwudziestopięciorublówkę, cały mój majątek, i że musiał mi ją zręcznie ukraść łajdak lokator, którego na noc przyjąłem. I wycierałem sobie łzy płynące mi z oczów podczas tego żałośniego opowiadania.

Grube rysy Wasyla rozjaśniły się na chwilę do broduszym uśmiechem, gdy dodał:

— Gdy już moi słuchacze byli dostatecznie rozczuleni, otarłem ostatnią łzę, porwałem tłumoczek i uciekłem z dworca, wpadając do pierwszej napotkanej dorożki.

— A cyrkułowy — zapytała Wuliczówna — nie gonił za wami?

— Wcale nie. Ale ja tak byłem rozgoryczony opowieścią o utracie pieniędzy, że m go z oczu stracił. Ujechawszy kawałek drogi rozglądałem się, lecz nikogo za sobą nie ujrzałem. Włóczyłem się potem cały wieczór z miejsca na miejsce i przekonać się mogłem, że na teraz pozostawiono mnie w spokoju.

— Niewątpliwie — rzekła Zina z uśmiechem — pospieszył on do rewiru, by napisać donos do wyższej władzy o czynach rewolucjonistów nad prostytutkami, których łowią w sidła.

— Poucz mnie jednak — odezwał się Andrzej, dlaczego powróciłeś do domu, gdyś został sam na przechadzce po szynkach i traktyerniach? Pojąć nie mogę, żeś nie wyżył takiej chwili.

— A moje rzeczy! — krzyknął Wasyl z zadziwieniem.

Andrzej głośno się zaśmiał i chciał otworzyć tłumoczek, by pokazać, co on w sobie zawiera. Siadł jednak na nim Wasyl twardo, bo za nic w świecie nie pokazałby paniom swoich gratów.

Andrzej nazajutrz pożegnał przyjaciół i odjechał z powrotem do Petersburga, otrzymawszy od Ziny po-

lecenie wyszukania i nadesłania pieniędzy na popieranie jej sprawy. Wasyl pozostał w Dubrowniku. Słusznie uważał, że dzięki szczęśliwej swej powierzchowności, będzie on wszędzie bezpiecznym i postanowił nie opuszczać Ziny do końca.

Wasyl miał w charakterze swoim dużo rycerskości, a rys ten objawiał się najlepiej w stosunkach jego z paniami. On stale miał którąś w sercu i wzdychał za nią; jako zaś istotny rycerz, był zawsze na usługach niewiast, którym mógł się stawać pożytecznym, a nikomu nie był tak szczerze oddanym, jak Zinie.

ROZDZIAŁ VIII.

Nieprzewidziane zawikłania.

Przybywając z Dubrownika, zastał Andrzej Petersburg w świątecznej szacie. Pierwszy śnieg upadł, a to jest wielką radością dla mieszkańców północy. Ulice, chodniki, ławki i dachy, tak jak statki w kanale, wszystko było pokryte równym błyszczącym całunem śniegu. Czarne nieruchome drzewa przybrały widoki fantastyczne pod białą puszystą pokrywą. Słońce gubiło się w gęstym, powoli sypiącym śniegu, świecąc jasno tylko nad samą ziemią. Biały ten, błyszczący widok rozweselał oczy i serca po posępnych dniach jesieni, a świeże czerstwe powietrze ożywiało całą stolicę. Duże, północne gwiazdki śniegu pokrywały kapelusze, czapki, odzienia i brody przechodniów, nadając im strojny wygląd. Ludzie byli weseli, a konie szybko pomykały. Tu i owdzie dawały się słyszeć dzwonki sanek, a ich właściciele pysznili się, że pierwsi witają piękną zimę.

Mimowolnie ulegając ogólnemu usposobieniu, Andrzej szybko zdązał ku mieszkaniu Leny. Nie uprzedził tym razem nikogo o swoim przyjeździe, lecz liczył na to, iż Lenę zastanie w domu.

Wychodziła właśnie z bramy w swojej futrzanej czapce, wesoła i świeża, gdy ją Andrzej zawołał po imieniu. Ze zdziwieniem zwróciła się ku niemu i natychmiast twarz jej zajaśniała uprzejmym uśmiechem.

— Nareszcie jesteście z powrotem! — zawołała. — Obawiałam się, że po wypadkach w Dubrowniku, ugrzęźnicie tam na zawsze. Powiedzcie więc, czy na seryo powróciliście?

— Jaknajbardziej — odrzekł Andrzej.

Lena wyszła z domu za własnym interesem, lecz chętnie zboczyła ze swej drogi, by zaprowadzić Andrzeja do konspiracyjskiej kwatery. Po drodze wypytywała o szczegóły napadu, który wywarł silne wrażenie pomiędzy rewolucjonistami. Odpowiadał jej Andrzej na pytania bez niezadowolenia, bo zmiana miejsca i otoczenia, przytępiły w nim niedawne bolesne wrażenia. Mógł już o tem mówić spokojnie, jak o spełnionym fakcie, z którym godzić się trzeba.

— A co u was nowego? — zapytał ze swej strony.

— Zapewne myślicie o naszym kółku?

— Tak jest, naturalnie.

— Nic niema osobliwszego. Tania została wybrana na członka, przy pięciu poręczycielach, wszystkimi głosami. Już się zgłosiła i daje nam nadzieje bardzo pożytecznego nabytku.

— Ja w to nie wątpię — rzekł Andrzej.

— Pracowała już jakiś czas w Narewskiej dzielnicy — opowiadała dalej Lena — a jak na początkującą, sprawiła się bardzo dobrze; szkoda, że jej wypada wyjechać.

— Czy tak? — zapytał Andrzej bezwiednie smutno.

— Wyjeżdża do Moskwy, gdzie kółko nasze silnie kulejąc, potrzebuje zasiłków. Polecono Jerzemu, by się tam udał, a Tania oświadczyła gotowość towarzyszenia mu. Ma ona tam doskonałe stosunki, które wykorzysta.

— Tak, to rozumiem — wyjąkał Andrzej, odwracając się, by ukryć niepokój.

Nie dziwiła go ta wiadomość; przygotowanym był na coś w tym rodzaju, ale zimno, jakie go przeniknęło

ze słów Leny, dowodziło, ile ukrytej nadziei żywiło głupie jego serce.

— Mówią, że oni się wkrótce pobiorą — dodała Lena wesoło w swojej nieświadomości — podobno się oni już dawno kochają, lecz ja temu nie wierzę, bom nawet pozorów nie zauważyła.

Lena nie przypuszczała ani na chwilę, żeby ta rozmowa miała odrębne dla Andrzeja znaczenie. Z natury swej nie będąc wcale ciekawą, nie zauważyła jego zaniepokojenia, a ponadto sprawy miłosne najmniej ją w życiu zajmowały; nie długo przeto myślała o pogłoskach co do Tani i Jerzego.

Andrzej zastał w konspiratorskiej kwaterze kilku przyjaciół i Jerzego między nimi. Ten radośnie rzucił mu się na szyję; sądził był, tak jak Lena, że Andrzej ugrzęźnie w Dubrowniku, więc tem bardziej się z powrotu ucieszył.

Jerzy z wielkiem współczuciem wypytywał o Zinę, a Andrzej nie szczędził szczegółów i nie tał jak ryzykownym jest jej pobyt w Dubrowniku. Tak rozmawiali w gronie zebranych towarzyszków. Gdy jednak Andrzej pozostał sam z Jerzym, obydwaj odczuli pewną między sobą nieswojskość. Andrzej niecierpliwie pragnął słyszeć o Tani, a nie zdobywał się na odwagę pytania o nią; Jerzy zaś, co było naturalnem, nie wspomniał jej imienia.

Andrzej domyślał się, że milczenie to było rozmyślnem, więc po dłuższej rozmowie, nie wstrzymywał się więcej i zapytał, czy Tania mieszka zawsze u ojca?

— O nie — odpowiedział Jerzy — to niemożliwe, bo za wiele nieprzyjemności ściągałaby na ojca; mieszka teraz w tej dzielnicy, w której ma wyznaczoną propagandę.

Nie dodał nic więcej, lecz utkwiał w przyjacielu wzrok tak pełen sympatii a zarazem smutku, że mocno

to obeszło Andrzeja. Odwrócił głowę i zaczął mówić o ogólnem położeniu, starannie unikając wzmianki o Tani. Litościwy wyraz twarzy Jerzego wzbudził w nim żal i gniew.

Oddał się wkrótce ulubionemu zajęciu, to jest propagandzie między robotnikami i nie opuszczał prawie dzielnicy Wyborgskiej, w której zamieszkał. Ogarnął go zapał pracy i podejmował się każdej, jaka się nadała. Nawet dużo wymagająca Lena, zachwycała się nim, twierdząc, że rychło odrobi czas stracony.

Dawna niechęć jego do roboty wśród intelligencji zamieniła się we wstręt. Nie bardzo się też kwapił do widywania przyjaciół i wyrabiając w sobie stoicyzm, usuwał od siebie wszelkie zajęcia, które nie stanowiły spełniania obowiązku.

Jerzy był jedynym z ludzi, których widywał; może poczytując to za rodzaj kary dla siebie, bo pragnął nabrać przekonania, że uczucie dawnej zazdrości już go opuściło. W pierwszym tygodniu po powrocie, był Andrzej dwa razy u Jerzego, ale ograniczył się na tem z braku czasu.

Tani postanowił nie widywać. Rad był, że poruczone mu przez Zinę zadanie tego nie wymagało, a było tak, że funduszami składanymi przez Tanię na cele partyi, rozporządzali towarzysze równym z nią głosem. Łatwo więc dostał Andrzej połowę sumy niezbędnej Zinie, a drugą obiecał do miesiąca dostarczyć Repin, u którego był Andrzej zaraz po przybyciu z Dubrownika.

Po upływie dwóch tygodni dopiero zobaczył Tanię na zebraniu koła, do którego oboje należeli. Pomiędzy obecnymi, znajdował się znakomity Taras Kostrow, będący jednym z pierwszych pionierów propagandy narodowej, a przybył do tego koła na krótką chwilę, by omówić ważną sprawę z Szepielewem, członkiem zebrania.

Pomimo szczelnie zapełnionej izby, widoczną od razu była postać Tarasa, odznaczająca się piękną, dumnie noszoną głową i wyrazem nieograniczonej odwagi.

Przywitawszy się z Kostrowem, przeszedł Andrzej do Tani, zajętej w kąciку czytaniem świeżo wydanej broszurki.

Nie bez pewnej bojaźni szedł on na to zebranie, wiedząc, że ją tam spotkać musi, ale ujrawszy ją, odczuł cichą radość. Powitali się bardzo przyjaźnie, lecz Tania po chwili zabrała się ponownie do interesującej czytanki, a Andrzej odszedł i usiadł obok Leny.

Nie wszyscy jeszcze przybyli do kompletu, pomimo iż oznaczona godzina dawno minęła; rozmawiano przeto grupami i izba rozbrzmiewała zgiełkiem głosów. Taras żywo dyskutował z Szepielewem, bladym młodzieńcem o długich włosach i jasnej bródce, ubranym w zwykły strój rzemieślnika.

Taras Kostrow znany był w partyi jako człowiek silnie samowładny, a nader delikatny. Przeciwnicy mawiali, że najgorętsze spory, jakie prowadził, były »miódowo-słodkie«.

Gdy się nareszcie wszyscy zebrali, rozpoczęto rozprawy bez żadnych formalności. Szepielew, ukończywszy rozmowę z Tarasem, rozejrzał się w około i przystąpił do rzeczy.

Krótko i jasno zdał sprawę z czynności od ostatniego zebrania i przedłożył to, co wkrótce należało przedsięwziąć. Przerywano mu często pytaniami i uwagami tak, że zebranie podobniejsze było do przyjacielskiej rozmowy, aniżeli do formalnego posiedzenia.

Lena miała mówić po Szepielewie, lecz krótko oświadczyła, że nic osobliwszego nie zaszło w jej kółku, a dodała:

— Posłuchajmy co nam Tania opowie, ona działa w nowym okręgu i nie bez skutków.

— Tymczasem — odrzekła Tania — przyznać muszę, że nie mam się czem pochwalić.

Okazało się jednak, po pytaniach oraz wyjaśnieniach Tarasa i Andrzeja, że widoki na przyszłość są znaczne i że przy staraniach Tani, działalność jej stworzy ważne centrum.

— Należałoby — odezwał się Taras — wyznaczyć doświadczonego propagandzistę do Narwskiej dzielnicy...

To rzekłszy, szybko wyszedł, bo spojrzenie na zegar i nieprzebraną wskazówkę upomniało go, że już zostać dłużej nie może.

— Ja w zupełności zgadzam się z Tarasem — głośno rzekła Lena — a przytem zauważam, że na nowem miejscu i w pierwszych początkach, męczyzna pożyteczniejszym jest od kobiety.

Popatrzyła na Andrzeja, który czuł, że się rumieni i mięsza pod jej wzrokiem. Postanowienie jego, by się z Tanią nie widywać po za zebraniemi partyi, topniało pod spojrzeniami Leny. Teraz nie zaprzeczał sam sobie, iż przyszedł tu z nadzieją, że może sprzyjające okoliczności zbliżą go do Tani.

— Szepielew może się zamieniać — odezwał się ktoś z obecnych.

Ubodło to i przestraszyło Andrzeja, bo Szepielew był jednym z doświadczeńszych propagandzistów.

— To niech Szepielew przejdzie do Narwskiej dzielnicy — odezwało się kilka głosów.

Wniosek się miał utrzymać, lecz Lena rzekła:

— Ja sędzę, że Andrzej będzie tam odpowiedniejszy od Szepielewa.

I dowodziła charakteryzując szczerze a bezstronnie każdego z nich osobno. Szepielewa określiła jako dośkonatego mowcę do odczytów i sporów; z drugiej jednak strony odmówiła mu daru urządzania kótek i wybierania odpowiednich ludzi: do tego był on za mało

energiczny i przedsiębiorczy. Andrzej miał w tem wyższość nad nim i był popularniejszy.

Lena przedstawiała rzecz swoją spokojnie, bez podnoszenia głosu. Wzrok jej spoczywał to na jednym to na drugim z kandydatów, a wyraz twarzy nie ulegał żadnej przemianie, podczas gdy chwaliła lub ganiła.

Szepielew uważnie przysłuchiwał się chłodnej krytyce samego siebie, opierając się łokciem na poręcz swego krzesła i targając palcami brodę. Od chwili do chwili uśmiechał się na ostre zdania Leny, a wogóle uznawał jej prostotę.

— Ja także tak myślę — rzekł zwracając się do Andrzeja, gdy Lena skończyła — że wam właściwiej niż mnie pójść tam należy. A czy możecie bez przeszkody opuścić waszą pracę?

Otóż teraz, od jednego jego słowa zależało to, czego przed chwilą tak bardzo pragnął. Przeląkł się, jakby miał przepaść pod nogami.

— Naturalnie, że może! — zawołała Lena.

Andrzej nieśmiało spojrział na stojącą obok niego Tanię. Wydawała się wzruszoną tym niespodziewanym wnioskiem. Dotknęło to żywo Andrzeja. Czego się tak troszczyć o niego? Bądź co bądź, pokaże im wszystkim, że się nigdy nie będzie targował ani powodował osobistymi względami, gdy się o ich sprawy rozchodzi. I w tej chwili stanowczo zgodził się z wnioskiem.

Gdy zakończono rozprawy, zwrócił się urzędowym tonem do Tani z prośbą, by mu podała niektóre szczegóły o jej pracy, mającej być wspólną.

Opowiedziała to i owo, dodając, że jej robotnicy zbierają się u niej dziś wieczór, więc najlepiej uczyni jeśli z nią stąd prosto tam pójdzie.

Andrzej był wolny, nie miał powodu wymawiać się od tak miłego zaproszenia i zaraz też wyszli, przy złagodniałem jego usposobieniu.

Po drodze zapytał jak ojciec Tani znosi ich rozłąkę i jak często się widują. Rozmowa ta postawiła ich odrazu na dawnej przyjaznej stopie. Andrzej wyrażał się z wielką czcią o starym adwokacie, o czym Tania zawsze wiedziała i przyjemnie sobie to teraz uprzytomniła. Ona z Jerzym prawie nie dotykała swego rodzinnego dramatu i gniewało ją, że on nie rozumiał wcale tej strony jej życia. Inaczej było z Andrzejem i ulżyło jej wielce, gdy mogła pomówić o kwestyi tyle ją męczącej.

Tania nie mieszkała sama jedna. Koła konspiracyjne posiadały kilka starszych kobiet, przeważnie z pomiędzy dawnych sług z ich rodzin. Te spełniały role gospodyń, bo mało która rozumiała się na konspiracyjach, a każda zasługiwała swą wiernością na zaufanie. Jedna z takich, dawna piastunka Ziny, była u Tani gospodynią jej kwatery.

Wesoło pokazywała Tania swoje mieszkanie Andrzejowi, a nie raziło ono zbytkiem i tak mało zbliżało się do zajmowanego przez nią u ojca. Kwatera, przystępna miejscowością, była za obszerną dla niej. Składała się z pięciu pokoi, a na trzy tylko wystarczały meble Tani. Dwa pozostawały puste, smutny przedstawiając widok, lecz Tania zapewniała, że one czynią jej mieszkanie podobne do starego zamku.

Największa izba, zaopatrzona w długi sosnowy stół, krzesła i ławki, służyła jako miejsce zebrań robotników.

Wkrótce zaczęli się schodzić i było ich siedmiu, z przeczności rozdzielonych na dwie partye.

Tania przedstawiła Andrzeja jako przyjaciela, mającego się osiedlić w tej dzielnicy i pragnącego brać udział we wspólnej z nimi pracy.

Robotnicy radośnie go przywitani i przyjęli odrazu jak swego. Nie chciał on jednak jeszcze mieszać się do dyskusyi tym razem, bo pragnął się przypatrzeć i przysłuchać, jak Tania sobie daje radę z tym obowiązkiem.

Obiecywał sobie być nader pobłażliwym, lecz przekonał się rychło, że to jest całkiem zbyteczne. Tania, światowo wychowana pani, delikatna i przywykła do salonów, czuła się wśród robotników jak w domu. Bez najmniejszego wysiłku, kierowana tylko gorącym pragnieniem by być rozumianą, układała słowa i zdania najdostępniejsze jej słuchaczom; wlewała zaś tyle ducha w tę pracę, że się zlewała w jedno z audytoryum.

Taki początek rokował wielkie nadzieje, chociaż trafiały się i pomyłki; zdawała się też obawiać własnych porywów. Dwukrotnie schwycił Andrzej w jej słowach gorące, udzielające się wrażenie rzewności, ale w tych samych chwilach, poskramiała ona sama siebie, podobnie jak nieśmiały jeździec, niedowierzający gorącości szlachetnego swego wierzchowca.

Cokolwiek więcej praktyki i doświadczenia douczą ją, bo w każdym razie początek ma piękny. O ile też zrazu Andrzej był powściągliwym, o tyle teraz musiał wystrzegać się drugiej ostateczności, t. j. by nad miarę nie chwalić.

Po czytance, rozpoczęły się rozmowy i dyskusye; Andrzej mieszał się do nich i pokierował nimi tak, że dał każdemu sposobność odzywania się. Chciał sobie wyrobić zdanie o nowych towarzyszach.

Pożegnali się bardzo przyjaźnie i robotnicy wymogli na Andrzeju przyrzeczenie, że przyjdzie ponownie między nich, skoro tylko będzie w tej dzielnicy.

Tania poprosiła Andrzeja, by jeszcze u niej pozostał na pogadankę.

Przeżywała ona miodowe miesiące swojej rewolucyjnej działalności; wszystko było dla niej nowością i przedstawiało porywające zainteresowanie. Zapał jej nie był miarkowany, a doświadczenie nie uczyło jeszcze wstrzemięźliwości. W czynność swoją wносиła zapał niewiasty-prozelitki.

Pierwszem jej pytaniem było, gdy pozostali sami, jak się Andrzejowi podobali jej uczniowie, bo według niej każdy miał w sobie coś obiecującego albo sympatycznego. On nie we wszystkim zdanie to podzielał, lecz był w tak dobrem tego wieczoru usposobieniu, że gotów był widzieć i uznawać piękno we wszystkim.

— Wierzę — rzekł — i uznaję, że w przeciągu paru miesięcy, nastanie tu doskonała organizacja.

Tanię zachwycała taka wróżba.

— Dla pośpiechu jednak — dodała — należy nam pracę rozdzielić. Ja wezmę na siebie poduczanie i wstępne przygotowania, wy zaś zajmijcie się końcową robotą.

— Jeżeli już rozdział jakiś konieczny, to zatrzymajcie tanto wszystko dla siebie jak dotąd, tłómaczył Andrzej, a ja będę dobierał i rekrutował ludzi. Byłem i jestem zdania, że w sprawie rozbudzania ducha, powinniśmy, my mężczyźni, oddawać pierwszeństwo kobietom.

Tania z zadziwieniem popatrzyła na niego; nie chciała wierzyć, by on mówił seryo.

— Ale ja — rzekła — tak źle z nimi rozmawiam i sama tak mało umiem.

— Przyjdzie wam jeszcze pracować nad sobą; ale zapewniam was, że uczoność nie jest głównym przymiotem u dobrego propagandzisty; to jest mało w porównaniu...

— Z czem? — zawołała panienska, przenikając go swym wzrokiem.

— W porównaniu z umiejętnością podbijania serc i zapalania ich własnym entuzjazmem. A może zechcecie wiedzieć jak to spełniać?

— Oczywiście — odparła. — Nie powinniście zachowywać dla siebie takiej tajemnicy.

— Tajemnica zamyka się w tem, że trzeba samemu to wszystko odczuwać.

Roześmiała się Tania. Czekwała na coś niezwykłego i na teraz praktycznego, a tu tylko tyle!...

— Dlaczegoż — pytała — takie pierwszeństwo kobietom przed mężczyznami? Czyż wy nie macie serc; czy wam brak entuzjazmu?

— Nie. Lecz zachodzi różnica w stopniach. Ja muszę wpadać w liryzm, gdy myślę o kobietach, a z tem mi nie do twarzy. W samej rzeczy one są doskonałe dla naszej mateczki-Rosyi, co najmniej w czasach, w jakich żyjemy.

Zamilkł i zamyślił się.

— I wy postępować będziecie w wybranej pracy — dodał. — Macie wszystkie cenne przymioty, niezbędne do powodzenia. Wierzajcie mojemu słowu, bo ja coś się na tem rozumiem.

Mówił spokojnie, lecz oczy zwrócone ku Tani, pałały żarem; czuł się szczęśliwym, że może ją skromnie pochwalić.

Zarumieniała się Tania ze zdziwienia i zadowolenia, jakie jej te słowa sprawiały.

— Dużobym dała — rzekła — żeby się wasze proctwa sprawdziły. Kiedyż się wybieriecie do naszej dzielnicy?

— Za dni kilka; ale do roboty mogę choćby jutro przystąpić.

— Bardzo dobrze. Będę więc was oczekiwać jutro wieczór — rzekła Tania, silnie mu rękę uściśnawszy.

Shczęśliwym człowiekiem powracał Andrzej do domu. Lubował się wspomnieniami spędzonego wieczoru i pewnością, że jutro znów Tanię zobaczy. W nowej, wyższej fazie życia, przeobrażała się ona w jego oczach i wydawała się być otoczona aureolą. W pełnym blasku wystąpiły dlań teraz najlepsze strony jej duszy, które dotąd tylko odgadywał. Jak ona szybko wyrosła! Takie cuda, myślał sobie, zdarzają się tylko z panienkami. Zostawił

ją dzieckiem, a teraz to już kobieta, lecz z czystością dziecięcej duszy. Czuł, że się coraz silniej do niej przywiązuje, a znikły ostatecznie poprzednie obawy. Postanowienie unikania Tani, niedawno powzięte, wydało się teraz zupełną nedorzecznością. Nie oczekiwał i nie domagał się odwzajemnienia swej miłości; więc po cóż w takim razie ubiegać za dziewczeczką, z którą tyle mu zachodzi obcego? Tak doskonale pracowali ze sobą tego wieczoru i mogą tak samo i niezmiennie dalej się zajmować, nie patrząc i nie myśląc o tem, czy on ją kocha, lub nie. W starych jedynie romansach miłość stanowi główną treść i cel życia. On przecie potrafi i chce żyć wyższymi ideałami.

ROZDZIAŁ IX.

Dla dzieła wspólnego.

Niejednokrotnie przyszło Andrzejowi cieszyć się ze swego śmiałego postanowienia. Przez przeciąg całego miesiąca od osiedlenia się w narwskiej dzielnicy, doznawał on szczęścia jak większego mogłyby tylko dostarczyć rozkosze wzajemnej miłości; było to szczęście wspólnej pracy z ulubioną kobietą w sprawie, której każde z nich oddało lepszą część swej duszy.

Najmniejsze drobnostki codziennego życia nabierały w jego oczach nowego znaczenia i uroku. Nieznaczne postępy osiągnięte w propagandzie, wydawały mu się tryumfami i głęboką go przepełniały radością. Ale i w rzeczy samej, robota jego spieszenie szła naprzód. Nagle zaostrzyło się w nim poznanie ludzi i stawał się coraz cieplej wymownym, a zagrzewany osobiwem uczuciem, coraz duchowiej znosił się z wszystkimi wogóle.

Większą część czasu spędzał po za domem. Dwadzieścia cztery godzin na dobę nie wystarczyłyby na spełnienie wszystkich zadań, które przejął na swoje barki. Stosunki jego po fabrykach znacznie się rozszerzyły przez Tani robotników, a z pomiędzy tych poznawanych wybierał dających największe rękojmie i przyprowadzał ich na zebrania. Ponieważ każde uczestnictwo w tychże, było złączone z takim samym ryzykiem, jak podżeganie

lub zabójstwo, przeto przyjmowano nowych członków li tylko za zgodą i zezwoleniem dawniejszych. Tania i Andrzej trzymali się tego rozsądnego przepisu, chociaż on stał się w krótkim czasie tak popularnym, że zazwyczaj głos jego bywał stanowczym i rozstrzygającym. Rozumni, wykształcony człowiek, może być wszechmocnym wśród włościan i rzemieślników, jeżeli tylko wzbudzi sobie ich zaufanie.

Liczba stronników szybko wzrastała. Przyszło do organizowania nowych kółek w tej dzielnicy, bo już stawały się niebezpieczne zanadto liczne zebrania w jednym i tem samym miejscu. Pierwotny posiew zaczął kiełkować. Co prawda, dzieło nie było zbyt wielkiem: propagandziści grupowali w koło siebie tylko wybrańców z pomiędzy robotników, i znosili się z mniejszymi kółkami, którym bezpieczniej było zbierać się w odosobnionych lokalach.

W takich kółkach wyrabiali się szczerzy niezawodzący bojownicy sprawy, a propaganda ich była nader płodną. Oni nietylko nauczali swoich słuchaczy, ale wlewali w nich tego samego ducha, jakim byli przejęci sami.

Rolą Tani w tem ogólnem dziele, kierował jej starszy towarzysz Andrzej, który jednak, trzymając się swego postanowienia, wysuwał ją ciągle naprzód: wziął na siebie tworzenie nowych związków, urządzał nowe centra i wybierał do nich ludzi; na zebraniach u Tani, pozostawiał jej całą działalność.

Dzięki nieustającym zachętom ze strony Andrzeja, pozbyła się Tania tego, co zazwyczaj paraliżuje czynności kobiety, gdy pracuje obok mężczyzny: znikło w niej uczucie słabości i niedowierzania samej sobie, a pozbywszy się go, robiła znaczne postępy w propagandzie. Ranki spędzała w domu, czytając i pilnie przygotowując się do wieczornych zebrań; gdy zaś tych nie

miała, uczęszczała na odczyty starszych towarzyszków, którzy ją wysoce cenili.

Naturalnie, że te pomyślne rezultaty, osiągnęte przez Tanię, mocno cieszyły Andrzeja. Uczucia jego dla niej rozgrzewały się coraz bardziej; każdego dnia odkrywał nowe rysy pociągające. Sądził, że Tania zawsze dodawała coś swego, swój niezwykły wdzięk wszystkiemu, do czego przykładła rękę. W przywiązaniu do ludu wносиła szczerą i ciepłą, a w spokoju i prostocie zachowywała się w obec niebezpieczeństw otaczających ją z licznych stron.

Widywał już to u innych panien i kobiet, ale tutaj przybierało dlań wszystko nowe kształty i czar nowy. Tak to, jak stojąc w pobożnym rozpatrywaniu obrazu mistrza, nieraz odkrywamy w nim nieskończone piękności, które poprzednio uszły nam niepostrzeżenie.

Serce Andrzeja przejmowała od czasu do czasu jakaś trwoga: czuł, że się coraz bardziej przywiązuje do Tani. Ale przeważało w nim uczucie spokoju, dziwnie przyjemne, a przygłuszające jego zawiści.

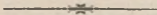
Rzadko widywał Jerzego, bo młody poeta był zatrudniony, a Andrzej nie często pojawiał się w mieście; nie prześladowała go już przeto melancholia tamtego, a dzięki temu polepszył się ich wzajemny stosunek, chociaż nie wznowiła się dawna przyjaźń. Obydwaj odczuwali pewną nieswojskość, a Andrzej zwał winę na Jerzego: jeśli gardzi jego przyjaźnią, to niech się pierwszy z tego szczerze wytłómaczy. Miłość Tani i Jerzego nie wzbudzała w Andrzeju zawiści. Zgodna ich praca ustanowiła między nimi trwałą łączność, jakiego zdawało się, że nic nie przerwie. Tani gusta, skromne i nieprzesadne, a wyższa polityka Jerzego, może jej nigdy nie pociągną: czy wyjdzie za mąż czy nie, nie porzuci obecnej swej pracy. Wierzył także, iż bądź co bądź, w duchowym życiu Tani dostanie mu się zawsze lepsza dola.

Oczekiwał wyjaśnień Jerzego, ile razy znaleźli się sami; ten jednak oczywiście unikał dotykania tej piekającej kwestyi i pozostawiał przyjaciela w męczącym oczekiwaniu.

Wiedział Andrzej, że mógłby wszystko wyjaśnić rozmową z Tanią samą: było to możliwe wobec ich przyjaźni. Każdym jednak razem gdy pytanie miał już wymówić, ogarniał go nieokreślony strach, by jej nie urazić niedyskrecją. Postanowił nie myśleć o jej umiłowaniu Jerzego. Teraźniejszość była mu tak miłą, że nie należało psuć jej obawą przyszłości, a gdy tego rodzaju myśli zaprzętały mu głowę, odganiał je spieszenie tak, jak się spędza ptaki ze świeżego zasiewu.

Rozgoryczało go to tylko, że za mało miał tego czasu, jaki spędzał w towarzystwie Tani; ciężko mu przychodziło rozstawać się z nią, choćby na godzinę. Same jednak zajęcia wymagały tego, więc się poddawał, usiłując potem odzyskiwać czas stracony.

Zadowolonym się czuł i szczęśliwym, a silnie wierzył, że ich obecny stosunek może trwać bez końca, aż pewna przeszkoda dowiodła mu, że gmach, który poczytywał za silny jak skała, może prysnąć za lada dotknięciem, jak domek z kart ustawiony.



ROZDZIAŁ X.

Przesilenie.

Pewnego wieczoru siedzieli razem Andrzej i Tania, sami w jej mieszkaniu. Powrócili pół godziny temu z bardzo pomyślnego zebrania, które było niezwykle udanem. Tania odczytała tam rzewną powiastkę z życia ludowego i pod jej wrażeniem tak się ożywiła, że bardzo potem dobrze przemawiała. Wróciła do domu w nader przyjemnem usposobieniu, równie jak Andrzej, odprowadzający ją zazwyczaj do domu. Teraz wstąpił, zaproszony na herbatę bardzo pożądaną po długotrwałym zebraniu.

Tania miała klucz od domu i mieszkania, a jej gospodyni była w śnie pogrążoną. Nie chcąc jej budzić, postarali się sami o sporządzenie herbaty i nie bez kłopotów, lecz bardzo wesoło zdołali nastawić samowar i wypróżnić z zapasów szafkę, od której klucz musiała Tania wydobyć z pod poduszki gospodyni, gdzie go staruszka zawsze na noc chowała. Gdy poustawiali wszystko na stole, spostrzegli się oboje, iż byli mocno głodni, więc przy wesołej rozmowie, spożyli kolację.

Andrzej dotknął odczytanej powiastki.

— Trzeba koniecznie — mówił — polecić ją naszym przyjaciołom, bo silnie oddziaływa na robotników. Musi się znaleźć w katalogu naszej pożytecznej literatury.

Tania się z tem godziła i obiecała zanieść książeczkę do Leny, gdy tylko tam pójdzie.

— Być jednak może — rzekł Andrzej z uśmiechem — że nie koń lecz jeździec weźmie nagrodę. Mniemam, iż po dzisiejszym wieczorze i powodzeniu, nie będziecie wątpić o świetnej waszej przyszłości w propagandzie między robotnikami.

— Tak — odrzekła Tania, szczęśliwa jak skowronek w pierwszych próbach swoich skrzydełek — mam nadzieję cośkolwiek zdziałać w tym kierunku. Boję się jednak, bym przywykłszy do obcowania z robotnikami, nie zapomniała mówić z inteligencją.

— Czy wiele na tem stracie? — zapytał ciekawie Andrzej.

— Naturalnie, zwłaszcza teraz, gdy pragnę rozpoznać moje siły i na tym gruncie; radabym nawarzyć kaszy wśród starszych przyjaciółek. Jerzy oznajmił mi, że za dwa tygodnie jedziemy do Moskwy.

Dreszczem zabiło serce Andrzeja, choć w rzeczywistości nic mu nowego Tania nie oznajmiła. Pamiętał o zamierzonym wyjeździe jej z Jerzym do Moskwy i choćby chciał, nie mógł o tem zapomnieć, bo była to jedna z ciemnych chmur nad nim wiszących. Był na to przygotowany, lecz nie przypuszczał, by się Tania tak cieszyła rozstaniem z nim i z pracą, do której zdawała się być tak bardzo przywiązana. Po nad wszystko jednak, rozgoryczył go ton, w jakim o tem mówiła.

Utkwił gorące spojrzenie w jej śliczne wesołe oczy i starał się wyczytać w nich choć cośkolwiek zbliżonego do własnych jego uczuć.

— Bardzo pragniecie tego wyjazdu do Moskwy? — zapytał słabym głosem.

Tania nic mu nie odpowiedziała, a tylko z zamkniętymi oczami i z uśmiechem na ustach, kilkakrotnie potwierdzająco głową kiwnęła.

Rozjaśnione jej oblicze, jakby dokonywało reszty. Rozstawała się z nim bez żalu, jak z obcym! On niczem był dla niej, podczas gdy ona dla niego wszystkim. Zadawała się jego towarzystwem, w braku innego lepszego; gdy zniknie jej z oczu, zapomni z pewnością o jego istnieniu.

Andrzej pobladł, lecz siląc się na spokój, mówił dalej głosem cichym, chociaż kipiało w nim wszystko wewnątrz:

— Rozumiem, że może was cieszyć wyjazd do Moskwy, bo to rzecz nudna powtarzać ciągle jedno i to samo gromadce robotników. Raczej przeto pozyskiwać wam zwycięstwo wśród intelligencji, która będzie opiewać waszą sławę i rozgłaszać na wsze strony.

Panienkę mocno zraziło tak ubliżające obwinienie, a spojrzawszy na niego, ze zdziwieniem wyczytała zimny, surowy wyraz jego twarzy, dotąd dla niej zawsze przyjazny i łagodny.

— Czy posądzacie mnie — zapytała uprzejmie — o taką lekkomyślność?

Głos jej zadrżał, a łzy w oczach stanęły.

Na widok ten, ogarnął Andrzeja żal piekący. Chciał jej paść do nóg i przeprosić za pierwszą chwilę goryczy, jaką jej spowodował, lecz zły duch jakiś opanował go i przepełnił mu usta żólcia i jadem.

— Jakże mam was inaczej sądzić? — mówił zapalczywie — gdy sami oświadczacie zapal do porzucenia sprawy tyle, według słów waszych, drogiej wam; gdy perspektywa błyszczenia w uprzywilejowanych kołach, pomiędzy światowymi gadułami, zawraca wam głowę; gdy... — Nie mógł słowa więcej wymówić, porwał czapkę i wybiegł bez pożegnania.

Wieczór ten wszystko popsuł. Pogodzili się jako tako, lecz pojednanie mało co naprawiło; podstawa przyjaźni była rozbita. Andrzej już nie wierzył w istnie-

nie owego moralnego między nimi związku, na którym pokładał dotąd największe nadzieje.

Uznał, gdy przeszło uniesienie, że przesadził w przypuszczeniu, że jest Tani zupełnie obojętnym i godził się na to, że ona żywi dla niego ciepło przyjaźni. To mu jednak było gorzej jak nic. Pragnął wszystkiego, a to co mu przypadło w udziale, przypominało jedynie to, czego nie miał. O zawiści do Jerzego, nie mogło być i mowy. On, lub który inny; czy mu to nie jedno? Wszystkiemu zazdrościł i wszystkim; nawet godzinom i myślom, których z nim nie dzieliła. Ta, nowego rodzaju, zazdrość, całkiem przygłuszyła stare uczucia, bo silna boleść każe nam zapominać o mniejszej. Czarująca poufałość w ich stosunkach, rozogniła Andrzeja miłość, niewiedomie dla niego samego. Teraz, przerywając się pozornie, wszystko przepełniało jego serce i krew rozgrzewało; nie mógł istnieć bez niej, bo każda jej nieobecność zanadto go dręczyła. Za późno było ratować się ucieczką. Rachował godziny i minuty, zbliżające go do spotkania, ale doczekawszy takich chwil szczęśliwych, wydobywał z głębi duszy wspomnienia krzywd doznawanych i przytłumiał, co tylko było dobrego w uczuciach dla panienki. Zniknęła głęboka radość z poddawania się miłej istocie i odczuwał jakieś poníženie z tej zależności, buntując się przeciw władzy, mogącej samowolnie go unieszczęśliwić. Walka wewnętrzna podtrzymywała w nim ciągle rozdrażnienie, a to odbijało się na Tani, którą męczył sporami, nie mającymi nigdy słusznych podstaw.

Ona z początku chłodno to znosiła, ale musiały nadejść chwile przemęczenia i w kilku dniach zaczęło niknąć kilkumiesięczne dobre ich wzajemne porozumienie. Andrzej z boleścią spostrzegł [ten rozdział i starał się złe jaknajprędzej naprawić, ale bezwiednie powracał do niego.

Przyszedłszy niespodzianie pewnego poranku, zastał on dziewczkę zapłakaną; odczuł swoje przewinienia i gotów był upokorzyć się. Tania jednak tak do niego przemówiła nieprzyjaźnie, że się strasznie pokłócili, jak jeszcze nigdy.

Staczali się w dół po krętej pochyłości i musieli tak się staczać do końca, nie znajdując możliwości zatrzymania się.

Zbliżało się zupełne, bezpowrotne zerwanie. Pragnął Andrzej, by ono nastąpiło i przecięło położenie nie do wytrzymania, a obawiał się tego ciosu i czynił starania, by tę chwilę oddalić.

Postanowił nareszcie nie widywać się z Tanią inaczej, jak tylko na zebraniach z robotnikami i cały piątek stoicznie przepędził w domu, a był to dzień najlepszy w tygodniu, gdyż nie mieli nigdy żadnych zebrań i zazwyczaj chodzili oboje na przechadzki, albo on przesiadywał u niej, czytając i rozmawiając. Teraz miałby już zaniechać tych odwiedzin? Tak mu się to stało niemożliwym, że po tym jednym dniu nie wytrzymał i nazajutrz przyszedł długo przed zebraniem, pod pozorem, że musi z nią o niem jeszcze pomówić.

Sprawę omówili w parę minut i zamilkli.

Od czasu jak się poznali, pierwszy raz nie wiedział Andrzej jak i z czem ma się do Tani odezwać. Zaczął żałować przyspieszonego przybycia, skoro się tak głupio znajduje i od razu powrócił w stan dawnego rozdrażnienia.

— Dawno widzieliście Lizę? — zapytał, żeby coś powiedzieć i przerwać nieprzyjemne milczenie.

Wyrzekł to bez namysłu, a nie mógł przykrzejszego dotknąć tematu. Liza była światową panią, krewną Tani, u której miała zamieszkać przez czas pobytu swego w Moskwie. Andrzej ją znał cokolwiek, lecz jej nie lubił.

— Niewidziałam jej jeszcze od zeszłej zimy, gdy nas w Petersburgu odwiedziła — odparła Tania zupełnie chłodno.

Tania miała w rękach robotę i pilnie się jej oddała, siedząc bokiem obok Andrzeja.

Znów nastąpiło milczenie, naciągnięte i męczące, drażniące nerwy, jak cisza przed burzą.

Dla przerwania nieznośnego naprężenia, próbowała Tania mówić o wspólnej pracy, dającej im dotąd zawsze przedmioty do wymiany zdań i myśli. Andrzej jednak nie dał się wiaść na wędkę; nie dla tego tu przyszedł. Gniewnie odpowiedział, że ona chce mówić o tem, co w samej rzeczy mało ją zajmuje. Natomiast sam zaczął ją wypytywać o plany na Moskwę i o koła znajomych, jakie tam zastanie; okazał głębokie, choć niemiłe mu, zainteresowanie.

Tania odpowiadała, nie odrywając oczu od igły; palce jej drżały jednak, bo znała cel, w jakim Andrzej mówi o tym wyjeździe. Panowała nad sobą, żeby sporu z Andrzejem za daleko nie dopuścić. Za trzy dni wyjeździe, a po powrocie zamieszka w innej dzielnicy, więc też rozstawać się w poróżnieniu nie chciała.

Zimna jej krew jednak, zamiast uspokoić Andrzeja, doprowadzała go do szczytu rozdrażnienia i rozpacz. Dowodziło mu to postępowanie, że jest jej tak obojętnym, iż żadne zaczepki nie zdołają ją dotknąć. Zaczął ośmieszać jej plany, wydrwiwać jej moskiewskich przyjaciół i skończył oświadczeniem, że arystokratyczni rewolucyoniści na krótki czas tylko stroją się w demokratyczne togi, a wkrótce się demaskują; co, im prędzej następuje, tem lepiej.

Tego już Tania znieść nie mogła; zerwała się oburzona i wzburzona.

— Słuchajcie Andrzeju!... — zaczęła dziwnie drżącym z gniewu głosem.

Andrzej wstał także; blady oparł się ręką o poręcz krzesła. Zły duch opuścił go. Czekał na podobną chwilę, przygotowywał się do niej z obawą, i otóż nastąpiła, a cios był bliski.

— Andrzej — mówiła dziewczeczka miękkiem i zmienionym głosem — wytłomaczcie mi, dlaczego w was od pewnego czasu, zmiana taka dla mnie? Jeśli widzicie co złego, czemuż mi tego otwarcie nie wypowiecie, po bratersku, jak dawniej? Jeśli nie możecie, to po co mamy wzajemnie się dręczyć; czy nie lepiej spokojnie się rozstać i pójść każdemu swoją drogą?

Nie gniewała się już; cierpiała, a głos jej drżał miękko i łaskawie. Andrzej bardziej pobladł.

— Czyż jabym mógł rozstać się z wami, Tania! Raczej mi było nie poznawać was nigdy — odpowiedział ledwo dosłyszalnym głosem.

— Dlaczego? Czyż przyczyniłam wam... — Przerwała, odczuwając nagle, że coś ważnego w niej ma przemówić.

— Czyż wy oczów nie macie? — prawie uszczypliwie zawołał Andrzej. — Czyż nie rozumiecie, że was kocham do szaleństwa?!

Spojrzał jej w oczy i przejął się całym zdziwieniem, które jednocześnie przeszło w zachwyt. Czy się też nie myli?... Twarz mu się rozjaśniła.

Ona wyciągnęła ku niemu ręce, postąpiła krok naprzód, a rzucając mu się na szyję, zapłakała z tak wielkiego szczęścia.

— Tania, ty moja najdroższa! Czy to możliwe? Ty mnie kochasz? — pytał drżąc całym.

Zamiast odpowiedzi, przytuliła się do niego.

— Ile ty mi goryczy zadałeś — wyszeptwała.

— Daruj, ale ileż ja sam wycierpiałem. Teraz wszystko skończone; będziemy szczęśliwi i sami bogowie nam pozazdroszą!

Posadził ją na krzesło i ukląkł przed nią, okrywając pocałunkami chłodne jej ręce i zarumienione skonfundowane policzki. Opowiadał o pochłaniającem go zmarwieniu i wypytywał jak się to stało, że ona go pokochała. Żądał faktów i dowodów, żeby się w pełni zapewnić o swoim szczęściu, zesłaniem mu z niebios.

— A ja sądziłem — mówił z uśmiechem na ustach, ale i z dumą — że ty kochasz Jerzego.

— Jerzy jest najlepszym z ludzi, dużo lepszy od ciebie — odrzekła, przyciskając mu palcem czoło — ale od owego wieczoru, w który... czy pamiętasz?... pierwszy raz do mnie przemówiłeś, zawładnąłeś odrazu mojem sercem, a uczucie to rosło i rosło... Dlaczego? ja sama nie wiem. — A patrząc mu w oczy miłośnie, dodała — może jako kara za praojców grzechy.

Dzwonek przy drzwiach od mieszkania przywołał ich do rzeczywistości; pierwsza partya robotników przychodziła na zebranie.

Przyjęła ich Tania jak zwykle, z jednakowym spokojem. Była jednak piękniejszą, niż zwykle, bo ją otaczał blask szczęścia. Andrzej nie umiał tłumić kipiącego w sercu zapału i nawet przykład Tani nie pomógł mu do panowania nad sobą; pożegnał się i wyszedł.

Mróz był silny; zima pokryła białym całunem ziemię, domy i drzewa, ale Andrzej nie czuł zimna i nic wkoło siebie nie widział; żywił w sobie źródło ciepła, rozlewające rumieńce na policzkach; krew żywo mu biegła w żyłach i szedł szczęśliwy, osłonięty mrokiem wczesnej nocy.

Więc to nie sen, to rzeczywistość; ona istotnie go kocha! Ręce jej spoczywały wkoło jego szyi, odczuwał jeszcze ich dotknięcie. Jej pierwszy nieśmiały pocałunek gorzał na jego ustach; jej czarująca piękność, głęboko czułe serce, którego skarby tak dobrze poznał, były jego własnością, jego wyłącznie i na zawsze! Świat

cały wokoło, ludzie na nim i on sam także, wszystko wydało mu się odnowionem i z głębi wstrząśnionej duszy podnosił on hymn chwały odwiecznemu bóstwu, które się dlań ożywiło i które teraz usłyszy jego śluby. Wiedział, że jego ukochana nie spojrzalaby na niego, gdyby się nie był cały oddał wielkiemu dziełu, któremu oboje poświęcali życie.

Myśl jego zwróciła się do Jerzego, a była przepelniona rzewnym żalem. Jaki bywał dla niego przykry, jaki niegrzeczny w obec stałej jego dobroci! Musi zaraz iść do niego, rozmówić się i wytłomaczyć, przyznając się »że był winnym wobec nieba i niego«.

Jerzy siedział w domu, zatopiony w księgach i rękopismach. Spojrzawszy na twarz Andrzeja, odgadywał dlaczego on przychodzi. Przygotowanym był na to już oddawna.

Przy pierwszych zaraz słowach, przerwał zmięszane i zatrwożone wyznanie Andrzeja i podając mu dłoń, życzył szczęścia. Nie okazał przytem żadnego rozrzwienia, a dużemi swemi oczami wesoło patrzył na szczęśliwego rywala.

— Dawno wiedziałem, że Tania ciebie kocha — rzekł Jerzy spokojnie.

— Wiedziałeś? Jakim sposobem? — dziwił się Andrzej.

— Najprostszym ze sposobów: sama mi to oświadczyła... raz, gdy...

Przerwał, jakby zatopiony w dawniejszych wspomnieniach.

— Dlatego to — dodał — byłem niemy jak ryba; inaczej byłbym powtórzył.

— Byłbyś powtórzył? Ale komu?

— Komużby, jeżeli nie tobie.

— Jerzy, zmiłuj się, nie mów nic więcej, jeżeli nie chcesz ostatecznie przygnębić mnie twemi niezmiernymi

dobrodziejstwami — rzekł Andrzej, starając się tonem żartobliwym ukryć swoje pomięszanie.

Jerzy wzruszył ramionami.

— Jakie dobrodziejstwa? — zapytał. — Proste następstwo uczuć moich dla was obojga. Czy ty na mojem miejscu postąpiłbyś inaczej?

Andrzej poczerwieniał ze wstydu; wiedział, że nie potrafiłby tak postąpić jak Jerzy i nieprzyjemnie mu było uprzytomniać to sobie.

Widząc jak dobrze cel swój osiągnął, wybuchnął Jerzy szczerym, wesołym śmiechem, który wielką ulgę przyniósł Andrzejowi.

Poczem Jerzy poważnie zapytał:

— Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, jeżeli pojedę z Tanią do Moskwy?

— Jeszczem tak nisko nie upadł — zawołał, uśmiechając się Andrzej — i nigdy tak nie upadnę! Nie poczuj mnie za gorszego niż jestem.



ROZDZIAŁ XI.

O d e t c h n i ę c i e.

Tania obiecała prędko powrócić i dotrzymała słowa. Po upływie dwóch tygodni powitał ją Andrzej na dworcu kolejowym.

Pobrali się wkrótce potem, zawiadamiając najbliższych tylko przyjaciół o ślubie.

Zewnętrznego ich życia w niczem ten nowy stosunek nie zmienił. Wznowili poprzednią wspólną pracę, ale w innej dzielnicy, dla większego bezpieczeństwa. W zakątku Kronwierskiego prospektu znaleźli dwa pokoje i kuchnię, w której Tania sama gotowała.

Małeńkie były te pokoje, o niskich sufitach i bardzo skromnie umeblowane; małe ich okna szczelnie pokrył matowy szron, mróz bowiem silnie panował, choć blisko już było wiosny. Całe to mieszkanko przedstawiało pustkę niemal ponurą, ale oni poczytywali je za raj ziemski, o ile używali tego porównania w trzeźwej mowie nowoczesnej ludzkości.

Prędko młodzi skrócili zachwyty szczęścia, bo te nie licowały z ich poglądami na życie, ani z tem, co wkoło siebie widzieli. Zrobili miejsce wyższemu i spokojniejszemu szczęściu, jakim być mogą: wspólność myśli i powab wzajemnej nauki. Tem czuli się być tyle szczęśliwymi, o ile to było możebnem.

Do jego pełności brakowało jednego elementu, ale się też wcale nie łudzili; wiedzieli, że ich odetchnięcie

będzie nie długiem. Miecz Damoklesa wisiał nad ich głowami; każdy dzień, każda godzina mogła być ostatnią dla nich. Niebezpieczeństwa nie odstępujące rewolucjonistów, kilkakrotnie się już do nich zbliżały, tak jakby szepcząc *momento mori*, to Andrzejowi, to Tani, to znów obojgu jednocześnie.

Oni jednak nie narzekali. Niebezpieczeństwa te, towarzyszące ich drodze żywota, były im pochodniami miłości; to bowiem, co w sobie nawzajem wielce cenili, to było to bezgraniczne oddanie się ojczyźnie, ta gotowość każdej chwili ofiarowania jej wszystkiego. Kochali się niezawodząca miłością, znajdując jedno w drugim odzwierciedlenie wyższych ideałów, do których oboje zdążali. I tak, jak wierność wzajemną dla ideałów i ich miłości dyktowało im życie pełne niebezpieczeństw, tak od nich się nie usuwali. Niech się spełni, co być musi, oni się nie cofną, cokolwiekby nastąpiło.

Nie pragnęli zguby; byli oboje zdrowi i mężni, a życie przedstawiało im teraz tyle powabu; ale też nie żywili obaw. Ciemna przyszłość nie psuła im piękna terażniejszości, przydawała tylko większą cenę każdej godzinie, każdej minucie, jakie mogli razem spędzić szczęśliwie.

Pewnego poranku, z początkiem wiosny, poprosił Andrzej, by mu Tania odczytała głośno ustęp z nowej broszury otrzymanej od Repina, u którego poprzedni wieczór spędzili.

Często i z upodobaniem tak sobie czytali, oceniając i przedyskutowując odczytane. Tego dnia jednak Tania odmówiła. Twarz jej wyrażała troskę, bodaj czy nie po raz pierwszy od czterech miesięcy ich pożycia.

— Co tobie najdroższa? — troskliwie zapytał Andrzej — wyglądasz jakby zmartwiona.

Nie mogła objaśnić, co się z nią działo; nic szczególnego; proste duchowe przygnębienie.

Ona siedziała koło stołu, a Andrzej leżał na dywaniku u jej nóg, jak zwykle, gdy ze sobą rozmawiali.

— Powiedz mi o czem myślisz, a odgadnę niewątpliwie, co cię przygnębia.

— Niewarto się zaprzętać drobnostkami; jestem cokolwiek rozstrojona, ale to przejdzie.

— Ale ja wiedzieć pragnę co cię rozstraja. Czy nie ja jestem tego powodem? Jeżeli tak, to daremnie się rozgoryczasz, bo lepszego męża nie znalazłabyś ze światłem w ręku, w dzień jasny.

— Nie żartujmy — odrzekła Tania, której wspomnienie weszło w określoną formę, pod wpływem słów Andrzeja. — My dziś szczęśliwi, ale kto wie, czyśmy się pobrali na dobro czy na zło nasze?

— Każdy odpowie — mówił Andrzej — że na jedno i na drugie. Ale skąd przychodzi ci takie pytanie do główki? Nic podobnego nigdy nie usłyszałem od ciebie. Czy żałujesz może, żeś moją?

— Nie o sobie ja myślę i mówię — odrzekła, gładząc gęstą czuprynę Andrzeja — ty jednak może kiedyś tego pożałujesz. Słyszałam nieraz, że rewolucyoniści psują się małżeństwem.

— Więc to to ciebie tak niepokoi! Obawa o moją czystość i nieskazitelność?

Nie mógł utrzymać się w tym tonie. Oczy jej ciemne, głębokie spoglądały na niego z wyrazem rozrzuwającego smutku.

Fala gorącej wdzięczności i miłości przepelniała jego serce, gdy popatrzył w te oczy.

— Droga ty moja — zawołał — zrobiłaś ze mnie lepszego człowieka! Odstłoniłaś w mej duszy takie źródła entuzjazmu, poświęcenia i wiary w ludzi, jakich ja w sobie nie widziałem. I tobie jeszcze potem tak sądzić?

— Czy rzeczywiście? — zapytała niedowierzająco, gładząc go ciągle po głowie.

— Żebym ja mógł ci to wyjaśnić! Dowiedz się więc, że będąc dzieckiem, byłem bardzo pobożnym, a potem często słyszałem, że tylko religia daje wyższy i czysty ustrój ducha. Ale teraz, gdy jestem z tobą, gdy twoja ręka spoczywa na mojej głowie, albo gdy sam będąc, myślę o tobie, odczuwam taką samą słodycz spokoju, dążność do ofiarności i tę namiętą potrzebę czystości, jak w czasach mego dzieciństwa. I rozpoznaję wówczas moje słabości, oraz niedostatki, a gorąco pragnę je usuwać, żeby bez trwogi mózdz stać przy tobie.

Tania poważnie słuchała; najprzód ździwiona, potem porwana urokiem namiętych słów jego.

— Andrzej — odezwała się — nie mów tak do mnie. Przestałabym wierzyć w twoją miłość, gdybyś mnie tak uwielbiał. Wiem dobrze, com warta, i pragnę, byś mnie oceniał wedle zasług.

Ze spokojnym uśmiechem wysłuchał tej maleńkiej przestrogi; wziął delikatnie rękę żony i pomaleńku całował jeden palec za drugim.

— Dziecię moje — odezwał się — kto ci powiedział, że ja upatruję w tobie wyjątkową naturę? Nie, najdroższa, ja już nie smarkacz i wiem, że tak ty, jak i ja jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami. Nie fantazyuję na twoją korzyść, ale cię kocham! A czyż się kocha tylko wyjątkowość i niezwykłość? Jakiż smutny widok przedstawiałby cały wszechświat, gdyby tak rzeczywiście było! Wiem, że są istoty równie dobre i sprawie naszej jak ty oddane; ale co mi do tego! Widzę nieraz słońce i odczuwam ciepło jego promieni, ale spokojnie robię swoje i najzwyczajniej oddycham; nazajutrz jednak widzę to samo słońce, może mniej jarzące i piękne niż poprzednio, ale obłoki inaczej się wkoło niego ułożyły, a kwiaty inaczej wyglądają, i oto stoję przed nim po-grażony w zadumę, i oczu otworzyć nie mogę. Nie wiem, ale i wiedzieć nie chcę, dlaczego cię kocham...

— A ja teraz wiem — przerwała Tania ze śmiechem — i wyjaśnię ci to: »oto dla tego, że masz gust bardzo skromny«. Wierzę, że możesz się zachwycać słońcem, gdy ono jest osłonięte obłokami, chociaż podobniejsze jest do tłustej plamy na papierowej latarni... O gustach nie dyskutujmy, a ja na tych warunkach godzę się być twojem słońcem.

Rozweseliła się i radośnie uśmiechała, ale oczy jej zawsze jeszcze wyrażały głębsze uczucia. A on kochał te czarne przejrzystej czystości oczy, z ich zmiennym wyrazem! jak kochał ten wzrok zawsze porywający szczęściem jego serce!

— Radości ty moja — zawołał wzruszony. — Powiedz mi, czem ja zasłużyłem na takie szczęście? Jakie mam prawo do tego, gdy wokoło tyle goryczy i smutku? Pytać siebie muszę: »com uczynił takiego, żeby zasłużyć na twoją miłość i jak ci za nią odpłacić?«

Zakryła mu usta dłonią. W oczach zmieniła wyraz, bo ich tajna głębia pokryła się zasłoną i zgasły drżące w nich płomyki; spokojną była.

— Nie mów tak nierozsądnie — rzekła — miłość kobiety nie jest nagrodą, to dar, swobodny i obopólny.

Na chwilę otrzeźwiły te słowa Andrzeja.

— Masz słuszość — rzekł — jak zawsze; ale tem więcej winienem ci wdzięczności. Gdybym umiał, wyśpiewałbym ciebie, jak trubadur starożytności.

— Trubadurze mój — zawołała — coby nasi rewolucyoniści orzekli, gdyby usłyszeli, jakim wrażeniem poddaje się surowy, niezłomny Andrzej Kożuchow?

— Jeśli rozsądek u ludzi coś znaczy — odparł — to nabraliby jeszcze większej wiary we mnie. Wierź mi, że urodzony tchórz tylko obawiać się może, by w stanowczej chwili jego życia, miłość mogła sparaliżować siły. Mnie znajdzie każdy gotowym, gdy wybije moja godzina, i ty, droga, powiesz, jak ta dziewa czerkieska:

»Smiało mój miły, idź za twem przeznaczeniem!«

— Postaram się oto — odrzekła Tania, uśmiechając się zlekka, a lubując się podniesionym ku niej śmiałym i szczęśliwym wzrokiem Andrzeja.

Nigdy jeszcze nie był on jej tak drogim, nigdy nie była tak dumną z tej miłości. Możliwość jednak utracenia go, o której myślała, nie chcąc w nią wierzyć, stała się teraz przed nią w całym strasznym realizmie.

Z nerwowym porywem objęła rękami jego szyję i silnie przytuliła do piersi głowę męża, droższą jej nad wszystko w świecie.

Silne uderzenie dzwonka przy drzwiach, poprzedzone dwoma słabszemi, niemiłym dźwiękiem odezwało się w mieszkanku.

Były to głosy dzwonka, zapowiadające przyjaciół, jednakowoż oboje zadrżeli i spojrzeli po sobie.

Andrzej zerwał się i poszedł drzwi otworzyć.

Tania usłyszała naprzód wesoły głos Andrzeja, witający kogoś nieoczekiwanego, lecz potem dochodziły jej uszu tylko szepty i przez chwilę milczenie nie dobrze wróżące.

Andrzej wprowadził Jerzego i nieznanego Tani młodego człowieka. Andrzej był blady, a tamci dwaj poważnie smutni.

— Co się stało? — zawołała strwożona.

— Wielka bieda — odrzekł Andrzej. — Zina i Wasyl zaaresztowani po twardym oporze; oboje zostaną na śmierć skazani do kilku tygodni; Wuliczówna zabita podczas starcia.

Padł na krzesło i ręce nad głową załamał.

Nieznajomy poszedł do zdziwionej Tani i sam się przedstawił:

— Watażko; przybywam z Dubrownika z tą wiadomością i z osobną misją do Andrzeja.

— Kiedy się to stało? — zapytała.

— Trzy dni temu. Policya starała się wszystko utaić, ale się to nie udaje i jutro będą już opisy w gazetach. Całe miasto o tem mówi.

I półgłosem zaczął opowiadać o szczegółach katastrofy. Obrona była istotnie heroiczną. W cichą północ usiłowała policya dostać się podstępnie do mieszkania zajętego przez Zinę i Wasyla, a w tym celu odśrubowali zawiasy przy drzwiach wchodowych i chcieli zejść śpiących z nienacka. Tak by się stało, gdyby nie czuwała Wuliczówna nad książką w swoim pokoju. Usłyszała podejrzany łoskot, a spostrzegłszy żandarmów, strzeliła kilkakrotnie i zmusiła ich do cofnięcia się na schody; byłaby ich dalej raziła, lecz padła sama, trafiona kulą w głowę; nie żyła już, gdy po chwili pospieszył Wasyl na jej ratunek.

— Oto kobieta! — zawołał Andrzej. — Oto lwica!

— Tamci dwoje — mówił dalej Watażko — usiłowali przebić się z rewolwerami w rękach, lecz okazało im się to niemożliwem. Cofnęli się więc i zabarykadowali w pokojach, gdzie spieszenie popalili wszystko, co mieli kompromitującego, poczem musieli się poddać.

Watażko dodał, że, o ile wiadomo, sądzić ich będą za kilka tygodni razem z Borysem, ze względu na winy którego poszukiwano Zinę, i policya bardzo uradowana jej aresztowaniem. Wasyl będzie obok nich oskarżony o zbrojny opór, a o wyroku na nich troje wątpić trudno.

— Ale do tego dopuścić nie możemy! — zawołał żarliwie Watażko. — My ich siłą oswobodzimy!

Zerwał się z krzesła w zapale wzburzenia, a chodząc po pokoju od jednego do drugiego z towarzyszków, oświadczył i szczegółami wyjaśnił, jak kółko w Dubrowniku postanowiło przedsięwziąć próbę uwolnienia więźniów. Wszyscy bez wyjątku są za tem, a na ochotnikach do czynu nie zbraknie, tak w intelligencji jak wśród robotników. Zamiar udać się może, jeśli go utrzy-

mamy w tajemnicy; bądź co bądź próbować trzeba. Postanowiono — mówił zwracając się do Andrzeja — wyznaczyć w tym wypadku naczelnika i was nim wybrano. Jestem wysłańcem, by was uprosić i zapytać, czy jesteście z nami i czy wybór przyjmujecie?

Andrzej podniósł głowę i zapytał:

— Czyście dobrze tam rozważyli, czyniąc taki wybór? Ja w niczem jeszcze naczelnikiem nie byłem.

— Lepszego i wymarzyćby nie zdołano — odparł Watażko.

I wyjaśniał powody tego wyboru. Wszyscy członkowie tamtejszej organizacyi znają osobiście Andrzeja i mają do niego pełne zaufanie; a ponadto stał się on popularnym pomiędzy rewolucjonistami w mieście, którzy go poznali z reputacyi i każdy pójdzie za nim chętniej i prędzej, niż za każdym innym.

— Niechże tak będzie jak chcecie — odpowiedział Andrzej — dla takiej sprawy przyjmę każdą rolę, jaka mi przypadnie.

— Tak im też mówiłem, tak mówiłem — wołał Watażko, ściskając gorąco dłoń Andrzeja. — Na razie nie potrzebujecie jeszcze przenosić się do Dubrownika i lepiej do czasu tutaj pozostać, bo dowiedziawszy się o waszem przybyciu, policya zaraz wysunęłaby baczniejsze ucho. Będziemy wam donosić o każdym szczególe i porozumiewać się.

Tak więc znów odrywano Andrzeja od cichej pracy i szczęśliwego spokojnego życia, a rzucał się znów w wir rewolucyjnych prądów.

Udał się na krótki czas do Dubrownika, dla rozpoznania gruntu. Tam się dowiedział, że Boczarow, na którego tak liczył, został aresztowany, również jak i siostry Dudorow, co mu bardzo nie w porę przyszło. Żywił nadzieję, że tych rychło wypuszczą, jako mało winnych; przekonał się jednak inaczej.

Zjawiła się u niego Waria Wojnow z wieścią, że widziała się z więźniami, a wyszła od nich ze łzami oburzenia po tem, co tam usłyszała:

Oto, zaaresztowany Mironow, z którym poznał się Andrzej na pikniku w gaju, wywiesił odrazu białą flagę i dla uwolnienia się, przyznał się ten łajdak sam do małych przewinień, a opowiadał wiele z tego, czego się tylko domyślał i wydał dużo ludzi.

Dzięki tym zdradzieckim zeznaniom, zaaresztowano Boczarowa i obie siostry. Miał on podobno określić ów piknik jako spiskowy i wymienił nazwiska wszystkich jego uczestników. Sam w sobie fakt nie wiele znaczący, wykazał znajomość i stosunki Boczarowa, oraz sióstr Dudorow z takimi rewolucjonistami jak Andrzej i Wasyl. Będą przeto sądzeni razem z Borysem, Ziną i Wasylem, a sprawa ich bierze przez to poważniejszy i groźniejszy dla nich obrót.

Po za tem złem, wyniósł Andrzej we wszystkich innych okolicznościach, raczej sprzyjające zamiarom wrażenia. Przeszkody mogące mu stanąć na drodze przedsięwzięciom w Dubrowniku, przedstawiały się mniejsze niż sądził. Rozpoznał możność pozyskania wyborowych sił bojowych, więc ułożył wspólny plan działania. Zbierały się szanse nader pomyślnego powodzenia, może nawet świetnego! Odkrył w sobie instynkta wodza. Nie myślał o niebezpieczeństwach, a o ile o nich chwilę pomyślał, do głębi duszy wprowadzał niewarę w ich istnienie.

Ożywiony i szczęśliwy powrócił do Tani. Dla niej jednak minęły już dni spokojne. Wiedziała i uznawała, że Andrzej nie może się cofać w takiej sprawie, ale ją to niewiele pocieszało, nie rozpraszało obaw o niego.




CZEŚĆ TRZECIA

WSZYSTKO DLA SPRAWY

ROZDZIAŁ I.

J a k a ł a.

edno z przedmieść prześwietnego miasta Dubrownika, nosi miano »Okopy«, a dziwnie ono brzmi teraz, kiedy ani na ulicach, ani w ogrodach, ani w sadach tej miejscowości, nie znajdzie nikt najmniejszego pagórka.

Miano to było prawdopodobnie odpowiedniejsze w owe czasy, w których obywatelskie poszukiwania rezydencyi, powołały to miejsce do życia. Wiele z ówczesnych domów, zachowało do teraz ślady pochodzenia swego. Obszerne podwórza otoczone były licznymi dobudówkami dla pomieszczenia dziesiątek sług, zawsze towarzyszących państwu w ich peryodycznych przejazdach. Stajnie, wozownie i łaźnie, świadczyły o usiłowaniach ojców naszych w utrzymywaniu życia na obywatelskiej stopie. Same domy, to jest te, których jeszcze nie zburzono, były przeważnie drewniane, ale z pretenzyonalną architekturą. Tu i owdzie widniały ganki z gzymsami i ballustradami, jako upiększenia, maleńkie wieżyczki, ozdobne drzwi i okna, a wszystko wskazywało na fantazyę i kaprysy ludzi o arystokratycznych skłonnościach.

Po usamowolnieniu włościan domy te przechodziły z rąk obywateli do kupców, tak często zajmujących

miejsca szlachty. Spekulanci i lichwiarze różnej barwy nie pozostawiali długu w tych domach, nie nadających się do zyskownych operacji i nie pociągających ich w jakimkolwiek kierunku. Żyli oni tam w charakterze nieprzyjaciół, którzy opanowali miasto na czas krótki, w celu spieniężenia wszystkiego, co sprzedać się dało.

Raz jeszcze zmieniły »O k o p y« swój wygląd i swoje zaludnienie. Domy, oficyny i dobudówki zajmowali przeważnie mieszczanie i robotnicy, a dla nich główną ponętą stanowiła ziemia, znajdująca się wkoło domów, a zatem ogrody i sady z chodowlą owoców. Odnajmowali oni główne mieszkania letnikom, a sami mieścili się w ciasnych dobudówkach; tamtych przyciągała »natura«, wabiło »świeże powietrze« i uprzyjemniała pobyt obfitość owoców.

Z początkiem wiosny 187... roku, siedziało przy otwartem oknie jednego z takich domków, dwóch młodych ludzi. Jeden z nich, mogący liczyć wyżej lat dwudziestu, z naprężeniem uwagi wpatrywał się w jaśniejszy nieco, od ciemnej latarni, pas światła w ulicy.

Był to Watażko, a drugi, znajomy nasz Andrzej, przybyły przed tygodniem do Dubrownika i zamieszkały z towarzyszem w tym domku.

— Nie widać nikogo? — zapytał.

— Nikogo jeszcze.

— To dziwne — rzekł Andrzej po chwili milczenia — posiedzenie powinno być skończone od trzech godzin i jękało dawno powinien być już nadejść. Księżnię pewnie wkrótce ujrzemy.

— Może jej nie wpuszczono do sądu — mówił Watażko.

— Jeszczeby też! Kogóżby wpuszczali, jeśli nie panią z jej stanowiskiem?

— Tak, ale przypuszczać można, że jękałę wysadził wybuch — zażartował Watażko — on zawsze jest

punktualny, a szczególnie w takich wypadkach niema zwyczaj się spażniać.

— A cóż, może i tak; on się tak nieostrożnie obchodzi ze swoim ulubionym prochem, że o wypadek z nim nie trudno.

— Może przebiegnąć do jego mieszkania? — zapytał Watażko.

— Po co? Jeśli wyleciał w powietrze, to go nie zobaczysz, a jeśli żyw to się możecie w drodze rozmiąć. Lepiej poczekałmy.

Nastąpiło milczenie.

— Co za nudziarstwo! — przerwał Watażko — dam ja temu jąkajle, gdy nadejdzie!

Wyrzał raz jeszcze oknem na pustą ulicę, ale po chwili spostrzegł nadjeżdżającą dorożkę.

— Otóż nareszcie i on! — wesoło zawołał Watażko, odrazu o gniewie zapominając.

Rzeczywiście, w dorożce siedział dawno oczekiwany jąkajło.

Był to człowiek lat średnich, herkulesowej budowy, z czarną brodą, sięgającą prawie do pasa. Wyciągnąwszy długą rękę do pleców dorożkarza, zatrzymał go przed samemi wrotami, czego nie powinien był czynić, ze względu na konspirację, lecz wysiąść o kilka domów bliżej, ale pilno mu było.

Wszedł do pokoju, pochylając się, by głową nie stuknąć, a Watażko pospiesznie zamknął okno, spuścił story i zapalił dwie świece.

— Jakież wiadomości? — zapytał zniecierpliwiony Andrzej — mówcie.

— Zaraz, zaraz, dajcie mi się rozebrać, a odrazu powiadam, że nic niemam ciekawego — rzekł, jąkając się, nadeszły towarzyszy.

W bliskości, chuda jego postawa i głowa pochylona, wcale nie znamionowały Herkulesa. Broda przy

świetle okazała się rudą, nie czarną, i spadała do pasa dwoma kosmykami. Na chudej twarzy błyszczały siwe oczy, tak fosforycznego blasku, że wpadało na myśl, że on, jak kot, widzieć może w ciemnościach.

— Widzieliście kuzynkę? — zapytał Andrzej.

— Widziałem.

— A zatem siadajcie i opowiadajcie.

— Proces polityczny rozpoczął się przed sądem wojennym. Na pierwszym posiedzeniu niewiele załatwiono, lecz doświadczony człowiek mógł z tego wnioskować o dalszym przebiegu sprawy. Po pierwsze — zauważył jākajło — że większość członków sądu wyznaczył sam generał-gubernator do tego procesu, co było złym znakiem. Odczytany akt oskarżenia, nic także dobrego nie wróżył. Nie podlegało wątpliwości pod jaki artykuł podciągną trzech głównych podsądnych, to jest Borysa, Zinę i Wasyla; inaczej było z Boczarowem i z siostrami Dudorow, na których żadna nie ciążyła wina, prócz znajomości z tamtymi. Dlatego też oskarżenie wszystkich o spisek przeciw tronowi, było bardzo złowieszczem. Świadczyło o zamiarach władzy oskarżającej, co do kary śmierci na wszystkich.

— Ale jakżeż to możliwe? — przerwał Watażko. — Jakież to bydło może mieć dowody?

— Wszystkiemu winien — odrzekł jākajło — piknik w lesie, na którym był sprzedajny zdrajca Mironow; Dudorowy i Boczarow także tam byli. Od Wasyla nie wydobyli ani jednego słowa; on milczy od chwili aresztowania, ale ten przeklęty Mironow zapewnił, że Wasyl tam był z Andrzejem i z Wuliczówną, a prócz tego stróż Dudorowych poznał fotografię Wuliczówny i zeznał, że ona często do sióstr przychodziła.

Zamilkł jākajło po tej opowieści, która zajmowała ciekawie Watażkę i Andrzeja, uznając, że rzecz jest całkiem wyjaśnioną.

— Jedni konspirowali, drudzy byli ich znajomymi, a zatem jedna to szajka.

Rosyanie znają aż nadto te wszystkie zwykłe prokuratorskie obejścia.

— No, a jak podsądni? — zapytał Andrzej — intesesujący się tym szczegółem.

— Ksienia mówi, że oni prawie wcale na rozprawę nie zważają, a przeważnie rozmawiali ze sobą; raz tylko wzburzeni protestowali.

Dodał nadto jąkajło, że oburzenie wywołała postać prokuratora, rzucona na trzy kobiety. Nie mógł podać szczegółów, bo mu ich kuzynka nie powtórzyła, ale i tego było dosyć, by Watażkę do szaleństwa doprowadzić.

Na twarzy starszego towarzysza nie drgnął ani jeden muskuł.

— A cóż? — zapytał — czyście się po nich czego innego spodziewali?

— Nie — odrzekł Watażko — ale i tego już zawiele! Nawet rzeźnicy nie plwają na bydłęta, które na rzeź prowadzą.

— Bo też oni nie są żadnymi rzeźnikami — rzekł Andrzej — lecz zaślepionymi stróżami carskimi, zdolni, za dobrą zapłatę lub awans w służbie, z rodzonych swych matek skórę zdzierać.

— Ale ja przecie nie wierzę, żeby wszystkich skazali, bo przecie troje z nich nic nie zawiniło — mówił Watażko — czepiając się iskierki nadziei.

— Jacy wy jesteście naiwni — ironicznie zauważył jąkajło.

Nadzieje Watażki na ludzkie uczucia władzy, wzbudzały w nim oburzenie, uśmierzane li tylko pogardą.

— Nie wątpię — rzekł Andrzej w zadumie — że wyroki wydadzą na wszystkich. Da to sposobność generał-gubernatorowi okazania miłosierdzia i oszczędze-

nia sióstr Dudorow, a może i Boczarowa. Przypuszczalnem jest także, iż sędziowie pozwolą sobie na jaką sztuczkę dla okazania niezawisłości; oni często urządzają sobie takie komedye. Nie myślę, żeby było więcej nad trzy kary śmierci. Borys i Wasyl niezawodnie, a potem Zina albo Boczarow. Ale poco teraz o tem rozprawać! Opowiedźcie nam lepiej jākajło, jak postępują nasze roboty.

Dyskutowali o swoim planie, a wpół godziny potem wyszedł jākajło, z większemi ostrożnościami, niż przy nadejściu.

ROZDZIAŁ II.

W świątyni Temidy.

Sąd w międzyczasie spełniał swoje zadanie, a ciągnął się już dni pięć i trwałby trzy razy dłużej, jeśliby miano wypełnić wszystkie formalności, przepisane ustawami dla sądów wojennych. Miasto zaś było tak wzburzone odgrywającą się w jego murach tragedją, że uznano pośpiech za wskazany. Zwykłej publiczności nie dopuszczano wcale do sali posiedzeń; bilety wejścia dano z wielką ostrożnością nie wielkiej tylko liczbie dobrze zapisanych i widzianych osób, a silne patrole policyi oraz żandarmeryi otaczały gmach sądowy, rozpedzając zbiegowiska i aresztując nieposłusznych pierwszemu wezwaniu.

Niemniej jednak, tłumy współczujących lub wprost tylko ciekawych, nieprzerwanie otaczały sąsiedztwo sądu. Wystarczało pokazanie się we drzwiach gmachu porządniej ubranego mężczyzny albo kobiety, by się zebrała natychmiast gromada niewiadomo skąd przybywających i ciekawie dopytujących się o przebieg rozprawy. Posiadacze wstępnych biletów mogli też być przekonani, że zastaną u siebie znajomych i przyjaciół, blisko zainteresowanych sprawą.

Od mężów do żon, od przyjacieli do przyjaciół, szybko rozchodziły się po mieście burzliwe wieści. Po-

mimo, iż artykuły dziennikarskie były nader krótkie i często jeszcze obcinane przez cenzurę, to jednak kto chciał i postarał się, mógł otrzymywać nawet drobne szczegóły. Sympatye były po stronie słabszych, a codzienne, cogodzinne niemal wiadomości o zachowaniu się stron obu, mogły tylko wzmacniać te uczucia.

Miasto znajdowało się w gorączkowym wzburzeniu, które objęło i takich, którzy się nigdy nie zajmowali polityką. Zaniepokojony rosnącym współczuciem dla pod sądnych i obawiając się »nieporządków«, nakazał generał-gubernator sędziom i prokuratorowi zakończenie rozprawy, z opuszczaniem formalności; komedia zbliżała się nareszcie coraz prędzej do swego tragicznego rozwiązania.

Rozgłoszono, że wyrok będzie wydany we czwartek, piątego dnia rozprawy. Wzburzenie, w pewnej zwłaszcza części mieszkańców miasta, doszło do takiego kresu, że władze przedsięwzięły poważne środki przeciw oczekiwany nieporządkom. Podwórza sądowe zapelniono żołnierzami i policją; batalion piechoty i dwa szwadrony kozaków ustawiono pod bronią w sąsiednim gmachu rządowym; patrole policji zdwojono. Tłumy jednak gromadziły się, a wieczorem zwiększyli je wychodzący z fabryk robotnicy. Policja nie była w stanie rozpędzić zbiegowiska bez użycia broni, do czego uciekać się nie chciano.

W sali sądowej usposobienie publiczności zmieniało się stopniowo. Dzięki usilnym staraniom i protekcyom z jednej strony, a przekupieniem dozorców z drugiej, znaleźli się w sali posiedzeń tacy, przeciw jakim przedsiębrano właśnie środki ostrożności. Rozpatrując się pomiędzy tą publicznością, spostrzegli tak sędziowie jak i podsądni, pomiędzy mundurami wojskowych i czynowników, także i postacie o fizyognomiach wcale nie obojętnych.

W drugim rzędzie krzesel siedziała poważna małżonka wyższego urzędnika, pyszniąc się brylantami i tuszą, a jak śmierci obawiająca się »nihilistów«. Przyszła tu jednak, bo dobrze poinformowana przyjaciółka zapewniała, że rozprawa będzie bardzo zajmującą. Dla nerwów swoich jednak bała się histeryi u niewiast podsądnych.

W jednym z nią rzędzie krzesel siedziała panienska, po powierzchowności której nie trudno było rozpoznać »nihilistkę«, taką, jacy z obojga płci zajęli w ostatnich rzędach miejsca.

O jedenastej wieczór oddalili się sędziowie dla uchwalenia wyroku, a powrócili dopiero o wpół do trzeciej. Pomimo to, bardzo niewielu z publiczności wyszło ze sali. Wszyscy wiedzieli, że ich oczekiwania nie zostaną zawiedzione, i im więcej czas upływał, tem mniejszą była chęć oddalenia się. W sali było coraz duszniej, zwłaszcza, że nie wolno było otwierać okien; zaledwie jarzące się świece w sześciu lichtarzach, dodawały grobowego wrażenia i utrzymywały milczenie wśród publiczności.

Na ławkach podsądnych tylko szept nie milkły. Wiedzieli, iż zaraz po wyroku ich rozłączą, więc korzystali z chwil ostatnich dla przyjacielskiej rozmowy, wcale nie zachmurzonej myślami o tem, co ich czekało. Nikt z publiczności ich nie widział, bo zasłaniała ich ściana dwunastu żandarmów z obnażonemi szablami.

Tłumy, już nie rozpraszane przez policję poza gmachem sądowym, zachowywały się mniej spokojnie i mniej cierpliwie. Tam zebraną była liczna gromada »nihilistów« i zajęła najpierwsze rzędy, a z głośniejszych ich rozmów oraz kłótni, nie trudno przychodziło poznać, że to nie byli dotąd jeszcze konspiratorzy.

Wtem, pojawiła się biała chustka w jednym z okien gmachu sądowego.

— Wyrok! — zawołał ktoś głośno. I w mgnieniu oka cały tłum cisnął się ku drzwiom sądowym, z podniesionymi głowami.

W sali ogłaszał nadzorca początek ostatniej sceny bezwstydnego farsy: »Wyrok ma być ogłoszony«.

Publiczność powstała jak jeden mąż i oczekiwała tłumiąc oddech. Zdawało się, iż słyszeć można bicia licznych serc, uderzających u jednych ze strachu o los przyjaciół, u drugich ze wstrząsającej dramatu chwili.

Za długim stołem z sześcioma cienkimi świecami, stanęło sześciu członków sądu. Wygląd ich wcale nie oznajmiał pojęcia o bezstronności sług Temidy. Patrząc z jednej strony na nich, a z drugiej na podsądnych, spostrzegało się spokój i godność tylko w tej drugiej grupie, z której wszyscy także powstali, ukazując się publice. Ale teraz każdy patrzył na przewodniczącego.

Przymusowo podniesionym głosem, zaczął on odczytywać konieczny a niekończący się wstęp.

Naraz przebiegła jakby straszna iskra elektryczna po wszystkich, sędzia wymówił pierwsze nazwisko, a to było Borysa. Poczem nastąpiło długie mruczenie, mało słuchane, a wymieniające liczne winy oskarżonego, a po krótkiej pauzie wyrok: »śmierć!« Chociaż nikt nie oczekiwał miłosierdzia dla Borysa, to jednak głośne słowa »kara śmierci« uderzyły jak gromem w naprężone nerwy każdego. Drugim było imię Wasyla, przy którym mrukliwe czytanie odbyło się krócej, a identyczny wyrok kary śmierci, znów poruszył licznych słuchaczy. Przyszła kolej na Zinę, której sprawa wywoływała najwięcej dyskusji i sporów.

Milczenie nastało zupełne. »Śmierć czy życie?« pytał siebie każdy w duchu, podczas długiej czytanki przewodniczącego sądu. Podnosił on zarzut za zarzutem, przewinienie za przewinieniem, aż zakończył jednym słowem »śmierć!«

Przeciągłe westchnienie przeszło w głośne jęki po całej sali. Wszyscy, nawet uprzedzeni, z sympatyą i wzruszeniem patrzyli na tę młodą szlachetną niewiastę, skromnie i spokojnie stojącą przed swymi towarzyszami.

Wyrok ten wstrząsnął każdym bez wyjątku, ale dalsza ciekawość była już słabszą; najgorsze już minęło, a trzech pozostający podsądni tak mało byli skompromitowani, a raczej tak żadnych win nie dźwigali, że można je było głupstwami nazwać.

Czytanka o Boczarowie mogła też uspokoić publickę. Nie wymieniono w niej przestępstw, lecz same drobnostki. A jednak zdumienie i przeciągłe »Ach!« wywołał wyrok ogłaszający i temu karę śmierci!

— Nieskończenie wdzięczny jestem szanownym panom sędziom! — głośno zawołał osądzony.

Przewodniczący nie ośmielił się przyzwać go do porządku; udał, że nie słyszy, i przeszedł do dalszych nazwisk. Następowало imię starszej z sióstr Dudorow. Teraz publiczność z naprężoną uwagą śledziła odczytywanie szeregu bałamutnego i chytrze ułożonego oskarżenia, obejmującego same nedorzecznosci. Zato przecież niemożliwą była żadna srogość. Publiczność podejrzliwie słuchała niesłychanie długich wywodów, zwłaszcza po poprzednim wyroku. Niektóre zdania brzmiały surowo, a niepewność krzyżowała się z nadzieją, rozdrażniając nerwy do najwyższego stopnia. Nareszcie skończył sędzia okrutnem zdaniem: »kara śmierci!«

Długo tłumione męki naraz wybuchły krzykami, przekleństwami i histerycznymi śmiechami niewiast. Ludzie wskakiwali na ławki i krzesła, jakby opanowani nagłym szałem, a ściany tego gmachu nigdy jeszcze dotąd podobnej sceny nie objęły.

Dobra pani w drugim rzędzie, małżonka wyższego urzędnika, zemdlła i natychmiast stanął przy niej oficer żandarmeryi, uczęszczający na zebrania w jej domu,

i zaczął ją cucić. Panienska jednak, poczytywana za nihilistkę, a blisko niej siedząca, odepchnęła go od niej.

— Nie ruszajcie tej pani! — zawołała z pogardą i z taką nienawiścią patrząc w oczy oficerowi, że ten się bezzwłocznie usunął, a panienska chwyciwszy szklanke wody z adwokackiego stołu, kropiła nią twarz dygnitarki. Nie znała jej i widziała po raz pierwszy, lecz wstręt do żandarma jedynie jej krokami kierował.

Zamięszanie wokoło stołu sędziowskiego nie mniejszem było niż w całej sali u wzburzonej publiczności.

Blady ze wstydu prezes, daremnie usiłował opanować burzę; nikt go nie słuchał, lecz nie wydawał rozkazu opróżnienia sali. Pragnął przeciwnie, by wszyscy zostali i wysłuchali odczytania ostatniego arkusza, jaki w drżącej trzymał ręce. Szósta z oskarżonych, młodsza Dudorow, zasądzoną została, ze względu na wiek młody, na piętnaście lat katorgi, pomimo iż prokurator żądał i dla niej kary śmierci.

Wśród ogólnego chaosu, nikt nie usłyszał wyroku, a pewien młody człowiek, otworzywszy okno i powiewając zeń chustką na ulicę, zawołał:

— Wszystkich skazano na karę śmierci! — Zapewniał potem, że usłyszał sześć takich wyroków.

W odpowiedzi dał się słyszeć przeciągły ryk tłumów, a ten wzmocnił jeszcze zamęt w sali. Niektórzy z »dobrze myślących« wyobrażali sobie, że tłum wdziera się do gmachu, dla rozpoczęcia rzezi i zaczęli wołać o obronę swej skóry.

Oficer żandarmeryi, utrzymujący porządek poza budynkiem, wpadł do sali i precyzyjnie się do przewodniczącego. Poszeptali chwilę ze sobą i zaraz żandarm wybiegł drugimi drzwiami.

Wydany został rozkaz ściągnięcia wojska dla bezwarunkowego rozpędzenia publiczności. Sędziowie znikli, a policya wypróżniała salę.

Krwawe starcie zdawało się nieuniknionem; nie przyszło jednak do niego. Najskrajniejsze elementa, zorganizowani rewolucyoniści, nie chcieli orężnego spotkania, bo to mogło tylko osłabić powodzenie nagłego napadu, na seryo zamierzonego.

Manifestacya, uczyniona pod wpływem chwili przez ubocznych ludzi, przeszła sama i rychło. Tego było dość, nie należało posuwać się za daleko.

Szwadron kozaków, a za nim piechota ukazały się na krańcu ulicy i przed nimi rozeszły się tłumy, kończąc demonstracyę krzykami i kilkoma kamieniami, rzuconymi w wojsko.



ROZDZIAŁ III.

Walka z przeszkodami.

W piątek, dwa dni po ogłoszeniu wyroku, pojawiła się wiadomość w gazetach, że generał-gubernator zamienił dla starszej Dudorow karę śmierci na dziewiętnaście lat katorgi, a zniżył karę młodszej na lat sześć. Ulgi były znaczne, więc wzbudziły sangwinistyczne nadzieje w szerokich kołach publiczności, która po pierwszym wyroku, chętnie odwracała się od nieprzyjemnych wrażeń. W ślad zatem rozbiegły się po mieście pogłoski, że i innych skazańców oczekują podobne łaski, a zapewniano, iż generał-gubernator czyni o to starania w Petersburgu. Powtarzano sobie autentyczne jego słowa, jakie jedni nowiniarze słyszeć mieli osobiście, a drudzy z ust wiarogodnych.

Ani Andrzej, ani jego towarzysze nie mogli podzielać tych złudzeń. Dzięki Ksieni, kuzynce jękały, udało im się zawiązać stałe stosunki z nieprzyjacielskim obozem i dużo stamtąd zasłyszeć.

Wiadomem im było, że gubernator nic jeszcze nie postanowił i że przypisywane mu słowa były produktem fantazyi, jeżeli nie rozmyślnego kłamstwa. Nie mogło być mowy o ułaskawieniu Borysa i Wasyla, ale mógł zostać złagodzony wyrok wydany na Zinę i na Boczarowa; nic jednak stanowczego nie należało twier-

dzie. Wszystko zależało od chwilowego usposobienia władz w Petersburgu, a w tej niewiadomości przygnębiająco trudno szły spiskowe roboty. Najdrobniejsza nieostrożność mogła pociągnąć za sobą fatalne następstwa, a odkrycie lub nawet podejrzenie spisku, wywołałoby ze strony policji odwet na czterech uwięzionych przyjaciółach. W takich okolicznościach, pożytecznym i koniecznym było skupienie przewodnictwa w jednej osobie, żeby częste zebrania oraz narady, nie powiększały niebezpieczeństwa. Ale też temu jednemu wybranemu nie łatwo przychodziło działać śmiało i energicznie, wobec olbrzymiej ciężącej na nim odpowiedzialności.

Siedm osób tylko wtajemniczono dotąd w zamiary uchwalonego przedsięwzięcia, chociaż o wiele i wiele więcej było ich potrzeba. Co najmniej pięćdziesięciu ludzi będzie niezbędnych z bombami dynamitowemi, żeby się odważyć napaść na uzbrojony konwój, a ochotników należało zwerbować na dzień lub dwa przed chwilą czynu. Siedmiu stanowiących jądro spisku, wybrano z pomiędzy rewolucjonistów w mieście, mających najlepsze stosunki z kółkami i każdy z nich miał przygotować odpowiednią ilość ludzi śmiałych, a pewnych, którym można było zaufać. Andrzej miał dać znak ostateczny do zebrania wszystkich. Plan ten łączył w sobie zalety szybkości i ostrożności, ale okazało się wkrótce, że trzeba poświęcić jedną lub drugą.

Sobota i niedziela nie przyniosły nic nowego.

W poniedziałek rozeszła się po mieście pogłoska, że kryminaliści pod dozorem wojska kopią na polu Puszkarowa dołki na słupy szubienic. Ale dla ilu? Dla jednego, dwóch czy też czterech? Zapanowało wzburzenie w mieście i ci sami, którzy stanowczo zapewniali o ułaskawieniach, roznosili teraz wieści wprost przeciwne.

Andrzej wiedział, że jedne i drugie wiadomości były całkiem dowolne, że generał-gubernator nic jesz-

cze nie postanowił; samo jednak odraczanie niepokoiło go. Wyroki śmierci spełniano na politycznych przestępcach często potajemnie, w kilka godzin po osądzeniu, a to dla uniknięcia wzburzeń u publiczności. Któż wie czy generał-gubernator i teraz nie postanowił tak postąpić? Wybór był strasznie trudny w czynieniu przygotowań do napadu, bo tak mogło być zgubnem opóźnienie, jak zbyt ni pośpiech.

Andrzej postanowił trzymać się pierwszego planu i czekać do końca. Przez Ksienię mógł mieć wiadomość we dwie godziny po wyjściu rozporządzenia z gubernatorskiej kancelaryi, a tym sposobem miałby jeszcze przed sobą swobodnych siedm do ośmiu godzin. Nie wystarczało to na zwołanie wszystkich, ale na trzydziestu można było liczyć i lepiej działać w mniejszem gronie, niż obudzić podejrzenia policyi. A zresztą należało przypuszczać, że gubernator zechce zachować przyzwyczajenie i nie pospieszy się nad miarę.

Ostatnie więc dnie nie ruszał się Andrzej wcale z mieszkania, każdej chwili oczekując wieści.

W nocy z poniedziałku na wtorek spał bardzo niespokojnie i lekko, łatwo więc usłyszał pukanie do okna, po którym zerwał się z pościeli.

Otworzył okno i spostrzegł w cieniu ściany kobietę niskiego wzrostu, a więc nie Ksienię, której mógł się spodziewać.

— Kto tam? — zapytał szeptem.

— Służąca Ksieni Dymitrówny — odpowiedziano po cichu — pani sama przyjść nie mogła i przezemnie list przysyła.

— Podajcie go — wezwał Andrzej, wyciągając rękę.

— Kiedy ja was nie znam — odrzekła służąca, cofając się — list oddać mogę tylko Aleksandrowi Ilniczowi i to do rąk własnych, takie dostałam polecenie idąc tu i wypełnić tak muszę.

Andrzej obudził Watażkę, który zbliżywszy się do okna, powitał znajomą, odebrał list i polecił najszybszy powrót do domu.

Małeńki kaganek świecił się na podłodze z przeźorności Andrzeja, który teraz z listem w ręku siadł na ziemi i pochylony do płomyka czytał w prędkości ołówkiem skreślone słowa:

»Gubernator zatwierdził dzisiaj wyrok na wszystkich czworo; wykonanie go naznaczył na środe, godzina dziesiąta rano, na polu Puszkarowa« K.

Dłuższą chwilę siedział tak Andrzej na podłodze, w myślach zatopiony. Wiadomość przygnębiła go silniej, niżby chciał sam sobie przyznać. Nie żywił nadziei co do Borysa i Wasyla. Ale Boczarow i Zina... Boczarow osobliwie!

Ludzie z sercem, goręcej boleją zawsze nad niewinnymi ofiarami rosyjskiego samowładztwa i w tem mają słusność. Ale i rewolucyoniści, oceniający po swojemu »winnych« i »niewinnych« towarzyszków, silniej także żalują tych drugich, jako istotnie nieszczęśliwszych. Nic nie zrobiwszy, nie mogą się godzić z wyrokami i umierają z goryczą, często z wyrzutem sobie samym czynionym, że byli bezczynni i zbyt ostrożni. Takim było położenie Boczarowa, którego Andrzej zdołał poznać i polubić podczas sądu, gdzie ten dzielny, dowcipny młodzieniec zachował się świetnie. Przez wszystkie dni trwania sądu, najbardziej go dręczyły myśli o Boczarowie. A teraz on skazany na tę straszną karę śmierci, i Zina z nim razem!...

— Przeczytajcie głośno — odezwał się Watażko.

Tego nie był Andrzej w stanie uczynić, więc podał kartkę towarzyszkowi. Zwierżęce postanowienie stawiło go w stan taki, w jakim gniew i oburzenie przechodzą w nieokiełznane szaleństwo. Ślepa, nie rozumująca chęć zemsty, odplata cierpieniem za cierpienie,

owładnęły nim. Blady, z zaciśniętymi zębami, miotał się po swoim pokoiku, jak zwierz w klatce.

Watażko, siedząc na łożku z listem w ręku, śledził oczami za nim krok po kroku.

— Przecież nie będziemy ich oszczędzać! — zawołał Andrzej, panując nad wzburzeniem. — Idźcie, zwołajcie naszych; ja pójdę do wspólnego lokalu. Gdy obejdziecie wszystkich — dodał — idźcie do jąkajły i powiedzcie, by miał bomby i wszystko inne gotowe do wieczoru. Wy zaś podjedźcie wózkami o szóstej i przewieźcie to, wszak wiecie gdzie?

— Tak jest, wiem — odrzekł Watażko.

— A więc do widzenia, trzeba już ruszać.

Była godzina czwarta rano, gdy Andrzej wyszedł na ulicę. Miał przed sobą jeszcze około trzydziestu godzin czasu i mógł przygotować co należy bez wielkiego pośpiechu, ale pragnął wcześniej zebrać swoich, zanim rozejdzie się po całym mieście wiadomość o zatwierdzeniu wyroku.

Szybko przebiegł odległość do kwatery konspiracyjnej i otworzył ją sobie zapasowym kluczem, który miał zawsze przy sobie. Wszyscy tam spali i nikt nie usłyszał wchodzącego, a Watażko z przywołanymi, nie mógł nadejść prędzej jak za godzinę. Rozłożył więc przed sobą Andrzej plan miasta i zaznaczył na nim drogę, którą musiano prowadzić skazanych. Znał dobrze miejscowość i nie trudno mu przyszło wybrać punkt odpowiedni do napadu. Miał on wypaść na krótkiej ulicy między dwoma zakrętami w pobliżu placu. Prawda, że dzięki niewielkiej odległości od więzień, mógł nastąpić natłok publiczności, ale wynagradzało to możliwość łatwiejszego odwrotu, tak przez szereg wązkich ulic, w których bomby powstrzymywałyby pogoń, jak potem przez miejski ogród, doprowadzający do samej rzeki. W ogrodzie możebne było zatarasowanie wrót i zaopa-

trzenie ich, gorąco przez jakąkolwiek zalecanemi torpedami jego własnej konstrukcyi; na dole zaś, już w przystani, oczekiwać miała zbiegów, dawno przygotowana łódka, dla wyprawienia w niej oswobodzonych więźniów i ewentualnie rannych. Inni spiskowcy mieli uchodzić dalszym końcem ogrodu na plac Puszkarski, na którym mogli spokojnie rozprószyć się w tłumach.

Towarzysze Andrzeja zaczęli się schodzić z różnych stron. Około szóstej godziny wszyscy siedmiu byli zebrani i gotowi do wojennej rozprawy. On im przewodniczył.

— Słyszeliście? — pytał wchodzącego.

— Słyszałem — odpowiadał mu każdy.

Andrzej przedłożył im w krótkich słowach swój plan, który bez sporów przyjęto. Oni mu ze swej strony oświadczyli, iż potrzebne są trzy zebrania, na których pouczyć należy nowo zwerbowanych. Andrzej obiecał na każde przybyć osobiście, choćby na krótko.

Zakończyli wszystko w pół godziny i każdy z siedmiu spiskowców poszedł w inną stronę.

Tymczasem, ogłoszenie przygotowane przez spiskowców, zostało ułożone i wydrukowane, a pouczało spokojnych mieszkańców co do dnia spotkania.

Mające nastąpić spełnienie wyroków nie bardzo poruszało tłumy; światlejsza tylko część publiki odczuwała litość i oburzenie.

Ludzie wyznaczeni do współdziałania w oswobodzeniu, nie należeli oczywiście do obojętnych, ale większość niewiele wiedziała poco ich wzywano; domyślali się, czytając ogłoszenia o wyrokach.

Gdy im opowiedziano jaki plan jest powzięty i wymieniono kierownika, opanował wszystkich zapał jednomyślny dla przedsięwzięcia. Andrzej pojawił się na każdym zebraniu, a zimną krwią i stanowczością, pomimo szafu jaki nim władał, okazał się dzielnym przywódcą.

Po powrocie do konspiratorskiej kwatery z ostatniego zebrania, doznał on bardzo miłej niespodzianki, bo zastał tam oczekującego go Dawida, który dowiedziawszy się w podróży po Europie, o tych wypadkach w Dubrowniku, natychmiast ruszył w drogę i właśnie na czas zdążył na miejsce.

— A teraz — rzekł Dawid po powitaniu — staję pod twoją komendę; mam nadzieję, że mnie zatrudnisz.

— Dam bracie roboty, ile zechcesz — odparł Andrzej wesoło.

Uspodobienie jego poprawiło się od rana. Zetknięcie się z nowymi towarzyszami, dodało mu śmiałości, a był tak zadowolony z nich, jak oni z niego.

— Otóż, sprawa się rozjaśnia — dodał. — Z naszymi bombkami i z pięćdziesiątką dzielnych mołojców, narobimy takiego żaru, że go w niebie odczują. O godzinie siódmej mamy ostatnią naradę; zobaczysz co to za dzielny naród.

W oznaczonej chwili zaczęli się schodzić jeden po drugim; niektórych znał Dawid już dawniej, innym został przedstawiony, jako nowy towarzysz.

Zebranie okazało się bardziej ożywionem i głośniejszem niż poranne. Organizacya zarysowana tylko wtenczas, była teraz skończoną, co każdy odczuwał i ożywiał się najlepszymi nadziejami, a o możliwych niebezpieczeństwach nikt nie myślał.

Wszystkie kwestye szybko rozstrzygnięto; sporów nie podniesiono, licząc się z czasem. Wnioski zaś dość licznie stawiane, przyjmował lub odrzucał sam Andrzej. Ogólny plan był nader prosty. Z rana o siódmej, miał Andrzej zająć wybrane miejsce z dziesięcioma towarzyszami. Czterdziestu będzie rozproszonych po różnych punktach, ponieważ niebezpiecznie byłoby gromadzić się w pustej ulicy. W miarę zbierania się publiczności, Andrzej zbierze sygnałami swoich, a jeśli się ścisk okaże,

to spiskowcy staną półplutonikami po dwóch stronach ulicy, żeby się nie zmieszali i nie zostali parci, gdy po pierwszym napadzie, zbite w masę tłumy, rzuca się do ucieczki.

Gdyby zaś ulica okazała się słabo zapełnioną, to spiskowcy pozostaną w rozsypce, a Andrzej ze swoją dziesiątką obejmie straż przednią, wstrzymać mającą pochód dla dania czasu rozsypanym podążyć na miejsce zamachu.

— Teraz — rzekł Andrzej wesoło, spojrzawszy na zegarek — czas już udać się za bronią.

Była godzina wpół do ósmej i Watażko powinien był już przewieźć bomby od jąkajły, a te miano powieźć w nocy siedmiu przewodnikom do przechowania; rozdane być miały nazajutrz. Zwyklejszą broń, jak rewolwery, rozdzielono odrazu.

Andrzej wspomniął sobie z czasów szkolnych, że kierownicy ważnych przedsięwzięć zwykli występować z oracyami; ale on w oratorstwo się nie bawił i wiedział, że tutaj śmiesznem by nawet było takich jak jego towarzyszków pobudzać do czynu.

— A zatem, do jutra — rzekł zamiast oracyi.

Już się mieli rozchodzić, gdy stojący w oknie Dawid, zwrócił uwagę Andrzeja na podejrzanego człowieka, kręcącego się przed domem.

— Ja już go dłuższy czas obserwuję — mówił Dawid. — Ciągłe patrzy w nasze okna, ale się sam ukrywa. Andrzej wyjrzał na ulicę.

— To mój dobry znajomy — uspokoił on towarzyszków. Był to pisarz z urzędu policyjnego, przynoszący Andrzejowi wszelkie, godne wzmianki, wiadomości.

— Ale odejdźcie od okien, bo go spłoszycie.

Andrzej zeszedł i przez krótką chwilę rozmawiał poufnie z policyjantem. Powrócił do izby zły i blady, a zirytowanym głosem rzekł:

— Policja już się dowiedziała! Kto to mógł zgłosić? To wprost hańba!

— Kto? Co takiego? To niemożliwe! Czyż sami wierzycie waszym słowom? — zawołało kilku.

— Wierzę w zupełności. Urzędnik policyjny opowiedział mi, że do policmajstra wpadł komisarz, a po chwili rozmowy, obydwaj pojechali do gubernatora. Byli bardzo wzburzeni i dyskutowali przechodząc przez kancelaryę, w której opowiadający wyraźnie usłyszał słowa: »bomby dynamitowe«. Przez sen ich nie widzieli, a o naszych sprawach nie wiedzą. Cóż na to powiecie?

Wszyscy oszołomieli, bo fakt był oczywisty, pewny, a jednak trudny do uwierzenia. Rewolucyoniści nie zawsze bywają ostrożni i ten lub ów z nowo zaciągniętych mógł się wygadać przed siostrą, krewnym lub przyjacielem; było to w granicach możliwości. Ale z drugiej strony zdrada i prosty donos, nie były wykluczone.

Takie przelotne myśli zaprzętały zebranych.

W siedmiu, bez Andrzeja i Dawida, usunęli się w kąć izby i spiesźnie między sobą szeptali.

— Nie, to niemożliwe! — stanowczo zawołał do Andrzeja. — Policja szuka powodów do rewizji i to sobie wymyśliła. Wszystko się dobrze skończy.

Głośny dzwonek i szturmowanie do drzwi, uwolniły Andrzeja od koniecznej odpowiedzi.

Każdy chwycił za broń, a on z rewolwerem, systemu Browninga, w prawej ręce, odsuwał lewą zasówkę przy drzwiach w przedpokoju, a po małej chwili, zamiast strzału, dał się słyszeć ostry głos jego.

— Cóż do dyabła! Czy nie możecie ciszej pukać?

— Spieszno mi bardzo — odrzekł, wchodząc zmieszany Watażko.

— A bomby przewiezione? — spytał Andrzej nieco spokojniej.

— Nie — odpowiedział Watażko — nie można było je zabrać.

— Co? Dotąd jeszcze nie? — wołał Andrzej z uniesieniem. — A cóż robiliście przez czas tak długi?

Strwożone oczy wszystkich, zwróciły się ku nim, czekając odpowiedzi.

— Straszne nieszczęście! — mówić zaczął Watażko. — Jąkało ranny, może już nie żyje w tej chwili. W mieszkaniu jego nastąpił dziś wybuch. Podjechawszy wózkiem pod dom, spostrzegliśmy w oknach jego piętra brak wszystkich szyb i futryn; wybuch musiał być straszny.

— A bomby? — przerwał Andrzej. — Co się dzieje z bombami? Czy weszliście do domu?

— Nie, nie weszliśmy. Tam był już komisarz, a policyjanci uwijali się naokoło.

— Więc cóż dalej? — pytał Andrzej wzruszony — czy dowiedzieliście się wreszcie czegośkolwiek?

— Powierzyłem wózek towarzyszowi, a sam obszedłem dom od strony rzeki i dostałem się do ogrodu; pracująca tam córka ogrodnika opowiedziała mi, że jąkało leży bez zmysłów, a w mieszkaniu jego plądruje policyja. Prosiłem ją o milczenie, a z za krzaków widziałem przez szparę w parkanie, co się działo w podwórzu: stały tam dwie więzienne karety; do jednej wniesiono jąkałkę, a drugą zapełniano rzeczami z mieszkania jak, skrzynki, flaszki i różne naczynia, a wreszcie z wielką ostrożnością ułożono w niej bomby. Dłużej już tam nie zostałem, bo nie było poco; spieszyłem do was.

Tak jest, nie było poco, bo już nie było nadziei! Wiedział to dobrze Andrzej i wszelką utracił.

Z pomocą bomb, byłby nazajutrz rzucił się na pochód, pomimo iż wróg został uprzedzony, ale bez nich koniec i wszystko stracone!

Za czternaście godzin wisieć będą: Zina, Borys, Boczarow i Wasyl, dla nikogo z nich niema ratunku.

A nadzieje ich utrzymywały! Wierzyli, że droga ku rusztowaniu będzie im drogą do swobody! Lepiej było nic nie poczynać i nie wzbudzać w nich takich nadziei, aniżeli tak srodze ich zawieść w ostatniej chwili.

Milczenia nikt z obecnych nie chciał przerywać; każdy rad był, że nie na nim spoczywa obowiązek wskazania wyjścia z położenia, które w rzeczywistości było bez wyjścia.

— Cóż nam czynić pozostaje? — zapytał Dawid, wyrażając myśli wszystkich.

Andrzej podniósł spuszczoną głowę i spostrzegł, że od niego oczekują odpowiedzi.

— Co czynić mamy? — powtórzył on głośno pytanie. — Czyż wam nie jest jasnym, że jedynem co teraz zdziałać możemy dla przyjaciół i towarzyszy naszych, jest najrychlejsze zawiadomienie ich o straconej nadziei oswobodzenia, żeby się do jutrzejszego dnia przygotować mogli.

Bolesny jęk protestu rozległ się po izbie. Oświadczenia takiego nie spodziewano się, ze strony zwłaszcza Andrzeja, którego zdania oczekiwali, bo się na własne nikt zdobyć nie mógł. Nagłej utraty wszelkiej nadziei w przekonaniach swego przewodnika, nie przypuszczano.

Podniosły się zarzuty coraz groźniejsze, a ogólnem było żądanie, by nie zaniechać napadu, chociaż bez bomb. Pięćdziesięciu gotowych dzielnie walczyć, mówiono, walczyć na śmierć lub życie, do ostatniej kropli krwi, coś przecież znaczy; wreszcie można jeszcze zwiększyć liczbę ochotników, którzy chętnie pójda z nami, broni jest podostatkiem; dlaczegoż więc porzucać rozpoczęte dzieło?

Najgorętszym zwolennikiem napadu był Watażko, więc twierdził zapalczywie, że odstąpienie od zamiaru równałoby się hańbie dla rewolucjonistów i przestępstwu w obec stowarzyszonych. Z niemałym zdziwieniem Andrzeja, Dawid skłaniał się do tych wywodów; ale to nie wpłynęło na jego postanowienie.

Co mogła zdziałać garść ludzi, choćby najodważniejszych, z rewolwerami i kindżałami, przeciw ściśniętemu szeregowi kul i bagnetów, teraz zwłaszcza, gdy władze są już przestrzeżone? Napad taki może wywołać tylko rzeź, nie to że bezpłodną, ale powodującą srogość i zniszczenie.

— A więc siedźcie sobie w domu! — krzyknął Watażko, tracąc wszelkie opamiętanie. — My pójdziemy sami, a nie będziemy patrzeć ze złożonymi rękami na powieszenie kobiety!

Andrzej w takiej chwili nie chciał powoływać się na partyjną dyscyplinę.

— Przyjacielu — rzekł, kładąc dłoń na ramieniu młodzieńca; — dlaczego chcesz rozgoryczyć ostatnie minuty drogich przyjaciół naszych? Nie możemy ani jednego z nich uratować, a wszystkich nas w ich oczach wymordują. Pocóż dodawać okrucieństwa do i tak ciężkiej próby?

Zwiesił głowę Watażko i zamilkł, a nikt się więcej nie odezwał.

Smutno rozeszło się zebranie; Andrzej pospieszył spłacić dług skazanym, to jest zawiadomić ich o tem co zaszło i uprzedzić, żeby już dłużej nie żywili złudnych nadziei.

Tacy ludzie jak oni, powinni śmiało spotykać się ze śmiercią, a nie być podchwyceni znienacka, jakby nie w poważnej sprawie.

Odniósł więc list do stróża więziennego, przez którego utrzymywali korespondencyę, a przekonać się

miał potem, że list tego samego wieczoru doszedł do rąk właściwych.

Zina odpisała w imieniu wszystkich, a to przedśmiertne słowo wcale nie było przygnębione, owszem jasne i śmiałe. Ale odczytanie go rozdzierało serce Andrzeja, i on, człowiek o żelaznych nerwach, płakał jak dziecko. Otrzymał je po dwóch dniach dopiero, a wówczas wszystko było skończone i ręka, która odważnie te słowa pisała, była już zimną i martwą; serce, które je dyktowało, zastygło na wieki.

ROZDZIAŁ IV.

Pouczające widowisko.

Andrzej zbudził się nagle, jakby go kto w bok uderzył. W pokoju zaledwie zaczynało świtać, a na sąsiedniej wieży kościelnej uderzył dźwięk monotony. Spojrzał na zegarek, leżący przy łóżku, obok kindżału i rewolweru; była godzina piąta. Zrozumiał. W wilią dnia tego, w samym zapale przygotowań, powiedział sobie, że wstać musi o piątej rano, by wszystkiemu nadążyć i zapanował nad zaspaniem. Wieczór już o tem nie myślał, a jednak obudził się, chociaż nie miał do czego spieszyć. Późno do domu powrócił, bezmiernie zmęczony usiłowaniami powstrzymania gorących głów od nierozsądnego na dziś napadu. Krótki sen go ożywił i nie tracił smutnego uczucia oraz świadomości tego, co dzień ze sobą przynosi.

W tym samym pokoju spał Watażko zdrowym snem młodzieńczym. Andrzej zamierzał go ubudzić zanim wyjdzie, lecz zaniechał tego.

Twarz śpiącego wyrażała taki spokój i zadowolenie, że żał było przywoływać go przed czasem do męczącej rzeczywistości.

Ubrał się Andrzej, przymusowo spożył kawałek chleba i wyszedł na miasto.

Było już po wschodzie słońca, ale nie pokazywało się ono z poza ciemnych chmur, zwiastujących słotę. Miasto jeszcze spało i okiennice były wszędzie pozamykane. Ciszę ulic przerywały wózki śmieciarzy i powracające z nocnej służby dorożki. Nie wielu przechodniów pospieszało szybkimi krokami, a Andrzej szedł wolno gdzie go oczy niosły, aż się ocknął i zatrzymał na zaledwie dobrze znajomym mu punkcie. Był to wązki zaułek, przecięty na końcu ulicą, poza którą widniał ogród miejski. Miejsce to wyznaczył był dla napadu. Andrzej sam nie wiedział jak i poco tu przyszedł. Był tu wczoraj pełen nadziei, z ostatnim rzutem oka.

Niewiele godzin upłynęło, ale wszystko co się przygotowywało, wydało mu się teraz dalekim, smutnym snem. A jednak wczoraj nie śnił; dzieło mogło się świetnie udać.

Usiadł na słupku i bezdennie się zadumał.

Z jakim uczuciem byłby teraz tutaj, gdyby nie ten nieszczęsny wybuch! Co mogło być przyczyną takiego nieszczęścia? Wypadek, czy nieostrożność? Niezawodnie to drugie. Biedny jękał tak przywykł do swoich dynamitów, że obchodził się z nimi jak z ciastem. Ale nie potępiał go Andrzej, nie odczuwał doń nic prócz żalu. Biedaczysko! Dobrze mu jeśli nie żyje! Cóż bowiem za piekielna jest męka, uznawanie siebie choć bezwiedną przyczyną okropnej katastrofy! Ale on może żyje jeszcze i leczą go, by za miesiąc powiesić. Ofiary i ofiary bez końca!

Zaledwie zdążą skończyć z jednymi, już gotowi są do drugiej zmiany! I tak bez końca, bez końca, z najlepszymi, z najpożyteczniejszymi, z najszlachetniejszymi...

W tej chwili spostrzegł parę takich właśnie, o jakich dumał. Jednym był oficer żandarmeryi, a drugim policyant; obydwoj nikczemni przedstawiciele swojego gniazda. W miarę jak się zbliżali, rozgrywała się w An-

drzeju bezmyślna, dzika żądza zemsty. Gorące przemówienia i nieokiełznane wnioski młodych rewolucjonistów, w rodzaju Watażki, wczoraj jeszcze tak energicznie przez niego zbijane, przeniknęły dziś umysł jego i powtarzał sobie w myśli te same zdania. Kolba rewolweru wysunęła się nieco, a rękojeść kindżału kusząco dłoń mu połaskotała. Bez wpływu woli, powziął zamiar podwójnego napadu. Na szczęście, rozsądek nie opuścił był Andrzeja. Zeskoczył ze słupka i szybko się oddalił, nie obracając głowy, żeby nie ujrzyć policyantów za blisko siebie.

Nie, on zanadto liczył na swoje nerwy. Cóż będzie z widokiem więzienia, jeżeli dwóch nikczemników wzburzyło go do tego stopnia? Napewno się zdradzi, więc lepiej tam nie iść. Ale czemu nie? Będzie miał sposobność zobaczyć więzienie i rozpoznać najdrobniejsze jego szczegóły, a to wtedy, gdy kolej na niego przyjdzie. Tak; ale dobrowolnie nie powinien on przyspieszać tego terminu, a losem wyznaczoną wolność, poświęcać walkom!

Postanowił iść dalej i dalej, aż do chwili spełnienia wyroku, a potem wrócić do towarzyszków.

Zwrócił się w sieć wązkich ulic i temiż na przełaj, do środka miasta. Ale ludność się poruszyła i tłumy pchały się w stronę przeciwną. Ulice zostały zapchane, bo setki i tysiące ludzi szło, biegło i jechało w jednym kierunku, spiesząc dla zajęcia miejsc najlepszych.

Czy tłumy te myślały o oczekującym ich widowisku? Z kim one współczuły: z zabójcami czy z ich ofiarami? Tego nikt nie poznawał po drewnianych wyrazach twarzy, kryjących myśli i uczucia, o ile je kto żywił.

Drewniane twarze, kaftany, żakiety, paltoty, różnokolorowe stroje kobiet, czapki, kapelusze i pióra, zbijały się coraz gęściej tak, że wreszcie zupełnie drogę

zagroziły i bez pracy łokci, niepodobna było przedrzeć się przez taką ścianę.

Nie próbował też tego Andrzej; twarz jego przyjęła także drewniany wyraz i dał się pociągnąć ludzkiej fali. Nie wiedział ile czasu to trwało, lecz czuł, że bardzo długo, a tak posuwali się z przerwami większego natłoku z bocznych ulic, aż nareszcie swobodniej się zrobiło i luźniej idąc, znalazł się Andrzej na placu, którego widok wstrząsnął nim do szpiku kości.

Wysoko, na tle nieba, zarysowały się oczom jego cztery czarne szubienice; klinowate, nieruchome, straszne! Instyktownie rozglądnał się w prawo i w lewo po otaczających go sąsiadach. Skrajne uczucia, tak smutek jak radość, szukają współczucia. Wzrok wszystkich przykuty był do tych klinowatych czarnych przedmiotów i na drewnianych twarzach pojawił się wyraz strachu. Ale tłum szedł naprzód i Andrzej z nim razem.

Cztery czarne szubienice stały na czarnym takimież poręczami otoczonym pomoście, do którego prowadziły czarne schody, a po nich mieli wstępować skazańcy. Andrzej ze swego miejsca mógł dojrzeć końce postronków i bloki, i kolce, a na pomoście spacerującą postać barczystą z rudą brodą, w kaftanie, w czerwonej koszuli i z czapką na bakier. Przed schodkami stała grupa wojskowych w mundurach różnej broni, oraz kilku jeźdźców. Wszystko to razem otaczała obręcz piechoty z błyszczącymi karabinami i najeżonymi bagnietami. Zimną i twardą wydawała się ta ściana ludzi i żelaza, przez jaką śmierć tylko przedostać się może. W pewnej odległości umieszczono drugą ścianę z konnicy, a przypatrując się tym jeźdźcom, nie umiał Andrzej rozróżnić, kto głupiej patrzy, ludzie czy konie.

Za tą silną strażą utrzymywano jeszcze wolną przestrzeń, bo do niej nie dopuszczała sieć, gorliwie uwijających się, policyantów.

Nowe potoki ludzi przybywały, plac zapełniając, a umieściwszy się jak kto mógł, oczekiwano już cierpliwie. Powszechne straszycło, śmierć, winna była tam nacznie być straszną, ale tłumom nieszkodliwa, niech rozpocznie swój dyabelski taniec, a będą patrzeć na nią drętwiejąc i ginąc ze strachu oraz ciekawości, tak jak mała patrzy w oczy żmii.

Ale Andrzej nie dla tego okrutnego widoku dotarł aż tutaj; on pragnął po raz ostatni spojrzeć na twarze swoich przyjaciół, a może i zamienić z nimi pożegnalną mimikę. Tutaj na placu, było to niemożliwem ponad głowy zdwojonych szeregów wojska.

Wydostał się więc z tłumu, przeszedł obok konnych żandarmów, strzegących tyłów publiczności, i zwrócił się w ulicę, którą miano przewozić skazańców. Tutaj, policyanci dwoma rzędami utrzymywali pustą część brukowaną, zostawiając publice przepełnione już trotuary. Wszedł Andrzej w przyutki i znalazł się na drugim końcu ulicy, gdzie nie było tyle ścisku. Rozglądnął się i wybrał sobie odpowiednie miejsce do dalszych, przy oczekiwaniu, obserwacyi.

Przysłuchiwał się rozmowom ludu. Staruszka gromiła młodą dziewczynkę, że zapomniała postawić barszcz do pieca, zaco ją musi spotkać kara, gdy się zejda chłopci na obiad. Długi, cienki młodzieniec spożywał owoce, wyrzucając pestki jak mógł najdalej w środek ulicy. Pulchna, rumiana kobietka z dzieckiem na rękę, wysunęła się poza dozwoloną linię tak, że policyant pospieszył zwrócić ją na miejsce, dowcipkując przytem, że nie łatwo jej będzie o drugiego dzieciaka, gdy tego konie stratuja. Za sobą widział Andrzej dwóch panów lat średnich, toczących między sobą spór, zapewne polityczny, lecz nie dosłyszał ich. Obok Andrzeja rozmawiali dwaj chłopci średnich lat wieku, zdaje się, iż także o polityce.

— Otóż, schwycili wtedy tych czworo, których teraz mają tu stracić, a piąty będący przewodnikiem, widząc że źle, zamienił się w rudego kota i umknął w komin przed policją. Trzeciego dnia dopiero, przy opieczętowaniu mieszkania, złapali rudego kota i zanieśli go do archireja z żądaniem, by czytał w księgach a kotowi postać ludzką przywrócił.

— Czyż to możebne? — zapytał tamtem z niedowierzaniem.

— Mówię wam, jak prawda. Opowiadają, że tak opisywano w gazetach.

Przypomniał sobie Andrzej, że gazeciarze nie mało plotek poczynili szczegółami o rudej kotce Ziny, znalezionej piszcząca z głodu w pustem, po zaaresztowaniu Ziny, mieszkaniu. Z opisów katastrofy ten szczegół najbardziej pozostał w pamięci ludu i dał powód do tak głupiej legendy.

Nagle przebiegł jakiś szmer po tłumie, który poruszył się, jak młody zapust lasu przed burzą.

— Jada, jada — wyszeptaly ust tysiące.

Rozmowy umilkły w niedopowiedzianych zdaniach, a zdala zbliżało się bicie w bęben.

Ordynansowy pędził w kierunku miejsca kary, a za nim pokłusował oddział kozaków, harcując na swych rączych konikach. Ale nie za nimi podążały oczy wszystkich; zwrócone one były w przeciwną stronę z wyrazami strachu i oczekiwania. Nareszcie ukazało się to, dla czego zebrały się te tysiące i pierwszy dreszcz przeszedł przez te tłumy, stanowiące w owej chwili jedno wspólne ciało.

Na bladym tle nieba ujrzał Andrzej ruchomą linię czarnych kaszkietów i las pik, a za temiż, niewyraźne kształty ludzkie, a wszystko wydawało się jak zjawisko, posuwające się naprzód spokojnie, cicho, zółwim krokiem.

Pochód się zbliżał i już rozpoznawać było można szczegóły. Andrzej widział wóz, konie, furmana, a nawet twarz tegoż. Dlaczegoż nie rozpoznawał czterech postaci?

Oto dlatego, że zasądzeni byli plecami od niego odwrócenii, siedząc na wysokiej ławce, przywiązani do deski czarnymi rzemiennymi pasami. Każde z nich miało na sobie coś siwego, bezkształtnego i niezgrabnego; byli jakby zawinięci w kołdry lub płachty.

Andrzej widział już zbliżka kolor ich włosów i rozpoznawał szatynem Wasyla, ciemnorudym Borysa i o jaśniejszych włosach Boczarowa. Ale trudniej mu było dopatrzeć się Ziny w osobie siedzącej na prawo od Borysa. Z rozwianymi w powietrzu lokami i odsto-niętej głowie, wyglądała jak chłopczyk.

»Ostrzygli ją, pomyślał Andrzej, dla ułatwienia wykonania wyroku«.

Nad głowami skazańców przeleciał ptak jakiś, a sine niebo odbijało się na nim bezbarwnie tak, że nie łatwo było określić, czy to był gołąb, wrona, czy mały sokół. Ptak zdawał się zaglądać w oczy czterech obróconych ku niemu osób, dalej spojrzeć na cztery słupy nad czarnym pomostem i zdawał się być przejęty strachem, bo zwrócił się do odwrotu i uleciał całym pędem silnych skrzydeł. O, jak Andrzej pozazdrościł temu stworzeniu, które mogło wznieść się ponad grzeszną, krwią zlewana ziemię! Ale gdyby posiadał skrzydła, nie byłby się teraz poruszył z miejsca. Stał trzęsąc się jak w febrze, z silnie bijącym sercem i nie śmiał mrugnąć okiem, żeby nie opuścić tego momentu, w którym będzie mógł zamienić spojrzenia z przyjaciółmi. A jednocześnie obawiał on się tej chwili, przeczuwając że związane z nią jest coś straszego. Byłby uciekał, gdyby nogi jego nie były do ziemi przygwożdżone, gdyby oczy nie były przykute do tych czterech postaci.

Borys poruszył się na ławce, silnemi plecami zluźnił krępujące go pasy i zwrócił się twarzą w lewo. Andrzej widział go z profilu, a po ruchu ust poznał, że on przemawia do tłumów. Kilkakrotnie już podczas pochodu próbował on przemawiać, lecz głos bębnow przytłumiał każde słowo. Na skręcie drogi ujrzał Andrzej twarze wszystkich czworga, gdyż siedzieli w jednym rzędzie, oparci o tę samą deskę.

Twarz Borysa wyrażała gniew bojownika, walczącego o wolność, pokonanego przemocą, skutego, ale nie upokorzonego przed ciemiężcami. Wasyl po cichu przemawiał do Boczarowa, a zdaje się, że mu dodawał otuchy, bo wywoływał uśmiech na jego usta. Rysy Wasyla straciły swą ostrość i wydał się Andrzejowi innym człowiekiem.

Ale na każdej arenie króluje zawsze kobieta, tak też i teraz było.

Tysiące zebranych oczu zdawało się patrzeć w jedno tylko oblicze, widziało jedyną postać, tę, która siedziała na prawo obok Borysa. Piękna, jak nią być mogła niewiasta; z głową okrążoną, jakby aureolą, jasnym rozwianym włosom, spoglądała żałośnie na cisnące się pod jej stopami tłumy, jednym uczuciem dla niej teraz tchnące. Ona szukała kogoś oczami. W pożegnalnym swoim liście, którego Andrzej nie był jeszcze otrzymał, pisała jak byliby radzi, żeby ktoś z przyjaciół okazał się im na drodze do rusztowania, żeby spojrzeć mogli na siebie. Spodziewała się, że Andrzej przyjdzie i narreszcie spostrzegła go w tłumie. Stał niedaleko na dole, z podniesioną w górę głową w jej stronę. Oczy ich spotkały się!

Ani wtedy, ani później, nie mógł Andrzej zrozumieć jak się to stało, ale w tem mgnieniu oka, wszystko się w nim przemieniło, tak jakby w tem dobrem, żalonym spojrzeniu były czary.

Trwoga i przestach, oburzenie, żal i mściwość, wszystko zostało zapomniane, wszystko utonęło w wielkiem uczuciu, jakie opanowało jego jestestwo. Było to więcej niż zapał, więcej niż gotowość do wszelkich ofiar. Była to wyraźna żądza męczeństwa, nagle w nim wzbudzona. On zawsze ganił podobne uczucia i nie poczytywał sobie do nich zdolnym; ale teraz one przepełniły mu duszę i serce, przejęły całą jego istotę.

Znaleźć się tam, obok nich, na tym czarnym wozie, być plecami przywiązanym do deski razem z tą niewiastą, skłaniającą tłumom swoją twarz promieniącą, to nie byłoby karą ani ofiarą, lecz spełnieniem gorącego pragnienia; spełnieniem marzenia o najwyższym szczęściu! Zapomniał o miejscu, tłumach i niebezpieczeństwie, ulegając nieprzewidywanym porywom, rzucił się naprzód z wyciągniętymi do niej ramionami. Jeżeli nie krzyknął głośno, gubiąc się bez ratunku, to dlatego, że mu głos odmówił w tej chwili posłuszeństwa. Albo być mogło, iż przygłuszony został bębnami, jak nie spostrzeżonym został w ścisku tłumów ruch jego ku skazańcom.

Oprzytomniawszy, spostrzegł Andrzej dwóch policyantów chwytających jakiegoś człowieka pod ramiona, na podobieństwo diakonów prowadzących archireja do cerkwi. Z niemałym zdziwieniem poznał Andrzej w arestowanym tego, który przed chwilą powtarzał bajkę o rudym kocie. Tenże, wzruszony widokiem zasądzonych, ukląkł na środku ulicy i pokłoniwszy się do ziemi, zaczął głośno się modlić, co nie podobało się czuwającym nad porządkiem policyantom i postanowili go arestować za *naruszenie poriadka*.

Pochód oddalił się i tłumy także, lecz Andrzej nie poszedł dalej. Po co? Czyż mu nie podali ostatniego pożegnania? Nic mu nie mogli powiedzieć więcej! Postał chwilę i oddalił się.

Przed nim leżało bezludne przedmieście, które prędko przeszedł bez zastanawiania się. Smutnie zadumany, dostał się za miasto.

Nizkie krzaczki przecinały drogę wązkim zagonem, a za nimi stał gaik dębowy, który Andrzej rozpoznał jako miejsce, w którym przed pół rokiem urządziły siostry Dudorow swój podwieczorek.

Bezelowa włóczęga, nabrała dlań znaczenia. Patrzył na to miejsce, jak człowiek, powracający po długich latach na rodzinną ziemię, chętnie zdąża na cmentarz, kędy spoczywają krewni i bliscy, aby wspomnieć nie jedną chwilę spędzoną z nimi.

Odnalazł znajomą polankę. Oto drzewo, pod którym śpiewała Wuliczówna. Tutaj gorzał stos. Tam siedzieli Boczarow i Dudorowe, a tu stał Wasyl z dzbankiem w ręku. Ile było nadziei, sił i energii!.. A cóż z tego pozostało?..

Wokoło było smutno i martwo. Siwe, stalowe chmury przyduszały jak pokrywa grobu, a drzewa lasu z obnażonymi gałązkami powiększały ponurość chwili. Lecz raptem błysnął promień słońca, wszystko rozjaśnił, odsłaniając młode pączki na gałązkach i ukazując jasne szmaragdy murawy. Cała przyroda uśmiechnęła się odpowiedzią na uśmiech z nieba.

Ale serce Andrzeja boleśnie uderzyło. Poczuł, nie jako domysł, lecz jako niezachwianą, niewzruszoną pewność, że teraz, w tej minucie, wszystko tam zakończyło się na strasznym czarnym pomoście.. Zakrył twarz rękami i rzucił się na kępkę. Ale po chwili zerwał się na równe nogi. Nie! Taka bolesć, to święty zadatek; trzeba ją piastować i ochraniać w głębi duszy, do końca życia, a nie rozpraszać jej w bezpłodnych uczuciach.

Szybko, prawie biegnąc, powrócił do miasta. Przybierało ono już swój codzienny wygląd i zatrzymane w niem życie na krótko, powracało w swoją kolej.

Tłumy nasyciły się w całej pełni, tak dreszczami ciekawego oczekiwania, jak wrażeniami chwili i tą zdrętwiałą głupotą, następującą po podobnych widowiskach. Te się skończyły, a z powracających do domu, u jednych zrodziło się uczucie, jakiego nie zapomną do śmierci, a u drugich wzrósł tylko apetyt do oczekujących ich obiadów.

Bez zjawiania się nadeszło ośmiu towarzyszków do konspiratorskiego lokalu. Nie było ani jednej niewiasty. Z niemałym zdziwieniem ujrzał Andrzej Jerzego, o którym przypuszczał, że bawi najspokojniej w Petersburgu.

Stało się zaś tak, że kółko petersburskie prędej niż Andrzej, dowiedziało się o wybuchu u jankajły, gdyż depesza nadesłana do policyi, przedostała się natychmiast do rewolucjonistów. Uznali oni, że Andrzej nie może dłużej pozostać w Dubrowniku, dokąd tajny oddział policyi wysłał szpiegów znających Andrzeja. Prześraszona tem Tania, nakłoniła Jerzego do natychmiastowego wyjazdu i wyprzedzenia udających się tam szpiegów rządowych.

Nie spieszył jednak Jerzy z oznajmieniem przyjacielowi powodu przybycia, a Andrzej też o to nie pytał; przywitali się serdecznie i zasiedli obok siebie, by słuchać przybysza.

Był nim wygolony mężczyzna średnich lat, dobrze znany kółku i nazywany tu »Diadia«. W charakterze urzędnika w czynnej służbie, miał prawo dostępu do samego pomostu pod szubienicami i skorzystał z tego, by się tam znaleźć i pokazać ginącym skazańcom choć jedną życzliwą twarz pomiędzy wszystkimi wrogami, jakie ich otaczały. Patrzył na wszystkie szczegóły spełnienia wyroku i opowiadał je przytłumionym głosem, spokojnie, prosto, bez żadnych zboczeń ani też komentarzy.

Wszyscy słuchali z natężeniem uwagi, nie poruszając się z miejsca, gdzie kto siadł lub stanął, wpatrzeni w opowiadającego.

Przy ostatnich szczegółach strasznej opowieści poczuł Andrzej, że Jerzym potrząsa nerwowy dreszcz; ścisnął go szybko za ramię, żeby go pobudzić i nie dać mu przeszkodzić słuchaczom. Opanował się na chwilę, lecz gdy »Diadia« zakończył nieszczęsną przemowę, już nie wytrzymał Jerzy i zapłakał histerycznie.

— Przestań babo! — krzyknął Andrzej, trzęsąc nim silnie. — Krwią, ale nie łzami odpowiada się na takie wrażenia!

Wielka a straszna myśl urodziła się w tej minucie w umyśle Andrzeja. Nie wysłowił jej. Potrzebował dużo sam o niej pomyśleć jeszcze. Są słowa, których rzucanie na wiatr jest występkiem, a cofanie ich potem okropną hańbą.

Uspokoił się Jerzy i przyłączyli się obaj do ogólnej rozmowy, obracającej się z ust wszystkich około konieczności rychłej zemsty.

Andrzej jeden nie odzywał się. »Nie byłoby to głupio, ale zabawa nie warta ofiar«, pomyślał sobie w duchu.

Przysłuchiwał się obojętnie gorącym mowom towarzyszków, bo te utraciły dlań wszelkie zainteresowanie. Wkrótce też wyszedł, pociągając za sobą Jerzego.

Długo się przechadzali, mając sobie wiele do opowiadania. Jerzy wyjawiał powód swego przybycia i nastawał na to, by Andrzej tej nocy jeszcze odjechał do Petersburga, by nie wpaść w sieci, jakie zastawi policya. Tak się stać miało, gdyż nic go już tu dłużej nie zatrzymywało.

Jerzy nie myślał już o przebytem nerwowem wstrząśnieniu i z obu przyjaciół on teraz był raźniejszym, a oczy jego rzucały groźne spojrzenia.

— Nie należy nam — rzekł — upadać na duchu. Nasze zwycięstwo zależy od naszej zdolności znoszenia jednej porażki za drugą.

— Być może — odparł zadumany Andrzej — lecz w takim razie należy nam kierować sobą tak, żeby nasza porażka była zwycięstwem.

— Co przez to chcesz powiedzieć? — zapytał Jerzy, spostrzegając zmieniony wyraz twarzy Andrzeja.

— Potem się o tem dowiesz — odpowiedział Andrzej dwuznacznie, nie chcąc na razie wypowiadać swej myśli.



ROZDZIAŁ V.

Pismo pożegnalne.

W powrocie swoim zastali Andrzej i Jerzy niecierpliwie oczekującego Watażkę. Był tam i Dawid, tak zgnębiony i przybity, jakim go jeszcze nigdy Andrzej nie widział.

— Jaka szkoda, żeście prędzej nie przyszli — odezwał się Watażko. — Był tutaj »Diadia« i koniecznie chciał was widzieć Andrzej.

— A co miał do mnie?

— List do was od Ziny.

— Gdzież on jest! Dawajcie go!

— Nie zostawił listu, nie mogąc go nikomu powierzyć; z wami widzieć się pragnął. Dozorca czekał na was w traktyerni, lecz i tam nie przyszliście na czas.

— A zatem — zawołał Andrzej — biegnę natychmiast do niego do domu.

— O wiele już za późno — odparł Watażko. — Zaledwie i tak zdążycie na pociąg do Petersburga.

— Niech czort pociąg zabiera! Jeżeli mi się dziś nie uda, to jutro zobaczę się z dozorcą.

Zdołali namówić Andrzeja, żeby nie szedł do niego do domu, lecz żeby wyznaczył spotkanie w traktyerni, dla większego bezpieczeństwa.

Nazajutrz rano udał się Watażko do dozorczy dla omówienia spotkania, lecz miał już służbę w więzieniu i mógł powrócić do domu dopiero w nocy. Watażko powrócił z niczem.

— Ależ on — rzekł Andrzej — nie nosi listu Ziny przy sobie; czy nie zostawił go u żony?

— Tak sądziłem — odpowiedział Watażko — powiedziała mi jednak, że nie wie gdzie on to chowa.

Było to wielce przykrem i dyktowało Andrzejowi potrzebę pozostania dłużej w miejscu, na co, ze względu na szpiegów, nie powinien był sobie pozwalać.

— A więc pójdę do niego do więzienia — oświadczył Andrzej, ku zdumieniu obecnych.

— Do więzienia! — zawołał Watażko — czyście zdrowe zmysły postradali?

— Dlaczego nie mam tak postąpić? Dzisiaj można odwiedzać politycznych przestępców, więc pójdę z Barbarą, która widuje Dudorowe.

— Poznają cię i zaaresztują — rzekł Jerzy.

— Cóż znowu? Komu przyjść może do myśli szukać mnie w rozmownicy więziennego gmachu? To się tylko wydaje strasznie. Zresztą — dodał Andrzej spokojnie — poszedłbym nawet w niebezpieczeństwo; muszę ten list przeczytać, zanim stąd wyjadę.

Głos straconych przyjaciół miał dla niego oprócz serdecznego znaczenia, także inne o wiele ważniejsze. Wierzył, że znajdzie tam odpowiedź na wstrząsające nim mniemania i trwogi, więc zdobyć musiał to pismo.

Dawid milczał, opanowany wzruszeniem; on nie mniej od Andrzeja pragnął odczytać list Ziny, ale razem z Jerzym odradzał Andrzejowi krok zanadto ryzykowny. Zaproponował, iż pozostanie w Dubrowniku jeszcze dni dwa lub trzy i przywiezie list do Petersburga.

Ale trudno im było przekonać Andrzeja. Żył on w ostatnich czasach w atmosferze śmierci i przeróżnych

okrucieństw, tak, że ostatecznie przytępił w sobie uczucie niebezpieczeństw.

— Niema o czem mówić! — zawołał zniecierpliwiony — pójdę i powrócę do pociągu; spotkamy się na dworcu.

I nie czekając na dalszą dyskusję wyszedł i szybkimi krokami pospieszył do Barbary.

Odwiedzanie więźniów politycznych możebnem było między drugą a czwartą po południu.

O w pół do drugiej szedł Andrzej z paczką wiktuałów i książek w stronę ponurego kwadratowego gmachu, wywołującego w nim tyle wspomnień. Barbara Wojnowa szła obok niego, bo znając dobrze procedurę więziennych odwiedzin, chętnie zgodziła się na żądanie Andrzeja. Ale na widok kaźni, z jej silnemi żelaznemi wrotami i otaczającemi ją zbrojnymi szyldwachami, strach ją przejął. A jeśli go zaaresztują?

— Posłuchajcie mnie Kozuchow — zawołała — oddajcie mi paczki i wróćcie do domu. Boję się żeby tej zabawki nie zakończyło nieszczęście!

Ocknął się Andrzej jakby ze snu i odrzekł:

— Co się ma stać, to się nie odstanie.

Rzeczywiście nie myślał o tem, co go spotkać tam może; jego gnębiła świadomość tego, że przed dwoma dniami czworo z jego przyjaciół wyszło z tych bram, w drogę do szubienicy.

Wpuścił ich szyldwach i natychmiast z łoskotem drzwi zatrzasnął, zaryglowując je. Andrzej znalazł się w lwiej paszczy i doznał uczucia człowieka zamkniętego. Rozglądał się i słuchał rozlegającego się szmeru rozmów w panującym mroku, bo tylko przez szpary drzwi na dwóch krańcach korytarza przedzierało się światło. Budynek więzienny był czteroramienny, z niedużem podwórzem, a korytarze służyły teraz za rozmownice dla odwiedzających.

Gdy się wzrok Andrzeja oswoił z ciemnością, rozróżnił grupy mężczyzn, kobiet i dzieci, skupionych koło żelaznych krat po obu stronach korytarza. Odwiedzający kryminalistów stanowili tu większość. Dopiero w prawym kącie od wejścia można było zauważyć garstkę mężczyzn i kobiet należących, sądząc po ich powierzchowności, do sfer intelligentnych.

Do nich zbliżyła się Barbara, a Andrzej za nią. Świadomość urzędzeń i znajome twarze przywróciły jej odwagę; zapomniała o niebezpieczeństwie tutaj, gdzie się czuła jak w domu. Witając się z każdym i rozmawiała o ich sprawach. Ujrawszy u jednej z pań duży bukiet kwiatów, rzekła:

— Podzielcie się ze mną, nie miałam wcale dziś czasu, by wyjść i kupić.

I bez ceremonii wzięła jej z rąk część kwiatów, a zwróciwszy się do sędziwego pana, dała mu kilka z nich, mówiąc uprzejmie:

— Dajcie to waszej córce; kwiaty najwięcej więźniów rozweselają.

Zaczepiła zaraz potem wiejską staruszkę, w prostym ubraniu, z perkalikową chustką na głowie.

— Ile jeszcze syn ma pieniędzy? — zapytała.

— Dwa ruble mateczko — odrzekła stara.

— To nie wystarczy na miesiąc — mówiła Barbara — w niedzielę przyniosę jeszcze dwa.

I wyjęła z kieszeni gruby notatnik, w którym sobie coś zapisała. W charakterze rewolucyjnej siostry miłosierdzia zarządzała ona funduszami składanymi dla więźniów i starała się o to, żeby tak biedny, jak bogaty, otrzymywał pieniądze, bieliznę, książki i wogóle wszystko, co tylko więźniom podać pozwolą.

— Co to za pani z dzieckiem? — zapytał Andrzej.

— Żona Palicyna, sędziego pokoju — odpowiedziała mu Barbara. — Wysyłają go w katorgę na Sy-

bir i ona mu będzie towarzyszyć; ciężko jej przychodzi zostawić synka u krewnych.

Opowiadała mu dalej i o innych gościach. Stary pan przyszedł pożegnać młodszą córkę, którą w ślad za dwoma starszemi, wysyłają do wschodniej Syberyi. Stara włościanka odwiedza syna, jednego z najlepszych propagandzistów z pośród robotników. Inni należeli do rozmaitych klas i stanów, a wszyscy związani wspólnem nieszczęściem.

Rozmowę ich przerwał dźwięk łańcuchów i zasów u drzwi wewnętrznych, które, otwarte, rzuciły na chwilę światło w korytarz, a przez nie przepuszczano więzienny furgon z partją więźniów odzyskujących wolność.

Wkrótce pojawił się w drzwiach więziennej kancelaryi dozorca i wywoływał nazwiska.

— Czy długo przyjdzie nam czekać? — spytał Andrzej.

— Nie długo — odrzekła Barbara. — Skończono już z fałszerzami monet, nastąpią złodzieje i rozbójnicy, a zaraz potem, kolej na nas.

W tych samych drzwiach ukazał się po chwili starszy człowiek w wytartym szynelu. Odkrył głowę i poznała go zaraz Barbara.

— Panie Michale Jewgrafowicz — zwróciła się do niego — przyprowadziłam dziś brata Dudorowych; przybył on z Moskwy i jutro odjechać musi; nie zdążył otrzymać pozwolenia, więc zechciejcie...

Urzędnik badawczo popatrzył na mniemanego brata, który się zbliżył z grzecznym ukłonem.

— Zapiszcie go w kancelaryi — rzekł stary do Wojnowej — ale to ostatni raz; znacie przepisy.

Pomiędzy czekającymi gośćmi zachnął się piewien stary jegomość, usłyszawszy nazwisko Dudorow, ze zdziwieniem oglądał tego, który się mienił bratem i zaczął urzędnika.

— Pozwólcie mości panie; ja także proszę o widzenie się z siostrami Dudorow; jestem ich stryj Tymoteusz.

— Nie mogę na to zezwolić — ostro odparł oficer. — Już bez was, dwie osób widzieć je dziś pragnie.

— Ale ja mam specjalne pozwolenie — nacierał stary pan — puszczacie obcych, a one moje bratanice.

— Dziś niemożliwe; przyjdźcie innym razem.

I głośno wydawszy jakiś rozkaz służbie, oficer poszedł do kancelaryi, a staruszek nie mógł się uspokoić za uchybienie, jakie go spotkało.

— To rzecz niesłychana — wołał — pójdę z zażaleniem do inspektora! — I zmierzał do kancelaryi.

Barbarę dreszcz przejął; przewidywała katastrofę. Przyskoczyła do staruszka, mówiąc:

— Co chcecie uczynić? To narzeczony Maszy i kochają się bez pamięci. Pobrać się mają zaraz po wyjaśnieniu sprawy. Uspokójcie się na miłość Boga, bo ich zgubicie!

— Tak... teraz rozumiem — odrzekł spokojniej — należało mnie uprzedzić.

Barbara poszła sama do kancelaryi, a stary jegoś podszedł powitać przyszłego krewniaka.

— Znam waszą tajemnicę, młodzieńcze — rzekł do Andrzeja — i z mojej strony życzę wam pomyślności i szczęścia... — nagle przerwał.

Andrzej podniósł na niego niedomyślny wzrok i wtenczas poznali się wzajemnie. Stryj Dudorow okazał się być owym towarzyszem podróży, z którym Andrzej wracał do Petersburga.

— Zdaje mi się — odezwał się stary — że nie po raz pierwszy się spotykamy.

Przypomniał sobie swoje radykalne przemowy w wagonie i to jako niezbyt przyjemne, paraliżowało jego usposobienie.

— Być może — odrzekł Andrzej — lecz nie mogę sobie przypomnieć, gdzieby to być mogło, ani też, w jakich okolicznościach.

Stary pan uspokoił się tem, przyjazny opanował go nastrój i wcale nie miał zamiaru przypominać owej rozmowy.

— Ja wcale nie chcę przeszkadzać widzeniu się waszemu z Maszą. Przywitajcie ją za mnie. My starzy, musimy teraz ustępować miejsca młodszym.

I jako gaduła, począł rozwodzić się o swoich synowicach, wychwalając obie, a zwłaszcza Maszę i ubolewając nad ich konspiracyjami.

— To epidemia, mości panie, czysta epidemia! — mówił stryj Tymoteusz.

Tymczasem powróciła Barbara z dobrymi wieściami, bo jej się wszystko powiodło. Stryjowi dadzą młodszą krewną do rozmowy, a Barbara i Andrzej zobaczą się z Maszą.

Dudorow był pierwszym wezwany i powrócił po kwadransie zadowolony z siebie. Przechodząc koło Andrzeja, szepnął mu tajemniczo:

— Kazałem was zapowiedzieć mej starszej synowicy; miło jej będzie być uprzedzoną.

Nadciągnął nowy szereg gości do politycznych przestępców, ojcowie, matki, żony i dzieci. Z paczkami i kwiatami w rękach postępowali jedno za drugim, ożywieni nadzieją odwiedzin; wracali z pustymi rękami i przytłumionym wzrokiem. Widocznie przepaść, w jaką się na chwilę pograżyli, straszne wywarła wrażenie; niektórzy łez, inni szlochania powstrzymać nie mogli. Jak cienie przesuwali się ku wyjściu. Obraz ten przygniatał Andrzeja, a nerwy jego, zazwyczaj silne, ciągłych w tych dniach doznawały wstrząśnień. Czytał na tych twarzach historię niewypowiedzianych światu cierpień i łez, a zdawało mu się, że przez tych dwie godzin pobytu w wię-

zieniu widział taką bezdeń goryczy, jakiej dotąd nie dotknął się był jeszcze w życiu.

Nareszcie wezwano ich do Maryi Dudorow.

Szybko przeszli przez jakieś ciemne korytarze, spotykając się z powracającymi cieniami ludzi, których twarze rozpoznawać nie mogli. Wprowadzono ich do wysokiej, jasnej izby w kształcie korytarza, w końcu której stały jakby dwie wielkie szafy z żelaznymi kratami. Były to przedziały, których kraty oddalone od siebie o trzy arszyny, dawały przestrzeń, potrzebną dla przechodzącej wciąż warty. W samej izbie siedziało dwóch sennych stróżów, mających czuwać nad gośćmi.

Jeden z nich oświadczył wchodzącym, że co tylko przyniesiono dla więźniów, wszystko to winno być doręczone dozorczy.

Andrzej wziął paczki z rąk Barbary i zbliżył się do dyżurnego dozorczy, którym był dobry jego znajomy i oddał mu to, co przynieśli.

— To dla sióstr Dudorow — zawołał donośnym głosem, a szeptem dodał: — List jest mi dziś nieodzownie potrzebny; gdzie go odnajdę?

Dyżurny, jakby nic nie słyszał, powoli rozwijał paczki i przeglądał ich zawartość.

— W tylnej izbie mojej pod starą skrzynią — odpowiedział Andrzejowi, nie podnosząc oczu od pieczonej kury, którą ćwiartował nożem, dla zbadania czy w niej czego nie ukryto.

Barbara rozmawiała już przez kratę z Maszą, która ujrawszy zbliżającego się Andrzeja, zawołała wesoło:

— Więc to jest mój narzeczony? W żaden sposób nie mogłam się tego domyśleć ze słów Kati.

— Jakżesz się miewacie z siostrą? — zapytał.

Odpowiedziała mu, że obie są zdrowe i że wkrótce zostaną wysłane na Sybir, oraz nazwała miejscowość, w której będą osiedlone.

Miał tam Andrzej znajomych, więc wymieniwszy nazwika, prosił o pozdrowienie ich.

Rozmawiali półgłosem, choć nie potrzebowali się niczego obawiać, gdyż dozorca był znajomy.

Panienka wyrażała radość, że widzi Andrzeja zdrowym i wolnym, oraz życzenie, by tak zawsze było, by mógł dalej pracować dla sprawy.

— Będę się o to starał — odrzekł Andrzej z wdzięcznością.

Sąsiad Maszy dosłyszał urywki tej rozmowy i podszepnął jej słów kilka.

— Mój sąsiad Palicyn — odezwała się ona do Andrzeja — pragnie się z wami poznać.

Stojący za kratą, znany rewolucjonista, były sędzia pokoju, Palicyn, był człowiekiem lat czterdziestu, średniego wzrostu, o wyrazistych rysach twarzy. Żona z synkiem stali przed jego kratą.

Andrzej rad był go poznać i wyraził mu żal, że się nie mogą spotkać z tej strony kraty.

— To może jeszcze nastąpi — wesoło więzień odpowiedział. Wysokie są ściany kaźni, a jednak jastrząb wyżej nad nie wlatuje. Oto mój synek — dodał, wskazując na chłopczyka rumieniącego się — wkrótce mnie zastąpi.

Rozmowę tę przerwał niespodziewany i głośny okrzyk: Andrzej, Andrzej!

Rozbudzili się drzemiący stróże i wszyscy zwrócili się w stronę, z której rozległ się okrzyk.

Andrzej rozglądał się z zadziwieniem i ciekawością; Basia z nieukrytą trwogą.

Jeden z więźniów po stronie przeciwnej szamotał się za kratą, wymachując rękami. Andrzej zbliżył się do niego.

— Mateusz! — zawołał zdziwiony. — Czy to możliwe? Ty tutaj?

Andrzej poznał w nim dawnego swego przyjaciela i kolegę z uniwersytetu, którego najmniej spodziewał się tu spotkać.

Wmieszał się dozorca.

— Proszę na swoje miejsce — rzekł do Andrzeja — nie wolno rozmawiać bez zezwolenia.

— Bardzo dobrze — odparł on grzecznie, ale nie spieszył się z odejściem.

— Trzeci rok — wołał młodzieniec z za kraty — suchoty i lekarz twierdzi, że posiadam już tylko ósmą część płuc..

Silny napad kaszlu nie dał mu dłużej mówić i zaraz potem rozległ się sygnał zakończenia odwiedzin. Wychodzono rzędem, a Andrzej z Barbarą zamykali pochód.

Ale pod drzwiami gmachu zaszło zamieszanie. Dwóch żandarmów krzątało się pilnie i jeden otwierał wrota, drugi rozpydzał ciekawych.

Obecność dozorców więziennych była obojętną dla Andrzeja, ale inaczej się rzecz miała z żandarmami; tych wzroku należało mu unikać. On jednak nic nie przeczuwał, a ciekawość nie dała mu myśleć o ostrożności.

Przecisnął się aż do samych wrot i czekał nie nadaremnie, bo po krótkiej chwili wjechał powóz więzienny, a w nim przemęczona, blada postać jękały. Przetrzymano go dni trzy w szpitalu i uznano za dość już silnego do kaźni.

Przerażony tym widokiem, nie zauważył Andrzej, że sam zwrócił na siebie uwagę rudego żandarma, postępującego za powozem.

Żandarm tak się nim zainteresował, że wpadł szybko do gmachu i poszedł do naczelnika.

Po krótkiej chwili powrócił z drugim, starszym rangą, ale ślad Andrzeja zniknął.

Nie czekając na Barbarę, wymknął się z gmachu sądowego i popędził w kierunku mieszkania dozorczy, gdzie ukrytem było drogocenne pismo.

Nikt nie spostrzegł zniknięcia Andrzeja, ani nawet strzegący wrot głównych, bo zanadto go zajął wjazd powozu z więźniami; mógł więc, będąc badanym, zapewnić, że w ostatnich pięciu minutach nikt z gmachu sądowego nie wyszedł.



ROZDZIAŁ VI.

Ważne postanowienie.

Mało wdrożony w rewolucyjne praktyki, przepędził Jerzy szereg godzin w męczącym oczekiwaniu. Strach o Andrzeja nie dawał mu spokoju, i co chwilę spoglądał na Watażkę, w nadziei znalezienia u niego otuchy; młodzieniec jednak wzmacniał tylko jego wzburzenie.

— Nie należało go opuszczać — mówił Jerzy z uczuciem spóźnionego żalu.

— Być może, iż wkrótce nadejdzie — spokojnie odpowiedział Watażko. — Andrzej przebywał już w gorszych przeprawach.

Młodzieniec posiadał już cokolwiek doświadczenia i zwykł był zachowywać się chłodno w niebezpieczeństwie.

— Przypuszczam, że tak — odrzekł Jerzy — ale nic łatwiejszego, jak upaść na głupstwie.

Godził się z tem Watażko i zaczął opowiadać o rażących przykładach, jakie już przeżył i o jakich wiedział od towarzyszy. Nie okazywał się być miłym do rozmowy w tych okolicznościach.

Jerzy czuł się bardzo przygnębionym; nie mógł sobie darować, iż nie postawił na swoim i wymawiał sobie zbytek powolności. Przesadzał mniemanie o swoim

wpływie na Andrzeja i wierzył teraz w to, że objawiwszy więcej energii, byłby spowodował pozostawienie Dawidowi odebranie listu, a odwiódł Andrzeja od rozpaczliwego kroku.

Niemalą więc była jego radość, gdy pojawił się przyjaciel, punktualnie co do minuty w oznaczonym terminie.

Pociąg do Petersburga odchodził o wpół do dziesiątej; należało się spieszyć.

— Chodźmy! — zawołał Andrzej. -- Rzeczy niewątpliwie już zebrane?

Tak jednak nie było. Jerzy, zadumany w niepokoju o tem, co się stać może i czego można było uniknąć, zapomniał o wszystkim innem.

Na szczęście nie było z tem wiele trudu. Pakunek nie mógł być duży, bo nie chcieli uchodzić za podróżników; prędko się więc załatwili i wyruszyli ku dworcowi.

Ze względu na Andrzeja, musieli przedsiębrać wszelkie środki ostrożności, więc Watażko zabrał rzeczy i pojechał dorożką. Miał kupić bilety, zająć miejsca w wagonie i dopiero na parę minut przed odejściem pociągu spotkać się z Andrzejem i Jerzym koło dworca. Niebezpiecznym być mogło tłoczenie się między publicznością w oczekiwaniu sygnałów.

Obaj przyjaciele pojechali osobno i wysiedli z dorożki na rogu blisko dworca. Tam spotkał ich Watażko, wcześniej niż się spodziewali. Nie miał kupionych biletów, bo przekonał się, iż Andrzeja cofnąć trzeba. Śledzenie za nim już się rozpoczęło. Poznał widocznie Andrzeja rudy żandarm i urządzono nań zasadzkę, zapełniwszy dworzec policją. Dwóch młodych ludzi, po cywilnemu ubranych, stało w roli szpiegów przy wejściu i bacznie każdemu zaglądali w oczy; niewątpliwie znali oni Andrzeja, a na znak ich, aresztowanie nastąpiłoby natychmiast.

Watażko zostawił rzeczy w poczekalni i sam pośpieszył do przyjaciół, by im poradzić wyjazd z miasta inną drogą. Radził mianowicie, by końmi dojechali do następnej stacyi i tam dopiero wzięli bilety do Petersburga. Dawid wyjedzie im naprzeciw i uprzedzi na czas, na wypadek dalszego niebezpieczeństwa.

— Ale dlaczego niema biletu dla Jerzego? — zapytał Andrzej. — Jemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, więc po co ma tu zostawać?

Nie pomyślał o tem Watażko, ale czas do odjazdu miał jeszcze Jerzy.

Stanowczo się jednak temu sprzeciwił.

— Zostało postanowionem — rzekł — iż jedziemy we dwójkę i nie widzę powodu, dla któregobym ja także nie miał wsiąść w następnej stacyi.

Twardo teraz postanowił stać przy swoim, jakby w odpowiedzi poprzedniej powolności.

— Dobrze — odparł Andrzej — jedźmy razem.

Był przygnębiony i roztargniony, więc mało zwracał uwagi na to, co się w koło niego działo. Więzienie i list Ziny głęboko go wzruszyły i pogorszyły jeszcze ogólne rozdrażnienie, w jakim się znajdował.

Ruszyli we trójkę, a Watażko wyjaśniał skąd dostać koni i jak tę drogę urządzić.

— Jeślibyście zechcieli — mówił — pójść piechotą, byłby to najbezpieczniejszy sposób dostania się do stacyi, a cała odległość, wiorst dwadzieścia.

Myśl ta podobała się, zwłaszcza Jerzemu.

— Ale jakże będzie z naszymi rzeczami? — zapytał. — Nie wypada nam również iść w pańskich sukniach piechotą, a za długobyśmy chyba szukali chłopskiej odzieży.

— Postaram się o nią najkrótszą drogą — rzekł Watażko — a pobiegnę naprzdód do znajomych mi dobrze cieśli, braci Szigajew.

Tak też uczynił, a Andrzej z Jerzym poszli się schronić do jego kwatery.

Przed wieczorem powrócił Watażko, niosąc spory tłumoczek, z którego wyjął dwa chłopskie ubrania i dwie płócienne torby z narzędziami ciesielskimi. Oprócz tego bracia Szigajew zaopatrzyli Andrzeja i Jerzego własnymi paszportami. Wszystko się więc udało.

Andrzej polecił Watażce, by nazajutrz podziękował raz jeszcze i zapewnił o rychłym zwrocie paszportów.

— Pośpiech zbyteczny — odrzekł Watażko. — Możecie zatrzymać paszport starszego brata Filipa, jak długo chcecie, a rysopis jego zgadza się właśnie z waszym. On dla was nie cofnąłby się przed zajściami z policją; bardzo was polubił.

— A to jak? — zapytał Andrzej z uśmiechem — to wygląda romantycznie, polubić nieznanego.

— Ale on was zna i nawet rozmawiał raz z wami. Był jednym z pięćdziesięciu i przypomnijcie sobie młodego człowieka, twierdzącego, że mu rewolwer niepotrzebny, bo będzie miał swój topór za pasem, a z tym mu poręczniej. To był Filip Szigajew.

— Tak, teraz sobie przypominam, lecz nie pamiętałem jego nazwiska. Ale nie należy nam dłużej rozmawiać; idźmy spać, bo rano wstać trzeba.

Obawiał się, by rozmowa nie przeszła na temat ostatnich wypadków; potrzebował odpocząć fizycznie i moralnie.

— Do jutra — zawołał, i postanowił spać dobrze.

Żywił smutne przecucie, że dzień jutrzejszy wyjaśni dużo i zadecyduje, a to go cokolwiek uspokoiło i rozegnało tłoczące się myśli.

Spał twardo i zbudził się przed tamtymi, a razem z pierwszymi brzaskami dnia; przemówiło w nim silne przekonanie, że dziś przyjdzie mu spełnić ważne dzieło, po wczoraj nieudanem. Uprzytomnił sobie myśli wie-

czarne, wizytę w więzieniu i wszystko to, co przeżył w dniach ostatnich.

»Ileż to ofiar! Zginęła Zina i Borys, Wasyl i Boczkarow; a ile i ile innych zgładzono już. Jego też pochwyć i zamknąć. I komuż jakikolwiek pożytek z wszystkich tych ofiar?«

Ale nie dał długo przystępu tym myślom. Nie do tego ma go doprowadzić rewolucyjna praktyka. Ofiary nie są daremne. Życiem swoim poruszają dzikiego zwierza z legowiska, a pozostający mają dalej prowadzić ich dzieło.

Nie ubrany, bez obuwia, żeby jeszcze nie budzić Jerzego, żywo przechodził wzdłuż i wszerz po pokoju. W głowie tkwiła mu jedna myśl tylko: Walka z najemnymi służalcami despotyzmu robi swoje.

»A Tania?« Odezwał się głos wewnętrzny.

Zabiło mu serce, lecz nie odpowiedziało na męczące wezwanie; otrzymało cios, ale go wnet odbiło jak kauczukową piłkę. Co znaczyć ma ból osobisty wobec niezmiernych, nieustających cierpień Rosyi? Tania nietylko mu żoną, ale i przyjacielem, towarzyszem w potężnej walce. Ona pojmie jego postanowienie i męsko ból swój zniesie.

Nie dręczyły go sprawy osobiste. Zajmowała go i wzburzała główna strona sprawy: Czy należy rozpocząć tę walkę?

Wiedział Andrzej, że jakiegokolwiek byłoby zdanie jego, to postanowienie zależy od komitetu wykonawczego; ale wiedział także, że wniosek sam bywa często połową dzieła, a między nimi nieraz znów taka połowa jest równie ważną jak całość. Powaga zamyśłów i sprzężona z nimi odpowiedzialność, zmuszałyby do namysłu nawet lekkomyślnych, jak również i niesumiennej ludzi, a Andrzej nie był ani jednym, ani drugim.

W obecnem jego usposobieniu odpowiedź sama mu się nasuwała. Gorycz niepowodzenia, pragnienie zemsty, ciężkie próby przeżyte w ostatnich nieszczęsnych dniach, wszystko to budziło teraz w jego sercu nieco może opóźnione uczucia, a te gotowały go do wybuchu w każdej chwili. Ale nie poddawał się cierpieniom własnym; pragnął brać treść rzeczy, bez oglądania się na siebie.

Prawo moralności i sprawiedliwości nie wzbudzało w nim żadnych wątpliwości. Ale czy wystąpienie było już na czasie? Więc znów rozbierał to pytanie ze wszech stron, z wewnętrznym dreszczem człowieka, który wstępując na trzęsący się most, rzucony nad przepaścią, obmyśla wszelkie środki przebycia go pomyślnie.

I na każdą wątpliwość wyrabiał w sobie jedyną odpowiedź: Tak, nieodzownie tak! Próba będzie pożyteczną, a jest na czasie. Niech komitet postanawia, on wniosek postawić powinien.

Dlaczego jednak on jeden ze wszystkich rewolucjonistów ma brać na siebie ten czyn odwetu i ofiary z siebie?

Tego pytania nie mógł, jak geometrycznego zagadnienia, sam bezstronnie rozstrzygać.

To coś, kołatające w jego duszy, zerwało się teraz na zewnątrz, nie napotkało na opór i rozpłomieniło całe jego jestestwo. Ono odrazu zniosło wszelkie wahania, zagłuszyło miłość, przyjaźnię, uczucie żalu tak, jak wezbrany potok znosi ogrody, domy, wesołe gaje i wszystko, co spotka na swej drodze. Stał ostro na środku pokoju, a twarz i oczy pały wzburzeniem. Podniósł w górę oba ramiona tym samym ruchem, jakim witał i żegnał Zinę, idącą na rusztowanie.

Postanowienie było ostatecznie i nieodwołalnie powzięte; teraz można było mówić o niem.

Zbudził Jerzego i oświadczył mu, z jakimi zamiarami jedzie do Petersburga. Ten nie został zdziwiony,

lecz rozgoryczony, najwięcej ze względu na Tanię; ale nie rozbierał drażliwego przedmiotu.

Zawezwali Watażkę, by się zbierał do drogi, bo należało im wyjść z miasta koło godziny ósmej, wówczas gdy włościanie powracają z targu do domów.

W przysłanych przez cieśli torbach znaleźli chleb i sól, różne drobne instrumenta i dwa małe toporki, które obydwaj zasunęli sobie za paski. Uzupełniały one ich strój, a w danym wypadku mogły posłużyć do samoobrony. Obuwie jednak nie licowało z ich przebraniem; znalazły się więc w izbie wysokie buty dla Jerzego, a Andrzej musiał pozostać w swoich bucikach. Pożegnali Watażkę i śmiało wyszli z torbami na plecach.

Dochodząc do rogatki, spostrzegli dwóch strażników, co było rzeczą niezwykłą od czasu zniesienia opłat rogatkowych, więc baczność i uwagę wyteżyli. Przeszła baba, niosąca w koszyku dziecko, zupełnie niezaczepiona. Dwom mężczyznom przypatrywano się bliżej, spytano ich o wiek i puszczono. Z młodym robotnikiem przyszło prawie do bójki, ale im się wymknął i drwiąc, uciekł.

— Trzeba się nam przygotować — rzekł Jerzy z cicha, ale w bitnem usposobieniu.

— Wcale nie — odpowiedział Andrzej — do starcia nie przyjdzie, tylko mnie wszystko pozostaw.

Sam w sobie jednak żałował, że wziął Jerzego ze sobą, bo któż mógł wiedzieć, co się stanie.

Zbliżyli się do słupów, a jeden ze strażników, krępy, krótkonogi, z głową buldoga, zawołał:

— Kto jesteście i dokąd idziecie?

— Jesteśmy cieśle i wracamy do domu — odrzekł Andrzej.

— Nazwiska? Adresy? Gubernia? Jak długo bawiliście w mieście? — Sypał strażnik pytaniami.

Andrzej na wszystko odpowiedział bez zająknięcia. Wyuczyl się był paszportów na pamięć.

— Dlaczego nie jedziecie koleją? Wszyscy jeżdżą.

— Zapewne, wolno każdemu — mówił spokojnie Andrzej, pomyślawszy, że jest niebezpiecznie ich zrażać.

— A paszport masz?

— Mam; oto jest.

— Pokaż, co masz w tej torbie.

— Po co pokazywać? Tam niema nic waszego. Szkoda czasu tracić.

— Rób, co ci każą — ostro strażnik zawołał.

Andrzej ruszył ramionami z pół uśmiechem i otworzył torbę. Oglądając policyant jej zawartość i musiał uznać, że darmo czas traci.

— A ty? — odezwał się do Jerzego spokojniejszym już tonem.

— Ja, Siemień Szigajew; idę także do domu.

— Czy wy bracia? — zapytał strażnik.

— Stryjeczni — odrzekł Jerzy, uprzytomniwszy sobie, jak niepodobnym był na brata Andrzeja.

Tymczasem zebrało się sporo ludzi przy rogatce.

— Idźcie już sobie! — zawołał policyant.

Zabierali się odejść, gdy drugi strażnik, ze złą, ospowatą twarzą, zaczął szeptać coś do ucha starszemu koledze, pokazując buciki Andrzeja; ocknął się tenże i zawołał za Andrzejem.

— Stój, czekaj; ty musisz pójść do cyrkułu!

Zatrzymał się i Jerzy, pewny, że już są zgubieni.

— Za co do cyrkułu? — zapytał Andrzej. — Nie jestem włóczęgą ani pijakiem, a mam paszport w porządku.

— To już tam rzecz osądzą; nasz obowiązek tam was zaprowadzić.

— Ale dlaczego?

— To już nasza sprawa.

Położenie zaczęło brać zły obrót. Nie trudnooby przyszło sprzątnąć dwóch kpów takich, ale gdzie skryć się potem w dzień jasny.

Andrzej kłócił się ze strażnikami, myśląc jednocześnie o wywikłaniu się z tej pułapki.

— Siemieniu — zawołał, zwracając się do Jerzego — pobiegnij do naczelnika Archipowa i proś, by tutaj zaraz przyszedł; on bliźutko stąd mieszka.

Andrzej pragnął usunąć Jerzego od dalszego niebezpieczeństwa, lecz ten się na to nie zgodził.

— Nie — odrzekł — lepiej nie chodzić. Wiesz, że naczelnik jest nerwowy i rozdrażni go wołanie do tak bagatelnej sprawy.

Andrzej nie chciał nalegać.

— Więc prowadźcie nas co rychlej do cyrkułu — odezwał się do strażników.

— Zaczekać musimy na zmianę warty; nie wolno nam bez tego stąd się ruszać.

Usunął się Andrzej z Jerzym; siedli na uboczu i spokojnie zapalili fajki.

Zebrani przechodnie, nie zaspokoiwszy ciekawości, rozeszli się, a i policyjanci przestali się zajmować naszymi podróżnymi. Ale zmiana warty mogła każdej chwili nastąpić i czas mijał bezpożytecznie.

— Daj im dziesięciorubłówkę — szepnął Jerzy.

Andrzej myślał już o daniu łapówki, skorzystał więc z chwili zupełnej pustki na rogatce i rzekł strażnikowi:

— Ile chcesz, żeby nas puścić z Bogiem?

— A ile dasz? — Było niezmienną odpowiedzią.

— Oto masz — rzekł, podając kupkę miedziaków. Nie chciał większą sumą wzbudzać podejrzeń.

— To za mało — odparł policyjant — widzisz przecie, że nas jest dwóch tutaj.

— Patrzcie go! — zawołał Andrzej. — Mój zawód nie daje wcale szalonych zarobków. Bierz co jest, bo bym nawet i tego nie dał, żeby mi tracony czas nie był droższym.

Nie stało mu już jednak zimnej krwi do dalszych targów; podwyższył, wsunął w rękę strażnika łapówkę i znaleźli się na wolności.

W pierwszej wiosce najęli furmankę i przed południem dotarli do stacyi kolejowej. Zastali tam już Dawida, który im oświadczył, że wszystko jest w porządku i szpiegów niema.

Andrzej zażądał rozłączenia się towarzystwa, więc każdy osobno kupił sobie bilet i zajęli miejsca w oddzielnych wagonach, umówiwszy się, by w pociągu przez cały czas udawali całkiem sobie nieznajomych, a spotkali się dopiero po przybyciu w umówionem miejscu.

ROZDZIAŁ VII.

U siebie w domu.

W smutnem, przygnębionem usposobieniu siedziała Tania w swoim pokoju, po trzech dniach męczących moralnych tortur, gdy pojawił się u niej Dawid z wiadomością, że Andrzej jest w Petersburgu, zdrów i cały, oraz że przed upływem dwóch godzin będzie w domu. Przyszedł z polecenia Andrzeja, który z powodu swego przebrania, nie mógł prosto tu pospieszyć.

Ku wielkiemu zdziwieniu Dawida, nie objawiła Tania żadnej radości. Spoglądała na niego zdziwionym, pytającym wzrokiem, jakby on przynosił złe, trudne do wiary wieści.

— Kto wam to powiedział? — zapytała.

— Nikt mi nie mówił, bośmy razem przyjechali z Dubrownika. Zapewniam, że to był wasz Andrzej, rzeczywisty, żywy, a nie żadne widmo.

Teraz dopiero Tania jakby się ocknęła z odrętwienia, i nie powstrzymywała radości. Żywiła była przekonanie, że Andrzej zginął. Nie miała na to dowodów, ale przygotowywała się do swego nieszczęścia i nie chciała poddawać się złudnym nadziejom, żeby ostateczna wiadomość o jego aresztowaniu nie podcięła jej.

Nie oczekiwała Tania listów od niego z Dubrownika, lecz miała jego słowo, że będzie codzień wysyłał jakąś

gazetę, własnoręcznie adresowaną, jako dowód, że przebywa na wolności.

Andrzej sumiennie spełniał przyrzeczenie i codziennie o jedenastej otrzymywała Tania numer »Świstka«, reakcyjnej gazetki, wychodzącej w Dubrowniku. Ten »Świstek« sprawiał jej większą radość, niż wszystkie prenumeraty razem wzięte. Otrzymanie gazety stało się dla niej głównym dnia wypadkiem.

Przez ostatnich dni trzy nie doszedł ją żaden numer. Wybuch u jąkajął, przerywający wszystkie plany i nadzieje, skazanie i wyrok przyjaciół, oraz wszystko, co się z tem łączyło, tak dalece wstrząsło Andrzejem, że przerwał swoją niemą korespondencyę; ponadto codziennie i co godzinę wybierał się z powrotem do Petersburga, więc nie przywiązywał wagi do tak, jak sądził, małego znaczącego zaniedbania. Trudno przychodzi ludziom, będącym w ogniu, zdawać sobie sprawę z nieustającego, męczącego niepokoju, jakiego doświadczają przyjaciele oddaleni, pozostający we względnem bezpieczeństwie. Oprócz tego wiedział Andrzej, że Jerzy pisuje do Tani, więc jej donosi, że żyją obydwaj.

Jerzy pisywał istotnie, ale te listy wcale jej nie uspokajały, bo wysyłane były w pośpiechu, bez użycia szyfrowania i atramentu chemicznego. Długo się rozwodził o Andrzeju, o stadyach spraw i o nadziei rychłego powrotu, a opisywał wszystko z takimi okolicznościowymi objaśnieniami i tak bałamutnie, że ostatecznie dla niego treść była jasną jak dzień, ale nie dla Tani.

Andrzej zaś milczał. Cały dzień gorączkowo przerzucała gazety, żeby z nich dorozumieć się znaczenia listów Jerzego, lecz daremnie. »Świstek« nie nadszedł ani tego dnia, ani przez dwa dni następne. A miejscowe pisma zapełniano tymczasem sensacyjnymi wieściami z Dubrownika. Ulubionym bohaterem reporterów był Andrzej. Donosili o zaarrestowaniu go, raz na ulicy,

drugi raz w domu, to znów na dworcu kolejowym, dramatycznie opisując szczegóły aresztowania. Jedno pismo ogłosiło, z wiarogodnych źródeł, że aresztowany sam wymienił swe nazwisko; drugie, że jego tożsamość stwierdzono przygniatającymi dowodami; trzecie, że już pod ostrym nadzorem odesłany został do Petersburga.

Ilość tych aresztowań dowodziła tylko, z jaką zapalczywością interesowano się Andrzejem. A przecie, nie mógł on być aresztowanym w kilku miejscach jednocześnie. Z drugiej strony, czyż miało być możliwem, żeby on, będąc wolnym, nie dał jej znaku życia o sobie? Każda nowa depeza w gazecie wydawała się jej donioślejszą od poprzedniej i wiarogodną, pomimo, iż tamte okazały się być »kaczkami«. Czytanie tych wiadomości było dla Tani torturą, a jednak chciwie czytała, co tylko mogła dostać. Gazety stosami napełniały jej pokój.

Trzy dni spędzonych w ciągłej trwodze, odbiły się na niej, jak ciężka choroba. Zbladła i zeszczupiała, a oczy gorączkowo błyszczały i sen niepokoiły straszne widziadła.

— Wprost cudem wydobył się z tego piekła — zawołała, gdy jej Dawid opowiedział o ostatnich przejściach Andrzeja.

— Tak jest — odrzekł Dawid — oni go dobrze śledzili; ale teraz będzie świętym waszym obowiązkiem wstrzymywać go od udziału w podobnych sprawach, przez pół roku przynajmniej. On zawiele się dotąd narażał. W każdym razie, pod żadnym warunkiem nie dajcie mu się ruszyć z Petersburga.

— Postaram się — odrzekła z uśmiechem — obawiam się jednak, czy i tu będzie mu bezpiecznie.

— W każdym razie bezpieczniej, niż gdzieindziej — odpowiedział Dawid.

— Ale w rzeczy samej — zapytała zatrwożona — gdzieście ich zostawili? Przecie nie na dworcu?

Dawid wyjaśnił, że się rozstał z Andrzejem i z Jerzym, gdy wsiedli do jednokonki, żeby się dostać do konspiratorskiego lokalu.

— Tam pojechał — zawołała rozczarowana — pewną więc jestem, że ugrzęźnie na długo.

— Nie, nie. Jerzy tam zostanie i opowie towarzyszom wszystko. Andrzej zapewnił, że ani minuty po za konieczność nie zabawi.

— Tak obiecał? — badawczo zapytała Tania, rozjaśniając oblicze. — Jak to ładnie z waszej strony, żeście z tem do mnie przyszli.

A w sercu jej zdanie to brzmiało: »Jak miło z jego strony, że mi przysłał Dawida!«

Tenże wychodząc, poprosił ją, by coś powtórzyła Andrzejowi, lecz rychło potem nie myślała już o Dawidzie, a ukrywszy się za firankę, zapatrzyła się w okno, z którego widną była cała ulica.

Dojeżdżając do Petersburga, dużo Andrzej myślał o niepokoju Tani, ale się nie domyślał, przez co ona w tych ostatnich dniach przeszła. Gdy więc prosił Dawida, by poszedł ją uprzedzić, uczynił to dlatego, żeby zapobiedz możliwemu wydaleniu się jej z domu.

Lecz gdy tylko wszedł do dorożki, opanowała go gorączka oczekiwania, rosnąca w miarę zbliżania się do dobrze znajomej mu ulicy. Szybko przejechał śródmieście i już powozik sunął po równej powale długiego mostu. Jak wspaniale błyszczała rzeka w ten piękny dzień wiosenny! Czarny statek parowy unosił się na wodzie i wpłynął pod most, nachyliwszy czarny swój komin, dla wyprostowania go zaraz po drugiej stronie. Duża łódź płynęła za nim, unosząc przystojnego młodzieńca w czerwonej koszuli, popychającego zręcznie łódź żerdzią, oraz drugiego, śpiewającego przy rudle.

Dorożka głośno na bruk wjechała, zbliżając się do blizkiej już mety. Zdawało się, że każdy dom, każda

ławka i każde drzewo tego spokojnego zakątka, witają Andrzeja jak dobrego znajomego. Radosne wspomnienia szczęśliwych miesięcy tu spędzonych, wezbrały w jego duszy i rozproszyły ciemne obrazy i ciężkie wrażenia przebytego piekła, z którego się wyrwał teraz. Chciał wierzyć i wierzył w owej chwili, że powrót w te miejsca, powrót do Tani, oznacza wznowienie szczęścia we wspólnej, skromnej pracy, jaka im dała tyle radosnego spokoju.

Gdy ujrzał w oknie nieruchomą postać Tani, jej uśmiech i rozpromienione oczy; gdy pędził po schodach i porwał ją w swoje ramiona, wówczas wszystkie jego plany i pojęcia, car i konspiracye, wszystko znikło w szczęściu wzajemnej miłości.

— Drogi mój — szeptała Tania — myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę!

— I niesłusznie tak myślałaś — odrzekł z uśmiechem. — Zapowiedziałem ci przecie, że powrócę zdrów i cały, więc jestem z tobą!

I miała go już, swego bohatera, ulubionego, nieustraszonego, wyrwanego z niebezpieczeństw, w jakich był pogrążony dla wielkiego dzieła. Z trudem wierzyła, że on już przy niej, a nie śmiała zapytać, na jak długo.

On siedział w fotelu; ona na jego kolanach.

— Opowiedz mi, jak tu żyłaś i co porabiałaś bezemnie. Najdroższa moja, zeszczuplałaś i błądą jesteś. Czyś nie chora?

— Byłam nie całkiem zdrową; ale to drobnostka, o jakiej teraz szkoda mówić.

Opowiedziała pokrótce o swoich trwogach i o dyplomatycznych listach Jerzego, pozostawiających potrzebę tyłu wyjaśnień.

A ze słów jej Andrzej domyślał się, iż miała go w ostatnich dniach za straconego i pojął przez co przeszła.

— Daruj mi, droga moja. Teraz widzę dopiero, jakim jestem winowajcą — zawołał.

— To się każdemu przytrafić musi — przerwała. — Przecież nieraz wydalac się trzeba, ukrywać się i czasu mogłeś nie mieć na takie drobiazgi. Ja byłam nierozsądną w moich obawach i na przyszłość będę cierpliwszą...

Ale na samą myśl o możliwości dalszych bezsennych nocy, strasznych widziadeł i długiego oczekiwania, znikł jej stoicyzm.

— Nie, nie chcę, nie mogę! — zawołała, obejmując go za szyję. — My się już nie rozłączymy! Wszędzie mogę ci być pożyteczną. Przecież nie posądzasz mnie o tchórzostwo?

Odwróciła się i położywszy dłonie na jego ramionach, patrzyła mu prosto w oczy.

— Wcale cię niemam za tchórza — odrzekł Andrzej z uśmiechem, całując ją.

— Niebezpieczeństwa mnie nie straszą — mówiła dalej. — Nie myślałam o nich, gdyś był przy mnie. Ale ta niepewność... Nie potrafię opisać, com wycierpiała od twego odjazdu. Żyłam tylko oczekiwaniem twoich gazet i oczy za nimi wypatryłam. A otrzymawszy je, nie doznawałam uspokojenia, bom sobie myślała, że mogli cię w międzyczasie aresztować. A te dni bez żadnej wiadomości!... Ale to źle, że ci o tem wspominam. Wiem, że długo nie usiedzisz na miejscu. Daj mi więc słowo, że jakakolwiek sprawa cię czeka, choćby groźniejsza od dotychczasowych, to dasz mi dzielić ze sobą wszelkie niebezpieczeństwa. Czy zgoda?

Ostatnie słowa wypowiedziała zwykłym jej czującym tonem, w którym przebijała czułość, ale i wezwanie o wysłuchanie prośby.

Andrzej milczał, niespokojnie patrząc na jej zachwycającą twarzyczkę. Przypomniał sobie poprzedni poranek w mieszkaniu Watażki w Dubrowniku i ślub uczyniony dnia tego... On, człowiek skazany! Nie dla niego ludzkie radości i szczęście; miłość nie dla niego. W czynach,

jakie go czekają, nie może mieć towarzyszki, a końcem ich, tylko... mogiła.

Jako odpowiedź, mógł tylko wszystko przed nią wyznać; ale milczał. Zahartowany w twardej szkole konspiracyj, tutaj wahał się i zadrżał całym jestestwem, gdy mu przyszło ranić serce gorąco umiłowanej ofiary.

— Andrzej, gołąbku mój, co tobie? Dlaczego patrzysz tak dziwnie? Nie zgadzasz się? Żywisz obawy, że w ciągłej trwodze o ciebie, będę ci zawsze przeszkadzać? Ale mylisz się. Czyż jabym cię pokochała, gdybyś nie był takim, jakim jesteś?! Gdy mi opowiadano o niebezpieczeństwach, na jakie tam byłeś narażony, truchlałam tu bezustannie, lecz jednocześnie byłam szczęśliwą i dumną! »To mój Andrzej«, mówiłam sobie. Nie, ja ciebie nie będę powstrzymywać.

— Tego się też nie boję, najdroższa — odrzekł, całując jej rękę.

— Więc czegoż się niepokoisz? Może mnie już mniej kochasz i mniej chcesz być ze mną?

— Mniej ciebie kochać! Co mówisz! — zawołał.

Roześmiała się i rzekła:

— Powstrzymaj wrażenia, a wiedz z góry, że gdy się wybierać będziesz na nową wyprawę, to się wtenczas zemną nie rozłączysz. Tymczasem nie mówmy o tem, a rozpowiedz mi do najdrobniejszych szczegółów o wszystkim, co doznałeś w Dubrowniku; nie ukrywaj nic, bo ja wszystko wiedzieć pragnę.

Spostrzegła, że wzmianką o Dubrowniku rozbudziła w nim bolesne wspomnienia; wiedziała, że dotknęła ciężkich przeżyć, ale pragnęła okazać siłę swoich nerwów.

Andrzej pomyślał sobie, iż tym sposobem odroczy najcięższe wyznanie, że nie potrzebuje się z niem spieszyć, a odkładając tę chwilę, okupuje sobie choć na krótko spokój i szczęście.

Opowiadał więc, ale tak, by nerwów ukochanej nie narażać; opowiadał o swoich przygodach, lecz o podrzędnych, nie dotykając epizodów więziennych, które z gazet są znane.

Tania bacznie i pilnie słuchała, lecz nie mogła ją zadowolnić pobieżność opowiadania; przytuliła się do niego i patrząc w oczy, rzekła spokojnie:

— Andrzej, ty coś ukrywasz przedemną; coś ci jest przykrem a ważnem. Powiedz mi wszystko! Niech wezmę na siebie połowę twoich ciężarów; zawierz mi, a ulżysz sobie.

Utrzymanie tajemnicy przechodziło już jego siły; pomyślał chwilę i zawołał:

— Tania, ty odgadujesz! Ja już postanowiłem.

Z początku nie zrozumiała, lecz zaraz potem:

— Czyż nie uczyniłeś tego dotąd? — zapytała.

Sądziła, że słowa Andrzeja odnoszą się do spraw walki z despotyzmem na politycznym gruncie, walki, poruszającej wszystkie rewolucyjne koła.

W kilku słowach, lecz jasno i wyraźnie wyjaśnił jej wszystko, nic domysłem nie zostawiając.

Cios rozranił jej serce; zbladła, usta konwulsyjnie zacisnęła i ciężko westchnęła.

— O Boże! — zawołała przytłumionym głosem i ręce na kolana zwiesiła.

Gorejącemi oczyma rozglądała się na wszystkie strony, nic zgoła nie widząc. »Tak, to moja nagroda za tyle męczące oczekiwania«, zdawała się mówić, milcząc.

Andrzej zbliżył się do niej i wziął ją za rękę, ale ona nic nie czuła i nie patrzyła na niego.

— Tania — odezwał się — czy możesz i chcesz mnie wysłuchać? Pragnę cię objaśnić i przekonać, jak i dlaczego powziąłem konieczne postanowienie.

Głos ten ją zbudził; szybko zwróciła się ku niemu i gorąco dłoń jego ścisnęła.

— Tak, tak; mów. Ja już spokojna i słucham cię; chcę poznać powody, jakie tobą kierują.

Obudził się w niej błysk nadziei, że postanowienie może jeszcze nie jest stanowcze, skoro można o niem dyskutować.

Andrzej opowiadał i wyłuszczał, dlaczego doszedł do swego postanowienia i nie szczędził wzruszających szczegółów o więzieniu i sądach, chciał bowiem wzbudzić w niej to oburzenie, jakiego sam doznawał, patrząc na te okrucieństwa.

Odnosił jednak zupełne fiasko, bo Tania pozostawała chłodną i obojętną. To, co przed chwilą serce jej szarpało, odbijało się teraz odeń, jak strzała od pancerza. Zajęła stanowisko nie słuchacza, lecz bojownika, broniącego tego, co mu najdroższe w świecie. On zaś walczył za wierność zasadom i swemu ideałowi, który stawiał po nad życie i po nad szczęście.

— Przekonałem się — mówił Andrzej, jakby odpowiadając na nieme wrażenia Tani — że te okrucieństwa są tylko słabym obrazem tego, co się u nas dzieje, nie z dziesiątkami, lecz z tysiącami i milionami ludzi i że nie będzie temu końca, dopóki my nie podetniemy, nie zhańbimy, nie zgładzimy tej siły, która je zadaje.

Mówił dużo i gorąco w tym duchu, zagrzany głębokim przekonaniem, a żywił nadzieję udzielenia go jej i rozpalenia w jej sercu płomienia, jaki w nim gorzał. Słaby wpływ jednak tylko wywierał.

— Dobrze — odezwała się tonem uporczywego niedowierzania — ale dlaczego ty właśnie masz spełniać to dzieło?

— A dlaczegoż nie ja? droga Taniu. Ja sam wzięłem to postanowienie, sam powinienem go spełnić. Niechby kto przyszedł z podobnym wnioskiem, chętnie mu ustąpię. Nie należę bowiem do tych ambitnych, którzy przedkładają śmierć głośną nad skromny upadek,

będący naszym udziałem. Ale nie codzień pojawiają się takie wnioski, a mnie w każdym razie wybiorą do spełnienia czynu.

Obraz doznanych radości wśród tych samych ścian mieszkanka przed nieszczęsnym wyjazdem do Dubrownika uprzytomnił się jej, jak wspomnienie rajy. Nie mogła dobrowolnie pozbywać się szczęścia, mając je tak blisko i cała jej młodość występowała wzburzona przeciw takiej ofercie. Powinna go odwieść od powziętego postanowienia, by ocalić jego i siebie.

Musiała użyć sił nad sobą, żeby uporządkować swoje myśli, zanim rozpocznie ponowną próbę, bo w głowie czuła zupełne zamieszanie. Ale liczyła na jego dobroć i na to, że on nie wykorzysta jej zmiękania, a postara się spoglądać na sprawę z jej punktu widzenia. Silnie wierzyła, że słuszność jest po jej stronie.

Wzięła go za rękę i błagalnie spojrzała mu w oczy.

— Andrzej — mówiła. — Pomyśl spokojnie: Czy nie dosyć już śmierci i krwi rozlewu? Czego się więcej dobijemy prócz nowych nieszczęść? Wieszania po wieszaniach, a końca temu nie będzie! Dużo w ostatnich czasach o tem myślałam i serce mi się rozdzierało na myśl o bezlitośnem tępieniu wszystkiego, co u nas dobrego i szlachetnego. Czyż nie lepszym byłby zwrot ku innym środkom, ku propagandzie między ludem? Ja się słabo wyrażam, ale ty mnie rozumiesz...

— Tak, rozumiem — odpowiedział Andrzej i wraz zapytał: — Czy nie możesz mi podać dnia, w którym najwięcej o tem myślałaś? Czy nie w środę?

— Nie pamiętam; ale dlaczego pytasz o to?

— Prosta ciekawość — odrzekł. — Tego dnia, patrząc na obojętne tłumy koło więzienia, zadawałem sobie podobne twoim pytania i wiele gorzkich myśli przedumałem. Ciężką jest nasza misja, ale spełnić ją musimy. Coby Rosya zyskała na tem, gdybyśmy nie odpłacali

ciosami za ciosy, a tylko pouczali i wiedli propagandę po wioskach i zaułkach, jak to Lena zaleca? Nie wieszaliby nas, to prawda! lecz co w tem lepszego? Areztowanoby nas i zsełano na Sybir, albo przetrzymywano w kaźniach. Nie znaleźlibyśmy się w lepszem położeniu niż dzisiaj, a nie danoby nam ani dnia swobodnego, ani godziny dla sprawy narodowej. Nie, oni nam nie dadzą wolności w nagrodę wzorowego postępowania. Musimy za nią walczyć wszelaką bronią. Jeśli przytem przyjdzie nam cierpieć, tem lepiej; cierpienia będą nową bronią w naszych rękach! Niech nas wieszają i strzelają, niech nas dobijają w kazamatach odosobnionych! Im więcej męczyć nas będą, tem więcej wzrastać będzie liczba naszych stronników. Jabym rad, żeby mnie szarpano na kawałki i smarzono powolnym ogniem na stosie! — zakończył, wpajając w nią swój wzrok ognisty.

Tania z rozpaczą rozpoznawała, jak się jej grunt z pod nóg usuwa. Nie wiedziała, co powiedzieć, co czynić, a okropnem było ustępstwo.

— Zaczekaj minutkę, Andrzeju mój! — zawołała, chwytając go za rękę, jakby już ją miał opuszczać. — Jedną minutkę, bo mam ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Tylko w tej chwili już zapomniałam... Te męczarnie, przez jakie przechodzę, głowę mi mącą; daj mi pomyśleć....

Stanęła obok niego ze spuszczoneymi oczami i pochyloną głową.

— Będę czekał, najdroższa, jak długo zechcesz — mówił Andrzej, całując jej chłodne czoło. — Może odłożmy tę rozmowę do jutra.

Przecząco kiwnęła głową. Usiłowała sobie przypomnieć, co mu powiedzieć chciała.

— Chłopi, miłujący cara... nie, to nie to! Ta część społeczeństwa, która pozostaje neutralną... Nie, to również nie to!

Zatrzęsła się na całym ciele i silnie pobladła. Odnalazła swój wielki argument, mający stanowić warownię jej, lecz poczuła, jak był on słabym i jak trwożliwym!

— A cóż stanie się zemną, jak ty zginiesz! — głośno zawołała i twarz w dłonie ukryła.

— Biedne dziecię, gołąbku mój! — odrzekł Andrzej, tuląc ją w swoich objęciach. — Wiem, jak ciężkim jest krzyż twój i wiem, że gorzej pozostającym na ziemi, jak opuszczającym ją; ale wierzaj, że i mnie nie lekko. Drogim mi jest życie od chwili, w której mnie pokochałaś; gorzko się z niem rozstawać, ciebie porzucić i iść na skazanie, gdy tu jestem szczęśliwy! Dużobym dał, żeby nas ta czara ominęła, ale tak się nie stanie; cios wymierzony być musi. Oddalić się od niego z miłości dla ciebie! Tożby było tchórzostwem, zaparciem się sprawy naszej i ojczyzny. Tożby lepiej było zanurzyć się w najbrudniejszej kałuży, niż żyć z takimi wyrzutami sumienia. Czyżby to zniosła miłość nasza wzajemna? Wybacz, droga, ból, jaki ci sprawiam, a pomyśl, co znaczą nasze cierpienia, jeśli nam się uda, choćby o dzień jeden przyspieszyć koniec tych okrucieństw, wśród których żyjemy?

Andrzej mówił coraz ciszej i prawie już szeptem. Zmęczył się tą spokojną walką i zaprzestał jej. Prosił o spokój i litość, a proste słowa jego zmiękczyły serce Tani i wywołały w niej zmianę, najmniej przez niego oczekiwaną.

W miłość istotną kobiety wchodzi zwykle element żalu i macierzyńskiej troski, jakkolwiek byłoby to uczucie romantycznym i egzaltowanym. Taką właśnie strunę zaczepił Andrzej w Tani swoim tłumionym, przerywanym głosem. Nie przekonał jej, a raczej Tania nie zdawała sobie z tego sprawy, bo nie pamiętała już jego wywodów. Ale się poddawała, bo ubolewała nad nim głęboko i sił nie czuła w sobie do sprzeciwiania się.

Złagodniał wyraz jej twarzy, oczy zabłysły czułą miłością, a drżąca jeszcze ręka głaskała jego głowę, spoczywającą na jej kolanach.

Przyszłość była dla niej ciemną bezdennością; tak jej trudno przychodziło ją przeniknąć, jak pozagrobowe życie. Ale jasno zdawała sobie sprawę z tego, co czynić ma teraz. Była mu żoną, siostrą, towarzyszem; powinna wedle sił własnych podtrzymywać go w ciężkich chwilach życia. Postanowiła więc mu ulżyć i przejąć na słabe swe barki, ile tylko zdoła z jego ciężaru.

Uspokoiła się i w smutnych, dużych jej oczach nie pojawiły się już łzy. Ale serce jej krew zalewała, lecz już nie za sobą: Smutek za nim przytłumił jej własne męki.

ROZDZIAŁ VIII.

Dwa pokolenia.

Andrzej wniósł swoje przedłożenie i ono zostało do wykonania przyjęte.

Obszerna i skomplikowana maszyna spisku była już w ruch puszczona i znacznie też postępowała tajna jej praca.

Pewnego wieczoru, we dwa tygodnie po swoim powrocie do Petersburga, przechodził Andrzej przez most Tuszkowa. Zajmował zawsze dawne swoje mieszkanie, lecz okazywało się ono coraz mniej bezpiecznem i zamierzał je zmienić na inne. Z tego powodu nie szedł najprostszą teraz drogą do zamierzonego miejsca, lecz zbaczał i okrążał.

Udawał się do Repina i przedsięwziął środki ostrożności, żeby nie zwrócić uwagi szpiegów. Repin zawezwał go w »ważnej bardzo sprawie«. Nie dziwił się temu, a przewidywał, że rzecz dotyczy jego działalności, o której już miewali niejednokrotne rozmowy i narady.

Repin przygotował się do tych odwiedzin i zarządził, żeby nikogo innego nie przyjmowano. Siedział zafrasowany przy stoliku oświetlonym świecami w kutyach miedzianych lichtarzach i z roztargnieniem przewracał kartki trzymane przed oczami książki. Chciał przedłożyć Andrzejowi projekt, jaki sobie wziął bardzo do

serca, a miał powody by nie odkładać tego na dłuższą metę.

Gdy rewolucyoniści rozpoczynają jakieś przedsięwzięcie ważne, to zazwyczaj i ci, którzy nie biorą w tem udziału, domyślają się czegoś. Wzburzenie i smutne przewidywanie niebezpieczeństw opanowują wszystkich i każdego pojedynczo. U konspiratorów daje się spostrzegać wówczas niezwykła ostrożność w stosunkach z policją. Ze szczególną też troskliwością uprzedzają wszystkich współpracowników i pomocników o możliwości każdej rewizyi i przewożą oraz niszczą kompromitujące papiery i tajne wydawnictwa, których w zwykłych czasach wcale nie pilnują. Zdarza się nadto, że najwrażliwsi z konspiratorów przybierają udręczone miny, zamiast okazywania właśnie spokoju i wesołości. Dlatego też, najstaranniej tajone fakta, odkrywane bywają przez umiających rozpoznawać znamiona czasu i ci przewidują, że się na coś zanosi.

Repin bacznie śledził złowrogie znamiona i wiele znaczące symptomata, więc żywił przekonanie, że Rosya jest w przededniu rewolucyjnych porywów. Dawno już nie widział żadnego z rewolucjonistów, lecz przed paru dniami spotkał się z Tanią u jednego z przyjaciół. Nie mogli pomówić ze sobą na osobności, lecz jej rozstrojenie i zamyślenie, silnie utwierdziły ponure jego obawy. Trwogi skrytego życia musiały się piętrzyć wokoło, bo jej w takim stanie jeszcze nie widział. Wiedział, że mu się nie uda wyrwać ją z tego, lecz umyślił oddalić tak ją jak Andrzeja, od wybuchnąć mającej pożogi. Postanowił spróbować.

Po córce, najbardziej przywiązanym był do swego niezwykłego zięcia. Gdyby sam wybierał męża dla Tani, nie byłby go szukał w szeregach konspiratorów. Gdy jednak Tania sama przyłączyła się do rewolucjonistów, nie pozostawało Repinowi jak tylko zgodzić się na jej

wybór i odtąd zięcia gorąco pokochał, a gdyby Andrzej należał do nieco mniej skrajnych, byłby Repin w całej pełni zadowolony z małżeństwa córki. Żyli w najlepszych stosunkach i Andrzej zwierzał się staruszkowi o ile tylko ostrożność na to zezwalała.

Repin wiedział więc wiele z tego, co osobiście dotyczyło Andrzeja. Tania była z ojcem wstrzeźliwą.

Wypadki w Dubrowniku i niebezpieczeństwa, w jakich tam znajdował się Andrzej, były wiadome Repinowi, i dlatego sądził, że teraz jest chwila do oddalenia Andrzeja z widowni i żywił nadzieję, iż projekt jego, tak przez niego jak przez Tanię odrzuconym stanowczo nie będzie.

Radośnie powitał Andrzeja, bo go nie widział od dnia powrotu do Petersburga i zapytał o Tanię.

— Zdrowa zupełnie — odrzekł Andrzej. — Nam tak trudno zachorować, jak salamandrze dostać kataru. W skrytym i tajemnym świecie naszym mamy tak wysoką temperaturę, że w niej żadne mikroby nie wytrzymają.

Uśmiechnął się, lecz ustami tylko, bo z oczów jego biła powaga.

— Wam musi być goręcej niż innym. Doniesiono mi, iż policya dostała ostrą naganę, specjalnie za was i że teraz żąda i szuka odwetu. Policmajster oświadczył, że przewróci całe miasto do góry nogami, a was schwycić musi żywym lub umarłym.

— Łatwiej to zapowiadać, niż wykonać — odrzekł Andrzej spokojnie — oni się już nieraz przechwalali i to w różnych okolicznościach.

— Jednakowoż, początek już mają, bo może nie spodziewacie się tego, że oni już wiedzą o waszym powrocie do Petersburga. Lepiej nie igrać z ogniem. Czy nie myślisz więc, że wskazanym by był wyjazd na czas jakiś za granicę? O tem właśnie chcę z tobą pomówić...

Andrzej przecząco poruszał głową.

— Nie spiesz się z odmową! — zawołał Repin. — Daj mi wypowiedzieć moje zdanie... Wy nic nie straciecie, odpocząwszy przez kilka miesięcy, a dla Tani byłaby przejażdżka nader dobroczynną. Mogłaby się zająć i czytać swobodnie. Mam nadzieję iż przyznasz, że wiedza przydatną być musi i dla waszych braci rewolucjonistów.

— Temu nie zaprzeczę.

— A widzisz; więc to znaczy, iż mój projekt nie jest bezsensowny. Ona nabędzie wiedzy na przyszłość, ty zetrzesz ze siebie coś z przeszłości i oboje powrócicie w spokojniejszych może czasach; a im później powrócicie, tem lepiej. Jeśliby was wstrzymywały powody pieniężne, to o tem nie myślcie, ja wszelkie potrzebne fundusze przesyłać wam będę. Cóż ty na to?

Zamyślił się Andrzej, ale nie o projekcie teścia, bo ten nie mógł jego dotyczyć. Przeszła mu myśl przez głowę, że wyjazd Tani byłby dla niej zbawienny... Ale nie! I dla niej nie może być o tem mowy. Ona nigdy nie zgodzi się na opuszczenie Rosyi teraz, choćby nawet na czas krótki.

— Ojciec jest bardzo dobry — odpowiedział Andrzej — ale dla mnie jest niepodobieństwem korzystać z jego propozycji; nie zdaje mi się także, żeby Tania inaczej myślała. Ale powiedźcie mi proszę, kiedy zamierzacie wyjechać na wieś?

— Za miesiąc, a może i prędzej. Cóż tobie jednak lub jej, może na tem zależeć?

— Byłoby dobrze, gdybyście chcieli co rychlej wyjechać i zabrać Tanię na 3 do 4-ch miesięcy.

Wiedząc jak Tania kochała ojca, mniemał, że jej teraz lżej będzie zamieszkać przy nim czas jakiś.

Repin odpowiedział, że zawsze się cieszy widząc Tanię i bardzo rad będzie mieć ją u siebie przez kilka

miesiący. Postanowienie jednak takie przedstawiało się jemu jako smutny kompromis, więc znów nastawał na wyjazd ich obojga za granicę, wskazując na skutki takiego ukrycia żony, pozostawiające równocześnie męża na łup niebezpieczeństw.

— Nie — odparł Andrzej stanowczym głosem — ja pod żadnym warunkiem nie mogę się teraz ruszyć z Petersburga. Daremnie dłużej dysputować, więc nie mówmy już o tem.

Twarz Repina pochmurniała. Ten ton stanowczy, ten upór i przytem ta chęć ukrycia Tani na czas powien, jasno wskazywały, że się coś gotuje, w czym Andrzej będzie głównie działającym.

— Jakieś piekielne przedsięwzięcie? — zapytał cichym głosem.

— Coś w tym rodzaju — odrzekł Andrzej.

Milczeli chwil kilka.

— A ja twierdzę — odezwał się Repin — że całkiem niepotrzebnie nadstawiasz szyi; dość w ostatnich czasach już narażałeś życie i właśnie teraz najlepiej przysłoby ci odpocząć.

— Niemożliwie! — zawołał Andrzej. — Żołnierz nie porzuca szeregów podczas wojny, dlatego, że jest narażonym na niebezpieczeństwa.

— Tak, ale od czasu do czasu otrzymują oni urlopy; jeśli mam się trzymać twego porównania.

— Czasem tak, a często nie; my właśnie dziś pozostajemy w takim położeniu, że żaden urlop nie może być — odpowiedział Andrzej.

Taka niepowściągliwa energia i męstwo, właściwie usposabiały Repina na korzyść rewolucjonistów w ogóle, a Andrzeja w szczególności. Sam on był przejęty sceptycyzmem i widział wkoło siebie tyle' egoizmu i tchórzostwa, że musiał się unosić nad całością natury swego zięcia. Nie był w stanie dzielić zapału jego i innych

rewolucjonistów, lecz odczuwał i żywił gorącą do niego sympatyę.

Teraz jednak, gdy projekt jego został ostatecznie odrzucony, rozdrażnienie wzięło górę nad wszystkim i rozgniewał się na Andrzeja za ten, jak sądził, głupi upór i obstawanie przy swoim.

— Więc to twoje ostatnie słowo? — zapytał.

— Tak, i nie mówmy już o tem.

— Wiem z doświadczenia — mówił jeszcze Repin — jaki z was nieprzejednany naród. Postanowiliście własną zagładę i będziecie się przebijać aż do ostatniej kropli krwi. Fanatyków nie przekonasz argumentami. Oni nieuleczalni!

— Myślałem — odparł Andrzej z goryczą — że nas lepiej znacie. Fanatycy! wołacie? Powątpiewam czy istnieje takie plemię we krwi i ciele; ja przynajmniej nie spotkałem się z nimi, a różnorodnego doświadczenia nabyłem już wiele. Nie, my nie fanatycy, dopuszczając już to słowo do jakiegoś znaczenia; my jesteśmy ludźmi czynów i wierzajcie mi, że żyć chcemy i umiemy cenić wartość życia w całej pełni, byleby nie zatracać przytem najlepszych części swego ja.

— Tak — odpowiedział Repin — tylko że wasze lepsze ja wymaga za wiele by być zadowolonym, a jeśli nie możecie wszystkiego osiągnąć, to wpadacie w szal, jak dzieci, żądające księżycy.

I w tym duchu mówił on dłużej; rozżalony na Andrzeja, puścił wodze gniewu i ze szczególnem oburzeniem napadł na rewolucjonistów.

Podnosił ich bezpłodne usiłowania, nierozsądek powstawania przeciw rządowi, wzmacniającemu tylko despotyzm, i uniemożliwianie spokojnego życia mieszkańców Rosyi, mających przecie prawo istnienia.

Z początku, bronił się Andrzej półżartem; przyzwyczajony był do napadów Repina, lecz dzisiejszy przed-

miot rozmowy był mu zanadto blizkim i ostatnie zarzuty wzburzyły go.

— Wiem — zawołał — że wasi mieszkańcy Rosyi troszczą się bardzo o swoje prawa do życia, a także o swój komfort, ale byłoby lepiej w kraju, gdyby ta troska znacznie osłabła.

— Chcielibyście zatem — pytał Repin — żebyśmy wszyscy wychodzili na ulice miasta i rzucali bomby na każdego przechodzącego policyjanta?

— Co za nonsens! — Andrzej się rozgoryczał. — Nie dla was rzucanie bomb po ulicach, ale walczyć własną bronią, tylko walczyć, jeśli ludźmi jesteście! Walka niech będzie powszechną, a wtenczas staniemy się siłą! Gdy wy jednak pełzacie i lamentujecie, to nie macie prawa na nas powstawać za to, że nie chcemy lizać bijącej nas ręki. Jeżeli w ślepiem zapamiętaniu swoim i was rząd prześladuje, to możecie rozdzierać szaty i sypać popiół na głowy wasze, lecz pomnijcie jaka was za to czeka nagroda. Szkoda podnosić żale, bo to niżej godności i zupełnie bezpożyteczne; gdybyście bowiem głos stracili od przekleństw, wyrzutów lub groźb, my na nic już uwagi nie zwrócimy.

— Któż o tem mówi? — zawołał Repin, niecierpliwie machnąwszy ręką. — Osobiście, może macie słuszność tracąc rozwagę wobec wyjątkowych prześladowań. To jednak mogłoby posłużyć jedynie jako obrona pojedynczego przestępcy przed sądem przysięgłych, ale nie tłumaczy politycznego stronnictwa przed zdaniem ogółu. Jeżeli chcecie służyć krajowi swemu, powinniście umieć powstrzymywać dzikie porywy, skoro one doprowadzają tylko do porażek i niedoli.

— Do porażek i niedoli! — odpowiedział Andrzej. — Czy wy sami dajecie temu wiarę? Moskwa zgorzała od kopcącej świeczki, a my rzuciliśmy całą głownię w serce matuszki Rosyi. Nikt nie jest w stanie

przewidzieć przyszłości, ani też brać na siebie odpowiedzialności za to, co w tej przyszłości jest ukrytego. My, robimy co możebne w obecnej chwili; dajemy przykład męstwa w porywach, które nie przypadną dla dobra ujarzmionego kraju. A dodam jeszcze, żeśmy przywrócili cześć Rosyi, która dzięki nam, przestała być synonimem niewoli.

— Czy tem, żeście odślonili zanik zdolności w Rosyanach do wszystkiego, prócz do napadów na pojedyncze osobniki? Czy tem?

— A kto temu winien? — odparowywał Andrzej, rozdrażniony tonem przemów teścia. — Nie my winni, lecz liberalna Rosya trzymająca się na uboczu od walki za wolność, podczas gdy my, dzieci wasze, walczyliśmy w jej obronie i tysiącami za nią giniliśmy.

Andrzej nie miał na myśli osoby Repina w tem, co mówił, bo ten stanowił raczej wyjątek. Staruszek jednak żywo odczuł zarzuty i zamilkł na dłuższą chwilę. Gdy potem mówić znów zaczął, głos miał całkiem zmieniony.

— Przypuśćmy, że tak jest, że my, tak zwane społeczeństwo, jesteśmy wszyscy tchórze. Lecz skoro wy nas nie przerobicie, tem więcej powinniście widzieć w tym fakcie życia Rosyi, że daremnie wam bić głową o mury.

— Położenie nasze nie jest tak dalece beznadziejne — odrzekł Andrzej. — Liczymy nietylko na społeczeństwo same, choć i ono zmienia się z czasem, gdy wlejemy weń krew świeżą. Niedaremnie powiedział któryś z wielkich filozofów: że im wyżej się ludzi ocenia, tem mniej należy się spodziewać od nich zawodów.

Zauważył na to Repin, że o ile on zna filozofów, to żaden z nich nic podobnego nie powiedział ani nie napisał; był jeden natomiast, który się wręcz przeciwnie o tem wyraził.

— W takim razie powinni byli głosić to, czego nie wypowiedzieli — odpowiedział Andrzej. — Jeśli zaś tego nie uczynili, to nie warci są miedzianego grosza.

Wziął do ręki kapelusz i zabierając się do odejścia, zaczął ubierać rękawiczki.

— Bądźcie zdrowi Grzegorz Aleksandrowiczu — rzekł — niewiem kiedy się jeszcze zobaczymy.


Nic nie mógł dodać więcej, by nie zdradzić tajemnicy.

Pożegnali się tak serdecznie jak powitali i Repin powtórzył Andrzejowi, że jego dom i stosunki są zawsze na jego usługi, w czemkolwiek chciałby ich potrzebować i żądać.

Skłonił się Andrzej na znak, iż rozumie i dziękuje, lecz twarz jego oblekła się dziwnym wyrazem, znaczenie którego później dopiero mógł Repin zrozumieć.

ROZDZIAŁ IX.

Sen Andrzeja.

ndrzej nie poszedł prosto do domu; miał wstąpić do lokalu konspiracyi, gdzie go nie wesołe oczekiwaly wieści. Oświadczenia Repina okazały się całkiem prawdziwe: Policya postanowiła rozpocząć nagonkę za Andrzejem i udało jej się już dowiedzieć, że się on ukrywa po drugiej stronie Newy. Było to złem wielkiem i towarzysze doradzali mu, by nie powracał do domu, a zawiadomił Tanię. Fatalnem by było schwytanie go, zwłaszcza teraz. Pojmował to Andrzej, lecz nie mógł pozostawić żony samej w mieszkaniu; to właśnie wydałoby się podejrzanem. Wolał natychmiast powrócić, a nazajutrz rano wynieść się we dwójkę; niebezpieczeństwo nie było tak bardzo blizkiem, a przed szpiegami nie trudno się schronić.

Wsiadł do dorożki, żeby nie dać Tani za długo czekać. O w pół do jedenastej wysiadł na wybrzeżu, mało kogo spotkawszy i przeprawiwszy się łódką na drugi brzeg, widział że nie jest śledzonym.

Ale musiał kręcić się jeszcze zaułkami, na których trudniej mógł być pilnowanym, i to mu zabrało sporo czasu, tak, że Tania przyzwyczajona do jego akuratności, mocno się już trwożyła. Wchodzącego radośnie powitawszy, zapytała:

— Poco cię ojciec wzywał?

Powtórzył jej obawy oraz przestrogi ojca i towarzyszy i zapowiedział bezzwłoczne przeniesienie się. Pilnie zabrali się razem do spakowania rzeczy i nazajutrz w pośpiechu spełnili podwójną czynność, to jest zniknięcie z jednego miejsca, a jak sfinks z popiołów, pojawienie się w innym.

Nowe ich schronienie było o tyle bezpiecznym, o ile to możliwem się okazało uzyskać, przy zachowaniu najdrobniejszych środków ostrożności; ale i tutaj nie należało Andrzejowi długo przebywać. Policya nie domyślała się jeszcze nowego zamachu, ale poszukiwania za Andrzejem, za dawne jego winy, nie ustawały. Znało go mnóstwo szpiegów, mógł więc łatwo być zaaresztowanym każdej chwili na ulicy. Ale z drugiej strony, stałe zamknięcie się w domu, mogło także wywołać podejrzenia.

Lokal konspiratorski był najlepszem miejscem dla tak cennego działacza, jak Andrzej. Tam mógł być bezpiecznym przed policyą, mógł siedzieć i nie ruszać się wcale z domu, przez nikogo nie zauważony.

Przeniesienie się tam jednak musiało nastąpić jednocześnie z opuszczeniem Tani, którą to niesłychanie rozgoryczyło, zwłaszcza, że spisek wcale nie był jeszcze gotów i mieli przed sobą szereg dni, jeśli nie tygodni. Ostatnie nie długie chwile spędzone z Andrzejem były dla niej skarbem o tyle droższym im miał być krótkotrwałym. Andrzej się jednak zupełnie nie smucił i nie myślał o tem.

Tania z literalną akuratnością dotrzymywała zrobione sobie *votum* owego poranku, w którym on jej odkrył swoją tajemnicę. Nie osłabło jej męstwo ani abnegacya, pomimo ciągłych ciężkich doświadczeń. Ale była tak młodą i nie przywykłą do cierpień, że Andrzej jasno widział, ile ją kosztuje ten milczący heroizm; wi-

dok ten rozdzierał mu serce i uznał, że lepiej będzie gdy się rozłączą.

Dlatego też chętnie się zgodził na zamieszkanie w lokalu konspiracyjki przez dwa do trzech tygodni. Surowa, hartowna atmosfera tego miejsca, zbawienną być mogła i dla niego. Wszystko tam było oddane »sprawie« i nią tylko zajęte.

W charakterze stałego mieszkańca, otrzymał Andrzej poruczone sobie obowiązki, które mu dawały poczucie pola walki, wręcz nieustannie i nieprzerwalnie. Żył w centrum, do którego zbiegały się wiadomości i szczegóły z całej Rosyi, z więziennych kazamat, z twierdz, z sybirskich kopalń i ze śnieżnych trzęsawisk; każda poczta przynosiła dziesiątki opisów o męczarniach, traceniach, samobójstwach, tragediach śmierci i o licznych ofiarach.

Nie pocieszające były to wieści, ale w pewnej mierze sprowadzały do właściwych rozmiarów jego własną tragedję. Przesuwające mu się ciągle przed oczami obrazy, nie dawały mu zagłębiać się we własnej i Tani boleści; uspokoił nerwy. Często myśląc o żonie, sądził, że i jej lżej w rozłące.

Podczas pobytu Andrzeja w tym lokalu, odbywały się tam zebrania, w których i Tania brała udział. Specjalny jednak wniosek Andrzeja, rozbierała osobna komisya i w innym miejscu.

Tania przychodziła na zebrania razem z innymi, słuchała dyskusyi zdobywając się na spokój i głos nawet w razie potrzeby zabierała. Cieszył się tem Andrzej bez zdziwienia, znajdując jej zachowanie się rozumnie konspiracyjnym.

Po skończonem zgromadzeniu, wszyscy się rozchodzili, lecz Tania została, chcąc spędzić wieczór z Andrzejem. Lokal obejmował dość pokoi, by mogli spokojnie sami posiedzieć. W sąsiedztwie jednak mówiono

tak głośno i wesoło, że im było bardzo nie swojsko, a rozmowa im się nie kleiła. Mówili o sprawach ogólnych partyi i o odbytem zebraniu, tak jakby najbliższa przyszłość, ich właśnie osobiście nie miała dotknąć. W niespełna pół godziny, nie mogła już Tania wytrzymać; westchnęła ciężko i głęboko, zabierając się do wyjścia.

— Czy rychło już? — zapytała.

— Tak — odrzekł Andrzej — niedługo.

— Kiedy? — stłumionym głosem spytała jeszcze.

— Za tydzień — odpowiedział Andrzej spokojnie.

Gdyby nie ciemność w izbie, byłby spostrzegł zmianę w jej twarzy. Nie myślała, by to tak prędko miało nastąpić! Ale nie rzekła ani słowa, nie dała poznać, co odczuwała; stała przy drzwiach, już z kapeluszem na głowie. Nagle zbliżyła się do niego, porwała za rękę i zawołała cierpiącym, wzburzonym szeptem:

— Ja ciebie przedtem widzieć muszę!... Ale nie tak jak dzisiaj; nie tutaj, tylko tam u nas... Przyjdź, bo ja nie mogę tak z tobą się rozstać...

Obiecał, a ona uciekła, nie rzekłszy już słowa.

Andrzej pozostał sam, wzburzony i zatrwożony. Jej szept i błyszczące oczy, wywarły na nim silne wrażenie i obudziły pragnienie życia, miłości i szczęścia, o których sądził, że już je stłumił.. Odwiedzi ją niezawodnie raz jeszcze! Nie może jej nie pożegnać, teraz mniej niż kiedykolwiek; radby jednak już przeżyć to spotkanie, albo co lepiej, wolałby spełnić ofiarę z siebie raczej już jutro, niż za tydzień.

Nie urodził się na męczennika, wiedział sam o tem dobrze; tem mniej był zdolnym przyczyniać komukolwiek zgryzoty i cierpień. Ale straszna konieczność, której nie był władcą, zmuszała go teraz do zdeptania najmilszych swych uczuć i niesienia własnego życia w ofierze.

Jerzy pozostał także w konspiratorskim lokalu i zamierzał tam zanocować. Po odejściu Tani, wszedł ze świecą do pokoju Andrzeja, by go zawezwać do kolacyi i zastał go leżącego w zadumie na kanapce z rękami obydwoma pod głową.

Późno udał się Andrzej na spoczynek, a nawiedził go sen straszny. Pamiętał, jak myśli jego wznosiły się i wlatywały w górę jak ptaki, coraz wyżej i wyżej, tak długo jak tylko mógł je rozpoznawać jeszcze. Potem znikły i on nie widział już nic, prócz żółtego sklepienia niebios, ponad obszerną piaszczystą płaszczyzną, po której on się przechadzał i rad był, że może śpiąc spacerować.

Naokoło, po żółtym piasku rozproszone były tu i owdzie kamienie oraz skały, nadające całemu obrazowi smutny i dziki wyraz. Ciemne obłoki przesuwwały się szybko, choć wiatru wcale nie było, a nigdzie nie dał się ujrzeć lub dosłyszeć jakikolwiek znak życia. Drogę jednak pokrywały ślady stóp ludzkich i Andrzej dziwił się dlaczego tu sam jeden przebywa. Ale nagle spostrzegł, że jest otoczony gronem towarzyszy, pomiędzy którymi rozpoznał zaraz: Borysa, Wasyla, a także i Boczarowa. Tego ostatniego twarzy nie widział, bo zasłaniał ją kaptur długiego płaszcza, przewiązanego paskiem w biodrach.

— Nareszcie, możemy się widzieć mój drogi — zagadnął Borys. — Nie spodziewałeś się takiego spotkania — dodał z ironicznym uśmiechem.

»On wszystko wie«, pomyślał Andrzej.

— Nie — odpowiedział głośno. — Nie mogłem spodziewać się widzenia ciebie, bom miał wszystkich was za nieboszczyków.

— Tak, my już umarli — odrzekł Borys — tylko przyszliśmy odwiedzić cię i przynoszę list od Ziny. Czy poznajesz Boczarowa? On dla żartu ubrał się w ten płaszcz, ale nie trudno go poznać.

Poczem odsłonił kaptur i Andrzej ujrzał swoją własną głowę i twarz strasznie zeszpecone.

Krew w nim zastygła i serce bić przestało z niewysłowionego przerażenia. Ale podczas gdy przyglądał się tej głowie, raptem twarz uległa zmianie i ukazał się Boczarow, który mrużąc jedno oko zawołał: »Ja żartowałem«!

Chciał Andrzej zauważyć, że to żart nierozumny, ale nie mógł, bo zanadto był wystraszony i pomyślał sobie, że nieboszczyki mścić się lubią. Ograniczył się więc na zapytaniu zwróconem do Borysa: »Dokąd my idziemy?«

— Do mlecznych rzek w kierunku pagórka — odpowiedział Borys; — mylisz się sądząc, że ten tu oto staruszek nauczy cię, jak się tam dostać bez naruszenia praw rosyjskiego imperium.

Andrzej ujrzał starego Repina, którego dotąd nie zauważył; ubrany był w czarny płaszcz i bobrową czapkę, jakie noszą słudzy z pochodniami przy orszakach pogrzebowych. Szedł on prosto przed wszystkimi, nie odwracając się, tak jakby przewodził wskazując drogę. Po chwili jednak przekonał się Andrzej, że to nie był Repin, lecz dygnitarz, którego on powinien był sprzątnąć z tego świata.

I sądził, że wobec tak sprzyjającej sposobności, powinien zaraz go zgładzić.

— Będę miał zasługę, a nic nie ryzykuję — szepnął mu głos zdradliwy.

Lecz nie miał odwagi i ręka słuchoać nie chciała, pomimo iż z natężeniem próbował ją podnieść. Cierpiał niewysłowienie.

Wtem tłumy całe rzuciły się na niego z podniesionymi pięściami, a zgrzytając zębami wołały za nim jęcząc: »Zdrajca«! I ktoś pochwycił go za kark.

Andrzej krzyknął i zbudził się.

W szarym pomroku rozpoczynającego się poranku, stał pochylony nad nim Jerzy, a wpatrując się weń nie-spokojnie, trącał go w bok.

— Co takiego? Czego potrzebujecie odemnie? — pomrukiwał Andrzej, pod wrażeniem snu swego.

— Nie dobrze ci było; stękałeś, zgrzytałeś zębami i przez sen krzyczałeś. Pomyślałem więc sobie, że lepiej obudzić cię.

— Straszny miałem sen — rzekł Andrzej, przychodząc do siebie. — Widziałem Borysa i Wasyla i oni nazwali mnie zdrajcą.

— Właśnie tem słowem krzyknąłeś, gdym zaczął cię budzić — zawołał Jerzy.

— Czy tak istotnie? No to jeszcze tak bardzo źle nie jest — zauważył Andrzej i opowiedział Jerzemu sen swój szczegółowo.

ROZDZIAŁ X.

P o ż e g n a n i e.

Na ukończeniu już były przygotowania i dzień fatalny się zbliżał. Spiskowcy zbierali się codziennie, a musieli radzić o wszystkim przy pomocy Andrzeja, jako głównego aktora w gotującym się dramacie. On jednak u siebie przyjmował i rzadko wychodził na zebrania, bo mu było za ciężko wysłuchiwać różnorodne wywody i drobnostki, dla których niewarto się pokazywać na ulicy i narażać na niebezpieczeństwa.

Wiedział dobrze, że spełnił wszystko, co od niego zależało, żeby się zamach udał, a to stanowiło o wszystkim dla rewolucjonistów; nieuniknione aresztowanie Andrzeja schodziło na plan drugi; dla niego samego było istotnem to, że on zginąć musi.

Powiedział sobie Andrzej, że o zamachu najpoważniej pomyśli dopiero na miejscu, że przedtem nie będzie się nim więcej interesował, myśląc jedynie o śmierci; o reszcie mało chciał słyszeć.

Dziwne miało zdarzenie nazajutrz po zebraniu, na którym widział się z Tanią. Czyszcząc rewolwer, złamał mu sprężynę, a nie było już czasu dawać go do naprawy, zwłaszcza, że zachodziło święto. Jeden przeto z towarzyszów przyniósł mu swój, zapewniając, że jest nie-

zwykle celnym i Andrzej zamienił go na własny, a wierząc pochwałam, nie spróbował jego zalet ani w polu, ani w strzelnicy. Nigdy przedtem nie byłby popełnił takiej płochości.

Ten egoizm poświęcenia się przybierał z przybliżaniem się oczekiwanej chwili rozmiary pochłaniające wszystko i stanowczo rozkazujące.

Oddalenie śmierci od siebie jest tak silnie zakorzenione w każdym człowieku, że mało kto jest w stanie opanować to uczucie, nawet przy silnem moralnem pobudzaniu się; nikt jednak nie znajdzie sił, by długo żyć w podobnem naprężeniu. Żelazna tylko siła rozumowania może podtrzymać przez dni kilka chłodną walkę ku stłumieniu tych pokus i ustroju.

Z natury trzeźwy i zrównoważony Andrzej, instynktowo unikał wszystkiego, coby mogło rozdzielić albo osłabić jego energię i przeszkodzić mu w panowaniu nad sobą. Przewidywał, ile go będzie kosztowało rozstanie z Tanią i przez czas jakiś zamierzał ją zawiadomić, że wcale już nie przyjdzie. Lepiejby było obojgu uniknąć pożegnania, a nie wątpił, że ona to zrozumie i przebaczy. W ostatniej jednak chwili nie mógł wytrzymać i przedstawił sobie, jakby potem żałował, gdy się znajdzie w niemożności widzenia jej. Przecie prosiła go, żeby przyszedł! Pocóż więc ta chwiejność? Powinien i chce raz jeszcze ją zobaczyć i głos jej usłyszeć. Wiedzieli oboje bardzo dobrze, że nie ominie to, co nieuniknione i nie będą się wzajemnie nadaremnie dręczyć. Co do siebie postanowił zachować się podczas spotkania jak można najspokojniej i nie dać poznać Tani, co za walkę toczy w głębi duszy.

Zapewne też to postanowienie spowodowało, że trzy dni potem zjawił się u Tani z chłodnym, nieruchomym wyrazem twarzy.

Było to rankiem.

Właściwością jej nowego mieszkania było, że mógł Andrzej odwiedzać ją rano, albo zmrokiem. On wybrał poranek.

Tania rzuciła mu się naprzeciw, lecz stanęła porażona i przestraszona martwym wyrazem jego twarzy, jakiego nigdy nie widziała. Ale co to znaczy! Zawiesiła mu się na szyi, pieściła i z miłością wpatrywała się w jego oczy; tak pragnęła rozjaśnić wiszącą nad nim czarną chmurę.

— Czemu nie przyszedłeś wczoraj? — zapytała czułym i rzewnym głosem. — Ja tak czekałam. Mogłeś być jeden raz ukrócić dla mnie środki ostrożności... — nie mogła powstrzymać się od tej lekkiej wymówki.

Ale pospiesznie usiłowała osłabić ją uśmiechem. Słowa te wyrwały się jej po doznanej przykrości na myśl, że Andrzej tak opieszale spełniał jej ostatnią a tak gorącą prośbę.

Andrzej zaprzeczył ruchem głowy i w kilku słowach odpowiedział, że całkiem innych doznał przeszkód.

Rozgoryczyło go, że Tania takimi motywami wyjaśniała jego postępowanie. Ale poco miał przekonywać? Poco jej mówić o wewnętrznej walce, jaką staczał sam z sobą?

— A twoja sprawa? — zapytała Tania.

Milcząc dał znak ruchem głowy.

Pojęła, że się wszystko zbliża ku końcowi i że to jest niewątpliwie ostatnie ich spotkanie. Pochyliła nisko głowę. Krótkie zaś jej zapytanie, było dla Andrzeja rozpędem, po którym miał wagon sam się już po szynach potoczyć. Zaczął mówić o zamachu:

— Wszystko nareszcie zadecydowane — rzekł — i najlepiej przygotowane; powodzenie zapewnione.

I rozwodził się nad tem obszernie, tak jakby to był przyjemny przedmiot do ich rozmowy. Zapuścił się w najdrobniejsze szczegóły planu i wskazywał jak się

on musi przebić przez łańcuch rządowych szpiegów, którzy na niego czyhają.

Odsunęła się nieco Tania i spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami; mało go słuchała, a obserwowała go ze zdziwieniem, które rosło w miarę dalszych Andrzeja wywodów. Poco on jej to mówi? Sam nie wiele się tem interesuje, bo opowiada sucho i monotonnie, a wyraz twarzy jego, który ją tak przy wejściu przeraził, zaostrzał się coraz bardziej. Nie poznawała swego dawnego Andrzeja; ten człowiek był zupełnie obcym dla niej.

»Oni go tam odmienili!« myślała sobie, podczas gdy jego opowiadanie strasznie ją zrażało. Ani słowa miłości, sympatyj, ani miłego spojrzenia! I to przy ostatnim ich widzeniu się, przed rozstaniem na zawsze, po takim miłującym się ich pożyciu!

»Tak, odmienili mi go! To nie mój Andrzej... Mój był innym człowiekiem«, powtórzyła głośno, gryząc sobie spieczone wargi i połykając łzy, żeby nie stracić panowania nad sobą...

— Taniu! — zawołał Andrzej z goryczą.

Rozpaczliwie chwyciła się za głowę. Okropnem było takie z nią postępowanie w tych okolicznościach i w takiej chwili.

— Przebacz mi! — wyrzekła chwytając go za rękę, na której wsparła swą głowę — ja sama nie wiem co czynię!

I zatrzymała tak głowę pochyloną z rozproszonymi włosami; otwarte jej usta drżały i oddech zamierał w piersi.

Andrzej, z rozdartem sercem, patrzył na nią i myślał, że ona płacze. Ale jakże ją miał pocieszać? Cóż mógł jej powiedzieć, coby nie było blade i płytkie, coby nie stało się profanacją tak wielkiej jej boleści? Z prawdziwie ojcowską czułością głąaskał ją po głowie

i starał się układać rozproszone w nieładzie jej jedwabne włosy.

Przekonał się, gdy głowę podniosła, że nie płacze; suche oczy świeciły gorączkowym ogniem. Uważnie popatrzyła chwilę na niego i odwróciła się, załamując ręce.

Wiedziała, że ją zaraz opuści i że ona na miejscu padnie z udaru serca, albo głowę o ścianę rozbije; tak czy tak, nic jej nie wstrzyma, tak jak jego nie powstrzyma przy niej, na tych pozostających jeszcze dni trzy! Kamień okazałby się litościwszym od niego. Pogardziłby nią za słabość ducha, gdyby mu o tem wspomniała! Pocóż on tu przyszedł?

Andrzej powstał.

— Bądź zdrowa najdroższa! — wyszeptał wyciągając do niej ręce.

Tania się wstrząsała, jakby była usłyszała coś całkiem nieoczekiwanego.

— Nie, nie, poczekaj! — zawołał bojaźliwie. — Poczekaj! — powtórzyła głośno i błagalnie.

Przytulił ją silnie do siebie.

— Żegnaj! — powtórzył. — Już czas. Taniu, gołąbko moja najdroższa! — wyrwało mu się z głębi duszy. — Jakby my mogli żyć szczęśliwie!

Spojrzała mu prosto w oczy i rozpoznawała nareszcie swego Andrzeja ukochanego, którego tak w myślach własnych skrzywdziła! Odzyskiwała go, a dręcząca rzeczywistość mówiła, że go za chwilę bezprowrotnie utraci.

Traciła przytomność z boleści. Czy to tak? To niemożliwe... Kochać się tak, jak oni wzajemnie kochają, a puszczać go wprost na śmierć... Ona przecie bez niego żyć nie będzie mogła. On, jej świat cały, jej dusza! Ona temu nie winna, iż się stał wszystkim dla niej w tem życiu...

— Andrzeju, posłuchaj — zawołała. — Tyś mój! Sam mnie tego nauczyłeś i ja ciebie nie puszcę, nie puszcę! Czy słyszysz?..

Żądanie to wydawało się jej rozstrojonemu umysłowi całkiem logicznem i nie do zbicia.

Lecz naraz poczuła żar w palcach swoich wpijających się w dłoń jego. Schyliła głowę i padła na krzesło blada i zemdląca; zasłoniła oczy jedną ręką, a drugą dawała mu znaki, żeby już odszedł.

Mieli w świecie coś wielkiego, dla którego chcieli poświęcić wszystko: myśli, serca, miłość, szczęście, życie!

Oddawała mu to, tylko prosiła, żeby wyszedł, by ona tego odejścia nie widziała.

Ale teraz trudniej jemu przychodziło się ruszyć, niż gdyby go silnie przytrzymała rękami. Ukłąkł przed nią i całował jej ręce, twarz, oczy, jakby w napadzie dzikiego porwywu.

— Uchodź! Nie mogę już dłużej... Mnie już teraz lepiej. Uchodź co prędzej!

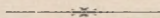
Siłą woli oderwał się od niej i uciekł tak, jakby wszystkie furye gnały za nim. Mgłą oczy mu zasły i z trudnością kroki stawiał; szumiało w głowie, a ulice kręciły się wkoło.

Tania nie słyszała jego wyjścia, lecz doszedł ją trzask drzwi od ulicy i cała zadrżała, jak człowiek ogłuszony obuchem, za dotknięciem rozpalonego żelaza. Zerwała się do okna, lecz go już nie ujrzała.

Odszedł, odszedł na zawsze! Żył jeszcze, lecz dla niej już zginął i wszystko dla niej runęło z tą straszną niezrozumiałą stratą. Nie mogła już walczyć z boleścią. Pokonana, rzuciła się na łóżko i zalała gorącemi, obfitemi łzami; nie przypuszczała, by ich tyle wylać mogła. Trzęsła się cała, a piersi szarpały konwulsyjne szlochania. Jej miłość, młodość i życie... przysły, pograżone w czarną pustkę!

Sprawa! Rosya!... Tych nie uznawała w tej chwili. Myślała tylko o swoim bezdennem nieszczęściu, mającem się ciągnąć do ostatniego jej oddechu...

Zostawmy ją z jej boleścią; przeminie jej rozpacz, nie dziś i nie jutro, lecz z czasem, a przemieni ją w inną niewiastę. O kilka lat później nie byłaby tak pogębioną podobnem doświadczeniem; los jednak kazał jej od najcięższych prób rozpocząć życie.



ROZDZIAŁ XI.

Ostatnia przechadzka po mieście.

Dzień ostateczny już nadszedł. Andrzej nie spał od samego świtu, ledwie drzemał, budząc się co kwadrans z obawy opóźnienia się.

Pręga jasnego światła, przedzierająca się przez otwór w storze, igrała na ścianie naprzeciw szezłaga, obwieszając wspaniałą pogodę. Obliczył sobie, iż wstać powinien, gdy światelko dojdzie do upatrzonego przezeń punktu, ale zerwał się o wiele prędzej.

Zdjął pościel ze skózanego szezłaga, służącego mu za łóżko, złożył ją porządnie i schował do żółtej komody, stojącej pod ścianą.

— Dziś nocować będę w twierdzy — rzekł sobie — jeżeli mnie nie ubiją na miejscu.

Zamknął szufladę komody i podniósł stopy.

Był on tego poranku w szczególniejszym usposobieniu, o tyle dalekiem od smutnego poddania się, ile od egzaltacyi, i wogóle dalekim był od jakiegokolwiek uczucia namiętności. Wpadł w obojętnie chłodny ustrój duszy człowieka, który zakończył wszelkie z życiem rachunki, który niczego już nie oczekiwał, niczego się nie obawiał i nie miał nic, czemby mógł się dzielić z innymi. Pozostawało mu... dokończenie swego dzieła. Tyle już jednak udało mu się usunąć przeszkód, oraz trudności,

że poczytywał to, co pozostawało, do takiego już stopnia niewątpliwem, że uważał je za prawie spełnione.

Żyjąc w pełnej jeszcze władzy sił moralnych i fizycznych, doznawał on już dziwnego wrażenia, że umarł i że patrzy na siebie, na blizkich sobie, oraz na świat cały z jednakowym, nieco bolesnym spokojem ubocznego spektatora.

Całe jego życie przedstawiło mu się jasno w najdrobniejszych szczegółach, a każdy z nich w odpowiedniej perspektywie. Myślał o Tani, o przyjaciółach, których pozostawił, o stronnictwie i o Rosyi, ale z takim spokojem, naturalnem uczuciem, jakby wszystko wiążące go z życiem było daleko od niego. Nie żywił w sobie ani cienia tych gorących, wzburzających porywów, jakimi przepełniał ducha swego w Dubrowniku, i cieszył się tem. Wiedział, że gdy się wszystko kończy dla niego i kiedy, bez złości i obawy, zakończy dzieło życia i stanie wobec majestatu śmierci, to znów przeżyje owe piękne podnoszące duszę uczucia i te go podtrzymają w ostatniej próbie. Jak długo poddawał się gorącym porywom, rozpalał je jeszcze, a nieodzownem dlań było zachować zimną krew i panowanie nad sobą. Zimna nieskruszona wola, wykuta z żelaznej konieczności, była mu po nad wszystko niezbędną w danej chwili.

Ubrany był i gotów zupełnie, gdy cicho drzwi odmykając, wszedł Watażko. Przybył do Petersburga, wezwany przez partyę, by wziąć mały udział w przedsięwziętem dziele; ugoszczony w konspiracyjnym lokalu, nocował w pokoju obok Andrzeja. Dawno już był na nogach, z zamiarem obudzenia przyjaciela, na wypadek gdyby Andrzej zaspał.

— Wy już wstali! — zawołał zamiast powitania.

Był bardzo zmieszany; pragnął spędzić ostatnie pół godziny w towarzystwie Andrzeja, a obawiał się, czy mu obecność jego nie będzie zbyt nieprzyjemną.

Andrzej, nie mówiąc ani słowa, powitał wchodzącego przyjaznem skinieniem głowy. On prawie nie widział wpatrującego się w niego młodego człowieka; Watażko przedstawił mu się jak cień.

— Jeden z waszych wartowników — nieśmiało odezwał się Watażko — zapytuje, czy może teraz przyjść do was, bo mu się nie uda spotkanie na miejscu czynu; mówi, że się znacie i żywi nadzieję, że wam tu nie przeszkodzi.

— Wcale mi nie przeszkodzi i rad będę go zobaczyć — odrzekł Andrzej, wiedziony towarzyską uprzejmością, choć był tak roztargnionym, że nie zapytał nawet, kim jest ten pragnący go widzieć. Po chwili dopiero spostrzegł tę opieszłość i zapytał — kto to taki.

— Zacepin — odpowiedział Watażko. — Poznaliście się w chwilach jego wyjazdu za granicę a waszego powrotu do Rosyi.

— Tak, tak! — zawołał Andrzej.

Przypomniał sobie przeprawy przez granicę, niemiecki dom zajezdny i głośnie, odbyte tam spory.

Jak to wszystko było już przeszłością!

Po chwili wszedł Zacepin, zachowując przezorność pod wrażeniem niezwykłych okoliczności, w jakich się spotykali. Prędko jednak przemogła natura żywości, głośniei mowy i giestykulacyi bojowca. W obejściu zaś Andrzeja nie było nic znamionującego powściągliwość lub solenność; wyglądał tylko o wiele więcej zadumany i roztargniony, niż zwykle.

Rozmawiali więc chwil kilka o spotkaniu na granicy, o Wuliczównie, Dawidzie i Ostrogorkim. Zacepin powrócił przed trzema miesiącami przez południową granicę i czas jakiś bawił w Odessie. Zapytał go przeto Andrzej o tamtejszych rewolucjonistów: o Lewszyna, Kleina i innych. Ale na co mu teraz już to potrzebne? Uśmiechnął się na myśl o tej wrodzonej ciekawości

swojej. Doznawał szczególniejszego upodobania w zasięgnięciu całkiem niepotrzebnych wiadomości, choć zdawał sobie z tego sprawę, iż to się równa rzucaniu kamieni w głęboką przepaść.

Omawiali wiele spraw, lecz wcale nie dotknęli tej, do której mieli przystąpić. Przy herbacie opowiedział Zacepin zabawną przygodę ze stróżem, który go wziął za naczelnika policyi. Andrzej zaledwie się uśmiechnął; wypił herbatę i przekąsił bułką »dla zasady«, pomnąc na związek konieczny duszy i ciała.

Za przykładem Zacepina, zaczął Watażko opowiadać podobne swoje zdarzenia, ale mu się słowa i zdania plątały.

— No, już czas! — zawołał Andrzej, spojrzawszy na zegarek.

Przerwał opowiadanie Watażko, wszyscy trzej powstali i pożegnali się prosto, pospiesznie. Na słowa żadne nie silili się.

— Życzę ci powodzenia — rzekł jedynie Zacepin do Andrzeja, pierwszy raz i ostatni mówiąc w życiu ty do niego.

Wyszedł z Watażką bocznymi schodami dla bezpieczeństwa, a Andrzej pozostał, mając jeszcze przed sobą dwadzieścia minut wolnych. Według ułożonego planu, miał on pojawić się ostatni na miejscu czynu, żeby nic nie ryzykować i nie być spostrzeżonym i pochwyconym zanimby zdołał coś zdziałać.

W samotności lżej mu się zrobiło niż w obecności towarzyszy i rad był z tego, że nikt więcej nie przychodził z nim się żegnać; zawsze jednak trudno mu było się skupić. Pomieszane urywki myśli i wspomnień niejasnych zaprzętały mu głowę jedne po drugich z taką gorączkową szybkością, że z trudnością zdawał sobie sprawę z upływu czasu i co dwie minuty patrzył na zegarek, sądząc, że już wyjść musi, a za każdym razem

dziwił się, że jeszcze za wcześnie. Gdyby nie ruch sekundowych wskazówek, byłby myślał, że mu zegarek się zatrzymał.

Nareszcie wstał, nakrył głowę i wyszedł z mieszkania na ostatnią swoją przechadzkę po mieście. Miało mu być danem odbyć jeszcze jedną po tych ulicach... ale już nie pieszo.

Szybko pozostawił za sobą plac Katarzyny, przy którym stał dom z konspiratorskim lokalem, by co rychlej odciąć ślad swego tam zamieszkania i szedł potem zwykłym, powolnym krokiem, rozglądając się po szerokim sklepieniu nieba, rozpościerającego się w dół ulicy po nad jego głową.

Spokojne, nieśmiertelne słońce świeciło jasno po swojej drodze do zenitu, lejąc potoki dobroczynnego ciepła na niespokojne urzędowe miasto, na urodzajną ziemię i na głupich, kłótliwych ludzi. Patrzało ono czyste i niezmiennie, jak szeroko otwarte miłujące oko, dziwiąc się, że te kochane dzieci nie czynią lepszego użytku z tego ciepła, darzącego życiem i radością.

Na lazurowym sklepieniu płynęły obłoczki podobne do rozczesanej wełny. Był to jeden z tych nielicznych pięknych dni wiosennych, jakimi tak skąpo obdarzaną bywa północna stolica, a jakie wysoko oceniają jej mieszkańcy.

Andrzej także cieszył się cudnem, jasnym niebem; widział teraz, że przechadzka nie będzie odroczonej z powodu złej pogody.

Okoliczność ta miała dla niego znaczenie, bo spiskowcy zostali przed kilkoma dniami uprzedzeni o ewentualnym odroczeniu, na wypadek niesprzyjających warunków klimatycznych.

Odległość do placu dworca, to jest do miejsca wybranego na czyn zamierzony, była dość znaczną, ale Andrzej postanowił przebyć ją pieszo dla większego

bezpieczeństwa i swobody ruchów; dorożką zwracałby większą uwagę szpiegów na siebie, a liczył, że na czas przyjdzie.

Pospieszał więc, to mijając idących z nim w jednym kierunku, to krzyżując się z innymi, a obojętnie spoglądał na twarze młode i stare, wesole i smutne, na konie, powozy i policyantów.

Duchową równowagę przerwało mu spotkanie pary obcej mu zupełnie i nieznaney, której widok wniósł całą burzę w jego serce, pomimo iż, jak mu się zdawało, miało ono już być silnie zabezpieczone przeciwko takim zamieszaniom.

Parą tą, tak nie w porę zjawiającą się na jego drodze, była dziewczeczka i młodzieniec ze sfer studenckich, a widocznie zakochanych w sobie. Prowadzili się za ręce, rozmawiali wesoło przy miłośnie rzucanych nawzajem spojrzeniach. Widocznem było, że młody człowiek szeptał miłe słowa do uszu panienki, bo twarz jej coraz bardziej się rozjaśniała. Szli powoli, jakby niechętnie przestrzeń przebywając, a nie zwracali najmniejszej uwagi na to, co ich otaczało.

Andrzej nie mógł oderwać się od widoku tej panienki, tak rażąco podobną była do Tani. Wzrostem może nieco wyższa i podbródek miała grubszy; ale twarzyczka, osada głowy i brwi, przypominające ptaszka w locie, coś w całej postawie; wszystko miała jakby zapożyczone od Tani, bo nawet ubiór na sobie ciemnopopielaty, ulubiony jej kolor.

Andrzej usiłował przypatrzeć się bliżej jej oczom; wierzył, że one najbardziej uprzytomnią mu tę, której już nigdy nie miał zobaczyć; ale szła tak, że tylko widzieć mógł profil, a nie obejrzała się ani razu. Pomimo to oczarowała go i rozstroiła serce, budząc w nim uczucia i wspomnienia, o których myślał, że już zasnął snem wiecznym. Surowy ustrój człowieka, idącego

naprzeciw fatalnemu przeznaczeniu, nie wytrzymał tego widoku. Zabiło ponownie zastudzone serce i to ludzką gorącą miłością, a myślami swemi słał za tą miłą dziewczeczką życzenia szczęścia w życiu i uchronienie jej od ciężkich ciosów, jakie jej siostrzycy rodaczce przypadły w udziale.

Dzieweczka szła dalej i naturalnie nie domyślała się, jakie wrażenie wywarła na nieznanym, obok którego przemknęła. Parka zakochanych znikła na zakręcie ulicy, ale Andrzej tak rychło nie zapanował nad sobą. Topniała lodowa powłoka, jaką siłą woli otoczył swoje uczucia i całe morze goryczy oraz rozdrażnienia oblało go. Nie czuł sił do ponownego ich zamrożenia, bo obraz Tani stanął przed nim już nie w dalekich cieniach, lecz w pełni ciepła i życia, piękności, miłości i cierpienia... a to tak realnie i blisko, jak zjawienie się dziewczeczki spotkanej.

— Co z nią teraz biedaczką? Co będzie z nią dziś wieczór, gdy się stanie to, co już nieodwołalne? Jak zniesie cios jego śmierci?

Coraz boleśnieszsze myśli opanowywały jedna za drugą jego umysł i czuł się zupełnie bezbronnym.

— Po co się oni pokochali? Po co się w życiu spotkali? Drogo opłaca parę miesięcy szczęścia!...

Obrazy przeszłości przesuwały mu się w pamięci w całym byłym wdzięku, w całej dziś męczarni.

Ich miłość, jej twarzyczka i te oczy gorejące nie-skończonem szczęściem... A potem... męki ostatniego pożegnania!

Mechanicznie szedł Andrzej swoją drogą, ale myślami był daleko i przygłuszony niemi, nie zauważył, że ci wszyscy, których on wyprzedzał w swoich krokach, jego już prześcigli; bezwiednie zwolnił był chód i po przejściu kilku dopiero ulic spostrzegł się, że idzie zanadto powolnie. Spojrzał na zegarek i raptem krew

mu w żyłach zastygła, serce na sekundę bić przestało, bo spostrzegł, że... spóźni się! Trzy minuty pozostawały mu tylko, a do przebycia miał jeszcze najmniej dobrą wiorstę drogi.

Miłość, żale, wspomnienia i smutek, wszystko zostało naraz odparte i znikło w jednym momencie, jak stado wróbli spędzonych ze zboża rzuconym kamieniem. Cały błąd, rzucił się Andrzej naprzód, popchnięty bolesną myślą, że wszystko zepsuł głupią swoją sentymentalnością. Chciał biec szybko, lecz zwróciłby na siebie uwagę. Ale naprzód, naprzód! Teraz wyprzedzał wszystkich przyspieszonym krokiem, nawet dorożkarzy. Przestraszył mu dodawał, ale pozornie, bo nie długo tchu mu już nie stawało... Jednakże naprzód i naprzód! Więc wysiłał się, a spieszył... Ale niemal każdy krok wywoływał już klucie w piersiach, jakby je setką igieł przesywano.

Fizyczne te dolegliwości, jakich doznawał w tym szalonym biegu, przypomniały mu inny dzień z młodszych lat wieku, kiedy konno uciekał przed pogonią przez lasy i błota, a koń padł pod nim i musiał biec pieszo, by schronić się w mieście przed prześladowcami. Wtenczas jednak nie wysiłał się tak, chociaż bronił życia, jak dzisiaj w szalonym pędzie... do śmierci. Ale nie chciał zajmować długo myśli porównaniami i kontrastami. Naprzód i naprzód! Już nie patrzył na zegarek, by czasu nie tracić, a wiedział dobrze, że się już spóźnił, lecz pędził z nadludzką energią. Już ziemia się pod nim usuwała, a nogi zatrzęśły. Widział dwie drogi przed sobą: albo zwolnić kroki, albo rzucić się na ziemię i oddać w ręce policyi, udając pijanego. Ale jakżby sens miało rzucanie się w sieć szpiegów, dając o sobie wyobrażenie człowieka uciekającego z domu waryatów?

Zwolnił biegu i doszedł do punktu, w którym oczekiwał go Watażko, a wyglądał już lepiej, choć w duszy

żywił śmierć i rozpacz. Nie wątpił, że całe dzieło upadło z jego winy, a zdawał się czytać to na twarzy spotkanego sztyldwacha.

— Co, spóźniłem się? — zapytał drżącym głosem, przewidując z góry odpowiedź.

— Nie — odrzekł Watażko — alem się tego bardzo obawiał.

Andrzej odetchnął swobodniej. Słowa Watażki przywołały go do przytomności i zniosły prawie zmęczenie, spowodowane więcej jeszcze moralnymi wysiłkami, niż fizycznymi.

— Czy nic się nie stało, co was zatrzymało? — zapytał Watażko niespokojnie.

— Nic szczególnego — odpowiedział Andrzej. — Czekać teraz będę na tej ławce — dodał, wskazując na kamienne siedzenie przy trotuarze — wy pospieszcie i puśćcie w ruch sztyldwachów.

Sam pozostawszy, podniósł Andrzej prawą rękę dla przekonania się o jej sile.

— Nie całkiem — szepnął sobie.

Ręka mu drżała, lecz po chwili czuł, że to przeszło. Gotów był zupełnie i czekał cierpliwie.

Po kilku minutach spostrzegł wysoką postać Zacepina, zbliżającą się powoli do niego. Zerwał się z ławki i ruszył naprzeciw. Zacepin miał dać ostatni sygnał do czynu.

Twarz miał obleczoną wyrazem smutku i powagi, a gdy się zbliżyli do siebie, rzucił na Andrzeja spojrzenie znaczące i z poszanowaniem głowę skłonił.

— Mówcie! — zawołał Andrzej.

Rozumiał już, co potrzebował, lecz chciał od niego usłyszeć potwierdzenie swej myśli.

— Wyszędł! — szepnął Zacepin.

Andrzej kiwnął głową i ruszył naprzód, dawszy ledwie postrzegalny znak ręką Zacepinowi, aby odszedł.

Teraz przyszła kolej na niego!

O kilkaset kroków od placu dworca, to jest od miejsca wskazanego, natknął się Andrzej na cały rój szpiegów i stróżów bezpieczeństwa. Jedni z nich stali w miejscu nieruchomo, drudzy badali ulice prowadzące do miejsca spacerowego, żeby nie puszczać obcych, a aresztować wszystkich przechodniów, choćby cokolwiek podejrzanych, tak mężczyzn jak kobiet. Jeden z takich stróżów, siwy, poważny człowiek, któregooby nigdy Andrzej nie poczytał jako należącego do policyi, zbliżył się do niego i rzekł grzecznie:

— Zechcicie pójść tamtą ulicą.

— A to dlaczego? — zapytał Andrzej, idąc dalej swoją drogą.

— Tu surowo zabroniono iść komukolwiek — odrzekł poważny pan, idąc koło Andrzeja. — Wróćcie się natychmiast, jeżeli nie chcecie narazić się na nieprzyjemności.

Andrzej wzruszył ramionami.

— Ależ ja nie widzę nic w ulicy — spierał się dalej, przyoblekając twarz zdziwieniem — coby mogło przeszkadzać chodzić po niej. — I nie zwrócił się, lecz szedł dalej.

Wówczas poważny jegomość dał znak ręką i dwóch cywilnych młodzieńców, stojących o kilkanaście kroków, przypadło do Andrzeja z zamiarem aresztowania go. Położenie stawało się krytycznem. Zatrzymał się Andrzej i rozpoczął dysputę ze szpiegami, chcąc tym sposobem uzyskać choć parę minut czasu.

Konspiratorzy doskonale obliczyli i przygotowali ruchy swoje. W tej chwili bowiem pojawił się w ulicy wysoki dygnitarz, podczas przechadzki którego ulica musiała być pustą.

Andrzej poszedł powolnym krokiem i bez żadnej przeszkody stanął na rogu ulicy.

W jednym z okien kamienicy przy placu stało dwóch młodych ludzi, przypatrujących się z trwogą i niepokojem temu, co tam zająć miało. Jednym z nich był Jerzy. Widząc spotkanie Andrzeja z trzema szpiegami, poczytywał już sprawę za przepadłą. Lecz wtem ukazał się oczekiwany dygnitarz, który spostrzegłszy idącego naprzeciw Andrzeja, spokojnego jak przeznaczenie i pewnego siebie, wzdrygnął się i zatrzęsł całą osobą, lecz szedł dalej naprzód.

Z zamarłem sercem śledził Jerzy wzrokiem niespokojnym, jak stopniowo zmniejszała się przestrzeń między nimi, zaledwie już tylko kilka kroków ich rozdzielało.. ale nic jeszcze nie zaszło.. i obydwaj szli dalej naprzeciw siebie...

— Na co on czeka? Co to może znaczyć?

Ale Jerzy się mylił, bo odległość wydawała mu się w perspektywie tak nieznaczna, a w rzeczywistości wynosiła jeszcze ze dwadzieścia kroków.

Tutaj, w myśl ustanowionego planu, powinien był Andrzej podnieść rękę w górę, zdjąć kapelusz i pozostać z odkrytą głową. Zamiast jednak spełnienia tego, on wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął z niej rewolwer, zmierzył i wystrzelił.

Andrzej chybił, kula trafiła w ścianę domu pod samym gzymsem. Rewolweru nie znał, nie wiedział, że ostro bije i że powinien był mierzyć w nogi, żeby trafić w serce lub głowę; za późno to sobie uprzytomnił. Stanął przez sekundę, ręce opuścił, oszołomiony niepowodzeniem. Lecz wnet rzucił się naprzód, błady ze zmarszczonymi brwiami i strzelał raz po raz.

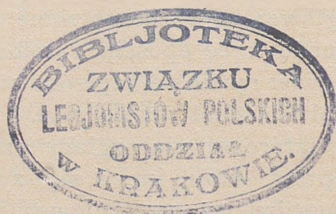
Ten jednak, którego miał zgładzić ze świata, zamiast iść prosto przed siebie, kręcił się szybko na prawo i lewo, uniemożliwiając prześladowcy swemu celne strzały. Jedna tylko kula urwała mu kawałek szynela, a reszta przeleciała bokami.

Mniej niż w przeciągu minuty pozbył się Andrzej części posiadanych ładunków, a tymczasem gromada szpiegów, dotąd niewidzialnych, zbiegła się ze wszech stron i liczba ich szybko wzrastała. Patrzył Jerzy ze swego okna na to, jak rozjątrzeni otaczali Andrzeja. Z początku trzymali się w oddaleniu z obawy dalszych strzałów, lecz widząc go bezbronnym i nie okazującym chęci oporu, razem rzucili się na niego. Jerzy, zakryw-
szy oczy, nic więcej nie widział; słyszał tylko wołania i wściekłe krzyki.

Na wpół żywego odstawiono Andrzeja do więzienia. Tam przyszedł rychło do siebie, a zaraz potem stawiony został przed sąd, skazany i stracony.

Zginął... Sprawa jednak, dla której śmierć poniósł, nie zginęła. Ta postępuje naprzód, porażką po porażce, aż dojdzie do koniecznego zwycięstwa, które na tym smutnym świecie może być jedynie osiągnięte cierpieniem i ofiarami niezliczonych jednostek.

— ❧ KONIEC. ❧ —



T R E Ś Ć.

Część pierwsza. — ZAPALEŃCY.

	Strona
Rozdział I. — Nareszcie!	7
„ II. — W samotności	22
„ III. — Na granicy	33
„ IV. — Nowe wrażenia	45
„ V. — Dwaj przyjaciele	59
„ VI. — Mieszane towarzystwo	67
„ VII. — Pierwsze odznaczenie się Tatiany	82
„ VIII. — Rozpamiętywania Repina	89
„ IX. — Przeobrażona	97
„ X. — Wiersze Jerzego	110

Część druga. — W OGNIU.

Rozdział I. — Ponownie Dawid	119
„ II. — Kwatera konspiratorów	127
„ III. — W oczekiwaniu	140
„ IV. — Nowy plan	152
„ V. — Potyczka	163
„ VI. — Przygody Wasyla	171
„ VII. — Zina u siebie	183
„ VIII. — Nieprzewidziane zawikłania	192
„ IX. — Dla dzieła wspólnego	204
„ X. — Przesilenie	208
„ XI. — Odetchnięcie	218

Część trzecia. — WSZYSTKO DLA SPRAWY.

	Strona
Rozdział I. — Jakała	229
„ II. — W świątyni Temidy	235
„ III. — Walka z przeszkodami	242
„ IV. — Pouczające widowisko	255
„ V. — Pismo pożegnalne	268
„ VI. — Ważne postanowienie	279
„ VII. — U siebie w domu	289
» VIII. — Dwa pokolenia	302
„ IX. — Sen Andrzeja	311
„ X. — Pożegnanie	318
„ XI. — Ostatnia przechadzka po mieście	325





Powieści, nowele, poezye i dramata:

	brosz.	w.
Abgar-Soltan. Ne	Kor. 4—	
— Rywale	„ 3-50	
— Widziane	„ 4—	
Bladgen. Ta	„ 2-40	
Batucki. M	„	
Bąkowskie	„	
Coppée. DG	„	
Czechow. N	„	
Dostojewski	„	
Echegaray	„	
Hamsun K.	„	
Jastrzębiec. Nim v	„	
Jirasek. Raj świat	„	
Kontrymowicz-Ogiński. Ksiazka	„	
Korolenko. Z Sybiru (nowele)	„ 4—	
— Niewidomy muzyk	„	
— Szkice powieściowe	„	
Kostomarow. Kudejar (powieść histor.)	„ 4—	
Kowerska. Podlotek (powieść)	„ 4—	
— Powieści	„ 3-20	4—
— Z pamiętnika ornitologa	„ 3—	4—
Krzywoszewski. Rusalka	„ 2—	3—
Krzyżanowski. Pasierby	„ 4—	5—
Krzyżanowski. Przełom i inne nowele	„ 2-40	3-20
Lejkin. Nasi za granicą (opow. humor.) 2 tomy	„ 5—	7—
— Pod hiszpańskim niebem (powieść humor.)	„ 4—	5—
Machczyński. Humoreski i nowele	„ 2—	3—
Molière. Sawantki	„ 2—	3—
Morawski K. Wiersze i proza	„ 3—	4—
Mrozowicka. Złote mosty	„ 3-20	4-20
Mysłowska. Obrazki z życia	„ 2-40	3-40
— Żona paralytyka	„ 2—	3—
Neumanowa. Baśnie i Legendy Wschodu	„ 1-20	2—
Odrawąż. Nie zginie. — Nad siły	„ 2—	3—
Rapacki. Histryoni	„ 4—	5—
Rapacki. Około teatru	„ 4—	5—
Sewer. W kleszczach. Magdusia	„ 3-20	4—
Siemiradzki. Pod obcym niebem	„ 2—	3—
Stasiak. Brandenburg	„ 5—	6—
Tolstoj. Anna Karenina, 3 tomy	„ 10—	13—
Wybór nowel zagranicznych autorów	„ 4—	5—
Zacharyasiewicz. Po ślubie, powieść	„ 3—	4—
— Tajemnica Stefanii, 2 tomy	„ 5—	7—
Zagórski. Nowele, serya III.	„ 3-60	4-40

Razem 50 tomów Kor. 147-10 195-50

Biorąc naraz wszystkie te powieści — płaci się tylko:

za 50 tomów broszurowanych Koron 55— } z opłatą portorya
za 50 tomów oprawnych w płótno „ 105— } o 2 Kor. więcej.

Proszę odwrócić!

Cena katalogowa

Pamiętniki, opowiadania hist. i życiorysy:

	brosz.	opr. w płótno
<i>Wijski K.</i> Wspomnienia mej młodości	Kor. 1 60	2 60
<i>Wojcicki ks.</i> Zniweczenie św. Unii	" 3 20	4 —
<i>Wojcicki.</i> Pamiętniki, 2 tomy	" 8 —	10 —
<i>Wojcicki.</i> Z dawnych wspomnień	" 1 60	2 40
<i>Wojcicki.</i> i portrety z przeszłości	" 7 —	8 —
	10 —	12 —
	4 —	5 —
	12 —	16 —
	2 —	3 —
	1 —	2 —
"	3 —	4 —
"	2 —	3 —
"	2 —	3 —
"	3 60	4 60
"	2 —	3 —
"	4 —	5 —
"	5 —	6 —
Opowiadanie historyczne z dziejów okolicy Słuczy na Wołyniu	" 2 80	4 —
<i>Wodzicka.</i> Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna (ilustr.)	" — 80	1 60
<i>Wodzicka.</i> Pamiętniki z czasów Rzeczyposp. Kraków.	" 3 60	4 60
<i>Wybranowski Aleks.</i> Ongi w dworkach szlacheckich	" 1 —	1 80
<i>Wysocki.</i> Pamiętnik z kampanii węgierskiej	" 2 —	3 —
<i>Z.</i> Ze wspomnień szlacheckich	" 1 —	1 80
<i>Zielonka.</i> Wspomnienia z Syberyi	" 4 —	5 —
Razem 29 tomów	Kor. 87 20	115 40

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 29 tomów broszurowanych	Kor. 50 —	z opłatą portorya
za 29 tomów oprawnych	" 75 —	o 2 Kor. więcej.

Cena katalogowa

Szkice z dziejów literatury:

	brosz.	opr. w płótno
<i>Bystrzycki.</i> O poezjach i mowach Ks. Kajsiewicza	Kor. 2 —	3 —
<i>Dobrzycki.</i> Z dziejów literatury polskiej	" 5 —	6 —
<i>Sarnecki Z.</i> Historia literatury francuskiej	" 6 —	7 —
<i>Turnowski.</i> Literatura polska, tomy I, II, III, IV i V.	" 20 —	25 —
— Studya do dziejów literatury polskiej tom I.	" 4 —	5 —
— " " " " " II.	" 4 —	5 —
— " " " " " IV.	" 4 —	5 —
<i>Tretiak J. Dr.</i> Szkice literackie, serya II.	" 6 —	7 —
Razem 12 tomów	Kor. 51 —	63 —

Biorąc naraz wszystkie te dzieła — płaci się tylko:

za 12 tomów broszurowanych	Kor. 30 —	z opłatą portorya
za 12 tomów oprawnych	" 40 —	o 1 Kor. więcej.



36889

/ 2